

ZESZYT CZTERDZIESTY ÓSMY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1979

ZESZYT CZTERDZIESTY ÓSMY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1979

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 305

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Prof. Władysław KULSKI

ZACHÓD A POLSKA OD CZASÓW ROZBIOROWYCH

1771 roku toczyły się rozmowy między przyszłymi państwami rozbiorowymi na temat zasięgu ich zamierzonych aneksji kosztem Polski. Ówczesny kierownik francuskiej polityki zagranicznej Duc Emmanuel d'Aiguillon zapewnił w sierpniu tegoż roku Fryderyka II, że Francja nie ma nic przeciw temu, aby Prusy anektowały Gdańsk i sąsiednie okolice. Anglia natomiast, pomna na swą potrzebę importu polskiego zboża, odwrotnie, uważała że Prusy mogą wziąć, co chcą, ale z wyjątkiem Gdańska i Torunia. Koniec końców pierwszy rozbiór nie wywołał żywszej reakcji ani w Paryżu, ani w Londynie. Dwu wybitnych „filozofów” francuskich, Voltaire i Diderot, którym zależało na łaskach Fryderyka i Katarzyny, rozplętkowało się w zachwycie nad rozbiorem, jako postępowym wydarzeniem. Ci dwaj lepiej odzwierciedlali tzw. postępową opinię francuską, niż Jean Jacques Rousseau, który stanął po stronie pokrzywdzonej Polski — ale on nie szukał pieniędzy i protekcji u Króla Pruskiego i Cesarzowej Rosyjskiej.

Drugi i trzeci rozbiory nastąpiły już w zupełnie zmienionej sytuacji międzynarodowej. Drugi rozbiór przyszedł w cztery lata, a trzeci w sześć lat po wybuchu Rewolucji Francuskiej. Toczyły się wtedy walki między armiami rewolucyjnymi i wojskami antyfrancuskiej koalicji. Ostatni rozbiór oddał nawet usługę Francji walczącej od 20 kwietnia 1792 roku przeciw koalicji prusko-austriackiej, do której to koalicji Anglia przyłączyła się w lutym 1793 roku. Prusy, chcąc lepiej dopilnować swych interesów podczas trzeciego rozbioru, wycofały się z wojny z Francją, zawierając z nią pokój 6 kwietnia 1795 roku w Bazylei. Polska nie

chcący dopomogła Francji. Prusy wiedziały, że Francja nie zamierza interweniować w sprawie polskiej, ponieważ już w lutym 1793 roku rząd rewolucyjny ustalił swe stanowisko, jako „młczącą zgodę” na rozbiory. Co do tego wszyscy przywódcy rewolucyjni jak Danton, Marat i Robespierre byli zgodni. Uważali, że Polska miała posłużyć do dokonania dywersji, a mianowicie do odciągnięcia Prus od angielsko-austriackiej koalicji. Jak pisał francuski historyk wojen rewolucyjnych, Arthur Chuquet (1853-1925), „sprawa polska ocaliła armie francuskie od nieuchronnej katastrofy”. Toteż rząd rewolucyjny mógł powiedzieć w związku z pokojem bazylejskim z Prusami, że „Komitet Ocalenia Publicznego w rokowaniach bazylejskich rozważnie powstrzymał się od poruszania sprawy polskiej”. Jeden z wybitnych członków Konwencji Narodowej, Boissy d’Anglas, obawiając się, że Rosja może przyłączyć się do wrogiej koalicji, wygłosił w 1795 roku przemówienie, w którym podnosił pod niebiosa zalety Katarzyny II i twierdził, że nie zależy jej na walce z rewolucją we Francji, ponieważ pragnie „tylko” podboju Polski i Turcji. Nic dziwnego, że Kościuszko nie znalazł chętnych słuchaczy w rewolucyjnym Paryżu. Napoleon słusznie określił ówczesne stanowisko Francji wobec rozbiorów „jako obojętność w tej wielkiej sprawie”. Obojętna była Francja Burbonów i obojętna była Francja rewolucyjna.

Tak samo Anglia patrzyła obojętnie, gdyż rozbiory zdawały się wzmacniać równowagę sił na kontynencie: skończył się rosyjski protektorat nad całą Polską, która została podzielona między trzy mocarstwa.

Następca Konwencji Narodowej, Dyrektoriat, też starannie unikał wplątania się w sprawę polską. Starania generała Jana Henryka Dąbrowskiego o utworzenie polskich legionów przy armii francuskiej spełżyły na niczym wobec odmowy Dyrektoriatu.

Dopiero generał Napoleon Bonaparte, głównodowodzący we Włoszech, zgodził się na formowanie Legionów z uwagi na to, że miało to powiększyć jego siły zbrojne przez przyciągnięcie ochotników spośród polskich emigrantów na Zachodzie i polskich jeńców i dezertorów z wojsk austriackich. Postępował jednak ostrożnie, aby zostawić sobie wolną rękę na wypadek zaprzestania wojny z Austrią. Poleciał Dąbrowskiemu zawarcie umowy o tworzeniu Legionów z Republiką Lombardzką, protektoratem francuskim, ale nie z samą Francją. Zresztą Bonaparte zawiódł polskie nadzieje, zawierając pokój z Austrią w Campo Formio 18 października 1797 roku bez wzmianki tam o Polsce.

Rok później zaczęła się druga wojna koalicyjna przeciw Francji. Tym razem koalicja obejmowała Anglię, Rosję i Austrię.

Legiony znowu walczyły u boku armii francuskiej. Tymczasem Bonaparte, już jako Pierwszy Konsul, nawiązał przyjazne stosunki z Carem Pawłem, który wycofał wojska rosyjskie. W 1801 roku Bonaparte zawarł pokój w Luneville z Austrią, a w 1802 z Anglią. Znowu w tych traktatach nie było wzmianki o Polsce. Jednakże Bonaparte zachował na wszelki wypadek Legiony polskie, choć zakamuflowane, jako siły zbrojne w służbie republik włoskich, protegowanych przez Francję. Istnienie tych Legionów ciążyło mimo to na stosunkach z Austrią. Toteż Bonaparte wysłała większość ich na San Domingo dla tłumienia powstania murzyńskiego przeciw Francji. Z tych 6.000 legionistów wróciło do Europy tylko trzystu. Legioniści, walczący w nadziei, że przyczyniają się tym do wyzwolenia w przyszłości Polski z pomocą Francji, ale walczący przeciw aspiracjom wyzwoleniczym ludności San Domingo, stworzą precedens dla innych wojsk polskich, które później będą bić się przy boku Francji w imię tych samych aspiracji narodowych przeciw Hiszpanom, również walczącym o swoją niepodległość.

W 1805 roku wybucha nowa wojna francuska przeciw koalicji, złożonej z Anglii, Austrii, Rosji i Prus. Zwycięstwa nad Austrią i Prusami postawiły Napoleona bezpośrednio wobec problemu polskiego. Między innymi, zabór pruski był wyswobodzony przez wojska francuskie. W pokoju, zawartym z Austrią w Presburgu 27 grudnia 1805 roku, Austria traci wiele terytoriów na rzecz Francji, ale ani piędzi ziemi polskiej, zabranej w czasie rozbiorów. Pozostawała sprawa zaboru pruskiego. Napoleon postępuje ostrożnie. Z jednej strony chce mieć dobre stosunki z Carem Aleksandrem, a z drugiej nęci go myśl stworzenia polskiej siły zbrojnej na ziemiach zaboru pruskiego. Wahał się. Był nawet bliski oddania Prusom ziem polskich z myślą odciągnięcia ich od Rosji. Do tego namawiał go Talleyrand, który i później zapisze się w historii, jako człowiek nieprzyjazny Polsce.

Wreszcie sprawa polska zostaje zdecydowana 25 czerwca 1807 roku w czasie spotkania Napoleona i Aleksandra w Tylży. Chcąc skaptować Aleksandra dla swej polityki antyangielskiej, Napoleon godzi się na to, aby tylko część oswobodzonego zaboru pruskiego była erygowana w małe państewko pod nazwą Księstwa Warszawskiego (przymiotnik: „Polskie Księstwo”, drażniłby Aleksandra). Ustępując naleganiom Aleksandra, Napoleon zgodził się zostawić Prusom znaczną część zaboru: Pomorze polskie i Warmię. Ponadto cedał Rosji obwód białostocki. To rozwiązanie napędziło Polaków do rozgoryczeniem, ale nadzieje związane z Napoleonem nie wygasają. W rok po spotkaniu w Tylży wojsko polskie walczy przy boku Francji w Hiszpanii i w tymże roku przypada

słynna szarża szwoleżerów w wąwozie Somo Sierra, która otwarła Napoleonowi drogę do Madrytu.

W roku 1809 wybucha nowa wojna francusko-austriacka, podczas której wojska Księstwa Warszawskiego wyswobodzają znaczną część zaboru austriackiego. Chociaż francuski rząd cesarski złożył oświadczenie w *Corps Législatif*, że Cesarz nie zamierza odbudowywać Polski, Napoleon przynajmniej zgodził się na włączenie do Księstwa Warszawskiego Galicji Zachodniej z Krakowem, Lublinem i Zamościem, darowując przy tym Aleksandrowi obwód Tarnopolski.

W tym czasie ambasador francuski w Petersburgu, Caulaincourt, pospieszył się w dniu 4 stycznia 1810 roku z zawarciem z rządem rosyjskim tzw. traktatu gwarancyjnego. Na mocy tego traktatu Francja miała zobowiązać się do tego, aby „Królestwo Polskie nigdy nie było odbudowane”, że imię Polski i Polaków miało zniknąć na zawsze z aktów oficjalnych, i że Księstwo Warszawskie nie miało być w przyszłości rozszerzane na żadną inną dawną część Polski. Napoleon odmówił ratyfikacji tego traktatu, oczekując znacznego zwiększenia armii Księstwa i nie chcąc zniechęcić Polaków.

Z wybuchem wojny francusko-rosyjskiej w 1812 roku Napoleon oświadczył 11 lipca, że przywróci imię Polski i przyłączy do Księstwa Warszawskiego Wielkie Księstwo Litewskie. Klęska w Rosji nie pozwala odpowiedzieć na pytanie, czy w dalszym biegu wypadków Napoleon zawarłby pokój kompromisowy z Aleksandrem, zapominając o tej obietnicy. Po dalszych klęskach napoleońskich i abdykacji Napoleona w 1814 roku kończy się polska epopeja napoleońska.

Na Kongresie Wiedeńskim (1814-15) Aleksander stara się ocalić integralność terytorialną Księstwa, które miało być połączone unią dynastyczną z Rosją. Po jego stronie stają Prusy, którym obiecuje w zamian za tę część ich zaboru w Polsce, która weszła była w skład Księstwa, całą czy część Saksonii. Po przeciwnej stronie znajdują się Austria i Anglia, które obawiały się zbyt dalekiego przesunięcia się wpływów rosyjskich w Środkowej Europie, i Francja Burbonów, której przedstawiciel Talleyrand też jest za podziałem Księstwa. Reprezentant Anglii, Lord Castlereagh, grozi Aleksandrowi wojną za chęć naruszenia postanowień układu rosyjsko-austriacko-pruskiego z 1797 roku o zniesieniu imienia Polski. Anglia, Austria i Francja obstają za rozbiorem Księstwa. 3 stycznia powstaje sojusz antyrosyjski Anglii, Austrii i Francji, który domaga się rozćwiartowania Księstwa. Po powrocie Napoleona do Francji koalicja zostaje na nowo scementowana. Aleksander zgadza się na ustępstwa. Traktat Wiedeński

z 3 maja 1815 roku oddaje część Księstwa (tzw. Wielkie Księstwo Poznańskie) Prusom, a Galicję Austrii. Kraków zostaje erygowany jako Republika pod protektoratem mocarstw rozbiorowych. Wreszcie reszta Księstwa zostaje złączona z Rosją węzłem dynastycznym, ale z własną konstytucją i własną armią. Otrzymuje nazwę Królestwa Polskiego. Rozbiór Księstwa Warszawskiego był dziełem angielsko-austriacko-francuskim.

Talleyrand zgodził się w Wiedniu na kompensatę dla Prus w prowincjach nadreńskich za ich zrzeczenie się aneksji całej Saksonii. Z teje Nadrenii wojska pruskie będą w roku 1870 maszerować na Francję. Klęska francuska będzie stanowił odpowiedni pomnik dla polityki wiedeńskiej Talleyranda.

Powstanie listopadowe w 1830 roku było poprzedzone rewolucją lipcową we Francji — która wygnała starszą gałąź Burbonów i osadziła na tronie młodszą linię w osobie Ludwika Filipa — oraz antyholenderską rewolucją belgijską w sierpniu-wrześniu tegoż roku. Mikołaj I-szy zamierzał interweniować siłami wojsk rosyjskich i polskich przeciw obu rewolucjom, które pozbawiły tronu albo części terytorium prawowitych monarchów. To przyspieszyło wybuch powstania polskiego. Polacy liczyli na pomoc Francji. Tymczasem rząd Ludwika Filipa przyjął wiadomość o powstaniu, jako zbawienną dywersję, odwracającą od Francji groźbę interwencji rosyjskiej. Istotnie Mikołaj musiał poniechać myśli o interwencji na Zachodzie i skoncentrował rosyjski wysiłek zbrojny na tłumieniu powstania w Polsce. W międzyczasie Belgia utrwaliła swą niepodległość, a Ludwik Filip wyzyskał zmienioną sytuację i dobił się odprężenia w stosunkach z Rosją. W styczniu 1831 roku Mikołaj uznał Ludwika Filipa jako monarchę francuskiego. Rząd francuski Casimir Perier'a umył całkowicie ręce od sprawy polskiej. Rząd angielski też patrzył obojętnie na powstanie w Polsce, ponieważ liczył na poparcie Rosji w hamowaniu ekspansji francuskiej w kierunku Belgii i Włoch, której się obawiał. *Summa summarum*, Polska odegrała w 1830-1831 latach rolę „Winkelrieda narodów”, jak pisał z goryczą Słowacki. Upadek Warszawy zdobytej przez Rosjan, zastąpił tylko na pamiętne słowa francuskiego ministra spraw zagranicznych Sebastianiego: „*L'ordre règne à Varsovie!*”.

Powstańczy rząd narodowy powiedział w swym końcowym oświadczeniu: „Nie liczymy więcej na poparcie mocarstw [zachodnich], które nie mogły czy też nie chciały, które nie mogą czy też nie chcą nas ocalić... To ta rzekoma sympatia, którą Francja i Anglia nam manifestowały, spowodowała naszą ruinę”.

Jeszcze jeden głos z Zachodu: Mikołaj uzyskał od Papieża Grzegorza XVI *breve* „*Cum primum*” do biskupów polskich, w

którym to *breve* Papież potępił spiski i powstania i zalecił lojalność wobec monarchy rosyjskiego. Słowacki wykrzyknął wtedy z goryczą: „Polsko, twoja zguba w Rzymie!”. Wtedy to przepowiedział w wizji proroczej, że kiedyś papież słowiański zasiądzie na tronie Piotrowym. To proroctwo spełniło się w naszych czasach.

Zjawienie się na scenie francuskiej Napoleona III znowu rozbudziło nadzieje polskie. Jego ministrem spraw zagranicznych zostaje Aleksander Walewski, nieślubny syn Napoleona i pani Walewskiej, a sam uczestnik powstania listopadowego. Ale ani Napoleon, ani Walewski nie zamierzają narażać Francji na wojnę celem odbudowania niepodległości Polski.

Polska emigracja z Mickiewiczem na czele łądziła się, że zainteresowanie sprawą polską odżyje w czasie wojny angielsko-francuskiej przeciw Rosji (Wojny Krymskiej), ale oba rządy wypowiedziały wojnę Rosji celem obrony niepodzielności Turcji, nie zaś odbudowy Polski. Pokój, zawarty w Paryżu w 1856 roku, naturalnie nie wzmiankuje o aspiracjach polskich. Wkrótce potem nastąpi zbliżenie między Napoleonem III i Aleksandrem II.

Toteż, kiedy Polacy zrywają się do powstania w 1863 roku, zarówno Napoleon III, jak premier angielski Lord Palmerston potępiają to powstanie, jako zgubne dla Polski.

Po upadku powstania styczniowego sprawa polska schodzi z porządku dziennego kancelarii zachodnich. W czasie wojny francusko-niemieckiej w 1871 roku szef po-napoleońskiego rządu, Thiers, powiada do Aleksandra II: „Przed czterdziestu laty [w 1831 roku] już mówiłem i powtarzałem z trybuny parlamentarnej, że rachuby na dawną Polskę są w stosunku do niej nielojalnością a w stosunku do nas samych wielkim oszustwem. My sami gubiliśmy Polskę od lat czterdziestu nie chcąc jej podtrzymać, a z Rosji zrobiliśmy sobie nieprzejednanego wroga”. Dodał następnie, że Francja nie będzie się wtrącać do spraw polskich. Było to jakby preludium do przymierza francusko-rosyjskiego, zawartego w 1891 roku.

Druga połowa XIX-go wieku przynosi duże polepszenie doli Polaków w Austrii w związku z nadaniem samorządu Galicji a pogorszenie sytuacji w zaborze niemieckim z powodu polityki germanizacyjnej i w zaborze rosyjskim, gdzie rząd carski prowadzi politykę russyfikacyjną. Wobec tego część Polaków uważa Niemcy za głównego wroga, a inna część, Rosję. Stąd wyłaniają się dwie orientacje: proaustriacka i antyrosyjska i prorosyjska, a antyniemiecka, która spodziewa się wyprosić od cara autonomię dla Kongresówki.

Żadna z tych orientacji nie liczy poważnie na pomoc Zach-

du. Ale obie łączą swe nadzieje ze spodziewanym wybuchem wojny między Niemcami i Austrią a Rosją.

Po wybuchu Pierwszej Wojny Światowej państwa zachodnie sprzymierzone z Rosją — Anglia i Francja — uważają sprawę polską za wewnętrzną rosyjską, tak jak tego wymaga rząd carski. Nawet ogłoszenie 5 listopada 1916 roku przez cesarza niemieckiego i austriackiego tzw. Królestwa Polskiego na terenie Kongresówki nie wpływa na to stanowisko Londynu i Paryża.

Wyłom czyni Prezydent Woodrow Wilson w swym orędziu do Senatu z 22 stycznia 1917 roku, w którym wspomniął o Polsce zjednoczonej i samorządnej, jako o jednym z warunków sprawiedliwego pokoju. Drugi wyłom spowodowany został przez rosyjską rewolucję lutową 1917 roku i obalenie caratu. Tymczasowy rząd rosyjski ogłasza zgodę na utworzenie państwa polskiego, związanego przymierzem wojskowym z Rosją. Tym samym sprawa polska przestaje być dla zachodnich sprzymierzeńców Rosji jej sprawą wewnętrzną. To ma praktyczne rezultaty. Prezydent Poincaré podpisuje 4 czerwca 1917 roku dekret o tworzeniu armii polskiej we Francji. Komitet Narodowy Polski, utworzony pod egidą Romana Dmowskiego i jego sympatyków, zostaje uznany za rzecznika spraw polskich najpierw przez Francję — we wrześniu 1917 roku — a później także przez Anglię, Włochy i Stany Zjednoczone.

Wypadki postępują szybko jedno za drugim. W listopadzie bolszewicy przejmują władzę w Rosji i w marcu 1918 roku zawierają oddzielny pokój z Niemcami i Austrią. To wyłamanie się z solidarności alianckiej zupełnie rozwiązuje ręce państw zachodnich w sprawie polskiej. Następuje klęska Niemiec i rozpadnięcie się Austrii. W listopadzie 1918 roku powstaje niepodległe państwo polskie, ale jeszcze bez ustalonych granic.

W 1919 roku zbiera się w Paryżu Konferencja Pokojowa, na której Polska jest reprezentowana. Decyzje zależą *de facto* od wielkich mocarstw zachodnich. Anglia Lloyd George'a jest niechętna polskim dezyderatom w imię swej tradycyjnej polityki równowagi europejskiej. Uważa Francję za dominujące mocarstwo na kontynencie i w związku z tym broni interesów niemieckich, bo Niemcy mają tworzyć przeciwwagę. Lloyd George odgrywa na Konferencji Paryskiej taką rolę wobec Polski, jak kiedyś Castlereagh na Kongresie Wiedeńskim. Wtedy chodziło o wstrzymanie ekspansji sprzymierzeńca rosyjskiego, a teraz o ograniczenie wpływów sprzymierzeńca francuskiego. W obu wypadkach Polska ma zapłacić koszty tej polityki. Jednym z rzeczoznawców Foreign Office jest wtedy historyk Lewis Namier (Ludwik Bern-

stein-Niemirowski, z pochodzenia Żyd z Galicji Wschodniej), który jest Polsce niezyczliwy. Nie wierzy w utrzymanie się niepodległego państwa polskiego. Tenże Namier miał także wpływ na kształtowanie się polityki angielskiej wobec Polski w czasie Drugiej Wojny Światowej: zrażony do hitlerowskich a antysemitycznych Niemiec, popiera polskie dezyderaty co do granicy zachodniej, ale jest zwolennikiem Linii Curzona jako granicy wschodniej.

Traktat pokojowy z Niemcami, zawarty 28 czerwca 1919 roku był w sprawach polskich kompromisem między życzliwą Polsce Francją i nieprzychylną jej Anglią. Poznańskie i Pomorze Zachodnie wracają do Polski, ale Gdańsk staje się Wolnym Miastem, w którym tylko ograniczone prawa są zagwarantowane Polsce. Losy Warmii, Mazurów i Śląska Górnego zostają uzależnione od przyszłych plebiscytów. Co do wschodniej granicy, to na Zachodzie ciągle mówi się o Linii Curzona, tak nazwanej od nazwiska Brytyjskiego Sekretarza Spraw Zagranicznych. Została ona wykreślona przez Radę Najwyższą Mocarstw Zachodnich 8 grudnia 1919 roku. Jednakże wojna polsko-sowiecka w 1919-1920 postawiła znak zapytania nad rzeczywistym przebiegiem granicy.

Kłęski wojsk polskich w lipcu 1920 roku zmusiły rząd polski do zwrócenia się o pomoc wojskową i dyplomatyczną do Francji i Anglii. Dnia 10 lipca 1920 roku rząd polski zawarł umowę w Spa z zachodnimi mocarstwami, które narzuciły Linie Curzona jako wschodnią granicę z tym, że ustalenie tej granicy w Galicji Wschodniej będzie zależec od przebiegu linii rozejmu między wojskami polskimi i sowieckimi. Polska zobowiązała się również przyjąć decyzję Rady Najwyższej w sprawach granicy z Litwą, przyszłości Galicji Wschodniej, sporu czesko-polskiego o Śląsk Cieszyński i treści traktatu, który miał uregulować stosunki między Polską i Wolnym Miastem Gdańskiem. Państwa Zachodnie skorzystały z rozpaczliwej wówczas sytuacji Polski, aby narzucić jej nieprzychylnie decyzje. 20 lipca 1920 roku Rada Najwyższa zdecydowała, że Śląsk Cieszyński ma być podzielony w taki sposób, że najbardziej uprzemysłowiona jego część ze znaczną ludnością polską przypadła Czechom. Również decyzja Rady Najwyższej w sprawie traktatu polsko-gdańskiego jeszcze dalej ograniczyła prawa polskie w Gdańsku. Obie decyzje przyczyniły się do niechęci polskiej do Czechosłowacji i do licznych sporów z Gdańskiem.

Pozostawał plebiscyt na Górnym Śląsku. Stosunek Francji był Polsce przyjazny, natomiast Anglii i Włoch nieprzychylny. Lloyd George tak był oburzony na powstańców polskich na Śląsku, że gwałtownie zaatakował Polskę w Izbie Gmin. Wresz-

cie Rada Najwyższa podzieliła Górny Śląsk w 1921 roku między Polskę i Niemcy.

Pomimo zawarcia przez Polskę z Rosją Sowiecką pokoju w Rydze w marcu 1921 roku, państwa zachodnie zwlekały z uznaniem granicy ryskiej i uznały ją dopiero w 1923 roku.

Jeżeli Polska cieszyła się sympatią Francji, to napotykała ciągle na nieprzychylnie stanowisko kolejnych rządów angielskich i opinii publicznej w tym kraju. Niemcy były faworytem Anglii.

Polska oparła swe bezpieczeństwo na przymierzu z Francją, zawartym w 1921 roku. Ale siła tego przymierza zaczęła słabnąć w trzy lata później kiedy to premier francuski Edouard Herriot zainaugurował politykę zbliżenia z Niemcami. W 1925 roku Anglia, Francja, Włochy, Belgia i Niemcy zawierają Układ Reński w Locarno, na mocy którego granice Niemiec z Francją i Belgią zostają uznane za nienaruszalne i gwarantowane przez Anglię i Włochy. Natomiast granice z Niemcami Polski i Czechosłowacji nie otrzymują takiej gwarancji. Zdaje się to oznaczać, że oba mocarstwa zachodnie uznają *implicite* słuszność rewindykacji niemieckich. Stało się to na tle krzykliwej propagandy niemieckiej o zwrot „Korytarza Polskiego” (Pomorza), Górnego Śląska i Gdańska. Coraz więcej głosów angielskich ale także i francuskich — mówi o „bezsensowności” Korytarza, oddzielającego właściwe Niemcy od Prus Wschodnich. Ponadto wartość przymierza francuskiego obniża się z powodu budowy Linii Maginota, która wskazuje na koncept tylko obronnej strategii francuskiej. Tymczasem było oczywiste, że jedynie strategia ofensywna mogła zapewnić skuteczną i szybką pomoc Francji w razie ataku niemieckiego na Polskę.

Alians słabnie nie tylko z powodu polityki francuskiej, ale także polityki polskiej, która odbiega od wytycznych posunięć zewnętrznych Francji. Od podpisania z Niemcami Deklaracji o Nieagresji w styczniu 1934 roku, drogi Polski i Francji rozchodzą się. Z jednej strony rząd polski stara się dogadać z Niemcami przez rozmowy dwustronne, a z drugiej Anglia i Francja prowadzą politykę *appeasement* w stosunku do Hitlera, patrząc biernie na kolejne jego posunięcia: jawne zbrojenia w 1935 roku, militarne zajęcie Nadrenii z pogwałceniem traktatu wersalskiego i paktu reńskiego, aneksję Austrii w 1938 roku, i wreszcie zajęcie czeskich Sudetów na mocy decyzji konferencji monachijskiej Niemiec, Anglii, Francji i Włoch. *Nota-bene*, oburzenie zachodniej opinii publicznej na odebranie Czechom przez Polskę znacznej części Śląska Cieszyńskiego było hipokryzją po oddaniu w Monachium przez mocarstwa zachodnie Sudetów czeskich.

W chwili, kiedy stosunki Polski z Zachodem były w złym

stanie Hitler w październiku 1938 roku wysuwa żądania: powrotu Gdańska do Niemiec i przecięcia Pomorza przez ekstraterytorialną strefę niemiecką, łączącą właściwe Niemcy z Prusami Wschodnimi. Od tego momentu konflikt polsko-niemiecki jest nieunikniony ponieważ Polska stanowczo odrzuca żądania niemieckie. Powstaje pytanie, czy Polska będzie walczyć odosobniona.

Wtedy, jak prawdziwy *Deus ex machina*, następuje zwrot w polityce angielskiej. Zajęcie przez Niemcy Czechosłowacji i rozciągnięcie protektoratu na Czechy i Słowację budzi w Londynie obawę czy Hitler nie jest przypadkiem niemieckim Napoleonem i czy nie zechce zapanować nad całym kontynentem europejskim? Odpowiedź była zgodna z tradycją angielską: rozpoczęcie konrofenywy dyplomatycznej. Ponieważ Polska teraz jest najbardziej zagrożona — rząd angielski zaczyna od udzielenia 31 marca 1939 roku gwarancji dla niepodległości Polski. Nie jest to objaw szczególnej sympatii dla Polski, ale konflikt polsko-niemiecki daje pierwszą okazję do zmanifestowania nowej polityki brytyjskiej. W kwietniu tegoż roku jednostronna gwarancja zostaje zastąpiona przy okazji wizyty ministra Becka w Londynie na dwustronną, tj. na coś w rodzaju przymierza.

Ale rząd angielski posuwa się zygzakowatą linią. Z jednej strony daje gwarancję Polsce, a z drugiej szuka wyjścia z sytuacji przez jakiś kompromis polsko-niemiecki oczywiście kosztem Polski, zwłaszcza w Gdańsku. Ta zygzakowata polityka trwa niemal do wybuchu wojny. Francja, ciągle pamiętna ogromnych strat w czasie I-szej wojny światowej, jest niechętna wykonaniu przymierza z Polską. Francuzi mówią, że nie warto bić się o... Gdańsk, jakby tylko o to chodziło. W końcu staje się jasne, że Hitlerowi nie chodzi o Gdańsk, ale o zupełne zniszczenie Polski. Angielskie próby mediacyjne palą na panewce. Wreszcie 1 września 1939 roku wojska niemieckie atakują Polskę. Mimo porozumienia niemiecko-sowieckiego z 23 sierpnia, Anglia podpisuje formalny traktat przymierza z Polską 25 sierpnia. Po dwudniowym wahaniu Anglia wypowiada Niemcom wojnę 3 września, a Francja robi to niechętnie, pod presją angielską, w kilka godzin później. Wojna polsko-niemiecka zmienia się w europejską. Polska, walcząca przeciw niemieckim siłom zbrojnym nie otrzymuje żadnej pomocy od sprzymierzeńców zachodnich. Wojsko francuskie stoi z bronią u nogi w fortyfikacjach Linii Maginota, choć były szanse powodzenia ofensywy wobec dość słabego obsadzenia przez Niemcy frontu zachodniego. Samoloty angielskie zrzucają tylko ulotki nad Niemcami. A jednak współczesny historyk polski w kraju nie ma racji kiedy pisze, że alians angielski na nic się nie zdał.

Dzięki temu aliansowi Rozbiór Polski między Niemcy i Rosję sowiecką na jesieni 1939 roku nie został uznany przez żadne państwo zachodnie, i rząd emigracyjny oraz polskie siły zbrojne mogły działać we Francji do jej sromotnej klęski w 1940 roku, a potem w Anglii. Sprawa polska i jej niepodległości pozostała sprawą międzynarodową.

Co prawda już w październiku odzywa się głos w Izbie Gmin — może nie bez wiedzy rządu — zapytujący o Linie Curzona i jej porównanie z nową granicą niemiecko-sowiecką. Anglia nie wierzy w trwałość porozumienia niemiecko-sowieckiego i liczy na przyszłe przymierze z Rosją. Nie bez powodu występuje sprawa aneksji sowieckich w Polsce i przyszłej granicy polsko-rosyjskiej. Linia Curzona będzie później, po ataku niemieckim na Rosję, drogowskazem dla Londynu.

Po zajęciu Francji przez Niemców w lecie 1940 roku rząd emigracyjny przenosi się do Londynu. Polacy stają się po raz pierwszy w historii popularni w Angli, zwłaszcza z powodu istnienia polskich sił zbrojnych na Wyspie i walnej pomocy lotnictwa polskiego w zwycięskiej *Battle of Britain*. Ale ta popularność kończy się w czerwcu 1941 roku z chwilą napadu niemieckiego na Rosję. Powstaje drażliwa dla Anglii kwestia losu wschodniej Polski, zabranej przez Sowiety na jesieni 1939 roku. Rząd Churchilla sądzi, że Stalinowi chodzi tylko o utrzymanie swych zdobyczy kosztem Polski, stąd nacisk na rząd emigracyjny, aby przyjął Linie Curzona. Anglikom zdaje się, że to uratuje dobre stosunki Polski z Rosją i zachowanie przez Polskę niepodległości. Ale zwycięskie ofensywy sowieckie zwiększają ambicje sowieckie. Stalin już co najmniej od 1943 roku myśli o narzuceniu Polsce powolnego mu rządu komunistycznego. Torując sobie drogę w tym kierunku, zrywa w 1943 roku stosunki dyplomatyczne z rządem emigracyjnym w Londynie. W tymże 1943 roku autorytet tego rządu obniża się z powodu nagłego zgonu w zagadkowych okolicznościach w Gibraltarze Generała Władysława Sikorskiego, znanego i poważanego zarówno w Anglii, jak w Stanach Zjednoczonych.

W miarę, jak wojska rosyjskie zajmują terytorium przedwojennej Polski, możliwości państw zachodnich wpływania na przebieg sprawy polskiej szybko maleją. Najpierw na Konferencji trzech mocarstw w Teheranie (1942), a następnie w 1945 roku na Konferencji w Jałcie Stany Zjednoczone i Anglia uznają granicę zachodnią Rosji biegnącą wzdłuż Lini Curzona. Jednocześnie powstaje pomysł kompensaty terytorialnej dla Polski kosztem Niemiec. Stalin zaczyna lansować myśl o granicy na Odrze i Nysie

Łużyckiej. Tu napotyka na większy opór Churchilla niż Roosevelta. Dlaczego Churchill do końca swego urzędowania jako premier, tak zaciekle dążył do okrojenia terytoriów przyznawanych Polsce kosztem Niemiec? Dla tego samego powodu, dla którego jego poprzednik Lord Castlereagh sprzeciwiał się w 1814-15 roku utrzymaniu terytorialnej integralności Księstwa Warszawskiego. W obu wypadkach chodziło o zatrzymanie wpływów rosyjskich jak najdalej na wschodzie Europy. Wreszcie po przegranych wyborach Churchill ustępuje, i Attlee, jego następcą, zgadza się razem z prezydentem Trumanem na Konferencji w Poczdamie w sierpniu 1945 roku na wytyczenie polskiej zachodniej granicy na Odrze-Nysie. Jednocześnie te trzy mocarstwa upoważniają Polskę do wysiedlenia z Polski etnicznych Niemców. Paradoksem jest, że kraj i emigracja polska zgodne są co do nienaruszalności granicy na Odrze-Nysie, która istnieje tylko dzięki Stalinowi i wbrew opozycji angielskiej.

Wkrótce po zakończeniu Drugiej Wojny Światowej rozpoczyna się tzw. zimna wojna między Stanami i Anglią a Rosją. To pociąga za sobą wysunięcie przez oba mocarstwa zachodnie zastrzeżeń w sprawie granicy na Odrze i Nysie i żądania, aby kwestia granicy między Niemcami i Polską była rozstrzygnięta na przyszłej konferencji pokojowej. To stanowisko państw zachodnich przetrwa do roku 1970, choć już nikt nie spodziewa się zwołania takiej konferencji. Jeszcze raz historia udowodniła, że państwa zachodnie formułują swą politykę wobec Polski w świetle swych stosunków wobec Niemiec i Rosji. Dopóki Niemcy były jeszcze groźnym wrogiem a Rosja sprzymierzeńcem, Londyn i Waszyngton zgadzały się na terytorialną kompensatę w zamian za Linie Curzona. Po zwycięstwie Rosja staje się w oczach Zachodu przeciwnikiem, a Niemcy stopniowo pojawiają się w nowej roli zachodniej przedniej straży. Zachodnia polityka wobec spraw polskich ciągle jest formułowana w funkcji polityki wobec Niemiec i Rosji.

Dopiero po zawarciu przez Niemiecką Republikę Federalną układów w 1970 roku ze Związkiem Sowieckim i Polską, w których RFN uznała granicę na Odrze-Nysie na czas swego istnienia, tj. do czasu zjednoczenia Niemiec, które wtedy miałyby prawo na nowo otworzyć sprawę terytorialną, Stany Zjednoczone i Anglia stanęły na tym samym stanowisku. Oczywiście każdy wie, że nie ma szans na zwołanie kiedykolwiek takiej konferencji pokojowej.

Dziś państwa zachodnie nie mają żadnego realnego wpływu na sytuację w Polsce poza ograniczonym wpływem propagandowym. Podział Europy na dwie strefy wpływów opiera się na

równowadze nuklearnej między Stanami i Rosją, a z nim *status quo* w Europie.

Ten bilans stosunków zachodnich z Polską od rozbiorów po dzień dzisiejszy może nie być pociągający dla Polaka, ale musi on pamiętać o tym, co mówił Polakom Napoleon, że każdy kraj formułuje swą politykę w świecie swoich własnych interesów narodowych.

Prof. Władysław KULSKI

Wiktor SUKIENNICKI

WOJNA? — NIE, DIALOG

Przed kilku laty Czesław Miłosz powiedział, że większość mieszkańców dzisiejszej Polski nigdy nie słyszała o mówiących po polsku Litwinach. Skłoniło to mnie do napisania artykułu o owym, wytworzonym przez dawną Rzplite i bardzo w swoim czasie rozpowszechnionym gatunku *homo politicus*, który po żywiołowych kataklizmach związanych z pierwszą wojną światową całkowicie niemal zginął. („Rara avis” w *Kulturze*, Nr 12/304 z 1972). W zakończeniu artykułu sygnalizowałem wówczas objawy, że po drugiej wojnie gatunek ten zaczął jak gdyby się odradzać. Dziękując za dedykowany mu artykuł, Miłosz pisał, że był on „bardzo potrzebny” i „nie należy bynajmniej do melancholijnych wspominków”, gdyż, opierając się na niedawno otrzymanych z Litwy informacjach sądzi, że „właściwie perspektywa przyszłości u sowieckich dysydentów jest mniej więcej taka, jak w Pana artykule”. Ponieważ żadnych dalszych ech artykułu nie wywołał, do opinii tej ustosunkowałem się sceptycznie.

I oto dostaję naraz aż cztery książki dotyczące stosunków litewsko-polskich; dwie pisane przez Polaków i wydane w PRL i dwie przez Litwinów przebywających na Zachodzie. Syntetyczne omówienie bardzo różnorodnych zagadnień omawianych na prawie tysiącu stron nie jest łatwe, ale szczegółowa ich krytyka wręcz niemożliwa. By jakoś wywiązać się z zadania zdecydowałem, po ich krótkim formalnym omówieniu, zająć się nieco obszerniej i systematycznie niektórymi problemami, na które autorzy wypowiadają odmienne poglądy, czyli, obiektywnie, prowadzą ze sobą „dialog”. W zakończeniu zamierzam wrócić do poszczególnych książek, by o ich treści wypowiedzieć parę bardziej szczegółowych uwag.

I

1. W wydanym przez PAN w 1977 r. zbiorze, przygotowanych przez Zakład Dziejów Europy XIX i XX wieków i przedyskutowanych na kolokwium w Warszawie w maju 1975, opracowań o stosunkach Polski z państwami sąsiednimi w okresie międzywojennym¹ znalazło się 42-stronicowe studium Piotra Łossowskiego o „Stosunkach polsko-litewskich w latach 1921-1939”. „Najostrejsze stadium” tych stosunków w latach 1918-1920 autor omówił w wydanej w 1966 roku obszernej przeszło 400-stronicowej pracy toteż obecnie „sygnalizuje” je tylko skrótowo. Będąc doświadczonym pracownikiem naukowym Łossowski na ogół wypowiada sądy oględnie i obiektywnie i jego, jak pisze, „niewielki szkic” daje więcej, niż można by oczekiwać. Stosunków polsko-litewskich w czasach przed i po-rozbiorowych nie omawia.

2. Omawia je natomiast od czasów najdawniejszych do drugiej wojny światowej Henryk Wisner w wydanej w 1978 roku przez „Książkę i Wiedzę” pracy pt. *Wojna nie wojna*². Ma ona charakter mniej „akademicki” i, jak pisze autor we wstępie, nie jest historią ani Polski ani Litwy i „obrazuje dzieje związku nie państw lecz narodów, mniej genezę bardziej rozkład... Wykorzystuje różnorodne materiały, które znane były powszechnie, a przynajmniej adresowane do szerokich kręgów społeczeństwa... O wykorzystanej literaturze naukowej informuje, aczkolwiek w sposób selektywny, załączona bibliografia... Przypisy sprowadzone zostały do minimum...”.

O osobie autora i genezie pracy książka informacji nie podaje; zawiera wiele różnorodnego materiału faktycznego przedstawianego w sposób na ogół obiektywny, z nie zawsze bodaj potrzebnym uwzględnianiem wypowiedzi komunistycznej „lewicy”, której stanowisko do końca drugiej wojny większego praktycznego znaczenia nie miało. Wykład nie zawsze jest przejrzysty i niekiedy ma się wrażenie, że mnóstwo faktów, jakie miały miejsce

1. *Przyjaźnie i antagonizmy. Stosunki Polski z państwami sąsiednimi w latach 1918-1939* pod redakcją Janusza Żarnowskiego, wydawnictwo PAN, Wrocław, 1977, nakład 1.000 egzemplarzy, str. 352, cena 85 zł. W tym wydawnictwie Romuald Wojna opracował stosunki Polski z ZSSR, Tadeusz Cieślak — ze Skandynawią, Łossowski — z Łotwą i Litwą, Jerzy Krasuski — z Niemcami Krzysztof Lewandowski — z Czechosłowacją, Maciej Kuźmiński — z Węgrami i Henryk Bułhak — z Rumunią.

2. Henryk Wisner, *Wojna nie wojna. Szkice z przeszłości polsko-litewskiej*. Książka i Wiedza, Warszawa, 1978, nakład 5.000 egz. cena 60 zł.

w czasie i przestrzeni, autor omawia metodą ruchów konika szachowego.

3. O wydrukowanej w 1978 roku w Niemczech przez międzynarodowe wydawnictwo Moutona pracy Jonasa Zmuidzinas *Rzplita polsko-litewska czyli Unia Lubelska (1569)*³ autor w *Avertissement* pisze, że jest to rozszerzona teza doktorska, przedłożona uniwersytetowi w Paryżu w 1969, i stanowi „zupełnie nowe ujęcie” (*une toute nouvelle conception*) unii polsko-litewskiej. Jeszcze dalej idące sformułowanie znajdujemy na ostatniej stronie okładki książki: ma to być „najbardziej ważna, kompletna i oryginalna praca o unii polsko-litewskiej, jaka się ukazała w ciągu ostatnich lat czterystu” (*l'ouvrage le plus important, complet et original qui ait paru au cours des derniers 400 ans sur l'union polono-lithuanienne*).

W książce autor wymienia nazwiska trzech paryskich profesorów, Le Fur'a De Lapradelle'a i Gidel'a, w *Avertissement* jednak składa gorące podziękowania (*vive gratitude*) sześciu innym osobom za „pomoc radami i w inny sposób” (*qui nous ont aidé de leurs conseils ou de toute autre façon*). O pomyślnym zakończeniu przewodu doktorskiego autor nie wspomina.

Siebie autor określa, parokrotnie to podkreślając i uzasadniając, jako „prawnika-socjologa”, co mu pozwala na znaczne rozszerzenie tematu książki i sięganie do czasów przedhistorycznych oraz wybieganie naprzód do wieku XX dla poparcia tezy, że pomimo związku z Polską Litwa nie przestawała nigdy być państwem zupełnie samodzielnym i suwerennym. Ponieważ Litwinów od wieków cechował ogromny patriotyzm oraz niezwykle talenty kulturo- i państwowo-twórcze, zdaniem autora, nie było możliwe by w Lublinie merytorycznie zgodzili się oni na zespolenie z Polską w jedno państwo. Kilkakrotnie cytując tekst lubelskiego „aktu” o utworzeniu z Korony Polskiej i Wielkiego Xięstwa Litewskiego „jednego nierozdziel nego i nieróżnego ciała, jednej wspólnej Rzplitej, która z dwu państw i narodów w jeden lud zniosła i spoiła”, autor z ogromną konsekwencją i uporem twierdzi, że były to tylko nieodpowiadające rzeczywistości formalne frazesy („dętwa mowa”), faktycznie zaś Litwa zarówno przed jak i po „konferencji” w Lublinie pozostawała samodzielnym i suwerennym państwem z Polską tylko „sprzymierzonym”.

Ponieważ w części prawniczej autor specjalnie oryginalny nie

3. Jonas Zmuidzinas, *Commonwealth polono-lithuanien ou l'Union de Lublin (1569)*, Mouton éditeur, Paris - La Haye - New York, str. 270 i mapa. Nakład i cena nie podane.

jest — jego opis „konferencji” w Lublinie składa się prawie wyłącznie z wyjątków z *Diariusza Sejmu*, ogłoszonego przez Działyńskiego w Poznaniu w 1856 i Kojałowicza w Petersburgu 1869 r., zaś w opisie „funkcjonowania związku” i kompetencji litewskich „niezależnych organów” nie ma bodaj niczego co by się różniło od opisów ich „koronnych” odpowiedników — po zapoznaniu się z książką można odnieść wrażenie, że to co w niej odpowiada prawdzie nie jest nowe, a to zaś co — szczególnie w części „socjologicznej” — jest nowe, nie zawsze jest prawdziwe.

4. Autorem wydanej w 1978 roku w Stanach Zjednoczonych przeszło 300-stronicowej książki o *Kościele katolickim, oporze i narodowości w Litwie sowieckiej*⁴ jest V. Stanley Vardys, profesor uniwersytetu Oklahama w Norton i praca jego całkowicie odpowiada wymogom tzw. „akademickim”. Wprawdzie tematem jej nie są stosunki polsko-litewskie, jednak w pierwszym historycznym rozdziale znajdują się pewne wątki mające dla tych stosunków istotne znaczenie, toteż włączenie tej książki do ogólnego omówienia nie wydaje się niewłaściwe.

II

W części tej są omawiane niektóre poruszone w wyżej wymienionych książkach zagadnienia mniej lub więcej sporne i nadające się do „dialogu”. Pierwszym z nich jest:

1. Dlaczego wytworzył się ścisły polsko-litewski związek i jaki był jego charakter?

Zagadnienie to stawia ale definitywnie nie rozwiązuje Wisner (str. 9 nn). Stwierdza, że w toku historii unią personalną z Polską złączona była nie tylko Litwa, lecz także Czechy, Węgry, Siedmiogród, Szwecja i Saksonia, a stosunkiem lennej zależności także Inflanty, Kurlandia i Prusy, jednakże „pełne zespolenie” nastąpiło tylko z Litwą. Píše, że wielkie procesy społeczne oddziaływujące na losy całych narodów „rzadko można ograniczyć konkretnymi datami, rzadko wytłumaczyć ich źródła” i podkreśla, że w wielowiekowych stosunkach polsko-litewskich stale objawiały się dwa nurty, pozytywny i negatywny, całkujący i różnic-

4. V. Stanley Vardys, *The Catholic Church. Dissent and Nationality in Soviet Lithuania*, East European Monographs, No. XLIII. Distributed by Columbia University Press, New York, 1978. Nakład i cena nie podane.

kujący. Pierwszy, zapoczątkowany przez świadome decyzje „grup rządzących” w obu państwach i kontynuowany przez dynastyczną politykę Jagiellonów, znajdował w Litwie poparcie społeczne dzięki niepokojowi, jaki budził wzrost potęgi Moskwy, oraz ponęcie swobód wywalczonych przez polską szlachtę. Jednakże, pisze, „i myśl o poddaniu się pod berło wielkiego księcia-cara nie wydawała się straszna”, zaś polskie „swobody” nie tylko pociągały, „ale i wywoływały głosy sprzeciwu, zwłaszcza wśród możnych”. Dlaczego jednak przez kilka wieków, zarówno za Jagiellonów jak i po nich, w Litwie przeważał „nurt” pierwszy, doprowadzając do „pełnego zespolenia” warstw wyższych, Wisner wyraźnej odpowiedzi nie daje. Podkreśla natomiast, że „z upływem wieków” nurt drugi rósł w siłę, widoczne „już u schyłku wieku XVII rozbieżności” się pogłębiały i „specyficzny patriotyzm litewski... mimo pozornej jedności działania” nabierał w coraz większym stopniu „cech separatyzmu” (str. 9-15).

Z wypowiedzi Vardysa wydaje się wynikać, że „zespolenie” nastąpiło dzięki przede wszystkim kościołowi katolickiemu. Pierwsza próba chrystianizacji Litwy za Mindowga w połowie XIII wieku skończyła się niepowodzeniem, co miało dla Litwy:

„fatalne skutki (*fateful consequences*). Przedłużyło izolację kraju od średniowiecznej Europy i opóźniło rozwój jej narodowej kultury i instytucji prawnych. Co więcej, przeszkodziło powstaniu niezależnego kościoła litewskiego, wolnego od obcych wpływów, i dzięki temu zatrzymało na stulecia rozwój katolicyzmu w języku litewskim. Jeśli za Mindowga Litwini mieli szanse na zbudowanie niezależnej organizacji kościoła, gdy litewskie diecezje ostatecznie powstały były podporządkowane polskiej prowincji kościelnej w Gnieźnie... i polski kler nimi kierował, ... co w sposób istotny dopomogło polonizacji nie tylko organizacji kościelnej lecz również litewskiej szlachty i ludności miejskiej” (str. 1-2).

„W 1569 r. państwo litewskie utonęło w federacji, gdzie dominowali Polacy. Zasympilowanie litewskiej szlachty trwało dłużej i z czasem wytworzyło nowość — następnie w różnych wersjach przejmowaną przez innych — pojęcie narodowości imperialnej (*imperial nationality*). Była to formułka *Gente lituanus, natione Polonus*, której poetycki wyraz dał polski klasyk Adam Mickiewicz w poemacie *Pan Tadeusz* (1836). Po pierwszej wojnie światowej idea imperialnej narodowości była popierana przez Józefa Piłsudskiego, twórcę nowoczesnego państwa polskiego, który dawał jej wyraz nie tylko za życia, ale i po śmierci. Urodzony w litewskim dworze, zlecił by ciało jego zostało pogrzebane w Krakowie, ale serce w Wilnie. Piłsudski usiłował odbudować Polskę w jej historycznych granicach, co ostatecznie mu się nie udało, gdyż zjawisko imperialnej narodowości, niezbędne dla podparcia takiego państwa, było już martwe” (str. 3/4).



Aczkowiek zdaniem Żmuidzinasa związek litewsko-polski nigdy nie był ściśły, rozsiane w części „socjologicznej”, jego opinie

o okolicznościach i przyczynach jakie spowodowały zbliżenie polsko-litewskie przed Unią Lubelską, są warte streszczenia, czy nawet zacytowania w dosłownych wyjątkach.

Jego zdaniem, mieszkańców ziem litewskich od czasów przedhistorycznych cechował wysoki poziom kultury materialnej i społeczno-politycznej:

„Południowo-wschodni Bałtowie zatrzymali najazdy Scytów i około 400 lat przed narodzeniem Chrystusa zajęli terytoria po obu stronach Wisły i jej dopływu Bugu. Owa ekspansja terytorialna nie była długotrwała... (ze względu na podboje przez Celtów licznych ludów), ale Bałtowie, których terytorium obejmowało Prusy Wschodnie, Litwę, Łotwę i obecną Białoruś, nie zostali podbici i zawsze zachowywali swoją kulturalną osobowość. Stopniowo na brzegach rzeki *Vemunas* wytworzył się nowy ośrodek cywilizacji, który osiągnął swój wiek złoty na początku naszej ery... Nic też dziwnego, że w zaraniu historii opór przeciwko zakonowi teutońskiemu skonsolidował się w Litwie i że w ciągu wieków Litwini nie przegrali ani jednej ważniejszej bitwy z ich najpotężniejszym w Europie wrogiem” (str. 38-39).

Historyczne początki zjednoczenia politycznego Litwy sięgają XIII wieku a od 1251 roku „jedność narodowa Litwy jest rzeczywistością historyczną, której nie można zakwestionować”, gdyż była ona uznana przez papieża Innocentego IV przez przyznanie Mindowcowi tytułu króla.

„Wojna teutońsko-litewska nie była — co należy podkreślić — wojną religijną, lecz miała charakter polityczny... W Litwie od zarania czasów historycznych... istniała tolerancja religijna o charakterze na wespół sakralnym. Przywiązani do tej podstawowej zasady suwereni Litwy nigdy w czasie tej wojny, ani na wewnątrz, ani w stosunkach z obcymi krajami, nie występowali jako szczególni obrońcy wierzeń pogańskich, które zresztą były przeważające na terytoriach etnograficznie litewskich; poganizm nigdy nie był religią totalitarną” (str. 60-61).

„Należy pamiętać, że od drugiej połowy XIII wieku przez 'Litwinów' rozumiano wszystkich obywateli państwa litewskiego niezależnie od ich pochodzenia etnicznego i przynależności regionalnej, przez 'Litwę' zaś terytorium zamieszkałe przez Litwinów... Istniała zatem współzależność pomiędzy litewską narodowością i terytorium litewskiego państwa” (str. 63).

Inicjatywa porozumienia i sojuszu z takim państwem wyszła w XIV wieku nie od niego, lecz od znacznie mniejszej i słabszej Polski. Gdy, po pokonaniu ogromnych trudności Łokietek zdołał wreszcie zjednoczyć polskie ksiąstwka i w 1320 koronować się w Krakowie, po pięciu latach zawarł sojusz wojenny z Gedyminem i prosił o rękę jego córki Aldony dla swego syna Kazimierza, uzyskując przy okazji tego małżeństwa wolność dla 25.000 jeńców polskich w Litwie (str. 104). Po śmierci Kazimierza „rządzająca szlachta polska w 1384 roku oferowała suwerenowi Litwy *Jogaile* tron polski i rękę 11-letniej królowej Hedwigi (Jadwigi)”. Ja-

giełło ofertę przyjął i przystał na postawione mu warunki, m.in. na „zapłacenie 200.000 florenów Wilhelmowi austriackiemu za zerwanie jego małżeństwa z Hedwigą oraz przekazanie Polsce swoich osobistych ziem na Litwie i Rusi” (str. 63-64).

Przyjęcie tych warunków wywołało wśród Litwinów niepokój czy nawet oburzenie z powodu „bigamii” Jadwigi i gdy w listopadzie 1386 roku Jagiełło z Jadwigą oraz liczną świtą i duchowieństwem chciał udać się do Litwy w celu jej ochrzczenia, w pogranicznym Łucku został zatrzymany, gdyż Litwini nie zgodzili się na wpuszczenie „konkubiny” i duchownych, którzy udzielili Jagielle „nielegalnego” ślubu (str. 65). Dopiero w następnym roku Jagiełło sam bez Jadwigi zdołał przyjechać do Wilna, by tam dokonać symbolicznego raczej chrztu Litwy (str. 64-65).

„Ponieważ według datującego się od XIII wieku zwyczaju członek litewskiej dynastii nawrócony na chrześcijaństwo tracił prawo do dziedziczenia wileńskiego tronu i ponieważ, ku zdumieniu Litwinów, obcy garnizon żołnierzy polskich stanął w Wilnie, które w oczach Litwinów było świętym miastem, ich sprzeciw stawał się coraz bardziej gwałtowny. *Vytautas* go poparł i zbrojnie zareagował przeciwko zamiarom sąsiadów zza granicy. W toku walk polsko-litewskich uzyskał entuzjastyczne poparcie swego ludu i wojska litewskie, które Polacy chcieli użyć, bez walki złożyły broń pod Grodnem (w 1391), Wiłkomierzem i Merkinem (? — W.S.)”.

„Poprzez tę walkę, Witold stał się dla Litwinów bardziej niż którykolwiek z jego poprzedników wcieleniem idei narodowej niezależności i tym razem otwarcie brali oni udział w wojnie o zachowanie politycznej integralności swej ojczyzny. Wobec niemożności liczenia na lojalność litewskiego ludu, Jagiełło zastosował politykę ugodową” i w 1392 roku przyznał Witoldowi tytuł Wielkiego Księcia Litwy. Dzięki swej wielkiej popularności, Witold bez trudu zdołał podporządkować sobie wszystkich regionalnych książąt i zlikwidować ostatnie pozostałości braku jedności narodowej. Jednakże klęska zadana mu przez Tatarów w bitwie nad Worskłą w 1399 roku przekreśliła jego aspiracje do całkowitej niezależności i suwerenności Litwy i zmusiła do zachowania związku z Polską oraz uznania zwierzchnictwa Jagiełły, który, obok tytułu króla polskiego przybrał również tytuł „najwyższego księcia Litwy” (str. 65 nn).

Zdaniem Żmuidzinasa, ustalony na przełomie XIV i XV wieków i symbolizowany przez postacie „zdrajcy” Jagiełły i „wielkiego” Witolda⁵ szemat stosunków pomiędzy Polską a Litwą

5. Wisner, str. 203, odnotowuje „sąd” nad Władysławem Jagiełłą, jaki miał miejsce w grudniu 1929 w Koszedarach; wyrok pozbawiał oskarżonego tytułu wielkoksiążęcego i skazywał na wymazanie jego imienia z kart historii Litwy; Witoldowi Litwini powszechnie przyznają tytuł Wielkiego

pozostał niezmienny do ostatnich czasów. Polacy stale dążyli do możliwie najściślejszego związku z Litwą, aż do jej całkowitego pochłonięcia, „wcielenia”; Litwini do możliwego rozluźnienia związku, aż do jego całkowitego zerwania. Przez pół tysiąca lat nie zdołali tego osiągnąć ze względu na niepomyślną dla nich sytuację polityczną, która niekiedy zmuszała ich nawet do zacieśniania więzów z Polską. Tak, w szczególności, było w połowie wieku XVI, kiedy wzrost potęgi Moskwy zaczął bezpośrednio zagrażać Litwie. „W obliczu tej groźby, pisze Żmuidzinas w *Avant-propos* (str. 9), Litwa, będąc już terytorialnie poszkodowana na skutek długiej serii wojen z Moskwą, zmuszona była do sprzymierzenia się z Polską, swoim naturalnym i jedynym towarzyszem (*associé*), i podpisania z nią 1 lipca 1569 traktatu, ustanawiającego związek (*association*) polsko-litewski, powszechnie znany pod nazwą Unii Lubelskiej. Pakt ów przesądził wówczas nie tylko o byciu obu sprzymierzeńców, lecz także o losach całej Europy, przez utworzenie czegoś w rodzaju konfederacji państw, pierwszej w Europie owej epoki i położonej na styku dwóch światów — Wschodu i Zachodu...”

2. Rola siły w stosunkach litewsko-polskich

Siła, jej groźba lub użycie, odgrywała w stosunkach polsko-litewskich znaczną rolę. Układ stosunku sił pomiędzy Polską a Litwą spowodował inicjatywę Łokietka zawarcia pierwszego w dziejach Polski związku politycznego i rodzinnego z Litwą, który dał w rezultacie powrót do domów ogromnej w owej epoce rzeszy Polaków pozbawionych na Litwie wolności. Jak to stwierdza Żmuidzinas, siłą Litwini przeciwstawili się przyjazdowi do Wilna ich wielkiego księcia wraz z jego „konkubiną” i polskim duchowieństwem. Dzięki sile polskiej, jaka stanęła garnizonem w Wilnie, mógł tam przyjechać Jagiełło i dokonać chrztu Litwy. Siłą również garnizon ten był usunięty i Witold został wielkim księciem Litwy; dopiero po złamaniu jego potęgi przez Tatarów, zależność od Jagiełły i związek z Polską mogły być przywrócone.

Siła, jej groźba i częściowe użycie, odegrała także poważną, jeśli nie decydującą rolę podczas sejmu w Lublinie. Nie tylko siła Moskwy, której wzrost miał być, zdaniem Żmuidzinas, główną — choć nie jedyną — przyczyną podpisania aktu z 1 lipca 1569, lecz także i siła Polski. Oto co o tym mówi Żmuidzinas, referując przebieg wydarzeń w Lublinie:

Debaty czy rokowania obu sejmów, polskiego i litewskiego, rozpoczęły się w styczniu; nie słyły po myśli Litwinów i, „widząc,

ze zgoda (*accord*) nie może być osiągnięta, w nocy z 28 lutego na 1 marca Litwini opuścili Lublin”, pozostawiając tam jako „obserwatorów” kanclerza *E. Valavičius*’a (Wołowicza) i podskarbiego *N. Naruševičius*’a (Naruszewicza). Wiadomość o odjeździe Litwinów wywołała wśród Polaków wielką irytację i groźbę wojny. Jednakże wojna z Litwą byłaby rozwiązaniem najgorszym i w praktyce niemożliwym. Zygmunt August się wahał, istniało zagrożenie ze strony Turcji i skarb był pusty, gdyż zwolennicy wojny byli przeciwnikami podniesienia podatków. Z drugiej strony lud litewski był pubudzany (*préché*) do wojny z Polską i przygotowywano wysłańców do Krymskich Tatarów w celu zawarcia z nimi przeciwpolskiego sojuszu. „Jednym słowem, przygotowania wojenne miały miejsce po obu stronach i negocjatorzy polscy wobec zaostrzenia się sytuacji, musieli zrezygnować z projektu doprowadzenia do unii przez wojskową interwencję” (str. 131-134).

Pomimo tego, stwierdza Żmuidzinas, Polacy zdołali bez wojny zagarnąć znaczne połacie terytorium Wielkiego Xięstwa; „uniwersałem z 5 marca Zygmunt (August) odciął od Litwy trzy bogate województwa, podlaskie, wołyńskie i braclawskie⁷, i przyłączył je do Polski” (str. 135). „6 czerwca król polecił kanclerzowi ogłosić decyzję o przyłączeniu do Polski Kijowszczyzny... W ten sposób cztery najbogatsze województwa Litwy: podlaskie, wołyńskie, braclawskie i kijowskie, w sumie 170.000 km² litewskiego terytorium odeszło do Polski, a także Nowogród Siewierski, Czernihów, Kijów, oraz dorzecza dolnego Dniepru, Bugu i Dniestru wraz z wybrzeżem Morza Czarnego. Po dokonaniu na Litwie takiej amputacji żądania polskie zostały poparte argumentem faktów, a margines wolności rokowań przedstawiciele Litwy w znacznym stopniu zmniejszony” (str. 137/8).

Ze inkorporacje dokonane podczas obrad w Lublinie były przejawem polskiej siły, nie ulega wątpliwości, czy jednak był to bezprawny gwałt? Żmuidzinas tego wyraźnie nie mówi, choć pisze, że:

„jeszcze przed potwierdzeniem uniwersału przez polski sejm, podlasianie i wołyńianie, którzy znajdowali się w Lublinie, pod groźbą konfiskaty dóbr położonych na oderwanych terenach, zostali wezwani do złożenia przysięgi na wierność królowi Polski; większość posesjonatów odmówiła zastosowania się do wezwania”,

oraz omawia i cytuje wyjątki z memorandum odczytanego 5 kwietnia *devant les dirigeants polonais* przez przybyłych do Lublina

6. Żmuidzinas konsekwentnie ale błędnie pisze „Braslaw”, który leży na północy wileńszczyzny, a nie na Ukrainie.

J. Chodkiewicza, Z. Wołowicza, D. Paca, K. N. Radziwiłła i N. Kiszkę z protestem przeciwko inkorporacji (str. 135).

Ponieważ analizując w części prawniczej *Le pouvoir du Souverain*, autor twierdzi, że w XVI wieku Litwa była „monarchią konstytucyjną” i jej „monarcha nie był władcą absolutnym” oraz że „istniał wyraźny zakaz pobierania przez Wielkiego Księcia decyzji w sprawach niepozbywalności terytorium i podziału Litwy, których skutkiem byłaby utrata prowincji lub miasta i ich przejście pod obcą władzę...”, a Statut Litewski z 1566 (III, 3) kategorycznie zakazywał suwerenowi wyzbywania się najmniejszej części terytorium państwowego” (str. 170-2), tak stosunkowo łagodna reakcja i krytyka przez prawnika-socjologa wyraźnie, wydawałoby się, bezprawnych aktów Zygmunta Augusta nie jest dla mnie zrozumiała. XVI-tym wiekiem nigdy się specjalnie nie zajmowałem i nie mam wyrobionego własnego sądu co do zgodności dokonanych inkorporacji z obowiązującym wówczas w Polsce i Litwie prawem konstytucyjnym, aczkolwiek muszę się przyznać, iż dziwiło mnie nieco że, odmiennie niż to w dawnej Rzplitej bywało w zwyczaju, tym razem wszystko odbyło się niezwykle szybko i składnie bez głośniejszych i skuteczniejszych protestów, pomimo — wydawałoby się świetle komentarza Żmuidzinasa — najbardziej oczywistego i na olbrzymią skalę dokonanego pogwałcenia obowiązujących praw konstytucyjnych.

Tymczasem to co w tej kwestii w wykładzie Żmuidzinasa wydaje się niezrozumiałe, w wykładzie historyków polskich staje się jasne. Tak np. Michał Bobrzyński w *Dziejach Polski w zarysie* (wyd. 5, t. 2, str. 78/9) pisze, że gdy:

„Litwini miejsce obrad opuścili z protestem, król oburzony... wezwał szlachtę litewską i ruską, ażeby wbrew opierającym się unii panom zbrojnie wystąpiła i do Lublina celem zaprzysiężenia unii wysłała poselstwa. Odniosło to magiczny skutek. Ziemia po ziemi, województwo po województwie zrywało się na wezwanie króla, a tak Podlasie, Wołyń, Braclaw i Kijów zaprzysięgały nierozzerwalny pakt z Koroną w Lublinie wśród powszechnego entuzjazmu. Toż samo gotowało się w Brześciu Litewskim, w Wilnie, Trokach, Witebsku, na Żmudzi, a wówczas panowie litewscy spostrzegli, że im się ziemia spod stóp zupełnie usuwa. Wracają więc do Lublina i ofiarują się sami z unią, polegającą na wspólności sejmu, byle by im odrębny rząd nad resztą Litwy zostawić...”.

Cytuję książkę wydaną po raz pierwszy w 1877 roku dlatego, że miałem ją pod ręką, a nie dlatego, bym jej autora uważał za nieomylny autorytet. Tym bardziej, że w stosunku do Unii Lubelskiej zajmuje on bardzo krytyczne stanowisko za to właśnie co na okładce książki Żmuidzinasa jest podawane jako pierwsze po 400 latach odkrycie naukowe, a mianowicie stwierdzenie, że

i po unii lubelskiej Litwa zachowała swą odrębność i równoległość do „koronnych” rząd i zwierzchnie organy. W dalszym ciągu zacytowanego ustępu Bobrzyński pisze o powrocie Litwinów do Lublina i ich zgodzie na unię z Polską:

„Był to dar Danaów, który prawdziwy cel unii niweczył. Odrębny rząd na Litwie oznaczał bowiem odrębność polityczną Litwy, krępował na zawsze siły Rzplitej i tworzył zaród wiekuistej anarchii i rozterki”.

Nie wszyscy polscy historycy podzielają tę opinię, ponieważ zaś ustalanie i ocena wydarzeń, jakie miały miejsce w odległej przeszłości nie jest rzeczą łatwą, sędzę, że zarówno na temat dokonanych w Lublinie inkorporacji jak i w wielu innych sprawach związanych ze wspólną historią, poważna i uczciwa dyskusja (dialog) byłaby bardzo potrzebna i celowa.



Metodę ostatniego z Jagiellonów niestosowania siły do Litwy jako takiej, lecz popierania tam nieseparatystów, świadomie lub nieświadomie stosowali obaj pochodzący z Wielkiego Xięstwa Naczelnicy. O pomyślnym zastosowaniu takiej polityki przez Tadeusza Kościuszkę wspomina Wisner na stronach 14 i 15; z mniejszym powodzeniem, lecz ogromną konsekwencją, usiłował stosować ją również Józef Piłsudski.

Na podstawie nie dość wyraźnie wskazanego źródła, być może nieogłoszonych notatek Michała Romera, Wisner pisze, że w połowie marca 1919, planując wyprawę wileńską, Piłsudski sam „gotów był stanąć na czele stworzonego państwa jako 'prezydent Republiki Ludowej Litewsko-Białoruskiej' ” (str. 124). Jeśli by odpowiadało to prawdzie — zważywszy, że był on wówczas Naczelnikiem Państwa Polskiego — równałoby się planom odtworzenia unii personalnej pomiędzy Polską a Litwą. Jednak w kwietniu, pisze dalej Wisner, „pewne elementy akcji uległy zmianie” i, bezpośrednio przed wyprawą na Wilno, wysłannicy Piłsudskiego udali się do Kowna, gdzie od kilku miesięcy istniał już rząd litewski wywodzący się z powołanej przez Niemców „Taryby”, z propozycją by do Wilna wspólnie wkroczyły wojska polskie i litewskie i by został utworzony nowy tymczasowy rząd litewski, ewentualnie z Romerem na czele, którego jedynym zadaniem byłoby zorganizowanie wyborów do litewskiej konstytuandy, mającej zdecydować o ustroju i polityce Litwy.

Ponieważ, odmiennie od wojskowej, wyprawa polityczno-dyplomatyczna skończyła się niefortunnie⁷, po wyzwoleniu Wilna

7. Zobacz Zygmunt Jundziłł, „Niefortunna wyprawa kowieńska” w *Niepodległości*, po wznowieniu tom V, Londyn, 1955, str. 206-211.

od bolszewików planowany nowy rząd litewski utworzony nie został, gdyż, jak w kilka lat potem mówił Piłsudski, „bano się go jak własnego cienia”. Uważając sprawę Litwy, jej ustroju, granic i polityki, za wciąż otwartą, Piłsudski dał temu wyraz w swojej głośnej odezwie „Do Mieszkańców Wielkiego Xięstwa Litewskiego”.

O następnym posunięciu Piłsudskiego w jego konsekwentnej polityce w sprawie litewskiej — próbie użycia siły dla poparcia nieseparatystów — obaj polscy autorzy omawianych książek piszą bardzo niewiele: Wisner poświęca mu sześć wierszy na stronie 135, a Łossowski cztery na stronie 134. Nie znaczy to jednak by posunięcie to było błahe i bez większego politycznego znaczenia; we wspomnianej wyżej dużej książce⁸ Łossowski omawia je w przeszło 30-stostronicowym rozdziale, a uprzednio w oddzielnie ogłoszonej artykule, gdzie je nazywa „centralnym wydarzeniem... mającym doniosły wpływ na dalsze losy planów federacyjnych”. Dlatego też chcę się nim zająć nieco obszerniej, tymbardziej, że niektóre wnioski, do jakich po na ogół sumiennym przestudiowaniu dostępnych mu materiałów doszedł Łossowski, nie wydają mi się słuszne. Przede wszystkim jego teza, wypowiedziana we wstępie do oddzielnego artykułu, że „inicjatywa działania przez cały czas spoczywała w rękach strony polskiej”, która wprawdzie czyniła „próby pozyskania Litwinów” (Rozdz. 3), traktowała ich jednak z „pogardą” jako „bezideowych karierowiczów”, których można i należy kupić, gdyż „dużą rolę wśród nich odgrywują pieniądze”.

Być może w niektórych wypadkach tak istotnie było, ale raczej wyjątkowo. Nie sądzę by mogło to dotyczyć takich osób jak, na przykład Stanisław Narutowicz czy generał Sylwester Żukowski. Pierwszy z nich (którego Wisner niesłusznie nazywa „*Stešisem Narutavičium*”), gdyż jako członek Taryby złożył swój podpis pod aktem o niepodległości Litwy z 16 lutego 1918 w brzmieniu polskim) był kuzynem Piłsudskich i bratem przyszłego Prezydenta Rzplitej; drugi, z Narutowiczem zaprzyjaźniony, 3 sierpnia 1919 w Kownie w rozmowie z późniejszym generałem i ministrem Kasprzyckim powiedział, prawdopodobnie z własnej inicjatywy, „że czuje się Polakiem i tylko po to stoi na czele wojska litewskiego, aby doprowadzić do zgody z Polską”.

Wśród Litwinów nie było prawdopodobnie więcej niż prze-

8. Piotr Łossowski, *Stosunki polsko-litewskie w latach 1918-1920*. Książka i Wiedza, Warszawa, 1966, nakład 1.500 egz., str. 410 i mapa, cena 60 zł. Tegoż „Próba przewrotu polskiego w Kownie w sierpniu 1919 w *Najnowsze Dzieje Polski, 1914-1939*, t. VIII, 1964, str. 51-73.

ciężnie ludzi chcących na polityce robić pieniądze, ale że byli, to pewne. Polacy zresztą byli za biedni aby pod tym względem konkurować z Niemcami, ale o tym dalej. Na razie chcę zgłosić pretensje w sprawie cytowanego przez Łossowskiego raportu Bronisława Krzyżanowskiego z 6 sierpnia 1919. Był to raport dość długi, na 9-ciu stronach i jego streszczenie o „próbie pozyskania” „znanego ze swego antypolskiego nastawienia Juozasa Gabrysa” pomija sprawy istotne, omawiane na stronach 5 i 6 raportu Krzyżanowskiego:

„Na zakończenie opowieść o Gabrysie. Podczas mego pobytu w Szwajcarii w końcu lipca, wstąpiłem do niego. Znałem go z Paryża. On jest właściwym twórcą Taryby, a dzisiaj srodze się gniewa z Waldemarasem, Yczasem, Smetoną, Szaulisem i całym rządem litewskim. Zresztą mniej ze względów ideowych, a raczej z zazdrości zaszczytów i może pieniędzy...

Powiedział mi on, żądając dyskrecji najzupełniejszej i dopuszczając tylko jeden wyjątek w stosunku do Naczelnika Państwa..., że dąży z całej siły do obalenia obecnego rządu, do usunięcia Smetony; że w Litwie istnieją dwa ogniska opozycji, że jedno z nich jest w okolicach Poniewieża (drugiego nie nazwał), że powstanie z nim na czele *rozpocznie się W KONCU SIERPNI*A (uwzględniłem moje — W.S.) i że w tym właśnie czasie będzie potrzebował i prosił o pomoc Rząd polski — być może trzeba będzie, jeżeli stanie układ, wziąć na żołąd i utrzymanie Polski 3-4 tys. oddanych mu ludzi; będzie to przeważnie wojsko litewskie...”.

Dodajmy jeszcze wnioski Krzyżanowskiego: „Wypadnie jednak może iść wcale nie w kierunku Gabrysa” i „Jest tylko jedno wyraźne, że na Litwie zaczyna się budzić opozycja — *il faut faire la défalcation*”.

Moim zdaniem, podanie przez Gabrysa „końca sierpnia” jako konkretnej daty wybuchu przygotowywanego *litewskiego* (z poważnym udziałem *wojska*) *powstania* przeciwko rządowi Taryby jest faktem bardzo istotnym. Po pierwsze świadczy, że „inicjatywa działania” nie zawsze „spoczywała w rękach strony polskiej”, po drugie tłumaczy dlaczego, mimo oczywistego braku przygotowania po „stronie polskiej” — meldunki POW o nikłych siłach — na konferencjach w Wilnie Wasilewskiego, Kasprzyczego i Sławka z przybyłymi z Litwy Narutowiczem i Auksztuołajtisem w dniach 20-22 sierpnia „termin akcji przewidziano na noc 28/29. VIII”, zaś Piłsudski w Warszawie po rozmowie z obu Litwinami 24 sierpnia „ostatecznie zaakceptował plan”.

Łossowski pisze o „komizmie całej tej sytuacji”, wyraźnie nie uwzględniając możliwości, że w Wilnie i Warszawie liczono na wybuch „w końcu sierpnia” jakiegoś litewskiego powstania czy buntu, do którego chciano się tylko przyłączyć i wykorzystać dla spowodowania powołania rządu, który by się zgodził na prze-

prowadzenie na kowieńszczyźnie i wileńszczyźnie „na najbardziej demokratycznych zasadach” wyborów do wspólnej litewskiej konstytuanty. Przy takim traktowaniu sprawy, ewentualność udzielenia poparcia polskiej siły litewskim anty-tarybowcom wcale nie wyglądałaby „komicznie”. Dodajmy, że liczenie się z terminem „koniec sierpnia” niekoniecznie musiało się opierać *tylko* na informacjach Gabrysa, wszak Narutowicz był w przyjaznych stosunkach z generałem Żukowskim.

Dlaczego jednak litewskie powstanie nie wybuchło i „cała sytuacja” stała się „komiczna”? Podejmując próbę odpowiedzi na to pytanie, trzeba się cofnąć o lat kilka.



Nie ulega wątpliwości, że po wojskowej okupacji Litwy Niemcy mieli intencję zatrzymania jej na stałe, jednak forma w jakiej to miało być dokonane nie była ostatecznie zdecydowana. Początkowy zamiar potraktowania Litwy jako wcielonej do Prus prowincji został jeszcze w czasie wojny zaniechany, sądzono bowiem, że należy to zrobić w sposób bardziej zamaskowany, tak jak zamierzano uczynić z Polską. Toteż jednocześnie niemal z powołaniem Rady Regencyjnej w Warszawie utworzono tzw. Tarybę w Wilnie. Początkowo zamierzano ją nazwać niemiecką „radą zaufania” (*Vertrauensrat*), nazwano jednak Radą Krajową (*Landestrat*) analogicznie do rad istniejących w poszczególnych krajach Rzeszy, ale o kompetencjach mniej określonych i charakterze raczej doradczym w stosunku do faktycznie krajem rządzących niemieckich władz administracyjnych. O ile z analogiczną *Landesrat* utworzoną jednocześnie w Kurlandii Niemcy żadnych kłopotów nie mieli, ich stosunki z Tarybą pozostawiały wiele do życzenia, szczególnie gdy w okresie rokowań w Brześciu, 16 lutego 1918 powzięła ona niezgodnioną z Niemcami uchwałę o utworzeniu niezależnego państwa litewskiego, a w lipcu, również samodzielnie, zaferowała „tron litewski” niemiętemu Prusom Urachowi wirtemberskiemu. By ukarać Litwinów za krnąbrność, rząd berliński zamierzał przyłączyć Wilno z okręgiem do Polskiego Królestwa, na co 31 sierpnia 1918 uzyskał pisemną zgodę Ludendorffa; zamierzone przez podległe temu ostatniemu władze *Ober Ostu* dalej idące represje przeciwko Tarybie, do jej rozwiązania włącznie, stały się nieaktualne wobec sytuacji na zachodnim froncie i formalny status Taryby pozostał bez zmian.

W październiku, po utworzeniu rządu przez Maksa Badeńskiego i zwróceniu się z prośbą o rozejm, Niemcy, usiłując ratować co się da na wschodzie, wpadli na pomysł zastosowania

do Litwy metody jaką Brytyjczycy stosowali w Egipcie, który, formalnie wchodził w skład imperium otomańskiego i korzystał w nim z autonomii, ale przez ćwierć wieku (1883-1907) faktycznie był rządzony przez brytyjskiego konsula Earla of Cromer'a.

W Berlinie na rozszerzonym posiedzeniu gabinetu 15 października 1918, świeżo włączony w skład rządu Erzberger mówił kategorycznie:

„Niemiecki Lord Cromer musi być natychmiast wysłany jako Generalny Komisarz do Wilna dla załatwienia wszystkiego. Litwini mają swoich urzędników... Konwencji zawierać nie należy; wystarczy powiedzieć Litwinom, że zabierzemy nasz tabor kolejowy, a oni przyjdą do nas. Ale żadnych konwencji, szczególnie wojskowych. W skład Taryby wchodzi wszystkie partie, to też ona sama winna zorganizować wybory. Bolszewizm poważnie wzrasta i wszystkie środki powinny być przedsięwzięte niezwłocznie. Komisarz cieszący się zaufaniem Litwinów winien wyjechać do Litwy bez zwłoki⁹”.

Odpowiedni kandydat na „niemieckiego Lorda Cromera” został w ciągu paru tygodni znaleziony w osobie Dra Ludwika Zimmerle; z nominacją podpisaną 1 listopada jeszcze przez cesarza Wilhelma, przyjechał on do Wilna 7 listopada, przywoząc sto milionów marek „posagu”. Po ewakuacji w końcu grudnia do Kowna, dawnej siedziby centrali Oberstu, gdzie znajdowała się *Soldatenrat* niemieckiej X armii, zdołał uzyskać na nią przemożny wpływ co spowodowało, że podporządkowujące się jej oddziały niemieckie zachowały zdolność bojową i nie dopuściły do zajęcia kowieńszczyzny przez armię czerwoną. Jednym słowem, zgodnie z postulatem Erzbergera, Zimmerle potrafił załatwić pomyślnie dla Niemców „wszystko”. W jego osobie i urzędzie koncentrowały się decydujące nici i, pomimo braku formalnych „konwencji”, rządził on faktycznie Litwą, ukryty za dogadzającym mu parawanem „litewskiego rządu Taryby”.

Ze swojej strony rząd ten, którego skład od listopada 1918 ulegał kilkakrotnym zmianom, usiłował organizować własną administrację i wojsko, na co w przeciągu przeszło pół roku zużył otrzymane w listopadzie sto milionów marek i od lipca nie był w stanie wypłacać urzędniczych pensji i wojskowego żołdu, co nie mogło nie wywoływać niezadowolenia oraz opozycyjnych czy nawet buntowniczych nastrojów wśród zainteresowanych bezpośrednio urzędników i oficerów. Dlatego też nie wydaje mi się trafnym zdanie Łossowskiego, że polskie MSZ nie posiadało „głęb-

9. Protokół posiedzenia rządu z 15. X. 1918 w *Die Regierung des Prinzen Max von Baden*, bearbeitet von Erich Matthias und Rudolf Morsey, Düsseldorf, 1962, str. 195.

szego rozeznania prawdziwego położenia na Litwie”, pisząc w „informacji” z 18 sierpnia 1919:

„Położenie rządu Słezewicza można w ostatnich czasach uważać za rozpaczliwe. Brak gotówki, zajęcie połowy kraju przez Niemców i Moskali (chodziło o organizowane przez Niemców — Zimmerle! — tzw. oddziały Bermonta-Awałowa), niepewność wojsk, brak szacunku i zaufania do rządu, nawet ze strony ludności litewskiej, przepowiadają mu rychły upadek”.

Moim zdaniem, taka ocena sytuacji na Litwie w *pierwszej połowie* sierpnia odpowiadała rzeczywistości, natomiast w *drugiej połowie* stała się fałszywa. Spowodował to stwierdzony przez Piłsudskiego a, pośrednio co najmniej, kwestionowany przez Łossowskiego fakt, że „wśród Litwinów” „dużą rolę odgrywają pieniądze”.

W raporcie z 6 sierpnia Krzyżanowski wspominał m.in. o niepowodzeniu starań litewskiego ministra finansów Wilejszysa o nową pożyczkę w Berlinie; widocznie jednak Zimmerle uznał, że w istniejącej sytuacji nie należy przeciągać struny i Litwini nagle dostali nowe sto milionów marek¹⁰. W tym samym mniej więcej czasie zostały pomyślnie zakończone w Londynie rozmowy o import litewskiego lnu i banki angielskie wypłaciły tytułem zaliczki kilkaset tysięcy funtów.

Te dwa olbrzymie w litewskich warunkach zastrzyki finansowe zmieniły radykalnie całą sytuację. Gdy wszystkie dotychczasowe zaległości finansowe zostały — być może z nadwyżkami — wyrównane, wielu z dotychczasowych krytyków i przeciwników rządu stało się jego gorącymi zwolennikami. To było główną bodaj przyczyną zaniechania planowanego „na koniec sierpnia” antyrządowego litewskiego powstania i tłumaczyło podkreślany przez Łossowskiego wzrost prestiżu i popularności *Słezewiciusa* oraz jego pewność siebie przy dość drastycznej likwidacji „polskiego spisku”.

Jeśli chodzi o ten „spisek”, to podzielam opinię Łossowskiego, że „organizacja POW nigdy nie stanowiła większej siły mogącej samodzielnie zaważyć na szali”. Inaczej oczywiście było z „dywizjami regularnego wojska” polskiego, które były bodaj przygotowane do natychmiastowej akcji na pierwsze nadeszłe z Litwy wezwanie. Zamiast tego wezwania przysłyły wiadomości o maso-

10. Niemieckim stu milionom marek Polacy mogli przeciwstawić tylko 800.000. Łossowski pisze: „27 sierpnia Wasilewski dał wszystko, co posiadał pod ręką (800 tysięcy marek) Auksztuołajtisowi i tegoż dnia wyprawił go do Kowna”. „Sumę 800 tys. marek Auksztuołajtis zdeponował u Jonasa Wanagajtisa, litewskiego urzędnika wojskowego. W połowie października... Wanagajtis oświadczył, że gotów jest pieniądze te oddać Polakom, 200 tys. marek zażądał jednak dla siebie” (str. 135 i odsyłacz na str. 139).

wych aresztowaniach Polaków w nocy z 28/29 sierpnia. Łossowski pisze, że:

„Wasilewski już bezpośrednio po pierwszych aresztowaniach w Kownie zwrócił się do Warszawy o dalsze instrukcje. Treść odpowiedzi Piłsudskiego nie jest znana. Z przebiegu wypadków można jednak wnioskować, iż nie zdecydował się on na niczym nie osłoniętą, otwartą interwencję”.

Sądzę, że o *takiej* interwencji Piłsudski nigdy nie myślał, Wasilewskiemu natomiast udzielił wyraźnej instrukcji jeszcze *przed* aresztowaniami. Być może w warszawskich archiwach nie ma odpisu taśmy telegraficznej aparatu Hughes'a, znajdującej się w przechowywanych w Instytucie J. Piłsudskiego w Nowym Jorku aktach Adiutantury Generalnej Naczelnego Wodza, teczka 18 1396/T i Łossowski nie mógł z tym dokumentem się zapoznać. Na taśmie zanotowana jest rozmowa Warszawy z Wilnem 27 sierpnia o godz. 16 minut 30-45, gdzie znajdują się następujące zdania:

„Komendant odpowiedział w sposób następujący: prowadzić akcję jedynie i wyłącznie siłami polskimi nie można i dlatego plan POW wydaje się mu bezużyteczny. Jeżeli panowie A. i N. są zdecydowani wziąć na swoją odpowiedzialność całą akcję i biorą plan POW za swój, to wtedy można by jeszcze o tym coś mówić”.

Zaprzysiężeni z litewskim wodzem naczelnym panowie A. i N. byli dla Piłsudskiego reprezentantami litewskich opozycjonistów i o udzieleniu im poparcia polską siłą „można by mówić”, ale „prowadzić akcji jedynie i wyłącznie siłami polskimi nie można” — takie było zupełnie jasne i wyraźne stanowisko Piłsudskiego jeszcze przed pierwszymi aresztowaniami.



Tezie, że „inicjatywa działania przez cały czas spoczywała w rękach strony polskiej”, czyli, symbolicznie rzecz biorąc, „Warszawy” przeczą również późniejsze dokumenty, przechowywane w tych samych zbiorach. Warto z nich przytoczyć kilka wyjątków np. z listu „pana N.” do Piłsudskiego z 7 września 1919:

„Szanowny Panie! Ponieważ wiem od kpt. Sławka, żeś Pan o mnie zapytywał, pozwalam sobie zakomunikować, że istotnie byłem i ja na liście osób, które miano w Kownie zaaresztować. Ale powodem do tego wcale nie był mój wyjazd do Wilna i Warszawy, ale poprzednie moje przewinienia wobec Niemców i Chadeków.

Więc Pan mnie wcale na sumieniu nie masz. Przeciwnie, żebyś Pan mnie wtedy nie wezwał, to bym dziś z pewnością był w rękach moich nieubłaganych wrogów.

O tym cośmy mówili i projektowali, w Kownie dotąd jeszcze nikt nie ma ani pojęcia. Areszty mają inne źródła. Dziś wysłałem... bezpośrednio do gen. Żukowskiego i nie tracę jeszcze nadziei.

W owoce skutki waszych pertraktacji z obecnym rządem Litwy nie wierzę. Oni widać mają z Niemcami jakąś tajną umowę... W Kownie panuje wszechwładnie podobno Zimmerle. Przyjeżdżają do Kowna przebrani generałowie niemieccy...

W tych dniach... zakomunikuje o rezultatach rozmowy z gen. Żukowskim, o ile on obecnie uważa zamach za możliwy, a również i utrzymanie się nowej władzy po zamachu. To jest dziś jedyna droga do usunięcia fatalnej rozterki litewsko-polskiej.

Łączę wyrazy szczerego szacunku i poważania,

Stanisław Narutowicz".

W późniejszym liście z 24 września 1919 Wasilewski pisał do Piłsudskiego o „prywatnej” gawędzie z przywódcami litewskiej socjaldemokracji z Kowna:

„Sytuacja, według nich, przedstawia się rozpaczliwie i oni są w zasadzie gotowi wziąć w swoje ręce władzę. Utworzyliby gabinet socjalistyczno-ludowcowy. Obecne sfery rządowe, czując się skompromitowanymi, zgodziłyby się na oddanie władzy w ręce 'lewicy', aby i ta z kolei 'skompromitowała się'. 'Lewica', czyli esdecy i ludowcy boją się przede wszystkim, aby natychmiast po objęciu przez nich władzy wojska polskie nie zajęły Kowna, co by ich obarczyło oskarżeniem, że oni to spowodowali.

Wziąwszy w swe ręce władzę, 'lewica' weszłaby w pertraktacje z Polską i wypędziłaby (z pomocą Polaków) Niemców... W każdym razie pomoc Polski na mocy specjalnej konwencji byłaby bardzo pożądana. Pertraktacje z Polską chcą prowadzić na zasadach przez nas wysuniętych w Kownie, a uznanych przez nich za jedynie słuszne... Osobiście mam wrażenie, że... nie zdobędą się na ujęcie w swoje ręce władzy, choć mają ludzi zdolnych... Rząd obecny nienawidzą...”



O tym, że sytuacja na Litwie w 1919 przedstawiała się w rzeczywistości mniej idyllicznie, niż można odnieść wrażenie, czytając opracowania Łossowskiego, świadczą również wspomnienia niezainteresowanych generałów zachodnich. Jeden z nich, brygadier brytyjski Frank P. Crozier, po nawiązaniu handlowo-finansowych stosunków litewsko-angielskich i dymisji generała Żukowskiego, 19 września 1919 został Generalnym Inspektorem litewskiej armii. O swoim pobycie w Kownie pisze w dwóch książkach *Impresje i wspomnienia* oraz *Ludzie, których zamordowałem*¹¹; w drugiej dwukrotnie nazywa Litwę „Diabelskim rajem” (*Here*

11. *Impressions & Recollections* by Brig-Gen. F.P. Crozier, Londyn, 1930. Rozdz. XI „Lithuania”, str. 240-49; tegoż, *The Men I Killed*, Londyn, 1937.

was the Devil's Paradise indeed!... Yes — truly Devil's Paradise!
— str. 111 i 112) i dalej pisze:

„Gdy przyjechałem do Kowna znalazłem sytuację chaotyczną. Wiele morderstw miało miejsce codziennie (*A great deal of killing and being killed formed part of the daily round*). Nikt dobrze nie wiedział kto jest jego przyjacielem a kto wrogiem. Jednocześnie prowadziliśmy trzy wojny i uśmierzailiśmy rewoltę...”.

Rewoltą tą był bunt kowieńskiego garnizonu w lutym 1920, po uśmierzeniu którego Crosier opuścił służbę litewską z dniem 1 marca 1920 roku.

Drugi, francuski generał Artur Niessel, w październiku 1919 został wysłany do krajów bałtyckich z ramienia Rady Najwyższej Sprzymierzonych i ogłosił swe wspomnienia pod tytułem *Ewakuacja krajów bałtyckich przez Niemców. Przyczynek do studiów nad niemiecką umysłowością*¹². Rozdział V tej książki nosi tytuł: „W Królewcu, u rzeczywistych rządców Nadbałtyki”, a w rozdziale VII, opisując swój pobyt w Kownie od 11 do 15 listopada 1919, mówi o niezwłocznym usunięciu stamtąd Zimmerle („gdy generał Piłsudski został o tym poinformowany, przekazał mi przez szefa naszej misji wojskowej generała Henrysa swoje osobiste podziękowanie”, str. 83) oraz wspomina o litewskim samolocie porwanym przez niemieckiego pilota przekupionego przez sowieckiego agenta w celu dostarczenia Enwer Paszy do Moskwy (Ob. *Kultura*, 1975, Nr 1/328-2/329, str. 198-9).



Po tej przydługiej dygresji w sprawie „Próby przewrotu polskiego w Kownie w sierpniu 1919”, krótkie tylko zanotowanie dalszej konsekwentnej polityki Piłsudskiego w sprawie stosunku do Litwy:

a) w październiku 1920 umożliwia wilnianom powrót na ich ojczystą ziemię, ale zakazuje Żeligowskiemu „marszu na Kowno” i zgadza się na plebiscyt pod egidą Ligi Narodów; sprowokowana przez Litwę interwencja Rosji na początku 1921 organizację plebiscytu uniemożliwia;

b) w lutym 1922 usiłuje sprzeciwić się „wcieleniu” Wilna do Polski przez sejmy wileński i warszawski;

c) po zamachu stanu i obaleniu lewicowego rządu w Kownie w grudniu 1926, oraz po nieudanym powstaniu przeciwko no-

12. Gen. A. Niessel, *L'Evacuation des Pays Baltiques par les Allemands. Contribution à l'étude de la mentalité allemande*, Paris, 1935, str. 272.

wemu rządowi w Taurogach we wrześniu 1927, udziela pokonanym powstańcom pomocy i poparcia; w grudniu 1927 udaje się do Genewy, by spytać Voldemarasa czy Litwa chce wojny z Polską czy pokoju;

d) w następnych latach wielokrotnie inspirowane opisane w omawianej pracy Łossowskiego próby ponownego nawiązania przyjaznych kontaktów polsko-litewskich;

e) gdy, na skutek moralno-politycznego terroru, jaki się w Litwie wytworzył, żadna z tych prób nie dała pozytywnego rezultatu, już po śmierci Piłsudskiego, jego epigoni — na podstawie jeśli nie prawdziwych to prawdopodobnych informacji, „iż rząd litewski również jest zainteresowany w uregulowaniu stosunków, ale chciałby, ażeby strona polska wywarła na niego presję, gdyż w ten sposób mógłby się usprawiedliwić przed własną opinią publiczną” (Łossowski, str. 168) — skierowują w marcu 1938 oślawione ultimatum, powodujące „przełom, który w konsekwencji wyszedł na dobre dla obustronnych stosunków” (170), zaś od jesieni 1938 strona litewska „coraz wyraźniej zaczyna zabiegać o poprawę stosunków z Polską” (str. 172).

Naszkciovana wyżej konsekwentna linia polityki polskiej wobec Litwy, świadomie czy nieświadomie, wydawała się nawiązywać do metod Zygmunta Augusta. Niestety, została przerwana przez drugą wojnę światową, której ostateczny rezultat wypadł katastrofalnie zarówno dla Litwy jak Polski.

3. Zagadnienie państwowego języka

Jedną z oryginalnych tez wysuniętych w książce Żmuidzinasa jest twierdzenie, że w Litwie „od zarania czasów historycznych” istniała nieznana nigdzie w Europie całkowita tolerancja religijna i, prawdopodobnie, językowa. Dzięki temu możliwe się stało uznawanie za „Litwinów” wszystkich obywateli państwa litewskiego niezależnie nie tylko od ich religii, ale również „pochodzenia etnicznego i przynależności regionalnej”, co w konsekwencji prowadziło do ścisłej „współzależności pomiędzy litewską narodowością i terytorium litewskiego państwa”.

Owa niezwykła tolerancja obejmująca całość życia kulturalnego powodowała, że „Litwini” zamieszkujący terytorium państwa litewskiego, mogli nie tylko wierzyć, ale i mówić jak chcieli; tylko „na terytoriach etnograficznie litewskich przeważały wierzenia pogańskie” i, prawdopodobnie, język litewski. Języka tego używały również sfery rządzące, decydujące w wielkoksiążęcej radzie o sprawach państwowych, i był on, zdaniem Żmuidzinasa,

„oficjalnym językiem mówionym na Litwie” (str. 83). Inaczej ułożyły się sprawy z językiem pisanym:

„W połowie XIII wieku, gdy jedność państwowa Litwy została osiągnięta i stosunki z Niemcami oraz Stolicą Apostolską nawiązane, weszła na Litwę używana w Europie Zachodniej łacina... W XIV wieku, gdy granice litewskie posunęły się od dorzecza Niemna do Morza Czarnego, obejmując ludność obszernych terytoriów ruskich, język starosłowiański stał się językiem dokumentów dyplomatycznych w stosunkach z Moskwą i z czasem rozszerzył się na kancelarię, kroniki i ustawodawstwo; jednocześnie w korespondencji międzynarodowej z mocarstwami zachodnimi używano łaciny” (str. 79/80)

Po kilku stronach rozważań mających udowodnić, że używany przez Litwinów język państwowy nie był dzisiejszym językiem białoruskim, lecz „szczególnym i jedynym na świecie” językiem „litewsko-ruskim”, „językiem pisanym i martwym, pochodnym od cerkiewno-starosłowiańskiego”, który był rodzajem wschodnio-europejskiej „łaciny”, autor na stronie 82 pisze:

„Stała wojna z dwoma zakonami oraz użycie energii narodowej na ekspansję terytorialną na wschodzie były prawdopodobnie główną przyczyną, jaka przeszkodziła Litwinom złamanie tradycji ustalonych w Europie i używanie litewskiego jako języka pisanego”.

i dalej przytacza przykłady używania w innych krajach europejskich nie języków narodowych, lecz obcych, w szczególności łaciny.

„Oficjalny język pisany dawnej Litwy nie był zatem jedynym w świecie wypadkiem. Język pisany był szczerbą osobowości narodowej, właściwą wszystkim narodom w owej epoce” (str. 83),

co jednak nie przeszkodziło im w przechowaniu swoich narodowych języków „mówionych”. Dotyczyło to również języka litewskiego, dla udowodnienia czego autor przytacza przykłady używania mówionego języka litewskiego nie tylko przez Witolda, lecz również Kazimierza Jagiellończyka (w rozmowie w 1492 z przedstawicielami Gdańska!) oraz kilku innych wybitnych osób w wiekach XV i XVI.

Zaznaczyć tu należy, że do XV-XVI wieków nie istniał nie tylko litewski, ale i polski język pisany; z około 1440 roku datuje się pierwszy rękopis o ortografii polskiej Jakuba Parkoszowica, a w 80 lat później krakowski drukarz Hieronim Wietor skarżył się na brak odpowiednich polskich czcionek. W 1542, w przedmowie do jednego ze swoich wydawnictw, Wietor pisał, że „będąc wmięszkałym a nie urodzonym Polakiem” — był imigrantem z Niemiec — nie może się „temu wydziwić, gdyż wszelki inny naród język swój przyrodzony miłuje — czemu sam polski

naród swym gardzi". Odrodzenie narodowych języków jako „pisanych”, czyli literackich rozpoczęło się z Reformacją i trzeba było długich lat walki¹³ z hegemonią łaciny, by została ona wyparta z użycia w życiu publicznym Rzplitej. W miarę jednak zanikania znajomości łaciny, wyłaniało się zagadnienie innego *wspólnego języka*, w jakim by były rozważane i decydowane ogólne sprawy, dotyczące wszystkich ziem obu zjednoczonych (czy tylko „sprzymierzonych”) państw — Polski i Wielkiego Xięstwa.

Ze względów czysto praktycznych, a nie przez jakiś nacisk polityczny, językiem tym stał się polski, być może dlatego, że w zdumiewająco krótkim okresie kilku dekad XVI wieku osiągnął w pismach Kochanowskiego i Skargi pełną dojrzałość, wówczas gdy inne używane w obu państwach języki, poza niemieckim, pozostały na poziomie raczej elementarnym. Przyjęcie języka polskiego, naprzód w życiu publicznym, a potem i domowym, nie oznaczało jednak zmiany poczucia narodowego i to nie tylko wśród „Rusi litewskiej”, gdzie Sanguszkowie, Chodkiewiczze, Zbarascy „trzymali się języka ruskiego”, ale i wśród etnicznych Litwinów, którzy, zdaniem Stanisława Kota, „w swej warstwie reprezentacyjnej polszczeni” masowo, ciągle jednak się uważając za politycznych Litwinów. Klasycznym tego przykładem byli Radziwiłłowie. W cytowanym przez Wisnera (str. 13) piśmie po polsku liście z 1577 roku Mikołaj Krzysztof „Sierotka” pisał do swego brata Jerzego, przyszłego biskupa krakowskiego i kardynała; często wyjeżdżającego za granicę:

„Wasza Miłość Litwin, nie Polak. Życz Wasz Miłość narodowi swemu, aby też o nim wiedziano. Polacy mniemają, że nad nie nie masz, a Litwę radzi by potłumić. Wasza Miłość racz *gentem suam* wywyższać, gdzie można... Pewniem tego, że się tam (zagranicą) Wasza Miłość nie Polakiem, ale Litwinem zowiesz”.

W prawie 40 lat później, inny Radziwiłł, Janusz, przywódca rokoszan, w 1615 r. nie mniej kategorycznie pisał do swego brata Krzysztofa, litewskiego hetmana polnego:

„Aczem sam Litwinem się urodził i Litwinem umrzeć mi przyjdzie, jednak *idioma* polskiego zażywać w ojczyźnie naszej musimy¹⁴”.

O tym zjawisku wiedział i je rozumiał Żmuidzinas; dlatego w zakończeniu rozdziałku o języku napisał:

„Jakikolwiek był stan języka ojczystego w Litwie w przededniu Unii

13. Maria Renata Mayenowa, *Walka o język w życiu i literaturze staropolskiej*, PIW, Warszawa, b.d.w. (196.), skąd zostały zaczerpnięte podane w tekście informacje faktyczne.

14. Ob. *Pamiętnik wileński*, Londyn, 1972, str. 134.

(Lubelskiej), nie należy tego uważać za zjawisko mogące mieć w owej epoce wpływ decydujący na kształtowanie się litewskiej narodowości, gdyż język nie jest jej elementem zasadniczym”.

W zasadzie była to prawda, jednakże później wystąpiły inne dalej idące zjawiska: z jednej strony w kolejnych generacjach litewskiej „warstwy reprezentacyjnej”, coraz szerzej używającej „idioma polskiego”, zanikała znajomość języka litewskiego, nawet mówionego; z drugiej — znajomość i potoczne używanie języka polskiego stały się symbolem społecznego statusu i od warstw górnych zaczęły schodzić do niższych. W rezultacie po kilku wiekach coraz więcej Litwinów nie mówiło i nie rozumiało po litewsku, natomiast prawie wszyscy — w każdym razie wszyscy wykształceni — rozumieli i mówili po polsku.

Taki był stan rzeczy na Litwie gdy, pod koniec XIX wieku rozpoczęło się litewskie kulturalno-narodowe odrodzenie; z konieczności musiało ono przybrać charakter „antypolski”, co spowodowało, że dawna, „od zarania czasów historycznych” cechująca Litwinów tolerancja musiała zanikać, czy nawet przekształcać się w swą antytezę. Wśród mówiących po polsku Litwinów objawiły się wówczas dwie tendencje: jedni zaczęli w pocie czoła uczyć się im nieznanego, a wcale nie łatwego, „języka ojczystego”; inni — oburzać na „szowinistów litewskich”, podejrzewać iż są narzędziem rosyjskiej intrygi i prowokacji, i nazywać ich „litwomianami”, zachowując dla siebie dawną tradycyjną nazwę „Litwinów”. Rozterki i waśnie pomiędzy „Litwinami” a „litwomianami” coraz bardziej przybierały na sile, szczególnie gdy sprawa języka zaczęła być uważana za warunek *sine qua non* litewkości.

Teoretyczne uzasadnienie negatywnego stosunku do mówiących po polsku Litwinów datuje się jeszcze z 1892 kiedy, założony przez mieszkających w Warszawie młodych Litwinów-demokratów, *Varpas* (Dzwon) w obszernym rozciągniętym na trzy numery artykule „Za co mamy być Polakom wdzięczni lub niewdzięczni” spokojnie i rzeczowo odpowiadał na retoryczne pytanie polskie: „dlaczego zaczynacie się od nas oddzielać, dlaczego nie chcecie używać naszego języka, na którego wyrobienie samiście tyle wysiłków łożyli? Toć i mówiąc po polsku można być dobrym Litwinem!”:

„My się od Polaków bynajmniej nie oddzielamy i pomniemy dobre dzieło Zygmunta Augusta, ostatniego Jagiellona, ostatniego Litwina na zespolonym tronie Litwy i Polski. Zygmunt August przekazał nam życie w spólcie i zgodzie — i my też tego pragniemy. Ale nie powiedziano, że mamy się wyrzec swego języka, że mamy się stać Polakami. Tego nie mówił i my też tego nie chcemy, natomiast chcemy pozostać takimi, jakimi Bóg nas

stworzył, chcemy zostać Litwinami. Wszakże i po litewsku mówiąc, możemy pozostać dobrymi przyjaciółmi i mieć wspólne dążenia. Dalej dlaczego chcemy od uprawy roli polskiej zwrócić się do uprawy roli własnej — oto mianowicie dlatego, że widzimy że nasza własna rola jest szalenie zaniedbana, iż pracując dla polskości doszliśmy do tego, że w naszym narodzie klasy świetlejsze i wyższe nie rozumieją i nie mogą się rozmówić z mniej rozwiniętymi, i tegośmy się wreszcie doczekali, że mowa Giedymina została uznana za język chłopski — oto więc dlatego chcemy wrócić i wracamy do uprawy własnej roli piśmienniczej¹⁵”.

Przy takim postawieniu sprawy, stanowisko litewskie nie mogło wywołać polskiego sprzeciwu; toteż godził się z nim nawet Roman Dmowski i szedł jeszcze dalej, postulując aby każdy inteligentny Polak znał język litewski. W ogłoszonym w 1895 roku w *Przeglądzie Wszechpolskim* artykule o „Kwestii Litewskiej”, Dmowski wypowiadał się przeciwko podniecanemu, jego zdaniem, przez Rosjan separatyzmowi politycznemu i za obustronnym pogłębianiem łączności kulturalnej, stawiając za wzór Szwajcarię:

„Szwajcaria ma trzy języki narodowe, i każdy inteligentny Szwajcar włada dobrze wszystkimi, a przynajmniej dwoma bardziej rozpowszechnionymi (francuskim i niemieckim). U nas, na gruncie litewskim musiałyby się podobny stosunek wytworzyć”.

Zdaniem ówczesnej opinii Dmowskiego uregulowanie stosunków polsko-litewskich:

„musi się oprzeć na uznaniu paru zasadniczych punktów:

1) Nie ma dwóch patriotyzmów; polskiego i litewskiego, ale jest jeden wspólny, jak jest jedna, wspólna wszystkim ojczyzna.

2) Postęp cywilizacyjny ludu litewskiego leży w interesie całej Polski, a zatem obrona języka i popieranie rozwoju literatury litewskiej jest jednym z artykułów patriotyzmu polskiego. Język litewski, jako jeden z naszych języków narodowych, zasługuje na pielęgnowanie na równi z polskim...¹⁶”.

Rozziew pomiędzy stanowiskami, który w latach 1890-tych wydawał się nieduży i łatwy do wyrównania, z biegiem czasu pogłębił się i rozszerzył. Dmowski odszedł od koncepcji narodowościowej symbiozy na wzór szwajcarski na rzecz nowoczesnej teorii „narodowych organizmów” nawzajem bezwzględnie się zwalczających. Tę nową teorię Dmowskiego Litwini wydawali się akceptować, a — teoretycznie wciąż stojąc na stanowisku, że „język nie jest elementem zasadniczym” narodowości — praktycz-

15. Cytowane przez Michała Romera, *Litwa. Studium o odrodzeniu narodu litewskiego*, Lwów, 1908, str. 176.

16. Roman Dmowski, *Pisma*, tom III *Dziesięć lat walki* (Zbiór prac i artykułów publikowanych do 1905), Częstochowa 1938, str. 40-41.

nie każdego nie mówiącego po litewsku Litwina uważać zaczęli za „zdrajcę” i wroga.

Autentyczną bodaj historię, z okresu niedługo przed pierwszą wojną światową, o litewskim patriocie, który nie mógł zostać członkiem utworzonego w Wilnie Towarzystwa Litewskiego, ponieważ nie mówił po litewsku, opowiada za Stanisławem Mackiewiczem Wisner (str. 51). Podobny warunek był stawiany również ewentualnym kandydatom na członków mającej być rozszerzoną Taryby.

Jednym słowem, nowoczesna Litwa, którą zresztą, zdaniem Vardysa (IX), cechuje „stosunek prawie symbiozy pomiędzy katolicyzmem i narodowością”, niewiele przypomina Litwę dawną z jej nieznaną gdzie indziej w Europie — a przez nią od „zarania czasów historycznych” kultywowaną — tolerancją.

Przyznać należy, że te charakterystyczne dla XX wieku, a zatlające totalitaryzmem tendencje zmierzające do traktowania narodów i tworzonych przez nie państw jako jednorodnych „monolitycznych” tworów, nie ograniczały się w Europie do Litwy, ale w niej przybrały szczególnie radykalny charakter. Pomijając już mówiących po niemiecku, francusku, czy włosku Szwajcarów, oraz Szkotów, Walijszyków czy Irlandczyków, mówiących przeważnie po angielsku, w dzisiejszej Europie wciąż wielu Finów mówi po szwedzku, Belgów i Bretończyków po francusku, Basków po francusku i hiszpańsku, itp., itd., i wprawdzie nierzadkie wśród nich są spory językowe, takim mniejszościom, a niekiedy większościom, nie odmawia się przynależności do odpowiednich narodów i je się co najmniej toleruje lub, jak w Finlandii, zabezpiecza ustawowo ich prawa. Natomiast w niepodległej Litwie mówiący po polsku Litwini nie byli tolerowani, lecz szykanowani i stawiani przed trudnym dla nich do rozstrzygnięcia dylematem, albo pozostać Litwinami i przestać mówić po polsku, albo pozostać przy języku i zmienić przynależność narodową i, co zatem idzie, państwową. *Tertium non datur.*

III

Łossowski w omawianej pracy jest w równym co najmniej stopniu krytyczny w stosunku do polityki rządu niepodległej Litwy jak i Polski, a niekiedy nawet odnosi się wrażenie, że politykę tego ostatniego ocenia bardziej surowo, niż czynią to inni współautorzy zbioru o polskich *Przyjaźniach i antagonizmach.*

Sądzę, że nie podważa to obiektywnej wartości jego pracy, w której nie cofa się przed ujawnianiem spraw mniej lub bardziej wstydliwych czy nieprzyjemnych dla jednej czy drugiej strony; pisze zarówno o planach Puryckisa z 1923 zorganizowania wspólnymi litewsko-białorusko-ukraińskimi siłami powstania przeciwko Polsce oraz podejmowaniu „pewnych działań dywersyjnych na małą skalę (str. 140), jak i o popieraniu przez Polskę w 1927 „pleczakajtisowców” i ich zgrupowaniu w obozie wojskowym w Lidzie (str. 149). Wzdryga się przed „jednoznaczną” oceną działalności Tadeusza Katelbacha na Litwie w latach 1933-36 (str. 163), natomiast nie kwestionuje pozytywnej oceny poziomu intelektualnego, dalekowzroczności i uczciwości politycznej litewskiego patrioty, socjalisty Stefana Kairysa (str. 147). Stwierdza też, że wobec przeszło dziesięciokrotnej przewagi Polski pod względem potencjału ludnościowego i siły militarnej, w Kownie liczone, czy nawet zabiegano o poparcie Niemiec czy Związku Sowieckiego.



Praca Żmuidzinasa ma charakter mniej obiektywny i nie radziłbym nikomu opierać się na niej przy ustalaniu faktów. Oto jeden tylko przykład jego wykładu, dotyczącego stosunkowo powszechnie znanej historii najnowszej — okresu pierwszej wojny światowej:

„Gdy tylko wybuchła pierwsza wojna światowa, liczne litewskie komitety dla przywrócenia niepodległości Litwy zostały utworzone w głównych miastach świata: Wilnie, Chicago, Nowym Jorku, Waszyngtonie, Sztokholmie, Petersburgu i Lozannie. Ich energiczna akcja by odzyskać niepodległość narodową, a przede wszystkim znaczne fundusze jakie zebrały, przyczyniły się wielce litewskiej sprawie.

18 września 1917 r. 214 delegatów litewskich zebrało się na Zgromadzeniu Narodowym w Wilnie i wybrało Radę narodową, *Tarybę*, złożoną z 20 wybitnych osób reprezentujących wszystkie partie kraju. W pięć miesięcy później, 16 lutego 1918, dacie pamiętnej w narodowej historii, *Taryba*, w pełni niemieckiej okupacji wojskowej, proklamowała przywrócenie niepodległości Litwy. Żywiąc nadzieje związania Litwy związkiem federacyjnym z Niemcami, kaizerowski rząd nie mógł tego tolerować; skonfiskował akt odrodzenia niepodległej Litwy, aresztował wiele osób, które go podpisały i zakazał działalności Rady.

Niemcy jednak załamały się na polach bitwy we Francji 11 listopada 1918 i tego samego dnia pierwszy gabinet ministrów niepodległej Litwy został utworzony przez A. Voldemarasa.

Tymczasem rząd Litwy wezwał ochotników do obrony niepodległości kraju. Siły niemieckie powoli się wycofywały, zaś gwardziści armii czerwonej szli bezpośrednio za nimi i zainstalowali marionetkowy litewsko-sowiecki rząd z V. Kapsukasem-Mickiewiczem na czele.

W maju 1919 r. młoda armia litewska podjęła generalną ofensywę przeciwko bolszewickim najeźdźcom i we wrześniu 1919 nie było już ani

jednego rosyjskiego żołnierza na litewskim terytorium, a 12 lipca 1920 r. podpisano w Moskwie traktat pokoju..." (str. 19-20).

Sądę, że elementarna znajomość historii wystarcza dla zorientowania się na podstawie tej cytaty w merytorycznej rzetelności autora, zdaniem którego Taryba nie była przez Niemców utworzona, lecz przez nich rozpędzona, a Litwa pokonała Rosję na polu walki. A jak wygląda jego rzetelność pod względem formalnym? W imponującej, bo obejmującej — z uwzględnieniem „bisów” — 380 pozycji, bibliografii znajdujemy między innymi:

„(353) Wielhorski W., *Ostatnie Wiadomości*, 134, Londres, 1953”

„(364) Zolotowski, A., *Border of Europe*, Londres, 1950”.

Z licznych prac Władysława Wielhorskiego o Litwie została „zacytowana” ta tylko jedna i to apokryficzna — być może był to jakiś artykuł w manheimskich *Ostatnich wiadomościach*.

W drugim wypadku trudno odgadnąć, że chodzi o książkę Adama Żółtowskiego, którego zniekształcone do niepoznania nazwisko znajduje się nie tylko w bibliografii, lecz także w indeksie oraz tekście książki na stronie 234.



Wisnerowi również przytrafiło się dość dziwaczne przekreślenie rodowego nazwiska, ale być może dlatego, że zacytował go na podstawie litewskiego źródła. O „nowomodnej” tendencji nadawania obcym nazwiskom i nazwom brzmienia litewskiego Wisner pisze, że w niej „dopatrywano się, nie bez podstaw, antypolskich pobudek”, ale pomimo tego tendencji tej ulega, nawet wówczas, gdy, jak w wypadku Stanisława Narutowicza, złożony na akcie proklamowania niepodległości Litwy podpis był w brzmieniu „staromodnym”. Jest to sprawa może drobna, ale dość istotna, i są pod tym względem dwa stanowiska: jedni są skłonni utrzymywać identyfikujące ich imiona i nazwiska w niezmiennym brzmieniu, inni nie mają nic przeciwko ich „tłumaczeniu” czy dostosowywaniu do obcych języków, co niekiedy wprowadza pewne zamieszanie.

Przytaczając wypowiedź redaktora rządowego pisma *Lietuva* w wywiadzie udzielonym w grudniu 1927 wileńskiemu dziennikarzowi Stanisławowi Kodziowi, Wisner zrozumiał, iż rodowe nazwisko dziennikarza brzmiało „Kodzia” i w tym brzmieniu

je podał w indeksie, a w tekście odmienił „Kodzi” (str. 197). Źródła litewskie Wisner cytuje często, co mogłoby świadczyć, że postulat Dmowskiego z 1895, by „każdy inteligentny Polak” znał język litewski, jest w pewnym przynajmniej stopniu realizowany. Autor ma oczywistą swobodę doboru źródeł z których czerpie — byle prawdziwe — fakty, dziwi jednak nieco, że klasyczna *Litwa* Michała Romera, wydana we Lwowie w 1908, aczkolwiek zacytowana w bibliografii, nie została bodaj wykorzystana w tekście.



Vardas, wypowiadając opinię, że „polonizacja” Litwy nastąpiła w pierwszym rzędzie dzięki kościołowi katolickiemu, pomija fakt, że w XIX wieku przyczyniła się do tego walnie, choć pośrednio, polityka rosyjska, uważająca przez czas dłuższy katolicyzm za „polską wiarę”. Gdy później przez pewien krótki okres próbowano rusyfikować katolicyzm na Litwie, skończyło się to zupełnym niepowodzeniem. Natomiast przejęcie przez państwo dóbr kościelnych w latach 1840-tych w dalszych skutkach okazało się korzystne dla lituanizacji kleru, gdyż przedstawiciele klas wyższych nie kwapili się do obejmowania stanowisk, do których zostały przywiązane państwowe pensje, natomiast chętnie szli na nie synowie włościan, co z biegiem czasu wytworzyło w Litwie „prawie symbiozę pomiędzy katolicyzmem i litewskością”.

W obecnej Litwie sowieckiej sytuacja katolicyzmu jest gorsza niż za czasów carskich i jest on zmuszony do prowadzenia ciężkiej walki o swe prawo do istnienia. Walka jest prowadzona z prawdziwie „litewskim uporem” i zdobywa rozgłos i uznanie w całym świecie. *Kronika kościoła katolickiego w Litwie* jest najstarszym i najbardziej systematycznie wychodzącym wydawnictwem „samizdatowym” w całym Związku sowieckim, a oprócz niej w 1977 wychodziło sześć innych litewskich wydawnictw „podziemnych”. Zdaniem Vardasa, „nacjonalizm dziś służy jako tarcza ochronna dla katolicyzmu”, co stwarza dla władzy sowieckiej „błędne koło: dalsze gnębienie kościoła wzmaga nacjonalizm, zaś zelzenie polityki narodowościowej w Litwie rodzi domagania się zwiększenia autonomii w sprawach republikańskich... rozluźnienia więzów ideologicznych”, na co partia nie może pozwolić. W rezultacie, zastosowanie ostrzejszych środków w stosunku do katolicyzmu staje się, zdaniem Vardasa, „bardziej trudne i ryzykowne” (str. 224).

Do „ugodowej” polityki Watykanu wobec Związku sowieckiego Vardas ustosunkowuje się niechętnie, uważając, nie bez racji, że w mało prawdopodobnym wypadku dojścia do jakiejś ugody

w skali ogólnozwiązkowej nastąpić może de-litwinizacja kościoła w Litwie i przyjęcie języka rosyjskiego jako *lingua franca* katolików litewskich, łotewskich, białoruskich i ukraińskich, nie mówiąc już o mniej licznych katolikach rosyjskich. Zarówno *Kronika* jak inni „dysydenci” litewscy pragną obecnie „polonizacji” kościoła w Litwie, czyli uzyskania przezeń takich swobód z jakich korzysta w Peerelu (str. 225). Z drugiej strony, już obecnie wiążą się pewne więzy solidarności i współdziałania pomiędzy litewskimi katolikami a rosyjskimi „dysydentami” i zdaniem *Kroniki* represje tajnej policji „mogą prowadzić do zbliżenia narodów litewskiego i rosyjskiego” (str. 193).



W ogólnej konkluzji należy stwierdzić, że geopolityczna sytuacja w ciągu wieków nie uległa zmianie; dziś, jak w wieku XIV, pomiędzy Niemcami a Rosjanami mieszka kilka mniejszych narodów, które, jak wówczas, mają do wyboru: albo mniej lub więcej dobrowolne doszlusowanie do wielkiego wschodniego lub zachodniego sąsiada, albo zespolenie swoich własnych sił. Pomimo wszystkich zarzutów, podnoszonych przeciwko Rzplitej Obojga (a raczej więcej) Narodów, tylko dzięki jej powstaniu i kilkunastoletniemu istnieniu denacjonalizacja objętych nią narodów zrobiła mniejsze postępy, niż na terenach poza jej granicami, czy to na zachodzie i północy, czy na wschodzie.

Wiktor SUKIENNICKI

Londyn w styczniu 1979

Antoni NOWAK-PRZYGODZKI

WOJSKOWA SŁUŻBA SPOŁECZNA (Warszawa — sierpień-wrzesień 1944 r.)

WSTĘP

Utworzenie WSS

Jest rzeczą zrozumiałą, że nie czas jeszcze na wyczerpujące opracowanie działalności WSS. Już teraz jednak, mimo braku właściwych źródeł można i należy utrwalić jeden z nieznanych szerszej publiczności obrazów walczącej Warszawy, który posiada wymowne znaczenie dla ogólnej oceny jej postawy w roku 1944. Niniejsze opracowanie stanowi jakby ogólną notatkę mającą na celu przypomnienie działalności WSS.

W pierwszych dniach Powstania polskie władze cywilne nie mogły wykonywać swych agend na terenie Warszawy. Nie będę rozpatrywać przyczyn tego zjawiska poprzestając jedynie na stwierdzeniu, że w tym czasie organy administracji państwowej nie wystąpiły w akcji. Wybuch walki sparaliżował również całkowicie działalność samorządu miejskiego i społecznych instytucji opiekuńczych. Jedynym przedstawicielem władzy było wojsko. Pomiedzy organami wojskowymi a ludnością nie było żadnych instancji cywilno-administracyjnych zarządzających sprawami ludności. Nie ma potrzeby rozwodzić się nad tym, że brak władz cywilnych w milionowym mieście utrudniał ogromnie prowadzenie akcji wojskowej i walkę.

Ludność cywilna pozostawiona była na łasce losu, ponieważ oddziały wojskowe pochłonięte walką nie mogły się zająć pomocą dla niej i opieką. Okoliczność ta groziła wytworzeniem przepaści między wojskiem a ludnością cywilną, przepaści tym bardziej tragicznej, że ludność ponosiła w Powstaniu tak samo wielkie ofiary jak i wojsko, a była pozbawiona zorganizowanego zaopatrzenia. Istniejąca współzależność nastrojów i ducha wśród woj-

ska z nastrojami ludności cywilnej, zwłaszcza w pierwszych liniach, oraz potrzeba współdziałania w walce całej ludności cywilnej — podkreślały konieczność przeciwdziałania wspomnianemu niebezpieczeństwu i narzucała obowiązek zaopiekowania się społeczeństwem cywilnym przez organy służby wojskowej aż do czasu uruchomienia powołanych do tego urzędów. Pod tym względem sytuacja Warszawy była bez precedensu. Ponieważ nie przewidziano takiej sytuacji wojsko nie posiadało przygotowanej do takich zadań organizacji. Ażeby trudności te rozwiązać trzeba było jak najszybciej, przez improwizację w ogniu walki, stworzyć odpowiednią służbę, dać jej potrzebne środki, ustalić właściwe sposoby działania podyktowane nakazem chwili. Był to olbrzymi ciężar, od którego dowództwo polskie nie mogło się uchylić. Oczywiście zadanie wojska nie mogło polegać na tworzeniu nowych urzędów administracyjnych w miejsce nieobecnych; należało je tylko chwilowo zastąpić w oczekiwaniu na rozpoczęcie działalności agend organów cywilnych powołanych do stałego zarządu ludnością cywilną. Ze względu na zastępczy i czasowy charakter tej cywilno-administracyjnej działalności wojska należało wyraźnie sformułować zadania tej niezwykłej roli wojska, wywołanej koniecznościami życia społecznego powstańczej Warszawy, ze względu zaś na społeczny aspekt tej roli należało określić zadania tej służby wojskowej, jako służby społecznej. Z tych przesłanek zrodziła się idea Wojskowej Służby Społecznej (WSS).

W związku z głównym zadaniem tej służby nasuwała się myśl wykorzystania jej również dla celów czysto wojskowych przede wszystkim w dziedzinie łączności i informacji. Na tę stronę potrzeb wojska położono również duży nacisk przy ustalaniu zadań wojskowej służby. Z koncepcją WSS i inicjatywą powołania jej do życia wystąpił szef VI Oddziału Sztabu D-twa kpt. Opel. Na jego wniosek gen. Monter, d-ca Okręgu Warszawskiego A.K. rozkazem nr 14 z dnia 6 sierpnia 1944 roku powołał Wojskową Służbę Społeczną do pracy a faktyczne nadał jej ramy organizacyjne, gdyż WSS rozpoczęła swą działalność już przedtem.

Zadaniem WSS miało być:

1. Społeczne organizowanie komórek samorządu i samopomocy ludności cywilnej,
2. ułatwienie łączności i współpracy między władzami wojskowymi a ludnością cywilną,
3. zbieranie i przekazywanie władzom wojskowym i cywilnym wiadomości na temat potrzeb i sytuacji ludności cywilnej,
4. zaspakajanie wszelkiego rodzaju potrzeb doraźnych ludności,
5. podtrzymywanie ducha walki pośród wojska i ludności cywilnej, przede wszystkim niesienie im czynnej pomocy w każdej sytuacji i formie.

WSS została podporządkowana Szefowi VI Oddziału Sztabu

D-twa Okręgu, który stanął na jej czele jako Komendant Główny. Udział w niej mieli brać zarówno kobiety jak i mężczyźni, którzy nie znaleźli miejsca w oddziałach bojowych. Ochotników miały dostarczyć organizacje społeczne. W rzeczywistości przeważająca większość patroli pochodziła z harcerskich Szarych Szeregów. Organizacja WSS oparta była o układ terytorialny. W związku z sytuacją wojskową objęła ona przede wszystkim trzy dzielnice: Śródmieście-centrum (okolice pl. Napoleona), Śródmieście-północ (w obrębie Marszałkowskiej, Granicznej, Chłodnej, Jerozolimskiej) oraz nieco poniżej Warszawa-południe (między Jerozolimską, pl. 3 Krzyży, pl. Zbawiciela, ul. Chałubińskiego). Obie dzielnice Śródmieścia pracowały w stałym i ścisłym porozumieniu. WSS działała także na terenie Mokotowa i Żoliborza. Ze względu na trudności komunikacyjne praca WSS rozwijała się w tych dzielnicach samodzielnie.

Na czele dzielnicy stał dzielnicowy Komendant WSS. Miał on do dyspozycji członków WSS zgrupowanych w zespoły patrolowe. Patrole były kobiece, męskie lub mieszane. Pracowały zawsze w terenie. Obowiązywała je ścisła dyscyplina wojskowa.

Komendanci(cki) patroli zbierali się co wieczór na odprawy, kierowane zrazu osobiście przez Komendanta Głównego, później z reguły przez jego zastępcę. Na odprawach tych Komendanci(cki) patroli składali szczegółowe meldunki ze swej działalności i otrzymywali zadania. Na podstawie tych meldunków komendanci dzielnic oraz Szef VI Oddziału Sztabu, jako Komendant Główny WSS, i jego zastępcą opracowywali sprawozdania i udzielali informacji odpowiednim organom władz wojskowych a później cywilnych, ułatwiali koordynację ich czynności, wyznaczali patrolom zadania i sami bezpośrednio usiłowali zaspokajać konkretne potrzeby ludności.

Akcja WSS w czasie Powstania

W działalności WSS należy rozróżnić dwie różne fazy; w pierwszej fazie nie było na terenie Warszawy prawie żadnych władz cywilnych — faza druga rozpoczęła się wraz z uruchomieniem cywilnych organów administracji, a zakończyła z upadkiem Powstania.

W pierwszej fazie WSS zastępowała przede wszystkim organy administracji publicznej. Dzielnicowy komendant pełnił faktycznie w dużej mierze funkcje starosty, on też reprezentował wobec władz wojskowych potrzeby ludności cywilnej swojej dzielnicy i w oparciu o pomoc wojska usiłowal te potrzeby zaspokoić.

W tym okresie walki ludność była pozbawiona także opieki instytucji społecznych. Miejskie ośrodki opieki i zdrowia były nieczynne. Okręgowe zarządy oraz centralne Rady Głównej Opiekuńczej (RGO) ze względu na nieobecność pracowników działały

w bardzo szczupłym zakresie lub też nie działały wcale. Kuchnie publiczne, przychodnie lekarskie były przeważnie zamknięte. W tym czasie były czynne tylko instytucje pracujące dla wojska, ponieważ były one właśnie uruchomione dla tej pracy na okres Powstania. Należało więc nieczynne instytucje pobudzić do działalności, wzmóc ich aktywność, względnie przyjąć im z pomocą realną w ludziach i świadczeniach rzeczowych. Roli tej siłą rzeczy musiała się podjąć WSS, w oparciu o warszawski dom i warszawską kamienicę. Główną komórką życia społecznego ludności cywilnej w czasie Powstania stał się dom. Zdecydowały o tym różne okoliczności a przede wszystkim trudności komunikacyjne oraz niebezpieczeństwo przebywania na ulicach. Już w czasie okupacji warszawski dom był organizacją i społeczną całością. W czasie Powstania więź społeczna między współlokatorami ogromnie się wzmogła. Udzielanie sobie wzajemnej pomocy mieszkaniowej i żywnościowej, ratowanie się w chwilach niebezpieczeństwa były w Powstaniu warszawskim zjawiskiem powszechnym. Kamienica warszawska, przedtem luźne zbiorowisko obywatelskich jednostek, stała się w czasie akcji jedną rodziną, solidarną i ofiarną komórką społeczną. Tutaj powstała samorządna, a później w trybie organizacyjne ujęta opieka społeczna i to nie tylko w stosunku do stałych lokatorów, ale także i w stosunku do licznych przybyszów pochodzących z domów zrzuconych lub położonych w strefie szczególnie zagrożonej. W wielu domach urządzono dzięki stałym mieszkańcom kuchnie społeczne, żywiące ludność kocującą w piwnicach, w niektórych organizowano małe poradnie lekarskie, pralnie etc. Oczywiście zdarzały się czasem wypadki braku uspołecznienia i potrzebny był energiczny nacisk, aby usunąć przejawy egoizmu, ale w imię słuszności i prawdy należy stwierdzić, że postawa ogółu ludności była ponad wszelkie uznanie.

Ośrodkiem organizacyjnym na terenie domów była z reguły komórka Obrony Przeciwlotniczej (O.P.L.). Instytucja ta, mająca na celu czuwanie nad bezpieczeństwem domu w czasie nalotu i ostrzeliwań, w czasie Powstania objęła dziedziny znacznie szersze. Przede wszystkim stała się wszechstronnie działającym ośrodkiem akcji ratowniczej i opiekuńczej, oraz informacyjnej. Był to cenny załazek samorządu domowego, który w toku Powstania rozwinał się szeroko.

Opierając się na tej podstawowej komórce społecznej, jaką stał się dom w czasie Powstania — WSS starała się w miarę możliwości zastąpić brak władz cywilnych i nieczynne organizacje społeczne oraz przyjąć z pomocą słabo funkcjonującym instytucjom celem ożywienia ich działalności.

W tym kierunku zadania WSS obejmowały następujące dziedziny:

1. inicjatywę w organizowaniu i współpracy w działalności samorządu domowego,

2. akcję propagandową,
3. pomoc sanitarną, żywnościową i odzieżową,
4. opiekę nad dziećmi,
5. pomoc w nagłych wypadkach,
6. bezpieczeństwo publiczne.

Ad. 1. Pomoc w organizowaniu i pracach samorządu domowego polegała na podkreślaniu właściwej roli tego czynnika w czasie Powstania, na inicjowaniu wyborów organu samorządu domowego lub na uzupełnieniu brakujących organów, na włączaniu samorządów domowych do sieci samorządów blokowych, dostarczenie odpowiednich instrukcji władz wojskowych itp. Najważniejszym elementem funkcjonowania samorządu domowego było przekazywanie mu środków żywności i różnych pomocy oraz świadczeń do rozdziału między osoby znajdujące schronienie w ramach jego komórki.

Ad. 2. Praca propagandowa i informacyjna odbywała się za pośrednictwem prasy i żywego słowa. Prasę dostarczano z reguły do rąk komendantów domów celem rozdania wśród mieszkańców lub też w skupiskach bezdomnych. Komendantom domów dostarczano informacji dotyczących np. sieci kuchen, punktów sanitarnych, ratunkowych itp. Komendanci domów traktowani byli nie tylko jako odbiorcy informacji, ale i jako jej źródło. Oni właśnie informowali o stanie sanitarnym i żywnościowym ludności, o jej zagrożeniu i stratach, o jej nastrojach. Tak więc praca informacyjna patroli była dwukierunkowa: polegała na dostarczaniu niezbędnych informacji rzeczowych dla ludności, oraz na zbieraniu materiałów sprawozdawczych dla władz wojskowych a potem i cywilnych.

Najistotniejszą formą pracy propagandowej poza dostarczaniem prasy było przeprowadzanie rozmów z przedstawicielami samorządu domowego i z mieszkańcami domów. Rozmowy te toczono przy każdej sposobności zetknięcia się z ludnością: przy udzielaniu jej pomocy, po bramach i na ulicach. Dawały one możliwość poznania prawdziwych nastrojów ludności i oddziaływania na nie. To ostatnie zadanie nie było zresztą łatwe, a czasem wraz z wzrastaniem głodu, nędzy i zniszczenia oraz zacieśnienia się terenu walki, stawało się coraz trudniejsze.

Ad. 3. Pomoc sanitarna, żywnościowa i odzieżowa odbywała się przeważnie na terenie poszczególnych domów, w niektórych wypadkach jednak wybiegała poza te wszystkie granice. Była to typowa praca zastępcza za nieistniejące instytucje.

W zakresie prac sanitarnych patrole Wojskowej Służby Społecznej w imieniu władz dokonywały kontroli stanu sanitarnego schronów, domów, podwórzy, ustępów i śmietników. W wielu wypadkach nakazywały przeprowadzenie porządków, a w razie

niewykonania zlecenia sprowadzały interwencję wojskowych władz bezpieczeństwa. Ponadto udzielały schronom i domom pomocy w dostarczaniu środków dezynfekcyjnych, w niektórych wypadkach same przeprowadzały odwszawianie oraz organizowały doraźne porządkowanie śmietników i ustępów, udzielały instrukcji co do grzebania zmarłych i same pomagały w tej czynności. WSS zorganizowała też jeden punkt ratowniczo-sanitarny i obsadziła go własnym personelem. Zespoły ratowniczo-sanitarne tego punktu patrolujące teren codziennie, wyposażone w apteczki, niosły doraźną pomoc i kierowały lekarza swego punktu lub w wypadkach cięższych sprowadzały lekarza czy odprowadzały do szpitala. Zarówno punkt ten jak i jego patrole pracowały przez cały czas bitwy warszawskiej.

Pomoc żywnościowa obejmowała formy doraźnego rozdawania najbardziej potrzebującym chleba, mąki, kasz etc., kontrolowanie działalności powstających kuchni publicznych i pomoc w ich funkcjonowaniu; pomoc w uruchomianiu piekarni, całkowite jej przejęcie i obsadzenie własnym personelem w drugiej części Powstania. Prowadzono dwie kuchnie własne obsadzone wyłącznie przez patrole WSS. Obok szeregu kuchni, którym WSS dostarczała sił pomocniczych, zorganizowano pomoc w transportowaniu żywności pomiędzy dzielnicami Warszawa-Południe a Warszawa-Północ. Przy rozdawaniu żywności opierano się o informacje i pomoc samorządu domowego, ewentualnie komendantów schronisk. Te same informacje służyły za podstawę przy udzielaniu pomocy odzieżowej. WSS otrzymała od władz wojskowych dość znaczną ilość odzieży i rozprawdzała ją między ludność ewakuowaną z ulic zagrożonych względnie zbombardowanych.

Ad. 4. Dzieci otoczono specjalną opieką. Największą troską otoczono dzieci małe na skutek działań wojennych pozbawione mleka, a często pokarmu matki. Patrole zainicjowały przy pomocy prasy publicznej zbiórkę mleka skondensowanego i odżywek. Również z poważnym stosunkowo rezultatem patrole przeprowadziły poszukiwania krowianki. Pobudzona do działalności i aprowidowana przez WSS kuchnia mleczna przy jednym ze szpitali wyrabiała mieszanki, które patrole donosiły do schronów. WSS całkowicie zorganizowała i obsadziła kuchnie dla starszych dzieci oraz dożywianie dzieci ze spalonego zakładu R.G.O.

Uruchomione dwie szwalnie szyły dla dzieci odzież z uzyskanych od wojska materiałów, które wraz z odstąpioną przez wojsko ciepłą bielizną i porcjami żywnościowymi stanowiły wydatną pomoc. Poza doraźną pomocą dzieciom przy rodzicach patrole WSS dokonywały po wszelkich skupiskach ludu poszukiwań dzieci zagubionych i sierot. Dzieci tych z racji bezpieczeństwa nie zbierano w większych ośrodkach, lecz pozostawiano pod opieką patroli. Specjalne zorganizowane punkty sanitarne niosły matce i dziecku stałą pomoc lekarską.

Ad. 5. Pomoc doraźna i pomoc w nagłych wypadkach były charakterystyczną i istotną dziedziną działalności WSS. Do podstawowych zadań służby należało wykazanie aktywności i zaradności we wszystkich wypadkach wymagających natychmiastowego działania. Typowymi przykładami było odkopywanie zasypanych, niesienie pierwszej pomocy sanitarnej, transportowanie rannych ze szpitali, doprowadzanie rannych do punktów ratunkowo-sanitarnych, pomoc ludności w ewakuacji z terenów bezpośrednio zagrożonych, wynajdywanie pomieszczeń dla ludności koczującej i przeprowadzanie jej tam, niejednokrotnie dostarczanie wody do kuchni, piekarni, punktów sanitarnych prowadzonych przez inne placówki, inicjowanie na miejscu i pomoc przy organizowaniu doraźnych punktów opieki, rozdzielających ciepłe napoje dla ludności przechodzącej przez Aleje Jerozolimskie w okresie intensywnego bombardowania dzielnicy północnej itp.

Ad. 6. W zakresie bezpieczeństwa publicznego patroli WSS udzielały władzom wojskowym informacji o kierunku i charakterze obstrzału w poszczególnych dzielnicach oraz w obrębie Warszawy-Południe, o posterunkach tzw. „gołębiarzy” tj. Niemców ukrytych na dachach i ostrzeliwujących ludność. Patroli meldowały też swoje obserwacje o stanie barykad i pomagały doraźnie przy ich budowie lub naprawie, współpracowały w akcji gaszenia pożarów, zabezpieczeniu mienia publicznego i prywatnego, grzebania zabitych itp.

Z przytoczonych wyżej kierunków faktycznej działalności WSS wynika, że w pierwszym okresie swej pracy wykonywała ona istotnie swoje zadania właściwe oraz zadania zastępcze za brakujące władze administracyjne i instytucje społeczne, a także oddawała cenne usługi o charakterze czysto wojskowym.

Działalność ta uległa zmianie poczynając mniej więcej od połowy sierpnia. W tym czasie zaczęły powstawać stopniowe starostwa dzielnicowe i one, rzecz prosta, zaczęły reprezentować interesy ludności i administrować jej sprawami. W tym samym czasie ożywia się działalność R.G.O. Zakres działania patroli WSS uległ stopniowemu ograniczeniu do roli koordynującej współpracę różnych organów władzy i opieki społecznej w najniższych ich komórkach, ponadto w dalszym ciągu pełniła służbę informacyjną oraz udzielała pomocy doraźnej. Organizacyjnie wyglądało to teraz w ten sposób, że komendant dzielnicowy WSS przekazywał codziennie meldunki patroli o sytuacji bieżącej i potrzebach ludności do rąk właściwego starostwa i pomagał w uzgadnianiu działalności urzędów cywilnych z odpowiednimi czynnikami wojskowymi. Bardzo często po uzgodnieniu ze starostwem planu i konkretnych postulatów terenu patroli załatwiały nadal w terenie szereg konkretnych spraw, należących w zasadzie do urzędów, gdyż współzycie z terenem, utrzymywanie łączności z najniższą komórką organizacyjną jaką był dom i podejmowanie

przez patroli każdej możliwej formy pomocy skłaniały kierownictwo urzędów cywilnych do zwracania się do WSS o pomoc i wyręczenie.

Kuchnie i przychodnie lekarskie powołane do życia i prowadzone przez patroli zostały przekazane w tym okresie instytucjom R.G.O., natomiast doraźne udzielanie pomocy żywnościowej, sanitarnej, odzieżowej przez WSS trwało do samego końca walk. Do końca także gromadzono i przekazywano pożywki dla dzieci — niestety z przyczyn zrozumiałych — w ilościach coraz mniejszych.

W tej fazie — mimo nieoficjalnego przejścia opieki nad ludnością cywilną przez władze cywilne oraz przez uruchomione instytucje społeczne istotne znaczenie pracy WSS polegało nadal:

a) na utrzymaniu łączności między urzędami pierwszej i drugiej instancji a wojskiem;

b) na docieraniu do potrzebujących (tempo pracy patroli WSS — gotowość do każdej pracy oraz pewne zdobyte już doświadczenie kwalifikowały patroli w udzielaniu pomocy w tych wszystkich wypadkach, gdzie chodziło o doraźną i szybką pomoc np. rozdanie odzieży dla dzieci ewakuowanych rodzin; dzięki zaufaniu władz i ludności do WSS, pewne pomoce szły do ludności zawsze przez jej organy);

c) na kontroli i pobudzaniu do pracy komórek samorządowych, domowych i blokowych.

Wojskowe zadania WSS bez żadnej zmiany były nadal przedmiotem działania patroli; dodać tylko należy, że w drugiej połowie Powstania WSS przejęło całkowity kolportaż prasy w śródmieściu Północy i Południa zarówno dla wojska jak i dla ludności cywilnej.

Ogólna ocena i uwagi

W związku z działalnością WSS w obu fazach nasuwa się szereg ogólnych uwag. Jeżeli chodzi o wojskowy charakter tej służby nie ulega wątpliwości, że WSS spełniła misję ze stanowiska wojskowego bardzo ważną.

Wojskowe znaczenie roli WSS polegało na objęciu opieką ludności cywilnej, której postawa mogła zdecydować o losach Powstania w czasie, gdy była innej opieki pozbawiona. W Powstaniu współzależność sytuacji wojska i cywilów była szczególnie silna. Walka musiała być i była prowadzona przez całe miasto. Tym samym troszczeniem się o los i postawę ludności cywilnej WSS istotnie spełniała zadania wojskowe. Charakter służby odpowiadał jej celom. Organizacja i sposoby tej służby były całkowicie wojskowe. Rozporządzalność życiem przydzielonych do WSS ludzi, ich zapał i wojskowa dyscyplina czyniły z patroli WSS zespoły zwarte i gotowe na wszystko. Patroli tak samo jak jed-

nostki bojowe przeprowadzały swoje zadania niezależnie od stopnia bezpieczeństwa, najczęściej w strefie bezpośredniego zagrożenia, co miało znaczenie ściśle wojskowe. Toteż akcja patroli nie była się bez poważnych strat.

Inicjatywa, pomysłowość, zapał, ofiarność i bohaterstwo patroli były często na wysokości przykładu. Gdy odtworzone zostaną szczegółowo dzieje WSS odnajdzie się w nich niewyczerpaną skarbnicę wychowawczą.

Przechodząc do oceny Wojskowej Służby Społecznej ze społecznego punktu widzenia należy podkreślić, że istotną cechą patroli było niesienie pomocy ludności cywilnej. Pomoc ta w zakresie świadczeń organizacyjnych i fizycznego wysiłku była godna wielkiego uznania.

Szpecially cenną cechą WSS było spieszenie z czynną interwencją celem natychmiastowego zaradzenia złu. Patrole WSS stawały wobec konkretnych potrzeb i konkretnie je rozwiązywały. Pracowały na szczeblu najniższym — wprost pomiędzy cierpiącymi i potrzebującymi pomocy i starały się sprostać swym zadaniom bez niepotrzebnego odsyłania do innych organów, powołanych do czynności opiekuńczych z tytułu swego urzędu.

Działalność WSS pozbawiona była wszelkich cech biurokracji. Polegała na bezpośrednim kontakcie z ludnością i pracy wśród niej. Dzięki temu istotnie potrzebujący pomocy otrzymywali ją szybko, a przez to wartość tej pomocy miała zwiększone wielokrotnie znaczenie. Tragedią patroli WSS było, iż stykając się bezpośrednio z potrzebami ludności niejednokrotnie nie mogły tych potrzeb zaspokoić z braku odpowiednich środków. Jednak gorące serce i skromność z jakimi patrole spieszyły z pomocą ludziom zdobywały dla WSS u ludności Warszawy autorytet i sympatię, których wyrazem były częste błogosławieństwa i słowa szczerzej wdzięczności dla zawsze ofiarnej i uśmiechniętej młodzieży harcerskiej wchodzącej w skład patroli.

Jednym z zadań WSS było związanie żołnierza z ludnością cywilną. Żołnierz jest tym, do którego, zwłaszcza we wszystkich okolicznościach wojennych, biegną zatroskane i dumne myśli społeczności cywilnej, która siłą faktu schodzi na plan dalszy. WSS zaś to wyciągnięcie pomocnej ręki wojska do ludności, to zamknięcie koła wzajemnej serdeczności i opieki między żołnierzem a cywilem.

WSS dobrze zaasystowała się Warszawie i dlatego znajdzie w historii walk warszawskich należne jej miejsce i ocenę. Nowe doświadczenie — pozytywne rezultaty nasuwają wnioski zastosowania tego rodzaju służby we wszelkich okolicznościach nadzwyczajnych jak katastrofy żywiołowe, walki w miastach, które zakłócają normalny tok życia społecznego.

Idea WSS pochodziła z ducha harcerskiej szkoły życiowej. Koncepcję jej stworzył żołnierz i instruktor harcerski, opierając się na przemyśleniach zadań harcerskich w życiu i walce. Kierowali tą służbą instruktorki i instruktorzy harcerscy. W służbie

tej przeważała nad innymi liczbą harcerzy, a zwłaszcza harcererek. Metody działania oparte były na harcerskim bezpośrednim niesieniu pomocy bliźnim. Warunki pracy kazały poddawać je próbie w ogniu walki.

Praca WSS była wspaniałym sprawdzianem społecznych wartości idei oraz metod wychowawczych polskiego harcerstwa. Obok Batalionów Harcerskich Szarych Szeregów, wstawionych bohaterstwem w walce z bronią w rękę — staje WSS jako przykład harcerskich dążeń do realizacji ideału żołnierza-obywatela, który tak w pokoju jak w czasie wojny podejmuje z radością najcięższe zadania służby obywatelskiej i wykonuje ją ofiarnie, zawsze wierny miłości Boga i ludzi.

Opracowane w Lubecie, lipiec 1945 r.

Odczytane generałowi Monterowi i przyjęte przez niego do wiadomości w grudniu 1946 r.

Antoni NOWAK-PRZYGODZKI

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować *ZESZYTY HISTORYCZNE*.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata wynosi F.160 (\$ USA 37; \$ Can. 44) a dla prenumeratorów *KULTURY* F. 140 (\$ USA 33; \$ Can. 40), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

DOKUMENTY

Jan T. GROSS

OKUPACJA SOWIECKA I DEPORTACJE DO ROSJI W OCZACH DZIECI

Badania nad pierwszymi dwoma latami wojny nie przyniosły, jak dotąd, opracowania dwóch olbrzymich tematów: ani sowiecko-hitlerowska współpraca od września 1939 do czerwca 1941 roku, ani sowiecka okupacja wschodniej połowy Polski nie zostały do dziś zbadane przez historyków. Istnieje, co prawda, obszerna literatura pamiętnikarska na ten temat, wydania dokumentalne not dyplomatycznych i memoriałów, ale właściwie na tym koniec. Dziwne to i niezrozumiałe, bo nawet brak dostępu do źródeł sowieckich nie jest przekonującym wytłumaczeniem. Znajdujące się na Zachodzie źródła archiwalne, także do drugiego tematu, są olbrzymie*. Dokumenty, które podaję do druku niechże posłużą jako ilustracja materiału źródłowego, który jest nam dostępny.

Wśród wielu tysięcy relacji, zachowanych w Instytucie Hoovera w Kalifornii, na temat okupacji sowieckiej i deportacji do ZSSR ludności zamieszkałej w latach 1939-1941 w południowo-wschodnich województwach Polskich, znalazły się również wypracowania dzieci i młodzieży, która zdołała się uratować i wyjść razem z armią generała Andersa do Persji¹. Stanowią one, obok zeznań dorosłych, zebranych przez Biuro Historyczne Armii i Ośrodek Studiów kierowany przez profesora Wiktora Sukiennic-

* Ocena ta jest nieściśła. Bardzo dużo takich opracowań wydano w czasie wojny i zaraz po niej i dlatego zapewne p. J. Gross ich nie zna, a ogromna dokumentacja znajdująca się w Instytucie Hoovera została tam zdeponowana jako „depozyt gen. Andersa”. (*R e d a k c j a*).

1. W przyszłym roku ukaze się nakładem Instytutu Hoovera wybór 150 wypracowań opracowany przeze mnie i przeze moją żonę pt. „War through children's eyes”.

kiego, unikalny materiał, który pozwoli w przyszłości na szczegółowe odtworzenie dziejów sowieckiej okupacji Polski w tych latach oraz deportacji obywateli polskich do Rosji.

Młodzież, która pisała te wypracowania, została wywieziona do Rosji podczas masowych deportacji w lutym, kwietniu i czerwcu 1940 roku, oraz w czerwcu 1941 roku. W sumie, choć dane liczbowe są jedynie przybliżone, wywieziono w głąb Rosji — do Kazachstanu, w okolice Semipałatyńska, Archangielska i w wiele innych miejsc — 1.250.000 - 1.500.000 obywateli polskich. Około pół miliona znalazło się w obozach pracy, drugie pół miliona skazane zostało na tzw. „wolną zsyłkę”, wreszcie ostatnie 250-500 tysięcy to ludzie wcieleni do Armii Czerwonej, do tzw. „strojbatalionów” i wreszcie spora grupa, która dobrowolnie wyjechała w głąb Rosji w poszukiwaniu pracy.

Po umowie polsko-sowieckiej z lipca 1941 roku, rząd ZSSR ogłosił „amnestię” dla zesłańców, zezwolił na utworzenie armii polskiej pod dowództwem generała Andersa, oraz na założenie sieci opiekuńczej przez polską ambasadę². Wobec narastających nieporozumień, za obopólną zgodą, około 115.000 obywateli polskich — głównie armia i rodziny wojskowe — zostało ewakuowanych z ZSSR do Persji.

W tej liczbie znajdowało się około 15.000 dzieci. Większość spośród tych, którzy pozostali w Rosji zapewne wyginęła, głównie z głodu i wycieńczenia, śmiertelność wśród zesłańców była bowiem olbrzymia. Wedle przybliżonych oszacowań ambasady polskiej w Kujbyszewie około 300.000 obywateli polskich wywiezionych w głąb ZSSR zmarło do czasu powtórnego zerwania stosunków dyplomatycznych między Polską a Rosją w kwietniu 1943 roku. Z relacji generałów Andersa i Bohusza Szyszki, jak i z opracowania doktora Ehrlicha³, dowiadujemy się o rozpaczliwym stanie zdrowia najsilniejszej przeciw fizycznie grupy ludności — młodych mężczyzn, którzy zaciągnęli się do polskiego wojska.

W kolekcji gen. Andersa oraz w kolekcji Ciechanowskiego przechowywanych w Instytucie Hoovera znajduje się około 2.300 dziecinnych wypracowań. Są to, właściwie bez wyjątku, wypracowania polskich dzieci. Zachowało się także kilkanaście — ina-

2. Roman Buczek, „Działalność opiekuńcza Ambasady R.P. w ZSSR w latach 1941-1943”, *Zeszyty Historyczne* (Nr 29), Paryż, Instytut Literacki, 1974, str. 42-115.

3. Władysław Anders, *Bez ostatniego Rozdziału*, Londyn, Gryf Publishers, 1959 (3 wydanie); Zygmunt Bohusz-Szyszko, *Czerwony sfinks*, Polski Dom Wydawniczy, Rzym, 1946; Seweryn Krzysztof Ehrlich, *U podstaw Armii Polskiej w ZSRR. Walka z chorobami zakaźnymi w 1942 roku*. Nakładem Towarzystwa Wiedzy Wojskowej 2-go Korpusu, Włochy, 1946.

czej zresztą wyglądających, bo nie ręką zapisanych lecz przepisanymi na maszynie i bez błędów — relacji dzieci żydowskich. Bardzo niewiele, zważywszy, że 1/3 wszystkich zesłańców stanowili Żydzi.

Siłą wyrazu dziecinnych wypracowań wywodzi się z ich niezaprzeczalnej autentyczności. Bo choć to prawda, że niektórzy starali się przypodobać nauczycielowi pisząc najwyraźniej wedle kanonu patriotycznej frazeologii, to jednak znakomita większość małych autorów pisała inspirowana siłą niedawnych przeżyć. Lektura wypracowań nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości.

Obraz okupacji sowieckiej i zsyłki, który możemy odtworzyć na podstawie tych wypracowań musi, jednak, pozostać niekompletny. Ponieważ uprzedzenia narodowościowe przetrwały doświadczenie wspólnej niedoli okupacji i zsyłki, aby uzyskać pełne zrozumienie tych wydarzeń musimy wysłuchać niezależnych relacji przedstawicieli wszystkich mniejszości narodowych, które znalazły się w części Polski zajętej przez Sowiety. Ich dzieje, wszelako, nie różniły się od siebie tak bardzo jak to sobie, nawzajem myśląc o cudzych losach, wyobrażali. Bo przecież — i w tym tkwi chyba najważniejszy przekaz tych dziecinnych wspomnień — zarówno deportacji jak i życia na wolnej zsyłce doświadczyły dziesiątki milionów obywateli Rosji Sowieckiej. Prawdziwym bohaterem tych opowieści jest człowiek — obojętne czy Uzbek, czy Gruzin, czy Tatar, czy Żyd, czy Ukrainiec, czy Polak — któremu wypadło żyć w pierwszej połowie dwudziestego wieku w „szczęśliwej ojczyźnie narodów”, w Związku Sowieckim⁴.

Witold T[...]
Łuck, ul. Pochyła 8
5 komp. kad.
kl. II. C.

W drugiej dekadzie września 1939 roku przebywałem wraz z rodziną w Janowej Dolinie (pow. Kostopolski) dokąd przybył wkrótce ojciec, ewakuowany z Łucka, wraz z częścią Urzędu Woj. Dn. 17 od rana huczały nad głowami eskadry bombowców

4. Przeważająca większość wypracowań napisana została w Szkołach Junackich i w Szkołach Młodszych Ochotniczek. Absolwenci tych szkół do dziś zachowali ścisłe kontakty między sobą i wydali księgi pamiątkowe na temat JSK i SMO — „Junacka Szkoła Kadetów”, Londyn, 1972; „Książka pamiątkowa Szkół Młodszych Ochotniczek”, Londyn, b.d.

lecących w kierunku zachodnim. Przez cały dzień i część nocy słychać było nieustającą kanonadę i na wschodniej stronie nieba widniała olbrzymia łuna. Opowiadano o naszych oddziałach, stawiających zacięty opór wojskom bolszewickim, które usiłowały przekroczyć linię fortów granicznych. Na trzeci dzień wkroczyły czerwone oddziały do Kostopola, witane przez miejscowego starostę jako sprzymierzona armia, mająca dopomóc w walce z Niemcami. Starosta ten został po kilku dniach aresztowany. Rusińska ludność z wiosek okolicznych, przystąpiła (w myśl ulotek, rzucanych z samolotów sowieckich) do „porachunku z panami”, rozbijając posterunki policyjne (sam byłem świadkiem takiego zdarzenia), mniejsze oddziały wojska oraz grabiąc ludność polską. Kamieniołomy Janowej Doliny oddane zostały czasowo pod zarząd „robkomu”, wyłonionego spośród miejscowych robotników, na czele których stanął „politruk”, przybyły z Rosji. Władzą najwyższą i absolutną był komisarz wojskowy rosyjski urzędujący w Kostopolu.

Po powrocie do Łucka uderzyła mnie natychmiast zmiana, zaszła w wyglądzie miasta. Sklepy były wprawdzie jeszcze otwarte, lecz po większej części puste, lub w najlepszym razie można w nich było dostać jabłka, piwo i podejrzanego pochodzenia kiełbasę. Domy obwieszone transparentami, portretami dygnitarzy sowieckich oraz plakatami wydrwiwającymi, nieraz w wręcz ordynarny sposób porażkę Polski. Jeden z nich, który szczególnie utkwiał mi w pamięci, przedstawiał orła białego, w rogatywce na głowie, szarpiącego plecy skutego kajdanami robotnika. Orła tego żołnierz bolszewicki przebił bagnetem. Tło stanowiła mapa Polski. Dom nasz przepełniony był uchodźcami z zachodnich województw, wśród których było kilku oficerów. Ojciec przebywał w domu, ponieważ Urząd Wojewódzki został zlikwidowany a wicewojewoda i wszyscy naczelnicy wydziałów, prócz ojca i naczelnika wydz. administracyjnego — aresztowani. Gmach województwa, po uprzednim zdemolowaniu zamieniono na skład broni i koszar. Gimnazjum nasze, do którego powróciłem, zostało uruchomione jako „4 gimnazjum polskie”; lecz uczyliśmy się po południu, przy bardzo marnym, z powodu braku żarówek, oświetleniu. Gmach nasz przeszedł na własność gimnazjum ukraińskiego, które uczyło się tam przed południem. Gimnazjum naszym kierował dyrektor, którego jednak wkrótce usunięto, zastępując go bolszewickim „politrukiem”, ten umiał trochę po polsku, lecz usiłował uparcie przemawiać do nas po rosyjsku, lub ukraińsku. Próby jego kończyły się jednak zawsze fiaskiem tak że wreszcie musiał skapitulować. Nastawienie szkoły do mityngów było „wręcz wrogie” jak uskarżali się nauczyciele-

komuniści, na mityngach gwizdaliśmy, nie chcieliśmy wznosić okrzyków, nie śpiewaliśmy „międzynarodówki”, tak że chciano zamknąć szkołę, uważając ją za ognisko „kontrewolucji”. Przez aresztowania, dokonane wśród uczniów i profesorów przytłumiono zewnętrzne objawy naszych przekonań (musieliśmy zaprzestać głośnego odmawiania modlitwy przed nauką) lecz poza tym nic nie osiągnięto. Większą część biblioteki, zarówno gimnazjalnej jak i miejskiej, w której wypożyczałem książki, zniszczono, szczególną „uwagę” zwracając na książki traktujące o zdobyczach na polu pracy z ostatnich lat dwudziestu, oraz na książki historyczne i naukowe. Ukazały się natomiast broszury, traktujące o ustroju sowieckim, oraz pseudo-polskie gazety. Wprowadzono naukę konstytucji sowieckiej, rosyjskiego i ukraińskiego, jako przedmioty obowiązkowe. Profesorów kazano nam tytułować „obywatelami”, „towarzyszami” lub zwracać się do nich (po polsku!) imieniem, oraz imieniem ojca (np. Tadeuszu Janowiczu). Usiłowano nam wpoić doktryny ateistyczne i zmuszano, byśmy chodzili w święta do szkoły, od czego jednak wykrecaliśmy się solidarnie i w dni takie szkoła świeciła pustkami. Dn. 4. IX (?) aresztowano ojca. Do tego mniej więcej czasu żyliśmy z posiadanych pieniędzy, potem trzeba było wysprzedawać rzeczy, gdyż pensja jaką pobierała matka pracując w Gosbanku (Banku Polskim) była śmiesznie mała w porównaniu z cenami artykułów pierwszej potrzeby, których było coraz mniej i po które trzeba było stać w kolejce, nieraz przez całą noc. W kolejkach takich często dochodziło do bójek o miejsce, w których rzadko interweniowała milicja, złożona w przeważnej części z żydów i rusinów. A w kolejkach trzeba było stać coraz częściej, nie tylko po żywność, lecz także przed więzieniem, by doręczyć paczkę ojcu. O pozwolenie na doręczenie takiej paczki trzeba się było nieraz miesiącami starać u prokuratora o ile nie potrafiło się go ugłaskać łapówką. Do każdej paczki dołączony był spis zawartych w niej rzeczy. Spis ten zwracano z podpisem odbiorcy. Był to jedyny znak jego życia. Poza tym żadnych informacji o więźniach nie udzielano, lub informowano fałszywie, sama rozmowa zależała od dobrego humoru tzw. prokuratora, który nierazkiedy kazał wyrzucać petentów za drzwi, lub obsypywał ich stekiem wymysłów. Wśród aresztowanych znajdowała się część rusinów i żydów a obie te mniejszości zaczęły zmieniać swe, początkowo bardzo serdeczne, nastawienie do poczynań władz bolszewickich. Po aresztowaniu kilku żydów-komunistów i rusinów-narodowców, co rozsądniejsi poczuli odwracać się od czerwonych. Inteligencja żydowska z rabinem na czele ułożyła podobno listę żydów bardziej zaangażowanych w akcji czerwonych władz. Pomimo to stosunek

obu tych mniejszości do Polaków był nadal bardzo nieprzychylny i szykany były na porządku dziennym. Nienawiść ta uwidoczniła się szczególnie w okresie wyborów do „rady najwyższej” gdy komuniści, (najczęściej żydzi) wskazywali Polaków uchylających się od głosowania, przynosili urny do łóża chorym, czy też „towarzyszyli” do punktu wyborczego. Po pierwszych masowych wywozach do Rosji w Lutym 1940, kiedy to podczas 30° mrozów wywożono w nieopalanym wagonach osadników wojskowych i ich rodziny, wszyscy Polacy oczekiwali prędzej czy później tego samego. I oto dn. 13. IV zjawił się w naszym mieszkaniu oficer „N.K.W.D.” w towarzystwie dwóch uzbrojonych milicjantów, oraz jednego cywilnego agenta, który miał być „świadkiem” naszego wywożenia, aby ten akt gwałtu miał przynajmniej jakie takie pozory legalności. Była to godz. 4 na ranem. Bolszewik zamknął na klucz drzwi, zarządził dokonanie rewizji, po czym oświadczył nam że „rząd sowiecki przesiedla nas do Dniepropietrowska”, gdzie spotkamy ojca, otrzymamy dowody osobiste i będziemy pędzić spokojne, pozbawione trosk życie obywateli sowieckich. Wolno nam zabrać ze sobą bagaż — po sto kilogramów na osobę. Spakować się mamy w przeciągu dwóch godzin. Z ironicznym uśmiechem przyglądał się bezładowi, który zaplanował w domu i oświadczył sentencjonalnie, że zbyt nam wrosły w duszę burżuazyjne przyzwyczajenia, z których pobyt w Rosji uleczy nas znakomicie. Po kilku godzinach zajechał ciężarowy samochód, który miał nas zawieźć na stację. Bolszewik zapieczętował mieszkanie, sporządzając wykaz pozostałych rzeczy (zupełnie zresztą niepotrzebnie, gdyż później, jak poinformowali nas listownie znajomi, z mieszkania i rzeczy korzystała jakaś bolszewicka rodzina). Na stacji stały przy rampie przygotowane już wagony bydłące, rozbrzmiewające płaczem; krzykiem zamkniętych w nich ludzi. Wtłoczono nas do jednego z wagonów, w którym znajdowało się już 40 osób wraz z bagażem. Przez trzy dni stał pociąg na bocznym torze a konna i piesza milicja przy pomocy wojska nie dopuszczała do wagonów ludzi, pragnących doręczyć coś swym krewnym, lub choćby zobaczyć ich po raz ostatni. W ciągu tych trzech dni dwa razy tylko wypuszczono nas do miasta po wodę. Szliśmy, otoczeni przez żołnierzy eskorty (pilnujących nas z bagnetem na broni) środkiem jezdni, a po bokach kłębił się tłum, wzburzonych i zrozpaczonych ludzi. Zupełnie obcy dawali nam nieraz pieniądze czy chleb, który jednak natychmiast konfiskowała milicja. Na czwarty dzień dopiero pociąg ruszył i rozpoczęła się podróż.

Antoni D[...]

(ur.) 1927 r. kol. Dobra-Wola pow. Łuniniec woj. poleskie.
Miejsce zesłania pos. Głubokie rejon. Plesieck obł. Archangielsk.

Moje przeżycia w Rosji

W roku 1939 we wrześniu kiedy wojsko sowieckie przekroczyło granicę polską. W narodzie polskim powstał nipokój, na takie widowiska, jakie się działy. A jaki się działy to wam opowiem.

Żołnierze po mieści biegali od sklepu do sklepu kupowali co tylko mogli a przważni zegarki, bułki, kiełbasy, materiały wukieniczne, i rowery. Weszło dwóch sowietów do sklepu i pytają się sklepiązo i le kosztuje o ten zegarek sto złoty, ja złotych niemam, notoruble dobra pyta się o cenę następnych aż wrscie mówi do tego drugiego „znoysz Kola wezmiom wsijeruczne czasy”. Zabrali dwadzieścia zegarków zapłacili i posli do następnego tam znowuż nabrali materiału wukienego całymi wałkami, ledwie nieśli, ale zobaczyli kiełbasę, Kola idzem jeszcze kiełbasy kupim, a napewno tam kiełbasy nie ma tylko na wystawie jest zrobiona z drzewa jak unas w Moskwie. Wszystko jedno idziem zobaczym. Przychodzą do sklepu pytają się czy można dostać chociaż 100 gram kiełbasy można, czemu nie, a pół kilograma można, można nawet i pięć kilogramów. O to dajcie nam po 10 kg., kiełbasę tą pozakładali na syję bo już wszystko mieli pozapakowywane bułkami nawet i czapke. Ulice były po zazucane bułkami boku-powali setkami bułek a potem jak się zmęczył ciężko mu było nieść to wysypywał.

Za dwa miesiące po przyjsciu sowietów do polski odbyło się głosowanie. A jak się odbyło to wam opowiem Pozganiali wszystkich do jednego dużego pomieszczenia. Tam wstał jeden z żądających NKWD i powiedział że nich się żaden nie waży skreślić głosu bo to będzie znaczyło że idzie przeciw „Sowieckoj własci”.

Głosowanie się nie odbyło tak, jak oni powiedzieli, bo oni wybrali sobie więźnia takiego co za czasów polskich za przestępy siedział w więzieniu. Ale niektuży prawie połowę pokreślili, i tak co chcieli zrobić to zrobili. Po parutygodniach pospisywali co chto miał i niwolno było nikomu nic sprzedać. Ani zabić. Aż dziesiątego lutego o godzinie 1 powstał płacz dookoła. Słuchać stuk do dzwi ale taksilny ze szyby woknach się trzęsły. Żołnierze sowiecy wolili kolbami od karabinu. Ojciec otworzył drzwi

wskoczyło 5 i odrazu krzyknęli rence do gury, obrewidowali nas a potem kazali się ubierać i wynosić się nasanie. Zabrać ze sobą tylko było można zabrać 20 pudów. Na dwoże tylko było słycać płacz, wycie, psów i gdziniegdzie strzały. Siedliśmy na sanie pszywiezli nas na stacie i tam pakowali po 50 osob do jednego towarowego wagonu. Wagony pozamykali w okna pow-sadzane były katy. Tak jchaliśmy 7 dni bez wody i bez jdzienia tylko to co kto sobie wził coś zdomu jak sowieci nie widzieli. Dieci kładli się do drzwii lizali sron na gwozdziach ale i tego zronu nie było. Po tych siedmiu dniach wyrwaliśmy kraty zokien i czerpaliśmy śnieg z toru. Jechaliśmy jszcze 7 dni, aż wreści dojchaliśmy do posiołka. Posiołek składał się z 6 baraków niskich z bardzo małymi okienkami pozatykanymi smatami bo nie było szyb i zpopodobieranymi kołkami. Wysiedliśmy z wagonów przyprowadzili nas do tych baraków, w barakach tych były prycz zamias łuzek. Ściany były całe czerwone od pluskiew i karaluchów, wszy chodziły kupami po tych pryczach tam na to kazali nam kłaść rzeczy. Chleba nam nie dali bo gdzie była kantyna to tylko dawali chlepek dla raboczych, na książki, a poniewarz my dopiero przybyliśmy to nam nie dali. Na drugi dzien rano przyszło NKWD wypędzac do pracy, do lasu posliśmy od 13 lat do 60 wszyscy bo kto nieposzedł by to by zabrali dociupy, nie dali by chleba i miał by praguł a kto dostał praguł do miał zniejsoną porcję chlebo do 200 g. i 50 % z zarobku odciągali przez 10 miesiecy Pracowalisny po 12 go bo ni było można zarobić na te 1/2 kg chleba bo kg chleba koztował 2 ruble, porcia zupy pare krup rozgotowanych w wodzie postny kosztowała 3 ruble, to to była prywatna stołuwka a dziennie robotnik mógł zarobić najwięcej 2 ruble. Choroby wcale nie uznawali jak niemiał gorączki to mówili że jest zdrowy. Dieci ponizej 13 lat chodzili do skoły. W szkole aby ich przerobić na komunistów używali rużnych sposobów jak np. kazali dziecią prosić Boga żeby im dał cukierków a potem Stalina i sypali wtedy z sufitu cukierki. Jezeli ktoś ze starszych wiekiem zachorował to dochtur dawał pigułkę po spożyciu tej pigułki za jakich 30 minut kończył swoje rzycie. Tag że w ciągu jdnego roku wymarło połowa. Wreście kiedy dostaliśmy papiery odrazu wyjechaliśmy na południe droga była znowu trudna bo jchaliśmy aż półtora miesiāca a przez całą drogę tylko dostaliśmy w Cztirech miejscach po dwa kilogramy chleba od polskich placuwek. I wstąpiłem do Junaków.

Antoni P[...]

1927 r.

Wieś Dmytrow, pow. Rodziechów, woj. Tarnopolskie (klasa VI).

Strach mnie ogarnia gdy przypomnę sobie czasów wstąpienia bolszewików do naszej wioski. Otóż szło dwóch oficerów polskich drogą którzy śli do żon i dzieci. Zostali oni złapani przez ukraińców i bolszewików. Po trzech dnia morderstwa zostali zastrzeleni a buty i ubranie zabrali ukraińcy. Jeden przed śmiercią mówił żeby powiedzieć żonie że on już nieżyje.

Z[...] Maciej

1927 r.

m-czko Nowokdnia, woj Nowogródckie.

20 września 1939 roku podczas obiadu wypadł miejscowy milicjant z rewolwerem w rękę i stanął w progu. W tej samej chwili rzucił się na niego nasz pies i zaczął go gryść. W tym ze wszystkich drzwi wpadli milicjanci z karabinami, jeden zaś podbiegł do psa i zastrzelił go. Nam zaś kazali podnieść ręce do góry, zrobili osobistą rewizję, a następnie poczęli przesuwać wszystkie rzeczy przy tem bardzo dużo rzeczy zginęło. Jednocześnie kazali ojcu memu zabierać się z nimi — gdyż właśnie przyszli ojca który był oficerem aresztować. Zabrali go i do tej chwili nic nie wiem o ojcu. Dowiedzieliśmy się że z Nowogródka mają przewozić więźniów. Mamusia złapała ubranie i bieliznę, machorkę i trochę żywności którą już przygotowała ojcu i pobiegliśmy na stację. Tam już było pełno ludzi z pakunkami i zapłakаныmi oczyma. Wtem światła pogasły i z wagonów zaczęli wyprowadzać więźniów. Straszny to był widok, wyprowadzonym kazano klękać na śniegu by utrudnić ucieczkę. Wyprowadziwszy ich wyczytali do wagonów. W chwili wyczytywania pewna kobieta poznała swego męża i zaczęła strasznie krzyczeć wtórowały jej ciche szlochania. Brat mój biegał ze wszystkich stron bo chciał dojść ojca. Władowano ich do wagonów i zaraz zaczęły dochodzić naszych uszu tupot zmarzniętych nóg. Całą noc przesiedzieliśmy na stacji. Rano, gdy się zaczęło rozwidniać poszliśmy do wagonów. Lecz ojca wtedy nie było. Z wagonów zaczęły się uchylać okienka i przez kraty wyglądały straszne twarze, chude, zielone, obrosnięte. Kobiety, gdy poznawały twarze swoich mężów lub synów podnosiły lamę. Z wagonów dochodziły głosy. „Sprzedaj krowę, pilnój dzieci. Ja siedzę za takiego to i takiego. Jedziemy

w nieznane” i.t.d. Straże ciągle odganiały zbliżających się coraz bliżej podchodzących ludzi i urongali wyglądającym przez okno. Pociąg ruszył. Kobiety jakiś czas biegly za pociągiem i lamętowały. Straszny był to dzień.

Nikodem U[...]

1927 r.

Osad. wojsk. Podorka. pow. Dzisna woj. wileńskie.

Miejsce zesłania, posesiadłość kresty rej. Wierch. Tojma, obł. archangielskaja.

Moje przeżycia w Rosji

W roku 1939, kiedy nawała przekroczyła granice Polski, zmienił się sposób życia w całych kresach wschodnich. W domu rodzinnym nie można było przespać żadnej nocy spokojnie. Musiałem się kryć w miejsce bezpieczne: w zaroślach, na drzewach, w kopcach siana stojącego na polach, pod mostami, gdzie tylko było można.

A jakże to było kiedy ta dzicz wpadła do miast i wieś. Odrazu można było poznać, że w Rosji nic nigdy nic nie widział. Przecież sam widziałem jeden politruk weszedł ze swoją żoną do sklepu to ona niewiedziała co kupić. Najpierw kupiła 8 kg. kiełbasy. No, ale jak to było? Kiedy weszli oboje to wpiery nie mogli się nawąchać, tak jak psy po zająca śladach tak oni obojga wąchali kiełbasę. On nie mógł wytrzymać długo tego apetytu do tej kiełbasy i zniecierpliwiony ułamał pół sobie i pół oddał żonie. No, a jak ugryś to mu w oczach powidniało i rzekł: „Wskusnaja kiełbasa”. Natomiast jego żona nic nie powiedziała bo aż jej oczami wyłaziła ta kiełbasa tak wciniała i tylko trzy razy kiwnęła głową że tak. Nieupłynęło pół minuty kiedy on zjadł pół kiełbasy i prosił o drogą. — Proszę jeżeli można o jeszcze jedną, — pani która sprzedawała powiedziała: — Dlaczego nie, można i więcej jak dwie, — to obojga podskoczyła z radości zaś ona rzekła, — „Proszę osiem kg.”. Pani sprzedająca podawała a on chował gdzie miał tylko otwór, nawet i za cholewę. Ona jeszcze kupiła krowie nogi, które niosła na rękę, bo nie miała miejsca gdzie schować, a może i nie dla tego napewno chciała się pochwalić.

W październiku był ogłoszony wybór do komitetu na przedstawiciela, który z góry był naznaczony. Lecz każdy iść musiał.

Starcy którzy iść nie mogli, wieźli na wozach. Aby dla oka była zrobiona sala z parawanem do której kto zaszedł to w nocy był wywiezionym do więzienia, także nikt prawie tam nie chodził.

Miejscowa dzicz (białoruskie pastuchy) pobrała swoje przedwojenne strzelby (które nosiła na powrozach) i chodziła po osadzie odbierała broń osadnikom i leśnym z którymi chodziła po nocach i niedawała spać. Dlaczego tak było? Ponieważ on jeden z drugim siedział we więzieniu to teraz chciał to pomścić. Namawiali także innych a żeby napady w nocy robili i rabowali. Drobnostka takich było, bo dużo niechciało tej władzy przeklętej słuchać bo wiedzieli co znaczy sowiecka Rosja. Biało-rusini i ta chamska milicja (ci którzy to nosili broń na powrozach) bili się między sobą. Białorusini chcieli Polską władzę i niechcieli słuchać miejscowej milicji, a milicja pokazując co [?] to my stawili im opór, lecz wyginęło dużo tych i tych.

Nadszedł rok 1940 w którym dużo Polaków wywieziono w głąb Rosji.

10 lutego rankiem, kiedy było jeszcze szaro, na naszą osadę napadła dzika ćma wraz z N.K.W.D. Tak trudno było przeżywać tę chwilę, kiedy do mego domu rodzinnego wtoczyło się ile tylko można było a naczela ich stał N.K.W.D. z pistoletem skierowanym na ojca, który stał spokojnie jak stary żołnierz. Wtem N.K.W.D. zakomenderował: — „Obyskać dom”, wszystko runęł jak głodny do jedzenia, tak oni nie robili rewizji, ale chciał każdy coś zrabować. Tenże sam turek, złodziej (tak go ojciec nazwał) posadził tatusia za stół i nie pozwolił nigdzie się ruszać, natomiast mnie i młodszemu braciszкови pozwolił wyjść i zbierać do pakowania rzeczy. Ja wskoczyłem do spichleża i wybierałem z beczki mięso. Do mnie przychodzi jeden z wiejskich chamów i mówi: „Połowinu ostaw!” a ja mu drażkiem przez łeb. Wtem usłyszał jakiś żołnierz, który przyjechał razem z N.K.W.D. wziął mnie za kark i przyciągnął do tamtego turka i zameldował mu że ja pobiłem dziewiętnastoletniego towarzyszcza. On pokręcił głową i powiedział: — „Da eto pacan” — puścił mnie, — wybiegam, — mój młodszy braciszek już był beczkę rozbił i mięso spakował do worka.

W ciągu 15-u minut jechaliśmy już do szkoły. Tam staliśmy cały dzień.

Wieczorem kiedy zachodziło słońce temp. była około —40°C. Rozciągnął się karawan na 1,5 km. w stronę stacji kolejowej (do Ziabek). Przejeżdżaliśmy obok o kościoła. Dzwony zaczęły się kołatać jak na trwogę, a my coras dalej, dalej i dalej. Jechaliśmy przez wieś aż do stacji, w której kazali nam się ładować. Na

drugi dzień ogromny transport ruszył ku granicy wschodniej. Wświnskiach wagonach ciasno było Świn by tyle nie napchnięto co ludzi. Drzwi były zamknięte na grubą sztabę i osiem kłutek i te były powiązane powrozem.

Tego dnia przejeżdżaliśmy granicę. (Zachacie) Cały transport aż grzmiał gdy usłyszał że przejeżdżamy granicę. Wyrwała się pieśń brzmiąca od początku transportu do końca „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Przez kilkanaście dni nastąpiło jednostajne życie.

Jechaliśmy wciąż zamknięci na tą sztabę i kłutki. Wiezli nas w głuche i dzikie miejsca, aż przywieźli do posesiołka „Krest”, nad północną Dwiną w leśną puszcze.

Spoczątku życie było nie ciężki ponieważ każdy miał swoich zapasów żywnościowych i zeczy do ubrania, ale jak przez parę miesięcy wyczerpały się to i ludzi dużo umarło. Tam N.K.W.D. odnosiło się bardzo srogo. Niewolno było 100 m. odejść od posesiołka. Chleba dali tylko po 300 gram na jedną osobę. Słodyczy: t.z. (cukier itd.) niewidzieliśmy 1/2 roku.

Zimno było okropnie dosięgało do 45-50°C. Zaczęli nas wyganiać na robotę i mówili nam tak: — „Unas kto nie robotajet tot i niekusajet” — a sami ludzi obkradali bo im się robić nie chciało. Moja Mamusia była niezdolna do ciężkich prac. Więc też nie chodziła do pracy. Tatuś, siostrę i starszego brata zabrano 40 km. od naszego posesiołka.

Zostało nas dwóch koło mamusi. Ja z początku chodziłem do roboty z braku chleba. Dali mnie do pracy wożenie chleba. Ja pierw pracowałem spokojnie, dopuki mnie nie czepiano. Pewnego razu kiedy wiozłem chleb, zauważył mnie komendant posesiołka. Podeszedł do mnie i zapytał: — „Czy ty syn, osadnika czy lesniczego”. — Ja odpowiedziałem, że osadnika. Aż mu włosy stały dęba gdy usłyszał. Kazał mnie zleść z woza i iść do baraku, w którym mieszkałem. Ja zląłem i zekłem: — „Żeby ci płozy popękały”. — On myślał że ja jestem taki słaby na duch że jak on powiedział poda leiec ta ja mu podam. A ja mu odpaliłem: „Wy goworicie że u was panow niet, tak woźni sam”. — On wziął i tylko ruszył i skrzynię z chlebem wywalił. Ja się roześmiałem i z biczem końskim uciekłem a tego chama zostawiłem samego. Cztery godziny jechał dwa km. Ponieważ koń był leniwy tak on jego zbił że już niemiał już więcej siły i bić.

Przez cały rok miał na mnie oko a ja na jego dwa.

Nastąpiły czasy głodu i chłodu a co gorsze śmiercie. Trzysta

m² zasłało się trupom. Nik na to niemógł poradzić. Jednym i w Jednym można było mieć wiarę w Boga.

Stosunek N.K.W.D. do nas był bardzo zły i szyderski.

Nasza młodzież robiła zasadzki na enkawudzistów (w której partji sam brałem udział).

Oni nas z pistoletami podchodzili a my ich z procami. Jak tylko zobaczymy że jakiś cham prowadzi Polkę do komędanta tak my ich rozłączym czem zawsze był Rosjanin stratny.

Co raz więcej zaczęło umierać z głodu i chłodu. Poszło do pracy stu to wracało (każdego dnia) 96 (średnio).

Aż nastąpiły czasy weselsze.

30-lipca nasz premier R.P. podpisał umowę ze Stalinem (który nas dotąd męczył) o uwolnienie Polaków z jazma rosyjskiego.



Janusz K[...]

ur. [...] 1930

[...] w dniu wybuchu wojny mieszkałem w Mysłowie pow. Kałusz wj. Stanisławów.

Ankieta

Pod okupacją niemiecką nie byłem.

Byłem na wsi w Mysłowie woj. Stanisławów u moich dziadków. Po przyjsciu wojsk sowieckich wyrzucono nas z majątku i zupełnie obrabowano. Zamieszkaliśmy u chłopca na wsi, skąd w nocy 12-13 IV 1940 r. zabrali przemocą moich dziadków i siostrę 11 letnią. Ludność wsi (ukraińska) rzuciła się na auto i rozpoczęła się walka na kolby. Nie chcieli nas wypuścić, wyrwali mnie siłą i ukryli na strychu, za kilka dni w nocy odwieźli mnie do Lwowa, gdzie odnalazłem mamusię. Kryliśmy się do 29 VI 1940 r., pod zmienionymi nazwiskami. W dniu tym zabrali nas w nocy, załadowali nas do ciężarowego wagonu 59 osób. Podróż była straszna. Nie dawano nam wody, raz na 48 godz. zupeł. Otwierać drzwi ani okienka zakratowanego nie było wolno. Na stacjach gdy prosiliśmy wody, krzyczeli żołnierze „skatina”. Po 4-ro tygodniowej podróży, dojechalśmy do Jozskar-Oła, skąd autami 100 km do punktu leśnego 31. Puszcza Nurumbał. Za 3 dni wypędzili mamusię na robotę, była „lesorób” waliła olbrzymie drzewa, zwoziła do przystani, a wiosną spławiła je na rzece, stojąc wyżej kolan w wodzie. Ja rąbałem

drzewo na opał dla baraku nosiłem wodę, przygotowywałem herbatę dla matki. Bałem się bardzo, ażeby drzewo nie zabiło mamusi (dużo było wypadków) więc po pracy wychodziłem na przeciw ale niedaleko, bo były wilki i niedźwiedzie. Po amnes-tii wybraliśmy się do babci, do Kazachstanu. Po 3-ech dniach dostaliśmy się do stacji kolejowej, a po 3-ech tygodniach bardzo uciążliwej podróży — prócz lodów niczego kupić nie mogliśmy, dojechalśmy do babci. Dziadzio już nie żył, umarł z głodu. Babcia z moją siostrą były w wielkiej biedzie. Mamusia z siostrą poszły do pracy, do kombajnu, a ja chodziłem z babcią w daleki step po pioluny na opał. Gotowaliśmy wieczorem zupeł. Po kilku miesiącach, wyjechalśmy na południe Rosji. Jeździliśmy 4-ry tygodnie, nigdzie nas nie chcieli przyjąć, głód, wszy i tyfus z nami. Wylądowano nas w Dżatał-Abadzie do kołchozu Frunze, do stajni, bez okien i drzwi, w błoto po kostki. Ginęliśmy z głodu. Zachorowaliśmy na tyfus plamisty. Mimo próśb, żadnej pomocy nam nie udzielono. W tym czasie do Dżatał-Abadu, przyszło Wojsko polskie 5 Dyw. oficerowie 5 p.a.l., wykradli nas w nocy, umieścili w mieście, w wynajętej kibitce. Po długiej chorobie, przy pomocy wojska, wróciliśmy do zdrowia i pierwszym transportem, osobowym pociągiem, wygodnie, wyjechalśmy do Krasnowodzka, skąd okrętem przez m. Kaspijskie odpłynęliśmy do Iranu. Na okręcie było bardzo ciasno i zimno, ale myśl, że wyjeżdżamy z „raju” dodawała nam sił. Z Pahlewi, wyjechalśmy czystymi autami, z eskortą naszych żołnierzy do Teheranu do Ob. N° 2. Od chwili wylądowania, życie nasze zmieniło się, mamy dobrą opiekę i szkołę, gdyby nie tęsknota za Polską, byłoby nam zupełnie dobrze.

Na 6-te pytanie nie mogę odpowiedzieć, ponieważ jako nieletni nie głosowałem.

Junak M[...] Jan
rok urodzenia 1928

miejsce zamieszkania w Polsce. woj. Stanisławów pow Rochatyn
miejsce zesłania obł. Swierdłowska.

W drodze do Rosji

Była noc zimna, śnieg padał i wiatr wiał. Było to 10 lutego o godzinie 3-ciej nad ranem, kiedy wszyscy spali twardem snem. Naraz rozległ się silny stuk. Ja zerwałem się z łóżka bardzo mnie

to przstraszyło, taksamo i mamusię. Tatusź wstał zapalił światło i otworzył drzwi, wpada do mieszkania czterech rosjanów i dwóch ukraińców z karabinami na ostro, na ten widok jeszcze bardziej nastraszyłem się i zerwałem się z łózka ubrałem się i siadłem. Po chwili sprowadzili do jednej sali całą rodzinę tatusia, mamusię, brata, siostrę i mnie. Zapytali tatusia gdzie chcemy jechać czy do Rosji albo do Niemiec, tatusź powiedział rze do Ameryki. Wtęczas bardzo ich to rozłościło i kazali się dobrze ubrać bo pojedem do niemiec. Ja z bratem wzeliśmy się do pakowania rzeczy. Po chwili trochę swoich rzeczy połorzyliśmy na sanie a sami poszliśmy piechotą do stacji, z inych stron taksamo jechali ludzie. Zajechaliśmy na stacje robiło się jurz rano, na ztacji czekaliśmy 3szy godziny a potem kazali siadać do ciężarowych wagonów. Było w nich zimno, był piecyk ale nie było czym palić. Brata długo nie było naraz słyszym rze koś odmyko wagon i wchodzi do niego brat. Staliśmy na tej stacji dwa dni, niebyło co zjeść ciepłego bo nie było węgla ani dzewa. Przed odjazdem jeden z znajomych przyszedł się porzegnać to my go prosili arzeby przyniustł węgla i on przyniustł węgla zaraz zapaliliśmy w piecu, za pare godzin ruszyliśmy w droge.

Gdy pociąg ruszył kobiety zaczęli płakać, a mężczyzni zaczęli śpiewać Jeszcze Polska Nie zginęła.

Fragment mego przeżycia

Imię i Nazwisko. P[...] Paweł

Rok Urodzenia. 1927 [...]

Ostatnie zamieszkanie przed wywiezieniem Powiat Krzemienic,
Gmina Uhorsk, Wieś Żołobki.

Moje przeżycia w Rosji

Ja urodziłem się w roku 1927 [...] Pewnej jesiennej nocy w 1939 - 17 - X wtargnęli na ziemie polskie wojska sowieckie. Ja mając przyzwyczajenie, spałem w letniku przez całe lato, letnik był w sadzie. Toteż gdy usłyszałem hałas i strzelaninę. obudziłem się pierwszy i prędko pobiegłem powiadomić ojca. Niedobiegając domu pękł. pod nogami moimi granat, wtej chwili uczułem bul w prawej nodze i lewym biodrze. Powoli dotarłem do sypialni † ojca mego. Pobudziłem całą rodzinę. Ja biegałem jak tuman nie mogąc znaleźć sobie nigdzie miejsca. Nastął ranek, gdy jakieś oddziały poczęły przesuwac koło domu po ogrodach.

Był już dzień gdy oddział piechoty wszedł do nas na podwórze, † ojcu założyli kajdany i przywiązali do studni, poczem jeden z nich kazał † ojcu pić wodę, potem nas wszystkich zastawił do picia, myśleli, że studnia jest zatruta. Gdy oddział odszedł, na osadzie zabito dziewięciu osadników, a nawet jednemu spalono całą gospodarkę. Wdwa tygodnie później rozbili naszą kaplicę i proboszcza skutego w kajdany wywieźli do Rosji. W miasteczku katowano, i ograbiono ludzi. potem kilku z wioski zabito i rzucono pod czołgi sowieckie. Wkilka dni później zaarestowano nas i wywieziono do Rosji. aresztowano nas 10 - II - 1940 roku. Na posiołku do którego nas przywieziono, panowała choroba i głód dokuczał. Gdy wyszła amnestja 1941 r w miesiącu wrześniu, rosjanie niechcieli nas wypuścić z posiołka, tylko mówili żeby kupować krowy i budować baraki. Gdy otrzymaliśmy udostowierzenia, wyjechaliśmy do Uzbekistanu tam przeżyłem wielkie bóle i nieszczęścia. Na Uzbekistanie zmarła mi † matka i † siostrzyczka — głodową śmiercią, poczem konającego brata odwiozłem do szpitali, który na drugi dzień zmarł i wreszcie † ojciec dostał powołanie do armii Polskiej w R Matka i siostra zmarli 7-IV-1942 r, a brat 21-IV-1942 a † opiecz został powołany do wojska 28-IV/1942 r. Mieliśmy smutku z siostrą starszą i żalu w przeciągu miesiąca pochować prawie całą rodzinę. W niestugi czas później i † ojciec zmarł w wojsku. Pozostało nas dwoje sierot, głódowa śmierć i nam zagładała w oczy, lecz ja broniełem się jak mogłem ażeby pozostać przy życiu, aby kiedyś opowiedzieć jak nas polaków męczono w Rosji. Nietylko moja rodzina wymarła głodową śmiercią, lecz wiele innych wymierało całymi rodzinami. Pamiętam jak na jednym z kolchozów w Uzbekistanie było 7 siedem rodzin, które wymarli zgłodu, pozostało jedno małe dziecko liczące 2 dwa lata, dziecko płakało gdym wszedł do mieszkania ” i mówi do mnie „tatuś nie chce wstać, zosia płakać i płakać. Dziecko w prawdzie było głodne, gdyż okazało się że rodzice jego zmarli wieczorem.

Wniedługi czas pojechałem do krasnowodzka. Tak skończyła sięmoja tułaczka.

P[...] Paweł.

Longin Ł[...]
Zaleszczyki [...]

M.p. 20. V. 43 r. [Miejsce postoju]

Dzeń pracy na wolnej zsyłce.

Nim słońce zejdzie słyhać po barakach nawoływania na robotę „stawaj skarej”. Ludzie nie wyspani, nie chętnie wstają, a nato-

miast brygadier zciąga ich za nogi z łóżka. Śniadania nikt nie je gdyż niema chleba, bo chleb przywożą koło 10 godziny. Chleb bywa z żyta na wpeł z owsem, nigdy nie wypieczony, zakalec na dwa palcy, gdy kto zje takiego chleba odrazu dostaje boleści, ale głód wszystko przewycieza. Praca jest ciężka bo trzeba nadążyć na sypywać worki gdyż „kambajn jedzie i ciągle młóci, a zboże leci bez przerwy czy są worki podstawione czy nie. Gorza praca jest przy słomie z tyłu kambajnu gdy słoma leci na głowe i w oczy. Wyniki takiej pracy sa marne ściernisko na 25 cm, kambajne rozklekotane dużą ilość zboza wraz ze słomą wyrzucają. Słoma na polu gnije a niepozwolą wziąć by zmienić ją sobie na świeżą. Zboże które zostało wraz ze słomą wyrzuczone kiejkuje, sa zagony dzie nietrzeba by drugi raz zasiewać. Gdy nadejdzie 11 godz. znak na śniadanie, z domu kto ma czas niesie chleb i trochę wody kipiącej dla pracujących gdzie o kilka, a nawet o kilkanaście kilometrów, po takim śniadaniu człowiek tylko rozdroczoney, zjadłby jeszcze 3, a nawet 4 razy tyle. Po śniadaniu praca dalsza aż do zachodu słońca. Brygadier jeździ po polu i sprawdza jak idzie praca, czy wyrabiają normę. gdy kto nie zrobi normy nie dostaje chleba, a także jest przygotowany że go obelży i wyzwie najgrszymi słowami jak psa. Dzieci sowieckie dokuczają każdemu Polakowi jak jakies psy. Obiad bywa koło 15 godziny, jest on z lebiody która rośnie na stepie, zastępuje ona duża jarzyn bo ma dużo fitamin żelaza a do obiadu są jeszcze kortofle. Obiad który przywozi „powarycha” pies by nie chciał jeść. Gdy zajdzie słońce wszystko wraca z pracy zmęczone i zgłodniałe. Obok gdzie płynie potok myją się i kładą się spać. Pluskwy niedaja spać.

Imię i nazwisko: M[...] Józef

Miejsce stałego zamieszkania przed wojną Pow. Rochatyn. Woj. Stanisławów miasto Bursztyn ul. [...]

Skąd wywieziono: z Bursztyna

Adres w Rosji: Swerdłowskaaja obłaść Tugułumskij rejon posesiołek Lagusika.

Moje najgorsze przeżycia w Rosjii

Gdyśmy przyjechali do Rosji na posesiołek pieniędzy nie było żeby kupić chleba, a sprzedać coś z zeczy niebyło gdzie bo sowieców nie puszczali do naszych baraków. Kto co miał swego togiatował swoje, ajak niemiał to ginął z głodu, agdy już poszli do roboty to znowu chodzili po barakach i jak kto się modlił to

za karę nie dawali chleba. Gdy chodzili na robotę to dużo sobie coś podmrażało i nieposzli do roboty, wtedy też za karę nie dawali chleba. Gdy ktoś umarł to trzeba było za deszczki na trumnę bardzo drogo płacić i nawet niedali odpowiedniego miejsca na grób tylko w do linie, a gdy przyszła wiosna to wszystkie trumny wypłynęły na wieszk. Dopiero trzeba było nanowo trumny wyciągać z wody i chować w odpowiednim miejscu.

Klasa IIIc

P[...] Alfred.

wywieziony ze wsi Stefanówki

powiatu Kałuskiego

województwa Stanisławowskiego

do oblasti Archangielskiej Łąskiego rejonu

Christoforowskiego lesopunktu.

Pamiętam jak dziś, w sobotę, 10 lutego, 1940 r. przyjechali na naszą wieś rosyjscy żołnierze koniami i wozami tratowali zboże, a po chwili zjawili się na naszym boisku, zaczęli bić w dzwi otwożył, chcieli ojca zabić, nic nam niedali z domu zabrać tylko to cośmy mieli na sobie i posłanie powiedzieli że tam wszystko dostaniecie i po chwili byliśmy już w wagonach, w ciągu jazdy byłem bardzo głodny, nie miałem co pić, z pragnienia zeskrobywałem śnieg ze żelaza, który namarz od mrozu, był on grzki, a jednak go sałem. Zupę dostaliśmy bardzo dobrą, a więc na obiad dobra zupa garnek wody jedna krupa. W Rosii miałem bardzo dużo kłopotów i zmartwień, a więc, ojciec z matką chodzili do roboty, a ja musiałem się opiekować małymi dwoma siostrzyczkami, ale w tedy byłem jeszcze sam mały, bardzo one mnie lubiały, aż przy śmierci mnie wołały, bawiłem się z nimi chodziłem, ale bardzo krutko, rano wstałem piastowałem a na wieczór pożegnałem. Bawiłem się z siostrzyczkami raz cały dzień wesoło i czekaliśmy wkiedy przyjdzie ojciec z matką i przyniosą trochu chleba, a wkiedy ojciec z matką przyszli i trochu nas pożywili wleźliśmy na łuszeko i zaczęliśmy spać ale siostra która nazywała się Hnia nidawała nam spokoju, to chałasowaliśmy aż sala dudniała, gdy już nachałasowaliśmy się poszliśmy spać, Rano wstając a moja siostra Hnia, którą tak bardzo kochałem ledwo żyje, matka gdy to zobaczyła, z płaczem przybliżyła się doniej, a potm wzięła ją na ręce, ale siostra zaczęła się zaraz trząść ludzie zaczęli zaraz krzyżeć na matkę, aby ją położyła, więc matka znowu zaczęła płakać i nażekać na swuj los, poszła do doktora i mówić

ażeby doktor szedł zbadać siostrę, bo siostra jest bardzo chora, a on nato: niech chadziajka ją tu przyniesie bo ja niemam czasu, janiemogę tracić czasu nadarmo, a nic nie miał do roboty tylko leżeć na łóżku i popijać horiłku. Matka poszła do baraku i zaczęła ubierać siostrę a siostra zaczęła znowu się trząść, i matka poszła po raz drugi do doktora, i doktor nareszcie poszedł, przyszedł do naszego baraku, porozglądał się po ścianach czy niewiszą obrazy, ale ujął że na ścianie jest pełno obrazów to popatrzył krzywo i coś mruknął, badał, badał a gdy już zbadał kazał aby matka poszła z nim do ambulatorjum to on jej dał proszku i matka poszła. Matka poszła do ambulatorjum, a on jej dał jakiegoś proszku i kazał ten proszek zażywać sioszczsze, trzy razy na dzień, ale siostra używała go tylko raz, a gdy go zażyła to i umarła, bo doktor dał innego proszku i ona się utruła.

Pochowaliśmy moją siostrę w lesie obok czterech świerków, a na jej grobie posadziliśmy największą rużę które rosły obok jej grobu, ze swoją siostrą Ańdżią chodziłem bardzo często na jej grób pomodlić się i nazbierać róż.

Na drugim posiołku.

Gdy już przyszła amnestja wywieźlinas na drugi posiołek.

Na drugim posiołku było nam już lepiej ale też bieda. Zachorowała moja siostra, przyjechał doktor i gdy ją zbadał kazał aby ją odwiezli prędko do szpitala. Komendant zaraz swoim ałtym odwiuźł siostrę do szpitala. Z siostrą pojechała i matka bo wiedziała że tamte siostry nie pilnują chorych więc pojechała. Powiedział raz komendant do ojca panie P[...] niech pan pojedzie z cegłami na stację i po drodze odwiedzi pan swoją curkę, dobrze powiedział ojciec, na drugi dzień niech się pan przygotuje, dobrze.

Na drugi dzień ojciec pojechał traktorem na stację która była w Kirowie.

Ojciec był w drodze a matka telefonowała na nasz posiołek aby ojciec przyjechał bo siostra już nieżyje i trzeba ją pochować. Gdy ojciec przyjechał do szpitala to zastał matkę stojącą przy telefonie i wołającą ojca na pogrzeb. Ojciec jeszcze siostry niepochował a już wołają go do telefonu. Komendant telefonuje aby ojciec przyjechał boja jestem chory, ale ja za dwa niesiace wyzdrowiałem.

Z tej biedy nic dobrego nienauczyłem się oprucz kradzieży.

Junak B[...] Czesław
Rok urodz. 1927
miejsce zamieszkał w Polsce
Woj Białystok
pow Szczuczyn
mieszce zesłonia
obł Irkucka
reion Tasiet
pasiołek złota gurka

Moje przezycia w Z.S.S.R.
Mnestia

Dowiedzielismi się że zostalismi zwolnini z przymusowych robód i mozna stamtąd wyjdziać. Wtedy zacięsmi przygodowy wac się na drogę. zacenismi na na drodze sósać chlepie. i chodzilismi na wioski sowieckie zamieniac ubranie na mąkę. Jednego Dnia posła mamusia z bratem na wioskie i wzięła ze sobą sanki na sanki powiozła grnek duzi, poduskę materiału miał jescie z polski swoje ubranie i posła wieczorem i jak odchodziła ze zadwadni przyjdzie. ze przenocuje gdzie uroskejk kobiety. Mamusia zbratem posł w poniedziałe pozegnała i posła miaja jedem dzien drógi nadwozie jest zmimo trzeba jsce zachlebem stac wkoliecie mia trzeci i czwarty my się martwimi cię mu mamusia nie przychodzi na pięty dzie to jest wpiątek przychodzi donos jedna kobieta jmówi ze zamarzyła jedna kobieta zchłopiem, my zaras wsyci wplac tatus chodzi jak durni po baraku i myśli jak ona mogła zmarznąc Tatus posied na drógi dzie do komendomta zeby dał konia iwós poiechac przywisc mamusię i brata zamarzniętog. komendat mów niema koni posły na robotę tatu przysied do domu zia chleba zekawą i posie do tego kołchozów ztatusiem posiedł raze kolega.. My czekamy w domu na powród tatusia imiyslimi co się mogło stac z nimy tatus przychodzi w niedziele wiecór i mówi ze mamusia mas jest zmarznięta jese gozej zace-mismy plakac. Siostra więkša zemglała tatuś mówi ze lezy zamarzyta wiewiosci u gospodarza na piecu.

Ze jak oni jechali posiano i znalazli od wiesk dawa kylonetri ze siedziała mamusia na sankach i trzymala brata na rękę. oni wozili na wóz i przywiezli do kołchozów tatus mówi ze w poniedziałek w poniedziałek przywiozą mamusię i brata z kołchozów zmarzniętego

My wsyci siedzimi przy piecu i mówim jak my teraz będziemy zyc przez mamusi i zucamy mysle do Polski do sostrów zeby oni te nie ścięście wiedzieli co łoni robili by wtedy Pokładlismi się

spac za płaciem tatus całą noc miysłał inenuk zasnąc my tez myslel ale prętko zasnęni. Prze spalismi noc rano stajemy zrobilismi požadek i cekami na mamusię i brata jak przywiozą na-sankach

Nara siostra leci z płacem i mowi że wiozą mamusie i brata Wtedy my wszyscy w płac wtedy tatus i tatusia kolega zaceni znosic mamusię i Tadzika zię sanek i położyli na stole całe szkostniałe ciało zaraze jedna kobieta zaczęła grzac ciegły i rozgrzewac ciało zaczęła rozbierac złóbrania mamusię umyli ubrali wnową sukenkę i brata wdroke ubranie tatus posedł do stolaża zrobic trómny zrobił wewtorek i włoży-lismi do trómmy Tatus najął jednego cłowiek wykopac dół. Wicororom wyprowadzilismi mamusię i tadzika z baraku wtedy o siostra zemgłała drógli raż i została się w baraku my poprowa-dzili mamusię na smętarz po cho walismi mamusie wiednem grobie z bratem zasypalismi piaskem pomodlilismi się na grobem i przy slismi do baraku siostra leżała nałusku chora. Taki był mój dzien najgorsi w rosji

Osierocony Polak

10go lutego gdy do szłoły niedostarczyli opału, niebyło lekcj gdy szedłem do domu jedem z fozspany zabramnie i dowiusł do domu w który ojciec stał pod karabinem nawet gdy ojciec szedł do ustępu zanim szedł n.k.w.b. niedali wywozić produktów żywnościowych, puzniej 2a. dni niedali drogą nic jeść aż na 3i. dzeń dali nam zupy i 200g chleba na osb. najgożej było dżeciom małym płakali za mlekiem lecz przez 2a tygodnie go nie widzieli. Gdy przyjechaliśmy na miejsce, Ojciec, matka i starszy brat poszli do lasu rębać drzewo na normy, ja jako 14-to letni chłopak musiałem zwozic drzewo zlasu na opał do wsi chodź wpadałem po ramiona a nie wolno usiąść na sanie. wiosno gdy zszedł śnieg zbierałem jagody przemarzniete i tylko ukratkem. Chodziłem na łąke gdzi gotowali kartofle dla świń nabierałem do kieszeni i przynosiłem do domu, potem wywieziono me zrodziną do lasu gdzie oprucz 3h. baraków nic nie było przez pare dni nic niedali jeść a na robote pedzili na łące zbieralimy szczaw i jedliśny jak było wypuszczone z chlewa dali nam lasu kawałek wykorczowac naktrem posadzilismi kartowle które puźniej świnnie jednego ha-ziaja wykopały pod jesień zabrali me do szkoły nawieś gdzie dawali 10 rubli na 10 dni kture w ciągu 3 dni wyszły w szkole

uczylisny sie ruskiego niemickiego i innych przedmiotow na lekcji geografi profesor. Wawrenty Pawlowicz opowiadal nam jaki wieki zysk mamy z pradu golstromu ktorym umozliwia nam zimom lowienie ryb. I ze Amerykanie 1937 roku chcieli odgrodzić prond, lecz nie udalo ni się bo prad tak silny i rozwalil tane i puźniej zaniechali.

jedny ciągiem wspominali nam jacy oni silni ze nikogo oni sie nie boją ze polska nigdy niepowstanie a gdy przyszła amnestja i jede z chłopów polskich na kwortale zapytal czy sprawdzily się jedne słowa to powiedzial ze to tynczasowo.

P[...] Mieczysław

Woj. Tarnopol pow Skałat Wieś Wawelówka

K[...] Zdzisław

Zamieszkałem w Polsce w Przemyśle województwo Lwowskie powiat Drohobycz

Zostałem wywieziony z mamusią do Uzbekistanu do Bucharskiej obłasci Rejon Guzar

Najsmutniejszym moim dniem był ten dzień w którym moja mamusia zachorowała w nocy. Niebyło lekarza ani nikogo tylko ja sam. Musiałem stać i grzać wody. Ale niebyło drzewa. Poleciałem na podwurze i znalazłem kawałek szczabki. Zapaliłem i zagrzałem wody bo bardzo kłóło matkę koło serca. Ale to nic nie pomogłoby musiałem iść do szpitala wnocy arz do drugiego posiołka. Na drugi dzień gdy matka była w szpitalu poszedłem po lipioszki ale rosyjanki nie chciały sprzedać. Powiedzieli mnie że matka nie pracuje to niedadzą chleba. Ja odeszłem z płaczem i siadłem na okno. Siedziałem na oknie i skrabałem się bo bardzo gryzły wszy. Poszedłem na bazar i musiałem kraść marchew. Gdy matka szła ze szpitala to podrodze zamdlała bo była bardzo głodna. Ja siedziałem na oknie gdy zobaczyłem mamusię to poleciałem do niej. Ja opowiedziałem wszystko matce to matka poszła do komendanta a on jej odpowiedział że nic jemu do tego. Potem gdy było nabożeństwo i było wojsko Polskie to Rosyjanie wyśmiewali się. Że my chodzimy na nabożeństwo.

Szczęśliwy jestem że już wyjechałem stego piekła.

K[...] Zdzisław, uczeń Kl. IIIA

Moje wspomnienia z Rosji

Byliśmy w Rosji trzy lata. Było mnie bardzo smutno gdy zostawiłem swój rodzinny dom. Mamusia i tatuś chodzili do roboty w fabryce cegły. Ja z braciszkiem tagże chodziliśmy do roboty, nasz komendant który był dowodzący całym posiołkiem polskich rodzin stale te słowa nam mawiał jeżeli nie zarobisz to nie będziesz jadł. a młodziutka siostrzyczka która miała 2½ roku tylko stale beczała bo nie było jej co dać zjeść. A przekłeci rusini stale odmawiali nas od pacierzy i pieśni polskich, ale to nic pan Bóg im za to zapłaci i my tagże się odwdzięczymy. A najwięcej mawiali tak że oni nas oswobodzili od pańskich rąk i jak to oni mawiają od iha pańskiego. My im nato nic nie odpowiadali tylko mówiliśmy i dawaliśmy im pytania dlaczego wy ponas przyjeżdżali do Polski? A oni na to nic nie odpowiadali.

Mój wójek był w łagrach który ciężko pracował. Gdy trzeba było wyjść do lasu po jagody lub grzyby to trzeba było brać przepustkę, a czasem to i nie zezwolono. Mój tatuś jeszcze został się w Rosji w więzieniu.

Za to że nie poszedł dwa dni na robotę. Po kilku miesiącach ja chodziłem do szkoły gdzie tylko kozystałem z matematyki a to reszta mi do głowy nie wchodziło. Chodziłem do szkoły to nas tam namawiano ażeby w nic nie wieżyć tylko w ich czerwoną gwiazdkę bo oni mówili że to jest ich Bog w Boga żywego sowieci nie chcieli wieżyć nie to ale inas młodych chcieli oduczyć ażebyśmy o wszystkim zapomnieli bo już do uwolnienia od ich jaźma ne wypuszczą nas. Dzięki Bogu i Anglii że nas przyjęła jesteśmy teraz na puł wolnej Ojczyźnie.

Może im Pan Bóg i Najświętsza Marja Panna za te męki nasze zapłaci gożko. Mój młodszy brat potem tagrze chodził do szkoły jako uczeń klasy drugiej i on pewnego razu dał nauczycielce takie pytanie, z czego powstaje pierwszy człowiek jeżeli niema Boga? A ona mówi na takie pytanie ona nie miała odpowiedzi. Myśmy się śmiali że bez Boga ni do proga. Nauczycielka była cała czerwona i poszła do direktora. My stale jej mówiliśmy żeby puściła nas wcześni bo trzeba było upolować na pętle jakiego psiska. A ona była strasznie zła i niedobra jeszcze czasem i połbie ja dostałem grubą potężną pałką.

B[...] Czesław

[...] 1927 rok.

Kol Andrzejówka pow. Łuck woj. Wołyńskie.

Dnia 10 II 1940 z kol. Andrzejówki pow. Łuckiego woj. Wołyńskie.

Do Obł. Archangielskiej rej. Solwiczegodzkiego poczta Charytonowo posesiołek Wostoczny.

Blisko obok naszego posesiołka było 2 posesiołki na 3-ech było 1500 osób. Umarło 500 osób na tyfus brzuszny i na czerwonkę. Kilka dni przed amnestją przymuszali niektórych do podpisania się jako obywatele rosyjskich. A kto się opierał i na którego mieli złość to wsadzali do aresztu dopiero wypuścili go kiedy miał odjeżdżać. Po amnestii wyjechalismy z sybiru do uzbekstanu tam umarło siostra na zapalenie płuc i czerwonkę.

Gdy mężczyźni jeszcze nie odeszli do wojska to dawali czasem trochę mąki jęczmiennej a jak odeszli to przez dwa tygodnie nie dawali. Na kołchozie było 5 rodzin i dwóch samotnych. Dwie rodziny jedna 8 a drugo 4 osoby i profesor uniwersytetu Poznański poumierali z głodu. Pewnego wieczora przyszli uzbegy i chcieli nas pozabijać, myśmy nie odemknęli drzwi tylko patrzeliśmy przez małe okienko. W nocy zebralismy żeczy i uciekismy z kołchozu piechotą 26 km na stację. Na drugi dzień przyjechali z kołchozu uzbegy i chcieli nas zabrac na kołchoz. Była tam polska placówka i niedali nas zabrac, powiedział komendant placówki że znaleźli robotę na stacji i mają co jesc i nie poumierają z głodu. Oni nie chcieli odjechać. Komendant placówki postarał się obileti i wyjechalismy do Kermine. Oni czekali całą noc myśleli że nas zabiorą jutro rano ale myśmy wyjechali w nocy a oni nie wiedzieli kiedy. Komendant napisał do nas list że oni szukali nas cały dzień na stacji po wszystkich lepiankach.

PROTOKUŁ NR 114

Zeznania Eliezera K., lat 13,
syna Bencjona i Elki z Małopolski.
Przybył do Palestyny przez Teheran
w lutym 1943 r.

Ojciec mój był rzeźnikiem. Matka umarła na kilka lat przed wojną. W domu pozostało czworo dzieci: Bajla, lat 18, Brucha,

lat 15, Chana, lat 14 i ja. Ojciec nie chciał ożenić się po raz drugi. Starsza siostra prowadziła gospodarstwo, a ojciec aż do wybuchu wojny pracował w swoim fachu. Na trzeci dzień wybuchu wojny z lasku, który znajduje się w pobliżu naszego miasteczka rozległa się strzelanina. Strzelano w sąsiednim miasteczku i mówiono, że tam znajduje się front. Opowiadano, że w tamtym miasteczku zabito masę ludzi, między nimi dużo Żydów. Mówiono także, że jednego Żyda w czasie modlitwy trafiła kula. Kiedy Niemcy zjawili się w miasteczku, Żydzi zaczęli uciekać. Niemcy strzelali do nich. Jeden głuchy Żyd, który nie słyszał jak Niemcy wołali, żeby stanął, dostał kulą w brzuch. Wypadły mu wszystkie kiszki. Z kiszkami nazewnątrz biegł do domu i padł martwy na progu. Kiedy Niemcy zjawili się w naszym miasteczku, wszyscy Żydzi ukryli się, obawiając się wychodzić na ulicę. Ponieważ Niemcy obcinali wszystkim Żydom brody, ojciec mój nie wychodził na ulicę, nawet później, kiedy można było swobodnie poruszać się na mieście. Na początku Niemcy nie robili nam nic złego. Widząc, że nic nam się nie stanie, zaczęto powoli wychodzić z kryjówek i ludzie zabierali się do zwykłych zajęć. Niemcy w naszym miasteczku pozostali wszystkiego kilka dni, potem wyszli i nadeszli Rosjanie. Kiedy po kilku dniach radio powiedziało, że Rosjanie opuszczają miasto, a kto chce może wraz z wojskiem udać się z nimi i słysząc o tym, co Żydzi wycierpieli w Lubaczowie, gdzie spalono 40 Żydów żywcem, uciekliśmy z miasteczka razem z wojskiem rosyjskim i przybyliśmy do wsi Czitkow. Ojciec nie miał co robić na wsi i zabrał się do handlu. Handlował tytoniem, zapalkami, wódką. Ze wsi woził jedzenie do miasta i przywoził z miasta produkty, których brakło na wsi. Siostra pracowała w pierwszym kołchozie, który Rosjanie założyli. W tym kołchozie niczego nie brakło. Rosjanie zwozili tam wszystko. Jak mówiono we wsi, robili to po to, aby inne wsie pragnęły się zamienić w kołchozy. Po pewnym czasie jednak przestali popierać ten kołchoz, a wszyscy uczestnicy jego pokłócili się rozbiegli po wsiach. W handlu ojcu powodziło się bardzo źle. Śledzono go na każdym kroku. Trudno było kupować towar i trudno było sprzedawać. Na wsi niechętnie sprzedawano produkty. W pociągach dokonywano stale rewizji i ojcu zabrano paczki z towarem kilka razy oraz grożono mu, że jeśli go schwytają na nielegalnym handlu, zostanie skazany na więzienie. Ojciec zaprzestał handlować i żyliśmy z resztek co nam pozostało. Było nam bardzo źle. Nic dziwnego, że kiedy ogłoszono rejestrację na powrót do domu, ojciec był jednym z pierwszych, którzy się rejestrowali. Po kilku tygodniach, w sobotę przed wieczorem, obudził nas stuk kolb do drzwi, zjawili się

agencji NKWD i oświadczyli, że jedziemy do domu. Zawieziono nas na dworzec, załadowano do wagonów towarowych, zaplombowano drzwi i po kilku godzinach ruszyliśmy w stronę Lwowa.

Na zesłaniu

We Lwowie do naszego wagonu napchano jeszcze wiele ludzi, przyczepiono inne wagony i cały pociąg ruszył nazajutrz w nieznanym kierunku. Przez cały czas, od czasu gdy wyjechaliśmy z domu, do granicy rosyjskiej, nie dawano nam jedzenia ani nic do picia. W wagonie panował upał i ścisk. Coraz to kto inny mdlał i zanim dostaliśmy się na tamtą stronę granicy rosyjskiej kilka osób w naszym wagonie umarło. Dopiero potem zaczęto nam dawać po kawałku chleba i trochę zupy. Na każdej stacji, pod surowym konwojem, wypuszczano nas na 15 minut dla załatwienia pierwszych potrzeb. Ojciec mój nie chciał jeść zupy, bo była trefna. W ciągu całego miesiąca nie jadł nic innego oprócz chleba i wody. Po miesiącu przyjechaliśmy na stację, której nazwy nie pamiętam. Wypuszczono nas z wagonu i po spędzeniu dwóch dni na stacji załadowano nas na samochody, które jechały przez góry, lasy, tak że auto ledwo mogło się przedostać. W środku wielkiego lasu stał barak oznaczony nr 74. Powiedziano mi potem, że jest to troicki rejon. W miejscu tym stał tylko jeden barak, innych zesłańców nie było. Byliśmy pierwszymi obywatelami polskimi w tym miejscu. Dopiero po kilku tygodniach postawiono drugi barak i przywieziono stu zesłanych Rosjan. Nie mieliśmy żadnej styczności z tymi zesłańcami. Trzymano ich oddzielnie i nie pozwalano się z nimi porozumiewać. Ojciec pracował w lesie przy piłowaniu drzew za co dostawał 200 gramów chleba dziennie i wodnistą zupę, za którą płacono się 30 kopiejek. Kiedy ludzie zaczęli się skarżyć przed komendantem, że nie wytrzymają, że proszą o powiększenie racji chleba, na to komendant odparł, że jeśli się nie przyzwyczają, to umrą. Starsza siostra pracowała przy oczyszczaniu dróg ze śniegu. Komendantowi wydawała się za małą normą, którą wykonywała siostra i inne kobiety i ustanowił rekordy pracy za co dostawało się zwiększoną porcję chleba. Od tej pracy na akord siostra przeziębila się, wróciła do baraku chora i po dwóch dniach zmarła na zapalenie płuc. Pochowano ją w lesie. Sytuacja nasza pogarszała się do tego stopnia, że codziennie umierało kilku ludzi. Pewnego dnia drzewo pałało jednemu naszemu znajomemu obie nogi i po kilku tygodniach wrócił ze szpitala o kulach. W czasie największego mrozu gnano nas do roboty. W baraku

było bardzo zimno. My, dzieci, chcąc się rozgrzać, podpaliliśmy drzewa i powstał pożar. Zanim zorientowaliśmy się barak stanął w płomieniach. Próbowaliśmy go ugasić śniegiem, ale to nic nie pomogło. Barak spłonął wraz ze wszystkimi naszymi rzeczami. Postawiliśmy nowe baraki, ale musieliśmy spać na gołych deskach, bo poduszki spłonęły i nie mieliśmy się czym nakryć. Nie mieliśmy także bielizny i bardzo z tego powodu cierpieliśmy.

Wojna i amnestia

Nasza sytuacja wraz z wybuchem wojny pogorszyła się znacznie. Zmniejszono racje chleba, powiększono normy pracy. Ojciec był tak osłabiony od ciężkiej pracy i nie jedzenia, że ledwo trzymał się na nogach. Codzień chodziłem z ojcem na robotę, aby mu pomagać. O kupnie zupy w stołówce nie było mowy. Ojciec zarabiał mało, a sprzedawać nie mieliśmy co. Po kilku tygodniach komendant zebrał wszystkich i oświadczył, że obywatele polscy są wolni i mogą jechać do cieplejszych okęgów. Dał nam po kilka rubli i zaświadczenia, ruszyliśmy w stronę Samarkandy. W Samarkandzie nie mieliśmy się gdzie podziać. Spaliśmy na ulicy. Nie było chleba. Po kilku dniach ojciec postanowił pójść na kołchoz. Kołchoz nazywał się „Dymitrow”. Pracowaliśmy na polu przy bawełnie, pracowały nawet dzieci, za to dostawaliśmy 200 grm. zboża dziennie z czego musieliśmy wszyscy żyć. Pewnego dnia dano trochę mąki żytniej. Było to dla nas wielkie święto. Mieszkaliśmy w kibitkach i spaliliśmy na glinianej podłodze. Było tu jeszcze gorzej niż na posesiołku. Głodowaliśmy po całych dniach i ledwo mogliśmy pracować. Po kilku tygodniach Uzbegy oświadczyli nam, że nas nie mogą dłużej trzymać, bo nie mają dla nas jedzenia. Uprosilimy, żeby nas przez krótki czas pozostawili na wsi. Pewnego dnia napadli na nas bandyci i zaczęli do nas strzelać przez okno. Jedna z kobiet wybiegła z kubłem wody, lecz oni myśląc że będziemy strzelać uciekli. Po tym wypadku obawialiśmy się pozostać na wsi i wraz z jedyną żydowską rodziną Fiszłów z Łodzi wróciliśmy do Samarkandy. Nie było dokąd wejść, spaliliśmy na ulicy. Ciągłe nas wyganiał NKWD-owcy na kołchozy. Po kilku tygodniach ojciec znalazł stajnię, w której urządziliśmy się. Pewnego dnia usłyszałem, że w Samarkandzie utworzyła się polska ochronka. Ojciec nie pozwolił pójść do tej ochronki, ale byłem tak wygłodzony, że nie słuchałem ojca, poszedłem sam, powiedziałem że jestem sierotą i przyjęto mnie. Bojąc się ojca wracałem codziennie na noc do domu, tak że ojciec nie wiedział, że jestem w ochronce. Było mi tam bardzo

dobrze. Jedzenia nie brakło, tylko że polskie dzieci często były głodne. Przyjmowałem to pobłażliwie, bo w domu nie ma chleba, i że nie tyle będę syty, ale każdego wieczora zaniosę do domu kawałek chleba, dzięki czemu obie moje siostry będą mogły utrzymać się przy życiu. Ojciec zapytywał mnie, gdzie się podziewam przez cały dzień i skąd mam chleb. Odpowiadałem mu, że pracuję u jednego Żyda w Samarkandzie, który nie tylko daje mi jedzenie, ale pozwala je zabierać do domu. Pewnego dnia powiedziano w ochronce, że wieczorem pewną ilość dzieci odwiezie do Teheranu. Ale ponieważ ciągle się o tym mówiło, nie wierzyłem wcale. I jak zawsze poszedłem do domu spać. Kiedy wróciłem rano, dowiedziałem się że wszystkie dzieci wyjechały w nocy. Rozpłakałem się. Kierownik, który był Żydem uspokoił mnie i powiedział, że pojedzie druga partia dzieci i ja z nią, ale nie wolno mi do domu wracać na noc. Trwało to kilka tygodni. Kierownik zbierał dzieci, pomiędzy którymi byli chłopcy 20-letni zapisywani jako małoletni. My, dzieci żydowskie, przestaliśmy pomiędzy sobą mówić po żydowsku, aby nikt nas nie podejrzewał w drodze, że jesteśmy Żydami. Pewnego dnia ruszyliśmy w drogę. Kiedy pociąg przystanął na stacji w Bucharze, dostrzegliśmy na dworcu wszystkie dzieci żydowskie, które zabrano z pierwszym transportem. Okazało się, że odesłano je do miejsc zamieszkania. Płakały i błagały aby je zabrano z naszym transportem, niektóre chciały się rzucić pod koła pociągu. Nic to jednak nie pomogło, zostawiono je, a my ruszyliśmy dalej. Jak się okazało wszystkie dzieci żydowskie z pierwszego transportu wysadzono z pociągu i pozostawiono na łaskę Boską. Z Buchary przez Krasnowodsk pojechaliśmy do Teheranu, gdzie na początku mieszkałem we wspólnym obozie, a potem przeniesiono mnie do Żydowskiego Domu Sierot i odtransportowano do Palestyny.

Eugeniusz P(.....)

wieś Stefanówka, pow. Kałusz, wojew. Stanisławów.
Rosja — posesiołek Chrystofor, obłaść Archangielska.

Dnia 10 lutego 1940 roku załadowano nas do towarowego wagonu. W wagonie było dużo osób. Dostaliśmy na dziesięć dni jedno wiadro zupy. Na posesiołku brat i matka ciężko pracowali. W niedzielę gdy nie miałem co jeść było mi bardzo smutno. Chodziłem do szkoły. Tu śmiano się i mówiono że Bóg jest zrobiony z brzozy.

Eugeniusz P[...]
wieś Stefanówka, pow. Wołusz wójeu
Stanisławów;
Rozja. posesitek Chrystopor obłuscé
Archangel'ska.

Dnia 16 lutego 1940 roku nakładowano
nas do towarowego wagonu. W wagonie
było dużo osób. Dostaliśmy naobieszyć
dni jedno wiadro zupy. Na posesitku brat
matka cięsrko pracowali. W nieobielę goly
nie miały co jeść byłomi bardzo smutno.
Chodritem do szkoly. Tu śmiarno się i
mówiono że Bóg jest zrobiony z brzozy.

*This photocopy may not be further reproduced and distributed
without the specific authorization of the Hoover Institution.*

O WOLNOŚĆ OBYWATELA I NIEZAWISŁOŚĆ PAŃSTWA

(WYTYCZNE IDEOWE)

Przeszło 5 lat o pełną wolność i niezawisłość walczyła Polska Podziemna — trzon narodu, opierającego się wyniszczającej okupacji niemieckiej. Zbrojne ramię polskiego Państwa Podziemnego — Armia Krajowa w walce tej szczególnie dotkliwie poniosła ofiary, ofiary, które nas, duchowych jej spadkobierców zobowiązują do dalszej uporczywej pracy nad realizacją ideału, który przyświecał naszym poległym towarzyszom broni.

Szósty rok wojennej zawieruchy przyniósł nam wprawdzie uwolnienie z nienawistnego niemieckiego jarzma i wprowadził wielkie zmiany w międzynarodowym położeniu Polski i w jej stanie wewnętrznym, ale wytworzone przez nie warunki życia obywatela polskiego dalekie są od tego obrazu, który mieli przed oczyma ginący żołnierze Polski Podziemnej. Wierni jej testamentowi podejmujemy polityczną walkę o jego urzeczywistnienie. Nie naszą jest winą, że podstawowe prawo wolnego obywatela w demokratycznym państwie — prawo zrzeszania się — musimy realizować w postaci tajnej.

Wobec zaszytych wielkich zmian uważamy za konieczne określenie naszego stosunku do głównych zagadnień polskiego życia publicznego.

I. Polityka zagraniczna Polski

Politykę Polski w stosunku do innych państw i narodów musi cechować trzeźwy realizm w ocenie moralnych i materialnych sił światem rządzących. Nie jest to sprzeczne z twardym obstawaniem przy polskich koniecznościach życiowych. Nasza walka o demokratyczne urządzenie Polski musi być połączona z walką o demokratyczne urządzenie świata tj. o równe *swobody w samodzielnym* zorganizowaniu się demokratycznym u siebie. W tej dziedzinie najbardziej nam bliskie jest pojmowanie wolności i niezawisłości przez społeczeństwa anglosaskie. Pięcioletni nasz sojusz z tymi państwami powinien być i nadal jedną z głównych podstaw naszego bezpieczeństwa.

Za konieczne i pożyteczne uważamy utrzymanie dobrych sto-

sunków politycznych i współpracy gospodarczej ze Związkiem Radzieckim. Należy przy tym pamiętać, by te stosunki układały się przy pełnej równorzędności i niezawisłości Polski.

Poniesione dla ułożenia tych stosunków ofiary terytorialne przekroczyły jednak ramy sprawiedliwości. Utraciliśmy ziemię, których wkład w kulturalne i duchowe życie Polski był wielki, utraciliśmy poważne źródła naftowe, a około 3 milionów Polaków zostało pozbawionych swych wiekowych siedzib. Krzywda ta powinna być wyrównana w drodze układów dalszych i rewizji tych jednostronnych decyzji. Nie jest jej wynagrodzeniem uzyskanie korzystnej granicy zachodniej, gdzie jeszcze jest potrzebny ogromny wkład całej Polski i ogromny wieloletni wysiłek dla utwierdzenia tam naszych interesów politycznych i gospodarczych.

Dla utrzymania równowagi europejskiej konieczne jest, by Polska mogła układać stosunki polityczne ze wszystkimi sprzymierzeńcami na zasadach całkowitej równości i lojalności.

II. Likwidacja Rządu Polskiego na obczyźnie

Przez 5 lat wojny Polska Podziemna w kraju podporządkowywała się lojalnie rządowi polskiemu na obczyźnie, licząc się z legalnością jego władzy, a więc i z jego wskazówkami i poleceniami. Moc prawna tego rządu wygasła, nie formalnie, a faktycznie — przez cofnięcie uznania międzynarodowego. Wywołało to zamieszanie w umysłach i sercach Polaków, żądnych legalnego kierownictwa w wielkim wysiłku realizowania narodowych celów społecznych, gospodarczych i politycznych. Rozsądna i śmiała decyzja dotychczasowych kierowników politycznych życia podziemnego kraju ułatwiła wyjście z niejasnej i trudnej sytuacji: Rada Jedności Narodowej rozwiązała się 1 lipca br., aby wchodzącym w jej skład stronnictwom demokratycznym dać możliwość wyjścia na drogę jawnej współpracy z Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej i jawnej walki o swe cele. W ślad za tym Delegat Sił Zbrojnych na Kraj rozkazem z dnia 6 sierpnia br. zarządził likwidację sieci organizacyjnej w przekonaniu o zmienionych przez likwidację rządu emigracyjnego podstawach prawnych i moralnych organizowania się sił zbrojnych odradzającej się Rzeczpospolitej.

Polska Podziemna raz jeszcze złożyła tym dowód swego myślenia konruktywnego i realnego.

Głównym następstwem likwidacji rządu na obczyźnie jest ostateczne i niedwuznaczne skoncentrowanie się w kraju kierownictwa losami Narodu.

III. Emigracja

Powyższy realny fakt muszą zrozumieć emigracyjne koła polityczne i rzesze Polaków na obczyźnie. Miernikiem naszej zdolności do bytu państwowego jest dziś dla całego świata nasza zdolność do wewnętrznego urzędowania Rzeczpospolitej. Żądamy więc *szybkiego powrotu emigracji wojennej do kraju* i wzięcia przez nią udziału w jego odbudowie i urzędowaniu. Z głęboką troską przyjmujemy wiadomości o nurtujących emigrację tendencjach dłuższego masowego pozostawiania poza krajem. Powrót do kraju — w jakichkolwiek trudnych nie odbywałby się warunkach — jest spełnieniem obowiązku społecznego wobec czekających na pracę opuszczonych warsztatów gospodarczych, placówek społecznych i politycznych.

Z drugiej jednak strony potępiamy, jako niezgodne z podstawowymi zasadami demokracji odbieranie komukolwiek możliwości, czy prawa powrotu z tytułu jego przekonań politycznych. Bez względu na swe przekonania każdy Polak musi mieć możliwość bezpiecznego i spokojnego zamieszkiwania w kraju. Ten, którego się osobiście oskarża, musi mieć prawo publicznego rozpatrzenia zarzucanych mu win przez sąd, działający zgodnie z prawomocnie uchwalonymi ustawami.

IV. Ustrój i życie wewnętrzne Polski

Polska podziemna od lat kilku opracowała już plany przebudowy gospodarczej i społecznej kraju. To czego dokonywuje Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej jest w wielu zasadniczych rysach przechwyceniem haseł i rozwinięciem programu sformułowanego przez polskie demokratyczne ugrupowania podziemne w uchwale Rady Jedności Narodowej z dnia 15 marca 1944 roku, poprzednio bardziej ogólnie w Deklaracji Rządu gen. Sikorskiego z dnia 24 lutego 1942 roku. Jednak praktyczna realizacja przebudowy daleko odbiega od teoretycznych postanowień Rządu i KRN, a to z braku szczerości przy wykonywaniu i z chęci osiągnięcia przy tym celów politycznych jednej partii. Cierpi na tym przede wszystkim podstawowe prawo wolności obywatelskiej, jak wolność słowa, przekonań politycznych, zrzeszania się oraz realizacji tak drogich dla każdego prawdziwego Polaka ideałów chrześcijańskich.

W rzeczywistości oficjalnie istniejące ugrupowania polityczne, znajdują się pod totalistyczną dyktaturą jednej partii, kierującej życiem kraju wbrew woli większości obywateli, a znajdującą główne poparcie nie w społeczeństwie polskim, lecz w obcej sile. Wszelkie próby przerwania tego stanu są paraliżowane przez czynniki rządowe i określane jako działalność rozłamowa, bądź

reakcyjna, choć nie ma ona nic wspólnego z opartą na błędnych założeniach działalnością antydemokratyczną ugrupowań skrajnych.

Szczególnie dokuczliwy dla obywatela jest brak ochrony prawnej przed bezprzykładną samowolą, kierowaną przez obce czynniki służby bezpieczeństwa. Organy sprawiedliwości nic w tym kierunku nie robią, bądź nawet występują się organom policyjnym.

Polska jest dziś państwem rządzonym przez praktycznie nieodpowiedzialne organy bezpieczeństwa. Są one bardziej przez społeczeństwo znieawidzone, niż swego czasu występująca się okupantowi granatowa policja. Tym bardziej haniebne jest odkomenderowywanie do funkcji policyjnych narodu wojska i wcielanie go do „Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego”.

Gruntowna i szybka zmiana uprawnień i metod pracy organów bezpieczeństwa musi być naczelnym zadaniem całej prawdziwej demokracji polskiej.

Łamiąca wolność i urągająca zasadzie suwerenności działalność organów bezpieczeństwa wywołuje w społeczeństwie samoobronę często w zbyt ostrej formie.

V. Wybory powszechne

Za jedyną drogę słuszną i wiodącą do zaprowadzenia w kraju zdrowych stosunków uważamy przeprowadzenie uczciwych, demokratycznych wyborów do ciał ustawodawczych i ujawnienie w ten sposób prawdziwego oblicza i dążeń społeczeństwa. Nie sięgamy sami po mandaty poselskie, ale wytyżymy wszystkie siły, *aby znalazły się one w rękach prawdziwej polskiej demokracji.*

Żądamy, aby wybory były poprzedzone wprowadzeniem wolności zrzeszania się, prasy i propagandy wyborczej, usunięciem z kraju obcej policji tajnej, oraz wyjścia z kraju obcych wojsk.

Żądamy kontroli przeprowadzenia wyborów przez urządzające świat mocarstwa, gdyż w obecnych okupacyjnych warunkach jest to konieczne dla uzdrowienia naszych stosunków wewnętrznych.

WYBORÓW SFALSZOWAC NIE DAMY!!

Do wspólnej walki o uczciwe wybory powszechne wzywamy wszystkich prawdziwych demokratów polskich.

GŁÓWNY KOMITET WYKONAWCZY ZRZESZENIA „WOLNOŚĆ I NIEZAWISŁOŚĆ”

ZE WSPOMNIENIŃ OBROŃCY: KARIERA ARTYKUŁU 23 *

*Ogromne wojska, bitne generały,
Policje tajne, widne i dwu-pleciowe —
Przeciwko komuż tak się pojednały?
Przeciwko kilku myślom... co nie nowe!...*

Norwid

W latach 1957-1958 przewaliła się fala rewizji procesów stalinowskich — rozpoczęła się kariera art. 23 m.k.k.

W toku likwidacji „października” ożywiła się działalność organów ścigania — art. 22, 23 i 24 m.k.k. stały się głównym instrumentem dławienia niezależnej myśli i do dziś nie straciły swojej aktualności.

Warto się przyjrzeć bliżej przepisom, które — choć w formie nieco zmienionej przez kodeks karny z roku 1969 — przetrwały i nadal stanowią zagrożenie. Wprowadził je dekret z dnia 13 czerwca 1946 o „przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa zwany małym kodeksem karnym, w skrócie m.k.k. Dla ułatwienia przytaczam tekst:

„Art. 22. Kto rozpowszechnia fałszywe wiadomości mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego bądź obniżyć powagę jego naczelných organów

podlega karze więzienia do lat 5 lub aresztu.

Art. 23 § 1. Kto rozpowszechnia lub w celu rozpowszechniania sporządza, przechowuje lub przewozi pisma, druki lub wizerunki nawołujące do popełnienia zbrodni lub pochwalające zbrodnię lub których treść ma pozostać tajemnicą wobec władzy państwowej albo które zawierają fałszywe wiadomości, mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego bądź obniżyć powagę jego naczelných organów

podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 3.

§ 2. Jeśli czyn określony w paragrafie poprzednim spowoduje wielką szkodę dla Państwa, sprawca podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 5 lub więzienia dożywotniego.

Art. 24 § 1. Kto przechowuje pisma, druki lub wizerunki wymienione w art. 23

podlega karze więzienia do lat 5.

* ZAPIS nr 8, październik 1978.

§ 2. Nie popełnia przestępstwa, kto przechowuje takie przedmioty w celach usprawiedliwionych jego zawodem”.

Najczęściej spotykaliśmy się w procesach z zarzutem rozpowszechniania „fałszywych wiadomości”. Motywy ustawodawcze do m.k.k. głoszą, że przedmiotem inkryminacji mogą być tylko „wiadomości”, a więc informacje o faktach, nie zaś krytyki, poglądy i opinie lub oceny. Praktyka sądów była jednak wręcz sprzeczna z tą zasadą. Sąd Najwyższy stanął na stanowisku, że przez wyraz „wiadomości” należy rozumieć wszelkie informacje dotyczące wydarzeń przeszłych, teraźniejszych, a nawet przyszłych bez względu na ich postać zewnętrzną. Nie są nimi krytyki, opinie i oceny, chyba że pod ich postacią przemycą się obiektywne informacje. Oto worek, do którego można wrzucić wszystko. Giętkie i mętne sformułowanie pozwala na penalizację każdej wypowiedzi uznanej za nieprawomyślną. Za kryterium fałszu przyjmuje się jej niezgodność z obowiązującą na danym etapie linią partii. W ten sposób kształtuje się walka z „wrogą propagandą”.

Stynne były w okresie stalinowskim tzw. szeptanki — procesy o opowiadanie dowcipów i anegdot, czasem pełnych *esprit*, czasem wręcz głupich i naiwnych, lecz z natury rzeczy nie zawierających żadnych „wiadomości” — ani prawdziwych, ani fałszywych.

Cała literatura emigracyjna uznana została za stek „fałszywych wiadomości” i to nie tylko prace czy artykuły o treści politycznej — utwory Gombrowicza, Miłosza, poezje Lechonia, Wierzyńskiego, Hemara, a w szczególności *Kultura* paryska była *bête noire*.

O rozpowszechnianie wydawnictw emigracyjnych były oskarżone Hanna Rewska i Anna Rudzińska, której broniliśmy razem z adw. Ludwikiem Cohnem.

Mówiłam w sprawie Rudzińskiej, że wychodzi pismo *Kultura* w Warszawie i pismo *Kultura* w Paryżu, ale kultura polska jest jedna, jedność ta przetrwała rozbiory, kordony graniczne, liczne emigracje i cenzury różnorakiego autoramentu, a o tym, czy inkryminowane utwory staną się częścią tej jedności, nie zadecyduje żaden wyrok sądowy.

Piszę o tym szczególnie dlatego, że p. prof. Maria Ossowska, która była obecna na sali jako mąż zaufania Rudzińskiej, odniosła wrażenie, że w tym momencie sędziowie byli wyraźnie zażenowani. Słyszałam, że potem rozmawiano w sądzie o tych moich argumentach. Dyscyplina partyjna nie pozwalała sędziom uznać racji tych wywodów, jednakże w procesie Anny Rudzińskiej uciekli od kwalifikacji z art. 23 i skazali ją za przestępstwo z art. 24, co pozwoliło im wymierzyć karę jednego roku więzienia zamiast minimum kary 3 lat z art. 23, jak żądał prokurator.

Dalsze zagadnienie łączy się z pojęciem istotnej szkody dla interesów Państwa — tu sądy nie miały żadnej wątpliwości, każda wypowiedź krytyczna mogła, według nich, taką szkodę spowodować.

wać, obojętne czy była to poważna praca na tematy ekonomiczne lub socjologiczne, powieść lub wiersz, czy też głupi dowcip.

Wreszcie kwestia zamiaru sprawcy. Art. 22-24 przewidują przestępstwa umyślne. Według zasad kodeksowych, w przedmiocie winy sprawca musi sobie zdawać sprawę, że wiadomość, którą rozpowszechnia, jest fałszywa, oraz z tego, że może ona wyrządzić szkodę interesom Państwa, albo przynajmniej z taką możliwością się liczyć. W tej materii sądy okazywały prawdziwą nonszalancję — w ogóle nie zajmowały się w wyrokach podmiotową istotą przestępstwa. A ludzie skazywani z art. 22-24 przecież prawie zawsze są przekonani o słuszności i prawdziwie tego, co głoszą. Kuroń i Modzelewski napisali swój List Otwarty z głęboką wiarą w słuszność swych ówczesnych poglądów, Jan Badowski był z przekonania trockistą i tych przekonania bronił. January Grzędziński i Jan Nepomucen Miller wyrażali w swych utworach własne opinie. Liczne były procesy świadków Jehowy, gdyż zdaniem sądów, ich pisma zawierały „fałszywe wiadomości”, a przecież były one wyrazem ich wiary.

Przytaczaliśmy w obronach te argumenty, ale sądy nawet się nie fatygowwały, aby się z nimi rozprawić.

Zgodnie z przyjętą interpretacją pojęcia rozpowszechniania, zbrodnia przewidziana w art. 23 mogła być popełniona przez wręczenie jednej osobie pojedynczego egzemplarza pisma lub druku. Nawet prywatny list mógł być przedmiotem inkryminacji, jeżeli istniało prawdopodobieństwo przekazania go innym osobom. Miałam klienta, który przesiedział się kilka tygodni z powodu listu do znajomego zamieszkałego za granicą. W liście przejętym przez cenzurę donosił o pewnym zjawisku antysemitycznym. Śledztwo musiano umorzyć, gdyż istniały dowody, że wiadomość była zgodna z opisanym stanem faktycznym. Mogło to zatem być niewygodne w procesie.

Wreszcie parę słów o art. 24. Dziwaczny był to przepis (nie ma go już w kodeksie karnym z 1969 roku). Przewidywał on karę więzienia do lat 5 za posiadanie pism i druków wymienionych w art. 23 niezależnie od zamiaru posiadacza co do ich przeznaczenia — przy czym według orzecznictwa, wystarczył jeden egzemplarz. W ten sposób podlegał karze, kto posiadał „nielegalną” książkę w swej bibliotece.

Mimo uchylenia tego przepisu przez kodeks karny z 1969 roku organa MSW konfiskują wydawnictwa emigracyjne, a także inne niedozwolone przez cenzurę pisma i druki, gdzie tylko je znajdują. Powołują się przy tym na zarządzenia Głównego Urzędu Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk zakazujące debitu wymienionych w tych zarządzeniach wydawnictw. Jest to wyraźne bezprawie. Zarządzenie nie może być podstawą konfiskaty, bowiem w myśl art. 74 §3 Konstytucji PRL przypadek mienia może nastąpić tylko w przypadkach przewidzianych ustawą (nie zarządzeniem) na podstawie prawomocnego orzeczenia. Jednocześnie wszelkie wnioski o zwrot zabieranych w toku rewizji książek pozostają

bez uwzględnienia. Jest to ingerencja w prywatne życie człowieka, który posiada w swej bibliotece książkę do osobistego użytku. Pozbawienie go tej książki jest pogwałceniem wolności czytania, prawa człowieka, które wprawdzie w tym ujęciu nie figuruje w żadnym katalogu, pakcie czy deklaracji, lecz jest samo przez się zrozumiałe jak prawo do patrzenia, słuchania czy myślenia. Po wejściu w życie Paktu praw politycznych i obywatelskich praktyki te stały się nadto rażąco sprzeczne z przepisem art. 19 ust. 2 tego paktu, głoszącego, że „wszyscy mają swobodę otrzymywania i rozpowszechniania informacji i poglądów pismem i drukiem oraz w formie dzieł sztuki”.

Piszę o artykułach 22-24 m.k.k. w czasie przeszłym — nie jest to jednak całkowicie słuszne. Mały kodeks karny został uchylony, ale odpowiednie przepisy, oprócz art. 24, znalazły się w zmodyfikowanej formie w nowym kodeksie karnym i bynajmniej nie przestały być groźne.

W maju 1977 przedstawiono aresztowanym członkom i współpracownikom Komitetu Obrony Robotników zarzut popełnienia przestępstwa z art. 273 K.K. przez rozpowszechnianie „fałszywych wiadomości — kara więzienia do lat 10, a ponieważ w myśl zarzutu przestępstwo miało być popełnione czynem ciągłym, kara mogła sięgać i lat 15.

W tym okresie jednak proces byłby dla władz kłopotliwy. Składały się na to różne przyczyny. Zaważało stanowisko Episkopatu, interwencje seniorów KOR-u, którzy dobijali się do Generalnej Prokuratury biorąc na siebie solidarną odpowiedzialność z uwięzionymi, interwencje PEN-Clubu i prezesa Związku Literatów w sprawie Jana Józefa Lipskiego, apele zagranicznych intelektualistów i związków zawodowych, wstawiennictwo prezesa Międzynarodówki Socjalistycznej, Willy Brandta i wreszcie głos Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wybrnięto z niewygodnej sytuacji przez wprowadzenie do ustawy amnestyjnej z 22. VII. 1977 specjalnego przepisu, który pozwolił na umorzenie postępowania. Tym niemniej próbowano uderzyć działaczy opozycji przepisem art. 273 K.K.

Wspomnieć tu jeszcze, być może, warto, że w „Nowym Prawie”, organie Ministerstwa Sprawiedliwości, w numerze IX (wrześniowym) 1977 ukazał się artykuł Stanisława Hoca pt. „Wroga propaganda w świetle polskiego prawa karnego”. Nie wnosi on w tej materii absolutnie nic nowego i napisany został chyba właśnie w tym celu, aby powtórzyć tezy stosowane przez orzecznictwo PRL jeszcze w okresie „błędów i wypaczeń”. Nic się zatem w tej materii nie zmieniło.



Po raz pierwszy w tej serii procesów broniłam w sprawie Hanny Rewskiej w Sądzie Najwyższym w dniu 19. VI. 1959. Hanna Rewska skazana została na trzy lata więzienia wyrokiem Sądu

Wojewódzkiego dla m. Warszawy za przestępstwo z art. 23 m.k.k. popełnione przez rozpowszechnienie *Kultury* paryskiej i wydawnictw Instytutu Literackiego w Paryżu. Od tego wyroku odwołał się jej obrońca, adw. Biejat. W Sądzie Najwyższym sprawa trafiła do sędziego Mieczysława Szerera jako referenta.

Sędzia Szerer stanął na stanowisku, że nie ma się co bawić, należy Rewską zwolnić z więzienia, ale nie uniewinnić, bo wtedy zachodziłoby niebezpieczeństwo rewizji nadzwyczajnej. Rewska była ciężko chora i bardzo źle znosiła więzienie. Sąd Najwyższy zmienił zatem kwalifikację — skazał ją za przestępstwo z art. 22 i 24 m.k.k., wymierzył karę łączną półtora roku więzienia i wykonanie tej kary zawiesił na lat 3. Rewska wyszła na wolność.

Akt oskarżenia, fragmenty przesłuchania, opinia biegłego, wyroki I i II instancji zostały opublikowane w wydawnictwie dokumentów Instytutu Literackiego w Paryżu pt. „Sąd orzekł”. Sprawa Rewskiej nie skończyła się jednak na tym etapie.

Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego, prof. Jan Wasilkowski, wniósł rewizję nadzwyczajną od wyroku II instancji, domagając się uchylecia tego wyroku i przywrócenia mocy wyrokowi Sądu Wojewódzkiego skazującemu Rewską na 3 lata więzienia na podstawie art. 23 m.k.k.

W tym stadium sprawy koledzy z Klubu Krzywego Koła, którego Rewska była członkiem, zwrócili się do mnie o obronę. Porozumiałam się z adw. Biejatem, który chętnie zgodził się na współpracę i pożyczył mi swoje akta. Były w nich odpisy i aktu oskarżenia, i protokołu rozprawy, i obu wyroków, i rewizji nadzwyczajnej, a więc komplet — mogłam na tym poprzestać. Byłam jednak nauczona, że nie wolno pójść na rozprawę bez przejrzenia tzw. „żywych akt”. Usiadłam więc nad nimi w pokoju adwokackim Sądu Najwyższego i nagle doznałam olśnienia — w aktach brak było uzasadnienia wyroku Sądu Wojewódzkiego — był tylko brulion odręczny z poprawkami poczynionymi innym atramentem, być może, inną ręką — bez żadnego podpisu. Trzy razy przekartkowałam cały tom — nie, nie pomyliłam się, istotnie nie było uzasadnienia. Obrońcy, adw. Biejatowi — doręczono urzędowy odpis sentencji wyroku wraz z uzasadnieniem zaopatrzone u dołu pieczętką „na oryginale właściwe podpisy”. Taki sam odpis znajdował się w aktach Sądu Najwyższego — ale oryginału w aktach nie było. Domyślałam się, że go wypożyczono, pewnie MSW, i gdzieś się zapodział, ale co mnie to obchodzi — mam znakomity argument — rewizja nadzwyczajna domaga się przywrócenia mocy wyrokowi Sądu Wojewódzkiego, ale przecież nie można przywracać mocy czemuś, co w całości nie istnieje.

Stajemy w obronie Rewskiej we trójkę — adw. Biejat, doproszony do sprawy adw. Michał Brojdes, znany z ciętego języka, i ja. W komplecie sądzącym zasiada siedmiu sędziów Sądu Najwyższego, gdyż sprawa toczy się w trybie rewizji nadzwyczajnej.

Kiedy weszłam na salę sądową w dniu 19 czerwca 1959 roku, zrobiło mi się ciemno przed oczami i opanowała mnie straszliwa trema — Klub Krzywego Koła zorganizował „widownię”. W pierwszym rzędzie ławek prof. Kotarbiński i jego żona, prof. prof. Maria Ossowska i Stanisław Ossowski, Edward Lipiński, Józef Chałasiński, Leszek Kołakowski, za nimi świta docentów i asystentów, nadto Parandowski, Paweł Jasienica, Przyboś, i Klub Krzywego Koła *in corpore*.

Po raz pierwszy polscy intelektualiści przyszedli w takim gronie na rozprawę zademonstrować sądowi swoje stanowisko.

Pusta zwykle sala Sądu Najwyższego tym razem była szczelnie wypełniona, przybiegli adwokaci i sędziowie, zainteresowani co też tu się dzieje, woźni wnosili dodatkowe ławki.

Trudno, trzeba było to wytrzymać. Miałam sporo czasu, aby się opanować, sąd dał na siebie długo czekać — widocznie toczyły się przez ten czas jakieś ważne rozmowy telefoniczne, wreszcie przez korytarz szybkim krokiem przebiegł do swego gabinetu prezes Wasilkowski i po kilku minutach rozprawa się zaczęła. Sędzia przewodniczący krótko zreferował sprawę i zwrócił się do stron ze zwykłym zapytaniem, czy życzą sobie uzupełnienia referatu. Wstałam i prosiłam o stwierdzenie, że w aktach brak uzasadnienia wyroku pierwszej instancji. Przewodniczący spojrzał na mnie ze zdziwieniem i gorączkowo zaczął przewracać karty — po czym stwierdził, że istotnie uzasadnienia nie ma. Surowo spytał, dlaczego obrońcy wcześniej nie zawiadomili o tym sądu. Odpowiedziałam, że sekretariat doręczył obrońcy oficjalny odpis w swoim czasie, zarówno obrona jak i Sąd Najwyższy ulegli czarowi pieczętki. W obecnym zaś stadium sprawy zgłaszamy zarzut proceduralny.

Za plecami usłyszałem sceniczny szept prof. Lipińskiego: „I tu także brakoróbstwo”.

Prokurator nie zareagował na ten zarzut, ograniczył się do wygłoszenia jednego zdania: „Popieram rewizję nadzwyczajną Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego”. Obrona żądała uchylecia wyroków obu instancji, a ponieważ Sąd Najwyższy miał przed sobą cały materiał dowodowy, wnosiliśmy o merytoryczne osądzenie sprawy i uniewinnienie Rewskiej.

Była ona postacią naprawdę wzruszającą (zmarła parę lat temu). Jako młoda dziewczyna, wówczas jeszcze Szarzyńska — żołnierz AK, łączniczka Parasola, osobiście przeprowadziła inwigilację Kutschery i wzięła udział w zamachu. To ona stała w Alejach Ujazdowskich obok dowódcy akcji „Lota” (Bronisława Pietraszewicza), naprzeciw miejsca, w którym zatrzymano samochód Kutschery, i odbierała sygnalizację od ustawionych na trasie przejazdu łączniczek. Złożyliśmy do akt broszurę Marka Dunin-Wąsowicza z opisem przebiegu akcji.

Poruszyliśmy mnóstwo zagadnień prawnych, politycznych i

moralnych. Kol. Brojdes cytował obszerne fragmenty mów Gomułki z października, jego zapowiedzi i obietnic jakże sprzecznych z tezami oskarżenia. Spodziewaliśmy się repliki prokuratora, ale prokurator nawet się nie odezwał.

Sąd po naradzie odroczył ogłoszenie wyroku o trzy dni. W tym terminie ku naszemu zdumieniu ogłosił nie wyrok, lecz postanowienie:

„W związku z podnoszonymi przez obronę zarzutami:

- 1) rozprawę odroczyć,
- 2) zażądać od Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy wyjaśnienia, czy znajdujące się w aktach pismo zatytułowane uzasadnienie pochodzi od sędziego przewodniczącego i odpowiada woli składu sądującego”.

Nie wszyscy sędziowie zgodzili się z tym postanowieniem — sędzia Dźbikowski założył *votum separatum*.

Było to bowiem dziwaczne wybrnięcie z sytuacji, sprzeczne z procedurą, zmierzające do jakiejś łataniny — okazało się jednak, że wybrnąć nie było tak łatwo. Po paru miesiącach prezes Wasilkowski wycofał rewizję nadzwyczajną. Rewska pozostała na wolności.

Wspominam tę sprawę z przyjemnością, nie często zdarza się wykryć taki cud w aktach. Sędziowie byli ze mnie bardzo niezadowoleni; jeden z nich powiedział później, że rzuciłam w nich kamieniem i „broniłam demagogicznie”.

Represje z powodu wrogiej propagandy nasiliły się po ukazaniu się wiosną 1964 roku słynnego listu 34 pisarzy i naukowców, wskazującego na to, że polityka wydawnicza i działalność cenzury zagrażają rozwojowi kultury narodowej. List został opublikowany przez rozgłośnie zagraniczne, odezwali się intelektualiści zachodni. Reakcja władz partyjnych i rządowych w Polsce była gwałtowna, rozpętała się istna burza. Egzekutywa organizacji partyjnej Związku Literatów wystosowała do wszystkich członków Związku list z wezwaniem o podpisanie pisma protestującego przeciwko mieszanemu się w „wewnętrzne” sprawy polskie. Część literatów złożyła swe podpisy — inni odmówili.

Represje związane z listem 34 rozpoczęły się natychmiast po odczytaniu go przez rozgłośnie zagraniczne rewizją i zatrzymaniem Jana Józefa Lipskiego pod zarzutem popełnienia przestępstwa z art. 23 m.k.k. Nie był on podpisany pod listem, ale uczestniczył w zbieraniu podpisów. Łatwiej było uderzyć młodego pisarza niż ludzi o bardzo znanych nazwiskach.

Dzięki błyskawicznej interwencji prof. Marii Ossowskiej, Antoniego Słonimskiego i Stefana Kisielewskiego, którzy oświadczyli, że przyjmują na siebie pełną odpowiedzialność — udało się Jana Józefa Lipskiego wyciągnąć z aresztu.

Na jesieni 1964 odbył się proces Melchiora Wańkowicza,

wszczęto śledztwo przeciwko Janowi Nepomucenowi Millerowi, Januaremu Grzędzińskiemu.

Odezwało się też młodsze pokolenie i latem 1965 odbyły się procesy Karola Modzelewskiego i Jacka Kuronia, Ludwika Hassa, Jana Badowskiego i Romualda Śmiecha — wszystkie z art. 23 m.k.k., wszystkie zakończone wyrokami skazującymi.

Śledztwo przeciwko Janowi Nepomucenowi Millerowi i prawie równocześnie przeciwko Januaremu Grzędzińskiemu toczyło się o publikowanie artykułów w literackich pismach emigracyjnych*.

W sprawie Grzędzińskiego zaszedł fakt znamieny, że znaczenia którego nie zdawałam sobie wówczas sprawy — został on przez organa śledcze poddany badaniu psychiatrycznemu. Nie mam u siebie akt tej sprawy, zabrał mi je Grzędziński, ale pamiętam ją dobrze. Na polecenie organów śledczych prof. Helena Flatau-Kruszewska zbadała Grzędzińskiego i wydała orzeczenie, że „p. Grzędziński wykazuje lekkomyślny stosunek do życia i nie docenia pobłażliwości władz PRL”, należy przeto poddać go obserwacji w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

January Grzędziński, niegdyś członek Związku Walki Czynnej i „Strzelca”, oficer Legionów i pułkownik Wojska Polskiego — odpowiedział dr. Flatau-Kruszewskiej: „Temu lekkomyślnemu stosunkowi do życia zawdzięczam swoje *Virtuti Militari*”.

Od tego orzeczenia odwołałam się do Sądu, załączając zaświadczenie Poradni Zdrowia Psychicznego stwierdzające, że Grzędziński nie wykazuje żadnych objawów zaburzeń psychicznych. Wnosiłam o powołanie nowych biegłych wobec sprzeczności orzeczeń. Sąd był niezdecydowany i sprawę odroczył. Tymczasem Grzędziński z innego powodu — zdaje się, jakiegoś ataku nerkowego — położył się w szpitalu przy ul. Grenadierów; tam zjawili się funkcjonariusze MSW żądając przeniesienia go do zakładu dla psychicznie chorych.

Dyrektor szpitala, prof. Marian Tulczyński, odmówił zezwolenia na zabranie chorego, zawezwał wybranych przez siebie psychiatrów, którzy orzekli, że nie ma powodów do umieszczenia Grzędzińskiego w szpitalu psychiatrycznym. I na tym się skończyło. Śledztwo się wlekło, lecz po jakimś czasie zostało umorzono.

Znacznie później zrozumiałam, że orzeczenie dr. Flatau-Kruszewskiej było wzorowane na praktyce policyjnych psychiatrów radzieckich.

Aniela STEINSBERGOWA

* Artykuły płk. Grzędzińskiego były publikowane w *Kulturze* a jego książka „Maj 1926” była wydana przez Instytut Literacki. Płk Grzędziński przyjaźnił się z redaktorem *Kultury* jeszcze w okresie międzywojennym. — (Red.).

RELACJE GEN. SKŁADKOWSKIEGO

„... A ponieważ jesteśmy w Palestynie, w ziemi, o której uczyliśmy się z świętej Księgi Biblii, iż ziemia ta została dana Żydom na wieczne czasy przez samego Boga, spójrzmy choćby pobieżnie jak wyglądała w Polsce Komendanta — sprawa żydowska.

Po przewrocie majowym, w jesieni roku 1926, przekonałem się, iż w Polsce istnieje 600 tysięcy Żydów, którzy nie mają obywatelstwa Polskiego, gdyż uciekli do Polski z Ukrainy, Litwy i Krajów Nadbałtyckich, przed prześladowaniami Kołczaka, Denikina i Petlury.

Ludzie ci nie mieli polskich paszportów i musieli brać przepustki, przy przekraczaniu granic powiatu swego zamieszkania, byli więc w Polsce obywatelami drugiej klasy. Gdy zameldowałem to Marszałkowi Piłsudskiemu, oświadczył krótko, iż Polski nie stać na obywateli drugiej klasy, którzy nie mogą być do niej uczuciowo przywiązani, i rozstrzygnął, iż wszyscy, a więc 600 tysięcy Żydów, niepolskiego pochodzenia, mają dostać polskie paszporty i stać się pełnoprawnymi obywatelami polskimi. Tak też zostało zrobione.

Jeżeli uprzytomnimy sobie, że obecnie cały jeden kontynent świata uchwała, iż przyjmie 150 dzieci żydowskich, ale że te biedne dzieci wojenne mają być zdrowe i dobrze utrzymane, to wtedy dopiero widzimy piękny stosunek Polski Piłsudskiego do wszystkich Jej mieszkańców, bez różnicy narodowości i wyznania.

Sprawa tych 600 tysięcy Żydów bez paszportu, na pewno nie jest wszystkim Państwu znana, gdyż w Polsce Komendanta ze sprawy sprawiedliwej pomocy Żydom nie robiono trąby propagandowej dla prac Rządu Polskiego”.

Fragment przemówienia gen. Składkowskiego na akademii ku czci Marsz. Piłsudskiego 19 marca 1944 roku w ówczesnej Palestynie.

„Nie będę jeszcze raz szczegółowo opowiadał o nadaniu w roku 1926 obywatelstwa polskiego i paszportów 600.000 Żydom, wypędzonym z Rosji, ani też o przyjęciu w roku 1939 przez obóz w Zbąszyniu 15-tu tysięcy wyrzuconych z Niemiec pod ogniem karabinów maszynowych. Oba te fakty świadczą wymownie o stosunku Rządu Polskiego do Żydów za czasów mego urzędowania”.

(Z artykułu gen. Składkowskiego w *Nowinach Izraelskich*, pt.: „Żydzi i ja”. Tel Aviv, 9. 7. 1954).

WSPOMNIENIA

Bronisław KRZYŻANOWSKI

KAMPANIA WRZEŚNIOWA W OCZACH DOWÓDCY PLUTONU

PRZEDMOWA

Od urodzenia byłem przysięgłym cywilem — jeżeli nie od razu z osobistego przekonania, to z moich stosunków rodzinnych, z poglądów otoczenia i nastrojów całego bliższego środowiska. W tym duchu upłynęła mi reszta życia i nie ma widoków, bym przed śmiercią miał zmienić ten utrwalony światopogląd.

Jednakże żyjąc w Europie, w pierwszej połowie XX-go wieku, nie miałem żadnej możności nie stykać się z tymi wojnami, które w tym czasie ogłuszająco przegrzmiwały nad naszym kontynentem, przenosząc się daleko poza jego granice. Urodziłem się przy zakończeniu wojny japońskiej. Ta która wybuchła niespełna w dziesiątek lat potem — Pierwsza Wojna Światowa — nie zastała mnie jeszcze zdolnego do wzięcia w niej czynnego udziału.

Międzywojenny okres istnienia Polski — tak nasycony w życiu narodu armią i jej sprawami — ograniczył się dla mnie do tego minimum, którego państwo wymaga od młodego obywatela płci męskiej — odbycia zwykłej służby wojskowej. Dopiero Druga Wojna Światowa nie obyła się bez mego udziału.

Każdemu przyjdzie na myśl, że sądząc po zakresie mego przygotowania militarne go, nie musiał to być udział zbyt wybitny. W samej rzeczy, nie ma co spodziewać się szerokich horyzontów po mojej relacji z Kampanii Wrześniowej — z wojny oglądanej spojrzeniem dowódcy plutonu.

Natomiast dalszy ciąg Drugiej Wojny Światowej oglądałem w innym aspekcie. Po Kampanii Wrześniowej zdjęłem mundur i już go więcej na grzbiecie nie uświadczyłem. Bezmundurowa

wojna konspiracyjna, mimo całej swej ostrości i intensywności, lepiej przylegała do moich cywilnych upodobań i prywatnych nawyków. Toteż w odczuciu moim, przede wszystkim liczy się nasz konspiracyjny wkład w wojnę — wkład osiągnany przez zespół ludzi o cywilnych ubraniach i nie mniej cywilnych ujęciach wojennej rzeczywistości. Zespół ten tworzył jednak niezgorszy oddział wojskowy.

Utrwalenie na piśmie tego dość szczególnego układu stosunków militarnych od początku leżało mi na sercu. Od zarania oddziału prowadzona była kronika jego czynności. Nie było to poczynanie konspiracyjnie bezpieczne, toteż stosowano tu daleko idące środki ostrożności przy pisaniu i przechowywaniu manuskryptu. Ten tekst rozrośnięty w sumie do wielu stron maszynopisu, stanowił podstawę moich wspomnień z działań konspiracyjnych, które ukazały się jednocześnie w książce pt. „Matecznik Wileński” wydanej przez Instytut Literacki w Paryżu w ramach „Biblioteki Kultury”.

MODLIN

Otarłem się po raz pierwszy o armię w wieku wcale już dojrzałym: kiedy w lipcu 1931 roku powołano mnie do wojska, miałem 25 lat skończonych. Był to najdalszy kres, do którego można było w tym czasie uzyskiwać odroczenie służby wojskowej z powodu studiów.

Studia te zaś były jeszcze wciąż w toku. Politechnika w epoce międzywojennej, była przydługim i przyciężkim przedsięwzięciem dla młodego człowieka, który puścił się na drogę zgłębiania dyscyplin technicznych. Tzw. półdyplom miałem już wówczas za sobą, ale dyplom rysował się jeszcze dość mgliście i w pewnej odległości. W tych warunkach przymusowe przerwanie studiów na rok zdawało się przeraźliwą szczerbą, nie tak całkiem już młodemu człowiekowi, „zmęczonemu życiem i wyższym wykształceniem”. Nie była to pora odpowiednia do włożenia w rekruckie dreluchy.

Nie było na to jednak rady. W oznaczonym dniu i godzinie znalazłem się w Modlinie, okazując przy wejściu do twierdzy, w bramie Ostrołęckiej, moją kartę powołania do SPRS w CWSap. Te dwa skróty, rozwinięte w ich pełny tekst, miały brzmienie: Szkoła Podchorążych Rezerwy Saperów w Centrum Wyszkozenia Saperów.

Nie mogę powiedzieć, by rok przeszedł spędzony w Modlinie, pozostawił u mnie zbyt podniosłe lub zbyt jasne wspomnienia.

Daleki jestem od chęci idealizowania tego okresu, tylko dlatego, że prześwieśla go czar młodości. Tysiące ludzi w młodym wieku przeszło w Polsce międzywojennej przez podchorążówki rezerwy. Typ takiej szkoły ustalił się i był powszechnie znany, tak że nie ma chyba potrzeby charakteryzować go od podstaw. Raczej zastanowić się warto, czym odróżniała się modlińska SPRS od innych swoich siostrzyc, rozsianych dość gęsto po Polsce.

Odróżniała się przede wszystkim składem osobowym swoich adeptów. Był on bezsprzecznie w wyższym gatunku, niż w przeciętnej podchorążówce rezerwy piechoty — te często zawałone były młodymi nauczycielami ze szkół początkowych, zaraz po ukończonym seminarium pedagogicznym, nie stanowiącymi zbyt atrakcyjnego elementu, lub innymi absolwentami fachowych szkół średnich. Inna była sytuacja w Modlinie. Z trzech kompanii naszego batalionu szkolnego, jedna przeznaczona była do zasilenia specjalnych wojsk technicznych: kolejowych i mostowych batalionów saperskich. Kierowano tam głównie świeżo ukończonych inżynierów. Dwie pozostałe kompanie, przeznaczone do zwykłych batalionów saperskich, składały się z mieszaniny techników i studentów, z wyraźną przewagą tych ostatnich. Dostarczały ich głównie obie politechniki — warszawska i lwowska, a poza tym Akademia Górnicza w Krakowie i warszawska Szkoła Wawelberga i Rotwanda.

Mówiąc o przewadze nie mam na myśli przewagi ilościowej bo ta nie była przytłaczająca. Chodzi tu raczej o przewagę wieku. Technicy — byli to z reguły młodzi chłopcy, po ukończonej szkole średniej. Studenci — chłopcy dużo starsi, znaleźli się w wojsku, podobnie jak ja, po dociągnięciu do ostatecznej granicy wszystkich możliwych odroczeń. Byli wyraźnie przerośnięci w nowej sytuacji życiowej, a zarazem nadawali ton całemu zespołowi przez swój wyniosły sceptycyzm, przez nieukrywanie ironiczne spojrzenie na otaczającą rzeczywistość. Był to element trudny i nieco już za sztywny do ugniatania w wyjściowe wojskowe formy. Zwłaszcza w okresie rekruckim, nasze nastroje opozycyjne były powodem niejednej scysji i niejednego rozczarowania naszych młodszych kolegów. Pamiętam, jak podczas pierwszych ćwiczeń bojowych, wygarnąłem w niebo z załadowanego ślepa-kiem karabinu, pokpiwając, że tylko w ten sposób będę strzelał na wojnie. Młodzi chłopcy z Poznańskiego patrzyli na to co najmniej ze zdziwieniem. Potem, gdy przyszły pierwsze „belki” na naramiennikach, pierwsze przepustki i urlopy, ci, którzy najbardziej podnosili drwiący, czy oburzony głos jako rekruci, przesięgali się w swojej lojalności i służbistości.

Jak to się często w moim życiu składało, trafiłem nieosobli-

wie, bo do kompanii 2. Tę cyfrę uważam za feralną i tym razem także zostałem utwierdzony w moim przesądzie: kompania była wyraźnie gorsza od obu pozostałych. Ozdobą jej natomiast okazała się liczna, bo z kilkunastu ludzi złożona, grupa elektryków, z przeznaczeniem do Batalionu Elektrotechnicznego w Nowym Dworze. Byli to przeważnie warszawscy studenci.

Całemu batalionowi nadawali ton architekci. Ci nie byli skupieni, lecz rozsiani po różnych kompaniach. Mimo to działali jako osobne ugrupowanie przy wszelkich pracach zdobniczych, a tych, jak zwykle w wojsku, nie brakło. Potem w karnawale, nasze bale modlińskie zdobyły pewien rozgłos właśnie przez swoją oprawę dekoracyjną. Zwłaszcza witraże pozostawiły po sobie pamięć czegoś godnego utrwalenia.

Osobną wstawkę stanowiła grupka ludzi zanieionych do Modlina innymi niż techniczny, wiatrami. Trzeba zauważyć, że SPRS (obok także szkoły łączności w Zegrzu) była podchorążówką rezerwy najbliższą Warszawy. W samej stolicy nie było szkół tego typu — wszystkie one zostały wyniesione na prowincję. Szereg ludzi związanych z Warszawą starał się wylądować w wojsku możliwie bliżej od niej. Byli to przeważnie wybitniejsi sportowcy, których ich kluby pragnęły zatrzymać w swoim zasięgu przez czas służby wojskowej, a poza tym działały tu również zwykle poparcia i protekcje, czynne w każdej epoce i w każdym ustroju.

Jak widać stąd, towarzystwo było może nie wyrównane, ale w sumie niezgorsze. Można by życzyć każdej szkole podchorążych w Polsce takiego poziomu średniego.

Cóż powiedzieć o poszczególnych kompaniach batalionu? Zaczęę od mojej własnej kompanii 2. Wspomniałem już, że wpadłem do niej niezbyt fortunnie, gdyż okazała się gorsza od dwóch pozostałych. Na czym opieram taki sąd, „kalający własne gniazdo”?

Przyczyna leżała oczywiście w sferze stosunków personalnych — w człowieku. Lecz nie w człowieku tworzącym dwuszereg kompanii, a w tym, który stał przed tym szeregiem, przed frontem oddziału.

Dowódca kompanii, kpt. Tadeusz Styczyński był niewątpliwie oficerem na poziomie. Męska twarz i wstążeczka *Virtuti Militari* na płaszczu budziły szacunek. Skandowany sposób mówienia, przy nieco kańczastych ruchach, przydawał mu pewnej przesadności w sposobie bycia. Był może nieco anemiczny, jak na stojącą przed nim kompanię, złożoną z przestarzałych inteligentów, o wielkiej sile ironicznego spojrzenia na świat. Obiektem tej ironii — wśród wielu innych — mógł być manifestowany przez

naszego dowódcę (i to z całym przekonaniem) kult Piłsudskiego. Wyszedł z Legionów i rozsiewał koło siebie zapach I-szej Brygady. Nie znaczy to, by Piłsudski nie miał swego kultu wśród nas, lecz osobiste przekonanie, nawet najszczerze ale pokrywające się jednocześnie z oficjalnym kursem politycznym — spotykane jest zazwyczaj przez podwładnych z przymrużeniem lewego oka.

Inną niewinną słabością naszego dowódcy była jego niezwykła predylekcja do śpiewu. Kompania stała się przede wszystkim chórem. Spędziliśmy bez miary godzin, ćwicząc szeroki asortyment pieśni wojskowych i cywilnych — z kapitanem wśród nas, pilnie śledzącym poszczególne partie. Nie wiadomo czemu, partia basowa leżała szczególniej na sercu naszemu dowódcy, toteż te głosy były w cenie. Pokażne ilości kilometrów przebywała kompania, ćwicząc specjalnie śpiew w marszu. Nasz repertur znany był w Modlinie.

Kapitan nie był może inwalidą *sensu stricto* i na pierwsze wejrzenie nic nie rzucało się w oczy w jego postaci (jeżeli nie liczyć owej kańciastości ruchów). Jednak ciężkie rany wyniesione z wojny zostawiły pewien ślad, nie tylko na jego stanie fizycznym, ale i na psychice. W sumie wyglądał dość blado przy dowódcach sąsiednich kompanii. Byłby zapewne bardziej na miejscu na czele jakiegoś mniej eksponowanego oddziału garnizonowego.

Lecz nie dowódca kompanii decydował o jej charakterze. Był on usuwany w cień przez inną osobistość, od której trzeba by właściwie zacząć charakterystykę tego oddziału. Kompania posiada zawsze swego szefa, a tym był podoficer nad podoficery, szef nad szefy — st. sierżant Marciniak.

Marciniak był doskonałością. Pojęcie doskonałości, podobnie jak pojęcie nieskończoności, wymyka się słownemu opisowi. Moje niegodne pióro nie zdoła oddać st. sierżanta Marciniaka dostatecznie wyraziście, aby wynieść go — jak na to zasługuje — do galerii pierwowzorów utrwalonych przez literaturę — takich jak remarquowski feldfebel Himmelstoss, lub wittlinowski stabsfeldfebel Bachmatiuk.

Marciniak — mimo że najrdzenniejszy Polak — nie był tworem polskim. Nasza słowiańska rozlewność nie zdołałaby chyba wyprodukować tak precyzyjnej, tak wykończonej konstrukcji psychicznej. Uformowała go armia niemiecka, w której przesłużył całą wojnę światową. Podoficerowie armii niemieckiej byli specjalnie poszukiwani dla polskich podchorążówek — ci umieli robić wojsko. Rzadko jednak znajdowano perłę tej wielkości i tego blasku.

Czuło się niekiedy, że perła nie znajduje odpowiedniej dla siebie oprawy. W polskich stosunkach, w poczciwym modlińskim Centrum Wyszkozenia Saperów, Marciniak nie pracował na pełnych obrotach. Musiałby wchodzić w skład jakiejś wyższego rzędu organizacji, by móc się z nią doskonale zespolic i być przez nią pełniej wyzyskiwany. Armia Polski międzywojennej — ten stosunkowo wysoko ukształtowany twór organizacyjny — nie była dostatecznie wzorowa dla wzoru cnót podoficerskich, który mieliśmy przed sobą.

Trzeba oddać sprawiedliwość, że nasz super-szef i arcy-podoficer był istotą inteligentną. Ta cecha oddalała go od ogółu podoficerów, nad którymi górował zdecydowanie, a nie zbliżała do oficerów, gdyż nie było w nim ani śladu owej familiarności, którą przejawiali czasem jego zadowomieni w wojsku koledzy (przeważnie na funkcjach nieliniowych) w stosunku do korpusu oficerskiego.

Marciniak był na poziomie. Przed frontem kompanii nigdy nie zdarzało mu się uронić kóregoś z tych wątpliwych wyrażonek lub kulawych określeń, po których na twarzach najbardziej nawet zamarłych w postawie „na bacność” ukazuje się lekki grymas drwiny, skojarzony ze słowem „póinteligent”, cisnącym się na wargi oniemiałe w świętym wojskowym milczeniu — tej najwznieślej z cisz. Nie, tego nie było co oczekiwać po Marciniaku. To, co opuszczało jego usta, zawarte między nisko zsuniętym w dół nosem, a wystającym naprzód podbródkiem — nie zawierało żadnej pożywki dla naszej ironii. Jego precyzyjne, ostrożnie zbudowane zdanie było nie tylko zewnątrznie prawdziwe, ale i rozumne: zawierało ów klej znajomości rzeczy i zdrowego rozsądku, bez którego słowa stają się sieczką.

Jego kompetencja w każdym dziale naszych ćwiczeń — wodnych czy lądowych, bojowych czy technicznych — była niedościgniona. Wszystko co można było spotkać „w saperstwie polskim” (używał tego ładnego określenia), począwszy od chwytów bronią, poprzez umocnienia polowe, fortyfikacje, przeprawy, minierstwo, aż do kafarów, czy ciężkich mostów pontonowych — wszystko to Marciniak mógł zainstruować, jak nikt w kadrze. Mógłby ilustrować każdą czynność swoją osobą do wzorcowych zdjęć regulaminowych — do regulaminów będących w pojęciu prawdziwych wojskowych syntezą doskonałości.

Lecz inteligencja i kompetencja — to nie wszystko, co składa się na pojęcie szefa doskonałego. To są pewne dodatkowe atrybuty doskonałości w wersji wojskowej. Z ojca Regulaminu i matki Subordynacji poczęty jest szef kompanii. Ta para rodzicielska zlała swoje soki kiedyś przed laty, przy wcieleniu

Marciniaka-cywila w Marciniaka-żołnierza. I wyrósł wspaniale i rozkrzewił się bujnie.

Ta Subordynacja z kolei narzucona kompanii niedawnych cywilów przerośniętych i zbyt inteligentnych do jej łatwego przyjęcia — to było przede wszystkim dzieło Marciniaka — dzieło powtarzane co rok. Powtarzane w trudzie i w napięciu. A więc było to dzieło heroiczne.

Niekiedy Marciniak pytał nas z odcieniem dumy, czy słyszeliśmy o nim w Warszawie. Nie była to megalomania, bo rzeczywiście był znany nie tylko „w saperstwie polskim”. Sława jego dosięgła stolicy. W kreszlarniach i salach wykładowych politechniki nazwisko jego było często wymawiane. Wtargnęło tam wraz z wracającymi do przerwanych studiów młodymi rezerwistami.

Ów szef doskonały, stojący za plecami niedoskonałego dowódcy i, mimo swego taktu i regulaminowego umiaru, wysuwający się na pierwszy plan — oto był anormalny układ, sprawiający, że kompania ustępowała innym. Subordynacja i regulamin — to bardzo wiele, ale to nie wszystko — zwłaszcza w szkole podchorążych. Nie da się wyprodukować należytego typu oficera na tej jednostronnej pożywce*.

A jednocześnie kompania w ten sposób wychowywana, górowała w niejednej dziedzinie wojskowej aktywności — zwłaszcza w pierwszym okresie — nad swoimi sąsiadkami i współzawodniczkami z tego samego batalionu szkolnego. Marciniak zrobił z nas wojsko. Po roku wyjechaliśmy z Modlina, ukształtowani i urobieni przez niego, przede wszystkim przez niego.

Żadna kompania w batalionie, a zapewne również i w Modlinie, nie mogła dorównać nam w równości kroku, w rytmiczności śpiewu w marszu. Żadne buty nie błyszczały na modlińskim placu defilad, tak jak nasze. Żadne nogi nie tłukły bruku saperkami z taką siłą i sprężystością przy „równym kroku”. A mimo to nie byliśmy najlepszą kompanią, a raczej najgorszą. Zwłaszcza w końcu kursu, kiedy doszło do skomplikowanych przepraw, forsowań, czy mostów pontonowych o dużej długości — widoczna była przewaga naszej sąsiedniej kompanii 3.

Jej dowódca, kpt. Majewski okazał się przeciwstawieniem naszego kpt. Styczyńskiego. Poznaliśmy go nieźle podczas wspólnych ćwiczeń. Był co się zowie na poziomie swojej trudnej

* W roku 1936 spotkałem Marciniaka (już jako chorążego) w Grodnie. Podczas okupacji niemieckiej, w zimie 1943/1944, w okresie silnego rozwoju polskich oddziałów partyzanckich w Grodzieńszczyźnie, co doprowadziło do powstania tzw. „rzeczpospolitej szczuczyńskiej”, czyli pewnego obszaru wpływów polskich, na obszarze tym znajdował się Marciniak, który służył w policji niemieckiej. Nie potrafię określić roli, jaką tam odegrał.

kompanii, podobnie jak nasza, wymagającej pewnej ręki i dobrego czucia sytuacji. Miał to czucie. Pamiętam jak pierwszy raz zaskarbił sobie naszą sympatię. Miał przeprowadzić omówienie większych ćwiczeń bojowych, które obie kompanie właśnie ukończyły. Omówienia — była to plaga wojska nie tylko u nas. Oficerowie zawodowi odznaczali się, nie wiem czemu, specjalną obfitością daru wymowy w takich przypadkach, toteż szasanej kompanii przychodziło wystawać niemo, w dwuszeregu, długie kwadranse na wydmuchu, zimą, wysłuchując założeń taktycznych swoich i nieprzyjaciela, *ordre de bataille*, rozwinięcia, przesilenia, zakończenia, krytycznej oceny ogólnej i indywidualnej obopólnych działań. Toteż byliśmy przygotowani na najgorsze, gdy Majewski ukazał się przed naszym frontem. Front był zaciągnięty woalem antycypowanej nudy.

Nuda znikła, gdy mówca ograniczył swą prelekcję — pamiętam ją *in extenso*, mimo upływu wielu lat — do 9 słów: „Przy natarciu na wieś szwankowała łączność, poza tym dobrze”.

Niestety oklaski nie są przyjęte w wojsku. Nie mieliśmy sposobu na wyrażenie „pochwały lakoniczności”. Robię to obecnie, po latach.

Sąsiednia kompania 1-sza, ta którą sformowano przeważnie z inżynierów, ku końcowi kursu zaczęła odsuwać się od nas — saperów dywizyjnych. Wciąż tkwiła w swoich kolejowych mostach ciężkich. Zarówno te wielce specjalne zajęcia, jak i wysoko kwalifikowany skład osobowy, odbierały temu oddziałowi ów srodze liniowy charakter, który królował u nas zwłaszcza dzięki Marciniakowi. Uważaliśmy ich za „pensjonat”, w którym komenda „baczność” przybierała inne brzmienie: „Panowie zechcą przyjąć postawę zasadniczą”.

Cóż rzec o wyższych szczeblach naszej drabiny służbowej? Myślę oczywiście o tych bezpośrednio nad nami, dostępnych dla naszego oka. Było ich dwa: dowództwo SPRS i dowództwo CWSap.

Dowódcą batalionu szkolnego był major Zagórski. Nie mieliśmy zbyt wiele okazji do stykania się z nim, poza całkiem oficjalnymi okolicznościami — chyba jakiś grubszy raport karny. Jego twarz o wydatnym nosie, ukazywała ów wyraz pewności siebie, wielkiej pewności siebie, przechodzącej w arogancję, spotykany niekiedy (nawet dość często) na oficerskich fizjonomiach epoki międzywojennej. Rzadko kiedy taka postawa wynikała z poczucia istotnej wartości własnej. Była zazwyczaj, okraszona nienagannymi manierami poprawności towarzyskiej. Taką właśnie całość prezentowała sylwetka mjr. Zagórskiego.

Byliśmy jednak szczęśliwi, że taka niezbyt sympatyczna twarz zastąpiła akurat niedawno przed naszym przybyciem, inną postać, jeszcze antypatyczniejszą: poprzednim dowódcą SPRS był słynny na początku lat trzydziestych mjr Perko, który z tego stanowiska odszedł do twierdzy w Brześciu i tam zasłynął, jako dozorca więźniów brzeskich, w okresie procesu Centrolewu. Prasa opozycyjna i interpelacje sejmowe zrobiły z Perki *la bête noire* systemu sanacyjnego — zupełnie zasługiwał na taki sąd. Opisy szykanowania Witosa, Libermanna i innych uwięzionych przywódców opozycji pachniały późniejszymi niemieckimi obozami koncentracyjnymi. Byłem ogromnie rad, że dane nam było nie zetknąć się w Modlinie z Perką. Z każdym, byle nie z nim.

Z osobą mjr. Zagórskiego łączy się pewien charakterystyczny incydent. Rzecz nabrała szerszych rozmiarów właśnie dzięki arogancji naszego dowódcy i skończyła się nie byle czym, bo strajkiem. Był to wprawdzie bardzo łagodny strajczek, ale w wojsku nawet taki ma swoją wagę.

CWSap. posiadało kilka samochodów ciężarowych, przystosowanych do ruchu osobowego i używanych głównie do utrzymywania komunikacji między twierdzą, a odległą o parę kilometrów stacją kolejową Modlin. Zwłaszcza w soboty i niedziele, przy ożywionym ruchu przepustkowym, samochody te bywały przepełnione. Zdarzyło się pewnego wieczora, że tłum podchorążacki, wyległy z pociągu warszawskiego, zalał ciężarówkę tak szczelnie, że nie stało już w nich miejsca dla oficerów. Nie było w tym dramatu, bo stacja Modlin obfitowała zawsze w dorożki i dostanie się do twierdzy nie stanowiło problemu. Jednakże zaszło tu bezsprzecznie pewne naruszenie hierarchii wojskowej.

Skoro tak, to nie było nic nadzwyczajnego w tym, że dowódca batalionu zareagował na to, drobne zresztą, uchybienie. Jednakże mjr. Zagórski, który zjawił się przed ustawionymi w świetlicy kompaniami, zabrał się do tego w przesadny sposób i użył paru obraźliwych wyrażań. Ubodły one umundurowanych inteligentów.

W następną niedzielę pojemne samochody odjechały ze stacji zionąc pustką — siedziało w nich zaledwie paru oficerów. Tłum przepustkowiczów osiągnął koszary z pewnym opóźnieniem, ale na własnych nogach. Wywołało to zainteresowanie, dochodzenie, raporty u dowódców kompanii. To samo powtórzyło się w niedzielę następną. Solidarność była całkowita.

Po kilku tygodniach strajk stopniowo zanikł i samochody znów się napełniały. Ale jeszcze po jakimś czasie mjr. Zagórski został zdjęty z dowództwa batalionu. Oficjalnie nie miało to i mieć nie mogło żadnego związku z niedawnym incydentem.

Jednakże ta zmiana, przeprowadzona w trakcie trwania kursu i tak szybko po fakcie, miała swoją wymowę

Następcą mjr. Zagórskiego został mjr Zarzycki, który prowadził nas do końca kursu. Był zupełnie innego pokroju, niż jego poprzednik.

Jeszcze jedna refleksja dopomina się głosu. W przeddzień „wybuchu” naszego „strajku” (cudysłów jest tu chyba na miejscu, bo raczej należałoby nazwać bojkotem to nasze łagodne poczynanie) puściliśmy się we dwóch, z moim kolegą z drużyny, elektrykiem Henrykiem Partumem, na krok może nieco ryzykowny. Obeszliśmy po kolei wszystkie, bez wyjątku, mieszkalne izby drużynowe naszego batalionu, przypominając o bojkocie samochodów, postanowionym nie pisanym i nawet prawie nie mówionym ogólnym porozumieniem, czy raczej odruchem. Była to niewątpliwa „agitacja”, bardzo zresztą łagodna, bo oburzenie było powszechne i nie było potrzeby go podsycać. Zdawaliśmy sobie sprawę, że dojdzie wiadomości o naszej akcji, chociażby do Marciniaka, nie przysporzy nam bynajmniej laurów.

Otóż nic nigdzie nie doszło. Nie mieliśmy z Partumem ani cienia kłopotu z tego powodu, nikt nas nie pytał, nie wzywał, rzecz całkowicie utonęła w niepamięci. Wynikało stąd, że władze nasze, jak batalion długi i szeroki, nie miały w nim ani jednego konfidenta. Wtedy, w tamtej idyllicznej epoce, nie wzbudziło to we mnie specjalnego zdziwienia, ale w świetle moich późniejszych doświadczeń, nabytych w następnych dziesięcioleciach, rzecz wydaje się nie do wiary.

Wstąpmy o szczebel wyżej. Komendantem Centrum Wyszko-
lenia Saperów był płk Hajkowicz. Niezbyt często widywaliśmy jego wysoką, postawną figurę — obok nie mniej postawny adiutant, por. Salecki. Obaj wyglądali zbyt może światowo i reprezentacyjnie na szarym modlińskim tle i uprawiali styl *bon vivant* w wydaniu polskiej stolicy. Gdyby zakres wiedzy wojskowej, osiągany pod kierunkiem płk. Hajkowicza, był na poziomie życia towarzyskiego, uprawianego w kasynie oficerskim i wyrażonego w licznych balach i rewiach — wypadłoby uznać CWSap, za saperską Sorbonę. Niestety, nie wydaje mi się, by robiono tam wiele. Być może zaczął się tam pewien ruch umysłów i sortowanie pojęć, ale w początkach lat trzydziestych CWSap. nie miało czym zaimponować swoim młodym adeptom wiedzy wojskowej.

Żona płk. Hajkowicza była wysoką przywódczynią PWK. Te 3 spółgłoski brzmiały bardzo sympatycznie wewnątrz twierdzy:

Wojskowe Przynależenie Kobiet. Modlin często gościł liczne kohorty pewukaczek, przybyłych na kursy, obozy, szkolenia. Stanowiły one ozdobę balów i akcent życia towarzyskiego. Zwłaszcza w drugiej połowie naszego modlińskiego pobytu, po zapuszczeniu korzonków w modlińską glebę i ozdobieniu naszych naramienników kaprałskimi naszywkami — pewukaczki stały się przyczyną niejednej dezercji, nie tylko z sal wykładowych, ale i z niedzielnej przepustki do Warszawy, dokąd wzywały wielu z nas rodzinne, zawodowe i różne inne motywy.

Doszlifowano nasze wyszkolenie w obozie ćwiczebnym w Popowie nad Bugiem. Przez cały czerwiec (bardzo zimny w owym roku) ćwiczyliśmy takie arkańskie wiedzy, jak przeprawy nocne i forsowanie rzek. Obsługiwaliśmy, jako nowość, wielkie łodzie gumowe, pneumatyczne, zabierające drużynę piechoty. Mosty pontonowe mieliśmy w małym palcu jeszcze z placu ćwiczeń wodnych w Modlinie. Wysuwane kładki bojowe były interesujące, ale z trudem dawały sobą manipulować na wartkiej na tym odcinku rzece, gdyż były znoszone przez prąd.

Syci chwały i zakatarzeń po zimnych czerwcowych nocach, spędzanych na wodzie, spłynęliśmy na początku lipca, naszymi pontonami, Bugiem i Bugonarwią do Modlina.

Niewątpliwie wyszliśmy na całkiem tęgie wojsko. Modlin nie potrzebował wstydzić się swojej produkcji. Byliśmy po roku fizycznie rozrośnięci, obyci z wodą, która jest żywnością nie tylko marynarską, ale i saperską. Marciniakowska część służby została nam zapuszczona pod skórę może aż za głęboko. Kult czyszczenia butów i liturgia chwytów bronią nie stanowiły jednak naszego jedynego wtajemniczenia. Wielki egzamin, który się zbliżał, miał nas zastać przygotowanych i do bardziej wyspecjalizowanej aktywności. Może nie każdy miał stosować na wojnie cały wachlarz modlińskich umiejętności. Dla mnie dziecinne kostki drewniane, mające przedstawiać ładunki wybuchowe, służące do ćwiczeń praktycznych z minerstwa, miały stać się należyłą podstawą wyszkolenia, gdy potem, po 10 latach, ich miejsce zajęły kostki trotylu.

Drzemały w nas zasoby nieobudzonej przebojowości, niezrealizowanego rozmachu, który daje młodość. Jeżeli nie spłynęła na nas żadna wyższa inspiracja, jeżeli brak było polotu w tym, co nam podawano, to nie Modlin jeden zawinił w tym ubóstwie. Był to ów brak wielkiej idei, który stanowił anemię Polski przedwrześniowej, w okresie, kiedy po obu jej krańcach ta sama idea państwa totalnego przemieniała się w ciało opancerzonych silników i w krew benzyny.

WILNO

Modlin skończył swoje i rozesłał nas po batalionach. Ja oczywiście trafiłem, według mojej przynależności terytoralnej, do 3 Batalionu Saperów w Wilnie.

Bataliony Saperskie, przynależne do każdego okręgu korpusu i noszące jego numer (w moim przypadku Dowództwo Okręgu Korpusu III w Grodnie), były okrojonymi na czas pokoju pułkami. Wojennym ich zadaniem było mobilizowanie batalionów saperów dywizyjnych. Miałem się o tym przekonać naocznie w roku 1939.

Daleko jednak było do tego w ów lipcowy poranek, w gruntownie pokojowym roku 1932, kiedy meldowałem się w dowództwie batalionu, wraz z grupą modlińskich kolegów. Z cichego, ale podstołecznego Modlina trafiliśmy do nie całkiem może prowincjonalnego, lecz leżącego na uboczu Wilna.

Poza swoimi wielkimi tradycjami kulturalnymi, poza piastowaniem w swych murach pełnego chwały uniwersytetu, w Polsce międzywojennej Wilno było ukochanym miastem Piłsudskiego. Temu zawdzięczać może trzeba pewien wojskowy splendor, spływający na to miasto. Garnizon tworzyły tu stare pułki legionowe, przesiąknięte tradycją I-szej Brygady z wojny światowej. Tworzyły one 1. dywizję piechoty Legionów. Charakter legionowy odnosił się raczej do kadry oficerskiej tych wojsk. Po przeszło 10 latach pokojowego stania garnizonem w Wilnie, pułki te zapełniły się elementem miejscowym. Ich żołnierza, a również podoficera stanowił wileński lud, polsko-białoruski chłop z całego województwa, nieraz z dalekich jego skrajów. Nie był to ów wyborowy materiał ludzki, którym dysponowały np. dywizje poznańskie. Mimo to, wychowanie w starej dywizji, w tradycjach walk wojny światowej i wojny 1920 roku potrafiło przetworzyć te pułki w jednostki wyborowe, w mniemaniu dumnego z nich Wilna.

Batalion saperski, jak się potem przyjrzałem, nie był tak tradycyjny, ani tak reprezentacyjny, jak stojący opodal w swoich koszarach jego sąsiedzi: 1, 5 i 6 pułki piechoty i 1 pułk artylerii lekkiej. Stanowił jednostkę raczej szarą, na tle innych barwniejszych. Podobnie jak tamte, pędził swój garnizonowy żywot, ale robił to w sposób bezpretensjonalny.

Jednego tylko można mu może było pozazdrościć — jego usytuowania w mieście. Z różnych koszar, rozsianych po Wilnie, nie było na pewno ani jednego obiektu wojskowego tak korzyst-

nie położonego. Kompleks koszarowy był rozmieszczony bardzo blisko Placu Katedralnego, stanowiącego centralny punkt miasta, u stóp Góry Zamkowej i obok ślicznego parku, zwanego, z właściwą Wilnu bezpretensjonalnością, Cieletnikiem. Każdy gmach reprezentacyjny mógłby pozazdrościć tego położenia w historycznej dzielnicy, pod powierzchnią której rozciągały się fundamenty dawnego zamku królewskiego Zygmunta Augusta, zniesionego przez zaborcę. Teraz zajęły te uprzywilejowane i opisane przez poezję miejsca, niezdarne budynki rosyjskie z XIX wieku, rozpanoszone w uroczym zakątku, przy ujściu Wilenki do Wilii, ostoniętym przez zalesiony stok Góry Zamkowej, po którym stapał Gedymin. Aż prosiło się, by je stamtąd wyrzucić, ale zanim to się stać miało — służyły saperom wileńskim. Okna ich i płoty wychodziły na sam brzeg Wilii, od którego oddzielała je tylko szerokość jezdni ul. Kościuszki. Idąc na Antokol, musiało się przedelfilować przez całą ich długość, aż do mostu na Wilence, skąd widać już prawie barokową kopułę kościoła św.św. Piotra i Pawła. Z drugiej strony, opodal, na tle Góry Zamkowej, odcinał się jasną plamą ekskluzywny pałacyk, stanowiący siedzibę Inspektoratu Armii.

Tyle o malowniczym położeniu mojej nowej jednostki macierzystej. Niewiele barwnego da się poza tym wydobyć z mego z nią zetknięcia. Trafiłem, mocą mego pecha, oczywiście do kompanii 2, ta jednak tym razem okazała się nie gorsza od innych. Dowodził nią por. Kątkowski, oficer dojrzałego już wieku, pokątniejszej korpulencji i wzrostu, tubalnego głosu i sangwinicznego temperamentu, odnoszący się do podchorążych bez tej kurtuazji, której oni skłonni byli oczekiwać. Bardziej interesujący był dowódca kompanii 3 por. Niepokólczycki — wysoki, wysmukły, odbijający od otoczenia szerszymi rzutami fantazji czy polotu.

Kompania zawierała pewną osobliwość. Był nią saper Talun. Nazwisko to obecnie już nic w Polsce nie mówi, ale w latach trzydziestych wiedziano u nas przez czas pewien o Talunie. Podobnie, jak niegdyś królowe miewały swoich karłów — batalion miał swego olbrzyma.

Wzrost 2,12 m dawał temu saperowi właściwość pomniejszania swego otoczenia.

Ale póki co kompania, z Talunem, ściągającym spojrzenia antokolskiej publiczności, ćwiczyła sobie zwolna i z talunowską flegmą.

Lipcowe słońce nie podrywało do heroicznej aktywności na placu ćwiczeń wodnych, położonym tuż obok nad Wilią, w bliskości wychodzącego na rzekę pałacu Słuszków, przerobionego na

więzienie za czasów rosyjskich. Poobijane pontony zajeżdżały na „linię kotwic” i ustawiały się w „linii mostowej”, wysuwając belki o okutych „łapach”. Oficerowie pokrzykiwali pod okiem dam batalionowych, spoglądających z tarasu letniego kasyna oficerskiego, stanowiącego zarazem przystań wioślarską. Wilią cierpliwie unosiła na swym grzbiecie, zeszczupłym po letnich upałach, drewniane „psychówki” i blaszane „łodzie saperskie”. Na płócie suszyły się koszule i onuce tych, którzy nieopatrznie zażyli nieoczekiwanej kąpieli.

W tym duchu przebiegały też ćwiczenia bojowe — daleko za Antokolem. Kompania uzbrojona w sfatygowane francuskie Lebele spod Verdun ganiała po piaszczystych wykrotach w Smielince (litewskie słowo *smelys* — piasek wygląda ze źródłosłowu tej nazwy miejscowości), paląc ze ślepaków. Stentorowy głos por. Kątkowskiego nie był zdolny poderwać do szturm swoich żołnierzy w chwili, gdy ogień doszedł do zenitu, dopóki każdy nie pozbierał łusek od ślepaków, które z rozkazu szefa, miały być zdane „co do jednej”.

W ten sposób niewiele ducha ofensywy, niewiele drapieżności wyniosłem z koszar nad Wilią. Trzeba przyznać, że trafiłem tam akurat w głębokim międzywojennym zaciszu. Ostatnia wojna odeszła już w przeszłość, nowa, mająca nadejść, nie spała jeszcze ducha narodu swymi ostrogami. Podobnie jak w Modlinie, żyliśmy tu w świecie pojęć ustalonych w walkach frontowych.

I tak minęło te parę miesięcy letnich nad słodką Wilią, na miłym Antokolu. Bez wstrząsów dożeglowałem do brzegu, po tych nudnych nieco wodach. Kiedy znalazłem się poza bramą, wychodząc z koszar po raz ostatni, wiedziony uczuciem przekory, postanowiłem nie salutować już więcej nikogo na ulicy. Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczałem, w mieście obfitującym w oficerów. Dotarłem jednak do domu, skomplikowaną trasą oraz przy ustawicznym oglądaniu wystaw sklepowych i zabieganiu do bram.

Powiesiłem mundur w szafie.



Wydymowałem go z szafy parokrotnie w następnych latach, powoływany na ćwiczenia rezerwy. W dalszym ciągu miały one ten sam zaciszny charakter, a Batalion Saperów nie zmienił swoich poczciwych i nieco safandulskich rysów, mimo zmian personalnych, nowych oficerów przed frontem nowych roczników i nowych gwiazdek i naszywek na znanych poprzednio osobach. Raz nawet wyruszyliśmy na manewry i zbudowaliśmy most pontonowy na Wili, gdzieś aż w okolicach Mołodeczna i Wilejki.

Innym znów razem spotkałem, jako dowódcę batalionu wileńskiego, naszego mjr. Zarzyckiego z modlińskiej podchorążówki.

Niewątpliwie pewien postęp techniczny dawał się zauważać z biegiem czasu: przede wszystkim zniknęły francuskie Lebele, zastąpione przez polskie Mausery. Został przyjęty jednolity typ pontonowego mostu dywizyjnego na żelaznych belkach głównych (MSD — most stalowy dywizyjny). Ćwiczenia minerskie częściej widywały prawdziwy materiał wybuchowy, tu i tam zaczęły pojawiać się ogumione koła, może gdzieś tam zawarkotał silnik samochodowy. Wszystko to jednak dalekie było od rozmachu i nie wykazywało parcia naprzód.

Położenie moje w Batalionie z biegiem czasu ustaliło się i weszło w stadium, które można oddać przysłowiem „Jak Bóg Kubie, tak Kuba Bogu”. Ze źle ukrywanym poczuciem nudy klepałem moje sześciotygodniówki rezerwy, nie wysilając się na zbyt miliarny zapał. Nawzajem Batalion przyjmował moje służby z pewnym nadąsaniem i nie kwapił się do mianowania mnie podporucznikiem rezerwy, tak jak moich kolegów, mimo że byłem inżynierem i dosięgłem wcale dojrzałego wieku. Zanościło się, że zostanę żelaznym podchorążym, toteż nie omieszkalem zaznaczać mimochodem w kasynie, jak mało zależy mi na gwiazdce. W kancelarii batalionowej wpadła mi raz przypadkiem w ręce moja książka ewidencyjna. Jedną z opinii brzmiała: „Uparty, zdolności nie wykazał”. Widniał pod nią podpis ppor. Dubrawskiego, dla którego intelektualnych właściwości od początku nie miałem uznania.

Zresztą nie chodziło tu o taką czy inną opinię. Nie mogłem żyć się z Batalionem, a Batalion ze mną głównie z racji owego rąbka lekceważenia, widocznego, jak wystająca tasiemka od kaleśonów, w moim pozbawionym gorliwości sposobie bycia. Zbyt wyraźnie nudziłem się na placu ćwiczeń wodnych i lądowych, zbyt otwarcie kręciłem nosem na fatalny zbieg okoliczności, który mnie pchnął na ćwiczenia akurat wtedy, gdy miałem jechać na trasę kajakową lub na wycieczkę zagraniczną. Zbyt niedbale lekceważyłem kasyno oficerskie i nie umiałem cenić sobie przywileju bywania w nim. Nie tylko w wojsku, lecz w każdym dziale aktywności ludzkiej, mile widziana jest pewna (byle nie przesadna) gorliwość. Pamiętam jednego z oficerów rezerwy Batalionu, ppor. Illukowicza, z zawodu kolejarza. Nieraz widywałem go na dworcu w Wilnie, kupując bilet w kasie. Siedział w niej cichutki i „nie poznawał” swoich kolegów pułkowych po drugiej stronie okienka. Ja zaś nie poznawałem go, gdy przywdział mundur. Już na kilka dni przed terminem powołania, zjawiał się w kasynie, w pełnej gali, smakując zawczasu te 5 godowych

tygodni, które miał spędzić dzwoniąc ostrogami, błyskając zakrzywioną szablą na defiladach, napełniając swoją osobą i swoim głosem podwórze koszarowe i place ćwiczebne. Oto był element pożądany, który garnął się do wojska i który wojsko gotowe było przygarnąć.

Po którychś tam ćwiczeniach, wróciłem do cywila, jako sierżant-podchorąży. Mogło się zdawać, że osiągnąłem punkt końcowy mojej kariery, bo przez czas dłuższy mundur wisiał w szafie bezczynnie.

Przedwczesne złudzenia! Kariere wojskową zacząłem w idyllicznych początkach lat trzydziestych. Teraz zbliżał się koniec lat trzydziestych — nastawała epoka gruntownego przewietrzania mundurów napoczętych przez mole.

PRZEDWIOŚNIE NA PRZEDWIOŚNIU

Zebranie towarzyskie, odbywające się w moim mieszkaniu w Wilnie, w niedzielę 26 marca 1939 roku zostało zakłócone przez nieoczekiwany dzwonek u drzwi wejściowych: doręczono mi kartę powołania. Miałem stawić się niezwłocznie w pułku Korpusu Ochrony Pogranicza „Wilejka”.

Podczas, gdy towarzystwo rozchodziło się, a ja zabierałem się do pakowania walizki, musiałem przyznać w duchu, że ta karta powołania wisiała już od dawna w powietrzu. Od długich miesięcy wciąż gdzieś w Europie powoływały się jakieś roczniki, trwały jakieś pogotowia.



Nazajutrz nad ranem, jeszcze po ciemku, przyjeły mnie wileńskie koszary KOP — rozłożyste, niskie budynki drewniane, za miastem, pod lasem, zatracające może nieco stanicą stepową Wołodyjowskiego. Wyjaśniło się, że kompania saperska KOP, wysłana już poprzednio gdzieś daleko na ten tam zachód, ma obecnie otrzymać, uzupełnienie. Pluton rezerwistów, przeważnie ludzi miejscowych, pochodzących z tego samego powiatu — mundurował się właśnie pod okiem podoficerów. Trzeba było przyznać, że rzecz funkcjonowała sprawnie i że oglądana przeze mnie w kilka miesięcy później mobilizacja ogólna — szła dużo wolniej. Po południu zjawił się płk Gaładyk, którego znałem osobiście z tytułu moich cywilnych funkcji technicznych, i przyrzekał się swemu wojsku. Wieczorem załadowaliśmy na platformy spory tabor wozów, konie do wagonów, ludzie — gdzie się da. Odjazd.

W Mołodecznie przyłączono nas do takiegoż transportu z jakimś oddziałem kawalerii KOP. Zająłem miejsce w wagonie oficerskim, wraz z naszymi podporucznikami rezerwy Ciechanowiczem i Weyssenhoffem. Spotkali nas tacyż podporucznicy kawalerii — bardzo grzeczni i koleżeńscy, a jednocześnie utrzymujący pewien swój ziemiańsko-ulański fason.

Dokąd jedziemy? Wtedy jeszcze dziwiłem się, że tego akurat nikt z nas nie wiedział. Ciągnęliśmy zwykłą, znaną wszystkim trasą na Warszawę, przez Wilno-Grodno-Białystok.

W miarę, jak pociąg unosił nas na południe i na zachód — temperatura polityczna w oficerskim wagonie coraz to rosła, braterstwo broni z kawalerią coraz to się zaciesniało. Nie trudno o animusz, skoro już się zostawiło za sobą cały bagaż normalnego życia, wraz z cywilnym ubraniem, zdanym do magazynu.

Trudno ocenić, jaki zakres ma ta częściowa mobilizacja, której efektem była oto nasza podróż, ale transporty szły — widać je było na linii przed nami i za nami. Na jakie „incydenty graniczne” płyniemy po tej fali? Bo przecie chyba tym razem wyklucze się coś z tych poczynąń. Ludzie już przewąchali od kolejarzy, że transport idzie gdzieś pod Prusy Wschodnie. Dokąd? Może na Gdańsk? Trzeba wreszcie zrobić z nim przecie jakiś porządek. A czemu tylko w Gdańsku? Czy całe Prusy Wschodnie takiego samego porządku nie wymagają? Jeżeli dojdzie do Gdańska, to dojdzie i do Królewca, bez Królewca Gdańska nie utrzymamy.

Podporucznik Weyssenhoff, saper, ale obdarzony ulańskim temperamentem politycznym, chciał założyć się ze mną, że w tym roku będziemy w Królewcu. Ja byłem mniej impulsywny w swoich sądach, ale myśl nie wydawała mi się wcale absurda. Jeżeli dojdzie naprawdę do wojny, to nie przesądzać jej wyniku, jest aż nadto prawdopodobne, że Polska w trakcie działań wojennych zajmie Prusy Wschodnie w całości. Dlaczego nie? Bić się umiemy — drugie jeziora Mazurskie z roku 1914 na pewno nas tam nie czekają.

Wśród takich impresji i rozważań zbliżaliśmy się do stolicy. Wspólna podróż skończyła się prędzej, niż przypuszczaliśmy, a z nią i braterstwo broni. Wbrew wspólności odczuwań, tuż przed Warszawą oddzielono od nas kawalerię. Pojechali gdzieś za Wisłę. My zaś wykręciliśmy w bok, a jakże, na północ. Tak, oczywiście, znajomą drogą na Modlin, tyle razy zjeżdżoną za podchorążackich czasów, z przepustką i bez przepustki, z biletem i na gapę. Z mostu widok na rozlaną Bugonarew, na daleką Wisłę, na mury twierdzy, na bramę Ostrołęcką.

Pociąg zaniósł nas aż do Ciechanowa, który okazał się miejscem postoju owej saperskiej kompanii KOP, mającej być przez

nas zasiloną. Przyjął nas dowódca kompanii kpt. Engel, wysoki, starszawy już oficer o groźnym wyglądzie i tubalnym głosie. Samodzielna kompania saperów „Czesław” — oto oficjalna nazwa mego nowego oddziału macierzystego. Było to też moje pierwsze zetknięcie się z plagą kryptonimów wojskowych, która potem, podczas wojny, do reszty zarzynąła łączność. Nie pamiętam, komu bezpośrednio podlegała ta kompania — w każdym razie jakimś dowództwu KOP w Warszawie.

Już nazajutrz zostałem odkomenderowany jeszcze parędziesiąt kilometrów na północ, do Działdowa. Było to tuż nad granicą, na tym drobnym spłachetku Prus Wschodnich, który odszedł do Polski po plebiscycie na Mazurach w roku 1920. Czym bliżej do granicy, tym ciekawiej. Miałem jeszcze inny powód do zadowolenia z Działdowa: kpt. Engel nie wzbudził we mnie zbytniego zachwyty, tak że rad byłem znaleźć się nieco dalej od jego bezpośredniej ingerencji.

Pluton stał w dużych koszarach niedaleko od dworca. Stacjonował w nich jeden z batalionów 32 pułku piechoty — tego, który znałem „z widzenia” z twierdzy modlińskiej. Dowodził plutonem por. Wolański — oficer zawodowy. Od razu poczułem, że on również cenił sobie tę sporą ilość kilometrów, która oddzielała nie tyle Działdowo od Ciechanowa, ile por. Wolańskiego od kpt. Engla. Ta zgodność poglądów sprawiła, że od razu znaleźliśmy wspólny język.

Przez parę pierwszych tygodni byliśmy na szczycie owej fali politycznego napięcia, która wywołała oto w Polsce częściową mobilizację marcową i nas rzuciła w to nadgraniczne miasteczko. Pułk piechoty, w którego koszarach staliśmy, był również wzdęty od powołanych świeżo rezerwistów. Chodziły słuchy o dywersji i w mieście organizowała się jakaś straż obywatelska, mająca na oku miejscowych Niemców. Prawie każdego dnia straż graniczna odsyłała do tyłu pojedynczych żołnierzy niemieckich, którzy przekraczali granicę jako dezercerzy.

Wkrótce przyszło nam zawiesić na kołku nasze przywiezione z Wilejki aspiracje maszerowania na Królewiec. Roztopiły się one w miarę, jak fala opadała. Obok naszej gotowości i bojowości płynęło spokojne życie cichego Działdowa. Zresztą od razu jasne było, że przysłano nas tu w celach raczej defensywnych, niż agresywnych — dla przeprowadzenia zniszczeń na naszym terytorium w wypadku zaatakowania. Solidny, nowy most żelbetowy na Wkrze był przewidziany do wysadzenia i paręset kilogramów trotylu spoczywało w specjalnym magazynku opodal. W życiu nie widziałem takiej ilości materiału wybuchowego — w podcho-

rażówce i w batalionie nie szafowano nim dla celów dydaktycznych.

Poza poważnym mostem na niezbyt poważnej rzece Wkrze, wraz z jego imponującym uzbrojeniem, niewiele mieliśmy obiektów do saperskiej obsługi. Nie istniał żaden określony plan zniszczeń — trzeba go było dopiero stworzyć. Bardziej z własnej inicjatywy, niż z rozkazu władz wyższych, zaczęliśmy budować prowizoryczne zapory na Wkrze i na innych rzeczках dla stworzenia zalewów i rzeczywiście zabagniliśmy w ten sposób paręset hektarów łąk. Wprawiło mnie to wówczas w entuzjazm. Uważałem, że przekształciliśmy Działdowo w Alkazar wodny nie do zdobycia. Zresztą nawet teraz patrzę na te zalewy z pewnym uznaniem — kto wie, czy jakiś czołg niemiecki nie ugrzązał w nich naprawdę we Wrześniu. Inne przeszkody przeciwpancerne, instalowane przez nas na drogach pod Działdowem, były bardzo naiwne.

Również niezbyt przekonywująca była tajemniczość, jaką otaczaliśmy się dokoła, chociaż wówczas pasowała do nastroju. Zresztą miała swoje uzasadnienie w okresie mobilizacyjnym, kiedy chodziło o przeprowadzenie wstępnych przygotowań z całą możliwą dyskrecją. Samodzielna kompania saperów „Czesław” — to wszystko co wolno nam było ujawnić o sobie. Nasza korespondencja prywatna szła przez pocztę polową. Ani mundury, ani zwykłe czapki polowe nie zdradzały, że jesteśmy oddziałem KOP-u. Skąd przybyliśmy, co robimy, skąd pochodzimy — to wszystko było zastrzeżone.

Żołnierz był świetny. Trzon kompanii składał się z młodego rocznika, odbywającego czynną służbę. Jak wiadomo do KOP-u na wschodnią granicę powoływany był wyborowy, inteligentny element z Poznańskiego, najlepszy chyba żołnierz, jakiego miała Polska. Pozostałą część stanowili rezerwiści — przeważnie białoruscy chłopcy spod Wilejki, Dołhinowa, Budślawa, Mołodeczna. Nie przypuszczałem, by stop tych dwóch tak różnych kategorii ludzkich mógł dać w rezultacie tak świetne wojsko techniczne: poznańska systematyczność i solidność w pracy plus białoruska przemyślność i wytrzymałość w trudnych warunkach. Nie było mi dane oglądać tego wojska w ogniu, ale przy robocie budzili wielkie uznanie. I w Działdowie, i potem w innych miejscach pracy, nieraz podchodzili do nas obcy oficerowie przyjrzeć się naszemu placowi budowy, od którego z daleka pachniało robotą bez blagi. „To saperzy KOP-u” — mówiłem im poufnym tonem, co przyjmowane było z pełnym zrozumieniem kiwaniem głową.

Młody rocznik liczył wśród siebie kilkunastu Niemców z Poznańskiego. Zostali oni w kwietniu odesłani z Ciechanowa z po-

wrotem do Wilejki — uchował się tylko Hans, ordynans dowódcy kompanii. Na odjeźdźnym, na zbiórce kpt. Engel przemówił do nich krótko, po wojskowemu. Powiedział, że on sam, służąc w armii niemieckiej podczas pierwszej wojny światowej, był lojalnym żołnierzem. Tego samego oczekuje od nich.

Nie byłem entuzjastą kpt. Engla. Ani jego silny głos w służbie, ani alkoholowe skłonności poza służbą nie budziły mojej sympatii. Jednakże trzeba mu było przyznać, że potrafił trzymać kompanię mocną łapą. Było może w tym starzejącym się oficerze pewne zmęczenie, czy zniechęcenie wynikające z ograniczonych życiowych perspektyw. Można było przypuszczać, że, wobec zbyt dojrzałego wieku, a może i z powodu niezbyt rozległego wykształcenia, dalsze awanse mu nie zagrażają. Były to jednak sprawy niedostrzegalne dla nikogo, gdy wysoki, barczysty, mocno osadzony kpt. Engel zjawił się przed frontem kompanii. Był tam, jak mało kto, na swoim miejscu.

Por. Wolański, mimo że oficer zawodowy, był daleko bardziej cywilny w swoim obęjściu, niż rezerwiści podporucznicy Ciechanowicz i Weysenhoff, siłący się na co się zowie wojskową krzepę. To sprawiało, że darzyłem go specjalną sympatią. Miał za ordynansa miłego i bystrego Żydka z Grodna, co specjalnie drażniło dowódcę kompanii, otwartego antysemitę. Inny znów ordynans okazał się Litwinem spod Dukaszt. W naszym małym kasynie było kolorowo od narodowości.

Trzeci oficer rezerwista, ppor. Osadowski, kolejarz z Wilna, był odmiennego pokroju, niż jego dwaj czupurni koledzy: cichy, skromny, bardzo dokładny i obowiązkowy.

Tygodnie mijały, fala polityczna opadała. W kwietniu czuliśmy się w Działdowie wcale nieźle zadowoleni. Stosunki z miejscową pocztą cywilną ułożyły się jak najlepiej, chociaż nieoficjalnie, co pozwoliło wyrzec się usług jej polowej siostrzycy i otrzymać korespondencję na *poste-restante*. Najwytworniejszy z miejscowych hoteli zaprosił nas na uroczyste świniobicie. Stosunki towarzyskie umiły owo niezbyt może napięte „trwanie z bronią u nogi”. Pewne wstrząsy towarzyszyły hałaśliwym wypadom samochodowym kpt. Engla, ale ciężar ich odczuwał głównie por. Wolański.

Wszystko jednak ma swój kres. Nastął maj i wraz z jego wejściem na kalendarz opuściliśmy nasze eksponowane stanowiska w Działdowie i Ciechanowie. Odkomenderowano nas daleko na południe, aż do Zegrza. Znaleźliśmy się pod Warszawą.

Cała kompania została tu zebrana razem, co nie zachwycało może zwolenników pewnego separatyzmu wewnątrz naszego oddziału. Z drugiej strony położenie Zegrza okazało się tak śliczne, że

można było dla jego uroku zgodzić się na inne niedogodności. Pomieszczono nas w starym forcie, tuż nad brzegiem Bugonarwi, w sąsiedztwie cudnego parku. Kazamaty były oczywiście antypatyczne, ciemne i wilgotne, toteż zaraz wynieśliśmy się z nich do zmajstrowanych przez siebie baraków i przemyślnie wyplecionych z wikliny szałasów — suchych i przewiewnych. Początek maja był może nieco zimny w tych nader letniskowych pomieszczeniach, ale potem czuliśmy się w nich campingowo. Zresztą opodal na zboczach, już poza terenem wojskowym, rozłożyła się duża kolonia prawdziwych domków campingowych, wyglądających z daleka jak filuterne chatki krasnoludków. To nasuwało niezbyt wojowniczą myśl sprowadzenia tu rodziny na lato.

Pobyt w Zegrzu nie był jednak wcale idyllą. Rozpoczęło się projektowanie prac fortyfikacyjnych na całym dużym pasie terenu wzdłuż Narwi. Kilka dni spędziliśmy z por. Wolańskim w Pułtusku, przygotowując projekt fortyfikacji przedmościa i penetrując oba mosty na Narwi. W tych materiałach komunikowaliśmy się z dowódcą tamtejszego 13 pułku piechoty.

Nowy most drogowy na filarach betonowych, zburzony jeszcze podczas pierwszej wojny światowej, był właśnie na samym ukończeniu. Oglądaliśmy go szczegółowo w towarzystwie inżyniera kierującego budową. Ten zauważył mimochodem, że wojna w tym roku zapewne nas nie minie. Istnieje w Pułtusku przesąd, że ukończenie tego mostu wiąże się z początkiem nowej wojny. Tak było w roku 1914 i tak też będzie teraz. „A właśnie uroczyste otwarcie mostu mamy za 2 tygodnie”.

W podobnych celach byłem wysłany do Rózanu, gdzie parę naszych drużyn robiło przeszkody przeciwczołgowe.

Fortyfikacyjne prace projektowe obciążały raczej oficerów i podoficerów, a nie cały skład kompanii. Dla zatrudnienia saperów trzeba było niekiedy wyszukiwać prace niezbyt z wojną związane. Do takich należała budowa ozdobnego mostu, który należało przetrzymać nad głębokim parowem w cudnym parku zegrzańskim, dla celów całkiem pokojowych — nadawał się on specjalnie do użytku zakochanych w maju.

Bardzo chciałem wykręcić się od tej budowy, uważając taką materię za dość delikatną. Zakochani może byliby mniej wybredni, ale jak udowodnić Panu Generałowi (a może nawet Pani Generałowej) że most jest przesłiczny, jeśli on (lub ona) uprze się że jest szpetny? Lepiej już pozostać przy fortyfikacjach. Zrobiłem wtedy rysunek ażurowego cacka o bardzo lekkiej, ale niezbyt realnej konstrukcji. By ją urzeczywistnić potrzebne były belki drewniane o dużej długości, trudne do znalezienia na rynku, a również bardzo wymyślne części i okucia żelazne. Jak

zaczną szukać, to po paru tygodniach może ochłona — myślałem sobie w duchu.

Nazajutrz nad parów wjechała ciężarówka ze specjalną przyczepą i wyładowała żądane drewno ściśle według wymiarów, zakupione w prywatnym tartaku. Jeszcze nazajutrz otrzymałem samochód do Warszawy, gdzie w centralnym składzie firmy „Krzysztof Brun i Syn” na rogu Bielańskiej przekonałem się, że daleko mi jeszcze do nierealności w moich pomysłach technicznych.

Po paru tygodniach most stanął — i był prześlizgny. Nie zaszkodziło mu, że przy niwelacji omyliłem się, dotąd nie wiem w jaki sposób, o 12 cm, że krzywo zabetonowałem przyczółki. Wszystko to wyrównała koronkowa robota ciesielska mistrzów siekiery spod Wilejki. Otwarcie odbyło się z pewną ostentacją. Próby techniczne nie były skomplikowane. Kpt. Engel skomenderował: „Równy krok, pluton — marsz!”, a ja patrząc z boku, podrygiwałem z emocji w takt tego, jak 50 par nóg łomotało saperkami o deski pomostu, przeznaczone tylko dla delikatnych stąpań w noc księżycową. Most ten podrygiwał — ale nic ponadto.

W czerwcu Samodzielna Kompania Saperów „Czesław” porosła w pierze. Parokrotnie jeździłem do Warszawy w grupie naszych kierowców po odbiór samochodów i motocykli. Wróciłem do Zegrza na ślicznym, nowym CWS z przyczepką, na którym ganiałem odtąd po szosach nad Narwią. Dostaliśmy w sumie 10 maszyn — „łazików” i ciężarówek. Nie było to wiele, ale kompania została w pewnej mierze zmotoryzowana. Czuliśmy się bardzo różni od zwykłej kompanii liniowej, a „park samochodowy” i przymiotnik „samodzielna” łechtał nasze poczucie wartości własnej i przydawał naszemu dowódcy *quasi*-majorskiego splendoru.

Nadszedł lipiec. W ramach prac fortyfikacyjnych zostałem wyekspediowany z plutonem tą samą linią kolejową znów na północ — pod Mławę. I tu dopiero poczuliliśmy nieco wyraźniej ostry zapach bliskiej wojny.

Wszystko, jak zwykle, było otoczone tajemnicą, ale tu przynajmniej było nią co otaczać: powstawała poważna linia fortyfikacyjna.

Trzy skwarne tygodnie lipcowe, spędzone pod Mławą, niewiele dały mi pojęcia o całości tych robót. Od razu jednak znać było, że trafiliśmy tam, gdzie robi się coś na serio.

Ponieważ już przywykłem do bezmienności naszych działań, więc nie próbowałem dochodzić, co za jednostka podjęła nas w tej Mławie. Było to jakieś ugrupowanie techniczne, pocho-

dzące ze Słonima, co dziwiło mnie, gdyż w mieście tym nie stacjonował żaden z etatowych batalionów saperskich. Zresztą roboty prowadzone były przeważnie siłami oddziałów piechoty. Wszystko tonęło w powodzi kryptonimów oddziałowych. Całe pułki piechoty przeciągały drogami, prowadząc duże tabory, złożone z charakterystycznych chłopskich wozów o jednokonnym zaprzęgach „w długę” tak swojskich dla mego oka, a całkiem egzotycznych pod Mławą. My przybyliśmy tu na krótki staż, dla praktycznego zaznajomienia się z robotami.

Otrzymaliśmy nasz plac budowy — maleńką działkę zamaskowaną krzakami i jedliną. Do tego zwał starych desek z poprzednich szalowań, betoniarkę z silnikiem spalinowym, narzędzia, taborek takichże furmanek jednokonek do podwożenia cementu, wody i żelaza. Do tego małą odbliskową światłoczułą projektory schronu betonowego, opatrzoną wszelkimi stemplami i nadpisami podkreślającymi jej tajność. Poza tym żadnych szkiców, żadnych rysunków. Budować.

I budowaliśmy. Nie były to żadne cuda techniki wojennej. Proste, standardowe schrony na jedno stanowisko ckm-u, strzelającego po jednej osi. Mała kabinka, obudowana ścianami o grubości 80 cm i metrowym stropem żelbetowym potężnie uzbrojonym żelazem okrągłym i szynami, z wejściem ochronionym specjalną płytą. Po pierwszym ustawieniu szalowania poczułem się już bardzo kompetentnym schronotwórcą. Dalsze powstawały, jak grzyby. Rozglądałem się dokoła, chcąc wypróbować swe siły na jakimś bardziej skomplikowanym obiekcie techniki wojennej, ale koło nas widziałem wciąż tylko ten sam standardowy typ powtarzający się z minimalnymi odchyleniami.

Mimo dobrej organizacji i obfitego zaopatrzenia materiałowego, zdarzały się usterki. Przez kilka dni byliśmy pozostawieni zupełnie bez gwoździ. Poszczególne ekipy podkrađały sobie nawzajem ostatki. Podziwiałem przemyślność moich Białorusów przy zbijaniu rusztowań i szalowań kołkami drewnianymi lub wiązaniu ich drutem. Specjalni „rybacy gwoździowi” rozbiegli się po okolicznych zagrodach, z obcęgami i „łapami” w rękach, nie przepuszczając niczemu. W ich palcach najbardziej pogięty i sfatygowany gwóźdź był do użycia. Można go było „zwinąć w kłębek” i zaklepać (robiłem takie eksperymenty), a po kilkunastu lekkich uderzeniach młotkiem był znów prosty. Oto odbicie życia na naszej wsi kresowej, gdzie gwóźdź uważano za narzędzie, a nie za materiał.

Mimo dobrego wyżywienia ludzie byli nieco wyczerpani. Z jednej strony narzucano nam wściekłe tempo wojenne, które zrozumiałe jest pod kulami — gdy one gwizdzą, nikt nie odważa

sił na wadze aptekarskiej. Ale z drugiej strony nic koło nas nie gwizdało, wokół płynęło spokojne życie zagród chłopskich, ludzie opalali się podczas urlopów, wycieczki ciągnęły nad wodę podczas upałów. Do tego jeszcze ponosiliśmy skutki naszej zbyt dobrej pracy — byliśmy przeciążani. Coraz to zatykano nami jakieś dziury w harmonogramie robót, posyłano w nocy na opóźnione i wymagające podciągnięcia bunkry. Samotny pluton, pozbawiony należytego oficera do obrony jego interesów, był zewsząd podskubywany.

Na parę dni uskokczyliśmy na bok: dano nam do roboty bunkier dodatkowy na wykonanym już uprzednio odcinku fortyfikacyjnym, oddalony o parę kilometrów od głównego terenu robót, gdzie gęsto było od tych, którzy mają dużo do powiedzenia. Pod wieczór udaliśmy się lekkim marszem spacerowym do przyjemnej wsi, gdzie rozłożyliśmy się po stodołach. Nastąpiło pewne odprężenie, stosunki z ludnością miejscową, zwłaszcza z jej żeńską połową, ułożyły się znakomicie. Moje poznańskie gospodarskie synki z młodego rocznika były w ogóle przy pieniądzach, ale czy mogła być mowa o płaceniu za żywienie nas w ten letni wieczór na tej mazowieckiej wsi pełnej dziewcząt? Wieczorem, opchany jajecznicą, kwaśnym mlekiem i jagodami, myłem właśnie zęby do snu, kiedy uprzytomniłem sobie, że właściwie nie dostarczono nam kolacji, która się należała z kuchni polowej. Żeby się rozerwać przed zaśnięciem, przysiadłem się do telefonu polowego, zostałem z czymś tam połączony i wygłosiłem do mikrofonu tyradę o oddziale wojskowym pozostawionym bez wyżywienia w najcięższych warunkach pracy. Zadowolony ułożyłem się na sianie.

Okazało się, że nie tylko ja miałem skłonność do kawałów. O północy sen mój został przerwany — nadjechała biedka i kolację przywiozła. Pluton został obudzony, ale nie udało się postawić go na nogi, bo nikt nie myślał wstawać. Ja tylko jeden musiałem podnieść się dla przyzwoitości i przełknąć nieco zimnej kaszy, jak cykute, którą Sokrates wypił, idąc za głosem obowiązku.

Wróciliśmy znów tam, gdzie coraz więcej mieliśmy do usłyszenia od tych, którzy mają dużo do powiedzenia. Jakiś podporucznik (i to jeszcze z piechoty, która pracowała razem z nami) zaczął przyczepiać się do nieposzlakowanej pracy moich saperów, z całą arogancją, właściwą podporucznikom zawodowym zaraz po nominacji i kazał mi nawet robić jakiś szkic kontrolny schronu, za pomocą którego miał coś tam sprawdzać. Wyczekałem, aż zjawił się któryś z majorów i zacząłem robić szkic z największą ostentacją pod jego nosem. Natychmiast wybuchła burza,

szkic został zniszczony, a podporucznik utemperowany. Tym razem tajność przydała mi się na coś.

Pierwsze wszy zaczęły pojawiać się na ciemnych od potu i cementu koszulach. Coraz mniej było czasu na pranie, na kąpiel, nawet na jedzenie. W pewnej chwili skonstatowałem, że tęsknię nie tylko do słodkiego Zegrza, ale i do kpt. Engla. Jawny znak, że trzeba wracać. Ale jak się urwać?

Jakiś termin w piastowanych troskliwie papierach plutonu (karta wyżywienia czy coś w tym rodzaju) był na upłynięciu — sprawa czysto papierkowa, możliwa do załatwienia telefonicznie w ciągu kwadransa. Ja jednak nie chciałem zmarnować tej szansy i postanowiłem działać przez zaskoczenie. W krytyczny ranek, po nocy przepracowanej przez nas przy betonie wysłałem doskonałego kpr. Bąka, mego zastępcę, na rozpoznanie. Okazało się, że przy naszym bunkrze, który objęła już następna zmiana, nie ma nikogo z bonzów, mogących wszcząć burzę i rozpętać telefoniczne połączenia. Pluton wychynął z krzaków. Ze wszystkimi wymaganiami wojskowego ceremoniału przeprowadzałem „odmeldowanie się”. Pluton uroczyście prezentował broń, ja wspiąłem się na rusztowanie, gdzie stał podporucznik rezerwy prowadzący budowę, i nienagannie wyrecytowałem meldunek. Oczywiście zaprotestował przeciwko odejściu plutonu, który znał z najlepszej strony, ale ja też trzymałem się twardo, osłonięty moją papierową tarczą, ukryty za te trzy magiczne słowa, które tak ułatwiają życie wojskowe: „Nie mam rozkazu”.

Po chwili bunkier został za nami, a my znikliśmy w krzakach. Uznałem, że roztropniej będzie nie pokazywać się tak od razu na stacji. Odskokczyliśmy parę kilometrów na przeciwną stronę linii kolejowej i tam przywarowaliśmy do nocy. Ostrożność nie zawadzi. Dopiero nad ranem załadowaliśmy się do pociągu i w kilka godzin byliśmy w Zegrzu.

W parę miesięcy potem, wkrótce po ukończeniu kampanii wrześniowej, wpadła mi w ręce niemiecka publikacja, mówiąca z dumą o przełamaniu linii umocnień pod Mławą, w zaciekłych i krwawych walkach *Mann gegen Mann*. Potem wielokrotnie czytałem o 3-dniowej bitwie naszej 20 Dywizji Piechoty, rozpoczętej od pierwszych godzin wojny na tej właśnie umocnionej mławskiej pozycji. Linia nie została przełamana, lecz opuszczono ją z powodu oskrzydlenia.

Nie odczuwałem wtedy żadnej satysfakcji, że opuściłem budowę tych sławnych umocnień chyłkiem, z błahych powodów i przy użyciu papierkowych chwytów.

Na początku sierpnia, wbrew nieustannemu narastaniu fali wojennej, znalazłem się nagle... w cywilu. Zwolniono mnie.

Jeszcze w maju cała moja rodzina w Wilnie zachorowała na tyfus brzuszny, co spowodowało oczywiście znaczne zaburzenia w rodzinnym bycie. Złożyłem w tej sprawie odpowiedni meldunek, prosząc o zwolnienie mnie z „ćwiczeń”, wobec tak wyjątkowych okoliczności. Odpowiedzi długo nie było. W Wilnie wszyscy szybko wyzdrowieli i sprawa poszła w zapomnienie aż do pierwszych dni sierpnia, kiedy raptem okazało się, że wojsko rezygnuje z moich usług, mimo tak nieodpowiedniej koniunktury politycznej. A mój świetny, wyspecjalizowany w żelbecie pluton ruszył właśnie gdzieś nad Narew, na nowe budowy. Odwiedziłem jeszcze opustoszałe koszary w Wilejce, gdzie zzułem z siebie wojskową skórę i znów ukazałem się w Wilnie.

Sezon robót wodnych i melioracyjnych był w pełni, ale brałem się do nich bez przekonania. Nie trzeba tłumaczyć tym, którzy pamiętają tamten sierpień, że roboty publiczne były w nim na drugim planie. Raczej ciągnęło mnie do bunkrów żelbetowych, które czułem jeszcze na końcach palców. Komunikaty radiowe były dla mnie jak drogowskazy: z powrotem do Zegrza.

We wtorek 22 sierpnia wyruszyłem na parę dni do powiatu Oszmiańskiego. Objeżdżałem roboty zdekompletowane i niemrawe, niezbyt wiele zaglądając do rowów melioracyjnych, czy regulowanych rzeczek, po odległych gminach. We czwartek rano roboty szarwarkowe stanęły, wobec masowego wezwania robotników do gmin. Ruszyłem do Oszmiany. Na stacji autobusowej stały wielkie, błękitne wozy komunikacji miejskiej z Wilna (tzw. Arbony) obłożone przez tłumy podpitych rezerwistów. Mnie nie przyjęto, bo nie miałem karty powołania. Byłem pewien, że mam ją także — tyle tylko, że nie przy sobie.

Dobiłem do stacji kolejowej (odległej od miasta o kilkanaście km) i wieczorem byłem w Wilnie. W domu, na stole leżała druga w tym roku karta powołania — tym razem do 3 Batalionu Saperów w Wilnie.

Wobec tego, że miałem w kieszeni ostemplowaną i potwierdzoną delegację — pozwoliłem sobie na luksus noclegu w domowych pieleszach.

MOBILIZACJA

Rozłożyste, stare koszary 3 Batalionu Saperów, których śliczne położenie między Górą Zamkową a Wilią, miałem już możliwość opisać, przyjęły mnie jak swego. Wchodząc w bramę główną raniutko w piątek 25 sierpnia, byłem zdziwiony brakiem rejwachu i tłoku, którego się spodziewałem. Okazało się, że jed-

nostki mobilizowane obecnie są zgrupowane gdzieś na mieście, a nie w koszarach. Zostałem przydzielony do 1 kompanii 1 batalionu i skierowany do domu przy ul. Świętej Anny, gdzie kompania ta miała powstać.

Idąc tam czułem się nieco zadufany w sobie. W pojęciu moim byłem „starym gwardzistą”. Kilka ostatnich miesięcy, spędzonych w wojsku i to w formacji bardziej eksponowanej, niż zwykły batalion liniowy, pozwalały mi patrzeć z lekkim przekąsem na to wileńskie wojsko. Niewiele się w nim pewno zmieniło od czasu kiedy nudziłem się tu na patriarchalnym placu ćwiczeń wodnych, przy opłakanych mostach pontonowych. Z wysokości „samodzielnej, zmotoryzowanej” pozostałej w dalekim Zegrzu, zstępowałem teraz od niechcenia na ul. św. Anny.

Zstępowałem — może raczej zstępowałbym, gdyby nie jedno słowo, zmieniające całkowicie dotychczasowe proporcje: „m o b i l i z a c j a”.

Przy ul. św. Anny trafiłem do piętrowego budynku, w którym mieściły się lokale jakichś społecznych organizacji. Okna wychodziły na Ogród Bernardyński, w tej porze roku pełen cudnych kwiatów. Nieco dalej rysował się na tle nieba nieposzlakowany gotyk kościoła św. Anny. Od ulicy, na ścianie frontowej, rzucała się w oczy tablica: „W tym domu mieszkał w latach 1877-1878 Józef Piłsudski”.

Wewnątrz zastałem tłum ludzi tylko co przebranych w mundury i niskie, żółte saperki — wszystko nowiutkie, wprost z „Mobu”. Zgłosiłem się do małego, czarnego podporucznika, po czym pojechałem motocyklem, który miałem za sobą, do domu, żeby przebrać się w mój mundur, który właśnie zażywał w szafie dwutygodniowego urlopu.

Szybko wróciłem, zameldowałem się dowódcy kompanii — młodemu porucznikowi o delikatnej, jak u kobiety cerze. Nieco jeszcze ze strony zaczęłem przyglądać się nowej arenie — tym razem może już arenie wypadków historycznych.

Wszystko było jeszcze dość luźne. Ludzie dopiero przybywali i mundurowali się. Obserwowałem z ciekawością ten tłum bierny i plastyczny, z którego dopiero miało ugniatać się wojenne ciasto. Wrażenie miałem dobre. Była to mieszanina różnych roczników, jednak z wyraźną przewagą młodych, powyżej 1910. Służbę czynną odbywali w 3 Batalionie Saperów w Wilnie, częściowo w 1 Batalionie Saperów w Modlinie. Pochodzili przeważnie z Wilna i z pobliskich powiatów, bez żadnych domieszek z innych dzielnic, wielu przybyło spod granicy sowieckiej, z postawskiego i dziśnieńskiego. Język białoruski dominował wyraźnie, a wyznaczenie prawosławne było obficie reprezentowane. Jednym słowem

znalazłem się w miejscowym polsko-białoruskim wojsku, wśród żołnierza do którego miałem wtedy i mam teraz wielkie zaufanie. Nie obeszło się też bez kilkunastu Żydów. Służba czynna, będąca rdzeniem kompanii, stanowiła bardzo nieznaczną część całości, złożonej poza tym z rezerwistów.

Kancelaria, magazyn mundurowy i magazyn broni były w ruchu, praca odbywała się dość składowo, chociaż niezbyt szybko. Nie było jeszcze wszystkich oficerów i podoficerów.

Chodziło nie tylko o wyekwipowanie i uzbrojenie ludzi — to szło dość łatwo i dobrze. Jako wojsko techniczne mieliśmy zostać wyposażeni w dużą ilość odpowiedniego sprzętu — przeważnie przyborów minerskich i narzędzi budowlanych, nie mówiąc już o amunicji wybuchowej, która saperowi potrzebniejsza jest niemal, niż karabin. Wszystko to musiało być załadowane na wcale okazały tabór. Tak więc główny spłot trudności przenosił się z budynku, zajętego przez ludzi do Ogrodu Bernardyńskiego, gdzie przychodziły z komisji poborowych konie i wozy, na które ładowało się nieskończone ilości różnych skomplikowanych „zestawów” przewidzianych przez instrukcje mobilizacyjne. Tu najwięcej trzeba było łamać sobie głowę.

Mnie omijały szczęśliwie te trudności, bo zajęty byłem przeważnie ludźmi. Po umundurowaniu i uzbrojeniu kompanii zaczęły się ćwiczenia, musztra, wykłady — normalne zajęcia, które trzeba było dać żołnierzowi leżącemu beczynnie. Te stosunkowo łatwe czynności były moim całodziennym zajęciem. Miałem je w małym palcu po Działdowie i Zegrzu. Mimo napiętej sytuacji politycznej wojna wydawała mi się jeszcze daleka. Przecie już w marcu jechałem na Pomorze z perspektywą natychmiastowego marszu na Prusy Wschodnie, a jednak skończyło się na niczym. Toteż musztra i inne naiwne ćwiczenia nie wydawały mi się wtedy tak śmieszne, jak teraz, kiedy patrzę na nie z wojennej perspektywy.

„Samodzielna, zmotoryzowana” odzywała się wciąż we mnie graniem swoich silników. Tu ich nie było. Instrukcje mobilizacyjne nie przewidywały żadnych pojazdów mechanicznych dla tego batalionu. Jednokonne chłopskie furmanki, zaprzężone „w dугę”, podobnie, jak te pod Mławą, miały stanowić główny środek transportu. Mechanizacja była reprezentowana tylko przez kilka rowerów. Ani jednej ciężarówki?

Rozglądałem się natomiast z trwogą, czy wyroki Niebios i wola dowódców nie zechcą nas obdarzyć jeszcze kolumną pontonową, oprócz taboru pęczniejącego w wielki odwłok, który mieliśmy wlec za sobą. Do mostów pontonowych miałem zadawaną niechęć, wyniesioną jeszcze z manewrów przed kilku laty.

Do dziś dnia nie mam do nich zaufania. Na szczęście okazało się że mamy ze sobą zabrać tylko kilka łodzi saperskich na specjalnych wozach. Są one mniejsze od pontonów i służą nie do budowy mostów, lecz do przepraw.

Po paru dniach mechanizm funkcjonował już niezłe. Zjawił się podoficer wyznaczony na szefa kompanii — każdy, kto był w wojsku, wie, jakie to ma znaczenie organizacyjne — był nim plutonowy Gryszkiewicz. Został dokonany podział na 4 plutony: dowódcą 1-go został oficer zawodowy ppor. Stanecki, dwa następne objęli podporucznicy rezerwy Greń i Awtuszewski, którzy zostali przydzieleni w międzyczasie: ja, jako sierżant-podchorąży, dostałem pluton 4-ty. Oprócz tego została wydzielona drużyna dowódcy i obsługa taboru. Razem kompania liczyła 260 ludzi — było na co popatrzeć. Dowodził nią por. Pierewoz. Był to młody oficer, którego nie znałem z poprzednich moich ćwiczeń rezerwy.

Batalion, do którego należeliśmy, składał się z dwóch kompanii: naszej (1-szej) i 2-giej, która tworzyła się jednocześnie w budynku szkolnym po drugiej stronie ulicy. Dowodził nią por. Jakubowski. Tego znów pamiętałem dobrze, gdyż odbijał nieco od ogólnego tła oficerów batalionowych. Dobrze zbudowany, wysoki i silny, był zarazem nieco „cywilny” w swoich okularach, czy też nieco „harcerski” w kategorycznym zdecydowaniu niebrania kieliszka do ust. Czuł się chyba wyobcowany w kasynie oficerskiej, gdzie wódka mężnie cementowała „ducha garnizonu”. Należał do młodego pokolenia oficerów, wnoszących pewne *novum* w dotychczasowy, ustalony tryb życia garnizonowego, co zapewne mu tego życia nie ułatwiało. W sumie żałowałem, że nie dostałem się do jego kompanii, która, z drugiej strony, miała dla mnie ten wyraźny defekt, że była drugą — cyfrę „2” uważałem przecież przez całe życie za feralną.

Te dwie kompanie stanowiły trzon batalionu 1. Dowodził nim kpt. Wejtko. Spotykałem go poprzednio i zachowałem o nim raczej nijakie wspomnienia z dawnych ćwiczeń wojskowych. Odwrotnie niż por. Jakubowski, był jak najbardziej „garnizonowy”. Lekko opadające wąsy nadawały jego twarzy o ciężkich rysach, wyraz pewnego pesymizmu.

Obok nas w parku sportowym i w pobliskim budynku szkolnym mobilizował się batalion 19. Potem okazało się, że numeracja ta pochodzi od dywizji, do których miały być włączone te saperские oddziały. Tak więc my odchodziliśmy do dywizji 1-szej, nasi sąsiedzi do 19-tej.

Mobilizacja, jak już wspominałem, przebiegała dość wolno tabor wciąż się kompletował pod starymi drzewami Ogródu Ber-

nardyńskiego, po ścieżkach i alejach wśród kwiatów brzmiały głosy komendy. Od czasu do czasu udawało mi się wydostać na godzinę do miasta na obiad lub nawet na noc do domu — miałem ze sobą stale mój motocykl. Na mieście widać już było pewne oznaki tego, co miało nadejść. Autobusy zarekwirowane dla potrzeb wojska znikły z ulic, kopano na gwałt rowy przeciwlotnicze, wychodziły nadzwyczajne wydania gazet, wymieniano pułki, które widziano już zmobilizowane, wychodzące z miasta. Poza tym jednak nie odczuwało się przygotowań wojennych w takiej skali, w jakiej one w istocie się odbywały.

We wtorek 29 sierpnia miałem właśnie Katedrę, jadąc na obiad, kiedy zatrzymał mnie nieznajomy oficer: „Powszechna mobilizacja — zawołał, ładując się na tylne siodełko — jedź Pan do 6 Pułku”. Dałem gazu i po chwili wysadziłem go na Antokolu. Ledwo zdążyłem zawrócić, dopadł mnie inny. „Mobilizacja, niech Pan jedzie za Zielony Most na Wiłkomierską”. Odstawiłem go tam, po czym szczęśliwie dostałem się do domu, unikając dalszych kursów po mieście. Wojna, która do tego czasu wydawała mi się zawieszona w dalekiej przestrzeni — teraz zbliżyła się raptownie.

Od tej pory zostałem przywiązany do kompanii jeszcze ściślej. Batalion już był z grubsza gotów, w każdej chwili mógł przyjąć rozkaz wymarszu, trudno było wyskoczyć na miasto chociaż na godzinę. Wciąż panowała cudna pogoda, noce były ciepłe, toteż zabierałem parę koców, kładłem się po prostu na trawniku i zasypiałem wśród kwiatów. Kompania również nocowała w zupełnej gotowości przy broni ustawionej w kozły. Wyżywienie mieliśmy z własnej kuchni polowej, na którą spoglądałem ze szczególną sympatią — była duża, 4-kotłowa, zupełnie nowa, z 4-konnym zaprzęgiem.

Nieco roboty miałem z moim plutonem, ponieważ nie było w nim wcale podoficerów. Potem dopiero został przydzielony zastępca dowódcy plutonu kapral-podchorąży Lachowicz. W braku kaprali musiałem zrobić drużynowymi starszych saperów. Każdy pluton miał własny tabor składający się z 3 wozów: biedki amunicyjnej (amunicja wybuchowa i związany z nią sprzęt minerski), biedki l.km. (karabin maszynowy i amunicja) i wozu narzędziowego (łopaty, siekiery, piły, liny, skrzynie ze sprzętem kowalskim, ślusarskim i ciesielskim). Nie obejmowało to tzw. sprzętu przenośnego tj. kompletu podobnych narzędzi, który każda drużyna saperska nosi przy plecakach i w specjalnych torbach. Ten dodatkowy sprzęt, będący poważnym obciążeniem żołnierza, odbijał wyraźnie od rysztyunku piechoty, od której odróżnialiśmy się

również tym, że nie mieliśmy hełmów, lecz tylko zwykłe czapki polowe.

Jako dowódcy plutonu został mi przydzielony koń wierzchowy i ordynans. Koń trafił mi się olbrzymi, ciężki, jakiejś niewyraźnej szarej maści. Widać było, że nigdy nie chodził pod siodłem, toteż początkowo chciałem wymienić go gdzieś na innego, ale potem szybko przyzwyczałem się do tego kolosa, na którym siedziało się, jak na słońiu. Ordynans zaś pasował do konia przez to, że był również ogromnego wzrostu. To wielkie chłopsko miało rzadko spotykaną w takim stopniu właściwość budzenia ludzkiej wesołości. Do tego jeszcze nazwisko jego pobudzało kompanię do śmiechu: nazywał się Wydruk. Od pierwszego dnia wszyscy go znali i do ulubionych kawałów należało wołać Wydruka, naśladując mój głos. Toteż kiedy wołałem go naprawdę — uważał sobie za punkt honoru przychodzić dopiero po dłuższym namyśle i sprawdzeniu, czy nie jest przez kogoś nabierany. Nic nie mogło zmienić jego wielkiej flegmy, białoruskiej mowy i mało wojskowego sposobu bycia — na wszystko odpowiadał „dobrze panie”. Na swój sposób był rozsądny i zaradny. Ja osobiście nie miałem z niego pociechy, ale bardzo dobrze doglądał konia. Zresztą koło całego zespołu — konia, Wydruka i mnie — unosił się lekki humorystyczny nastrój świetnie wyczuwany i delikatnie podkreślany przez żołnierzy.

Już w dniu ogłoszenia powszechnej mobilizacji wymarsz wiślał w powietrzu, ale noc przeszła spokojnie. Nazajutrz, we środeć czuć było jak gdyby pewne odprężenie. Zdawaliśmy cywilne ubrania do magazynu, kompania poszła na Wilię, żeby wykąpać się. Niewiele usterek można było wyłowić w całości wykończonej na ogół bardzo skrupulatnie: brakowało pewnej ilości troków, tak że część zrolowanych koców i menażek była przywiązana do plecaków sznurkami: w sprzęcie minerskim mego plutonu brakowało zapalarki*, a kabel elektryczny był zniszczony; niektóre rowery były w nieświetnym stanie. Są to wszystko drobne szczególiki prawie niegodne zanotowania, które wymieniam, aby tym silniej podkreślić pedantyczne wykończenie całości.

Nadszedł wieczór pełen oczekiwania. Okazało się, że przed wymarszem ma zostać od nas odebrana przysięga. Zarządzenie to oburzyło mnie. Każdy z nas składał już raz przysięgę żołnierską podczas służby wojskowej. Ta nowa, odbierana obecnie, miała być w moim rozumieniu osłabieniem, a nie wzmocnieniem tamtej, przez całe życie obowiązującej. To tak, jakby żona zażą-

* Aparat do wysadzania materiałów wybuchowych prądem elektrycznym.

dała od odjeżdżającego męża, aby wziął z nią ślub jeszcze raz, dla pewności.

Po krótkiej ceremonii zaprzysiężenia, która odbyła się już po ciemku i bez zwykłej w takich wypadkach ostentacji, wyrwałem się jeszcze koło 11-tej w nocy na godzinę do domu, nie tyle żeby pożegnać się z rodziną (z którą żegnałem się już przedtem kilka razy), a raczej z myślą o porządnej kolacji, tym razem już na pewno ostatniej w Wilnie. Jednak i teraz noc minęła spokojnie, dopiero rano przyszedł rozkaz zaprzęgnięcia taboru. A więc ruszamy nareszcie. Dokąd? Dowiemy się dopiero na miejscu.

Przed samym wyruszeniem nastąpił akt niemałej wagi, bez którego losy wojny mogły pokierować się dla mnie zgoła odmiennie: zdjąłem nowe, żółte saperki, wprost z „Mobu”, a włożyłem moje własne, wychodzone długie buty robocze. Mało której decyzji w życiu winiszowałem sobie potem tak gorąco.

Przez cały czas naszego biwakowania w parku wciąż pilnowałem, by żołnierze nie niszczyli kwiatów, w których tonęły klomby. Teraz, w chwili wymarszu, nic nie mogło utrzymać dość licznych żon i matek, przybyłych pomimo wczesnej godziny, by nas pożegnać. Sliczne czerwone i białe róże, bogate astry i cynie powędrowały na czapki, na karabiny. Kiedy dowódca batalionu zjawił się, by odebrać raport, dwuszereg kompanii wyglądał, jak barwny szpaler. Widok ten rozgniewał kpt. Wejtkę: kazał nam zdjąć te ozdoby, mówiąc, że kwiaty dostaniemy przy powrocie, kiedy na nie zasłużymy. Te przewidujące słowa zawierały treść głębszą, niż wówczas można było ocenić.

Wymarsz nastąpił koło 7-mej rano. Obramiona żonami i siostrami kolumna czwórkowa, wysunęła się z parku w ul. Królewską. Podjechałem do jakiegoś sklepu i z wysokości mego bucefała poprosiłem, aby zatelefonowano do mnie do domu, że już ruszamy.

Miasto o tej rannej porze nie rozwinęło jeszcze swojego pełnego ruchu. Ulica przyzwyczajona do ciągłych przemarszów wojsk, patrzyła na nas dość obojętnie, prawie nie wyrażała swoich uczuć. A my pochłaniaлиśmy oczami miasto, które zostawialiśmy za sobą.

W milczeniu, ze zdjętymi czapkami przejechaliśmy pod Ostrą Bramą.

Ruszailiśmy w nieznane, wszystko było bardziej niż kiedykolwiek osłonięte tajemnicą wojskową. Jeszcze poprzednio otrzymaliśmy zakaz wspominania komukolwiek po drodze, skąd pochodzimy i jak się nazywa naprawdę nasz oddział. Batalion miał odtąd występować pod kryptonimem „Pilica”, a dwie jego kom-

panie otrzymały nazwy „Konstanty” i „Konrad” od imion swoich dowódców. Listy tylko przez pocztę polową. Nie miałem najmniejszego pojęcia o celu naszego marszu, przypuszczałem wszakże, że pojedziemy gdzieś dalej koleją. Toteż ze zdziwieniem stwierdziłem, że omijamy rampy na stacji towarowej, oddalamy się od torów i wychodzimy z miasta drogą na południe. Po kilku kilometrach rzecz wyjaśniła się: będziemy załadowani na podmiejskiej stacji Porubanek.

Trwało to cały dzień — trzeba było czekać, aż odjedzie jakaś artyleria, która zajęła rampę przed nami. Potem parę godzin ciężkiej pracy, zamieszania, bieganiny i transport jest gotów. Długi rząd platform i wagonów towarowych, wśród nich jeden osobowy oficerski — ludzie są tu na drugim planie, zajmują mało miejsca, tylko kilka wagonów. Cała reszta — to wciąż wozy i konie, konie i wozy. Wraz z nami jechało dowództwo batalionu, które miało swój osobny, duży tabor.

Zamiast jechać na południe, na Lidę, cofnięto nas znów do Wilna. Staliśmy krótko na bocznych torach gdzieś koło dworca, kompania w pośpiechu brała kolację z kuchni polowej na platformie. Po napiętym tygodniu mobilizacyjnym w Ogrodzie Bernardyńskim, teraz zrobiło mi się lekko. Leżałem wygodnie na zacisznej górnej półce. Pociąg ruszył, wyrząłem przez okno: tak jak przypuszczałem, jechaliśmy w kierunku Warszawy.



W owym czasie nie wiedziałem, że Polska posiadała rozbudowany system mobilizacyjny, uznany potem za jeden z lepszych w świecie.

Zapewniał on dużą szybkość realizacji, gdyż trzymał się zasady terytorialnego tworzenia nowych jednostek, w bliskości miejsc zamieszkania powoływanych. Zapewniał również tajność, bo ogromną większość rezerwistów można było powołać przy pomocy indywidualnych kart, bez potrzeby ogłaszania mobilizacji powszechnej. Dzielił cały kontyngent ludzki na grupy (oznaczone różnymi kolorami kart powołań), co zapewniało elastyczność manipulowania, zależnie od sytuacji politycznej, stopnia zagrożenia i położenia terytorialnego.

Mobilizacja w alarmie (tzn. przy pomocy kart) miała ogromną przewagę liczbową nad mobilizacją powszechną, ogłaszaną plakatami. Dość powiedzieć, że z 30 etatowych dywizji piechoty, które liczyła armia polska — tylko parę miało przybrać stan wojenny w ramach mobilizacji powszechnej — reszta była stawiana na nogi w alarmie. Żółta karta mobilizacyjna, którą otrzymałem,

była jedną z kilku kategorii, które mogły być mobilizowane razem lub oddzielnie, z wyprzedzeniem mobilizacji powszechnej, lub też jednocześnie z nią. W ten sposób przebieg mobilizacji mógł być bardzo ściśle dostosowany do politycznych i wojskowych potrzeb chwili.

W tym czasie polski system mobilizacyjny przeszedł już pewne próby praktyczne: mobilizacja czterech dywizyj piechoty i brygady kawalerii w marcu 1939 i mobilizacja dwóch dywizyj piechoty na Wołyniu w połowie sierpnia 1939. Zwłaszcza ta ostatnia przebiegła wzorowo.

1 dywizja piechoty Legionów była nie tylko jednostką etatową, ale traktowano ją jako elitarną. Mimo to jej stan, po zmobilizowaniu, wykazywał na odcinku saperów dywizyjnych poważne braki. Batalion saperów składał się tylko z 2 kompanii pieszych (poza dowództwem batalionu).

Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej podają stan organizacyjny dywizji piechoty. Dywizyjny batalion saperów ma tam następujący skład:

- 2 kompanie saperów piesze
- 1 kompania saperów zmotoryzowana
- 1 oddział rozpoznawczy zmotoryzowany
- 1 pluton transportowo-samochodowy (5 samochodów)
- 1 pluton chemiczny
- 1 kolumna saperska — sprzęt przeprawowy na 60 mb mostu, sprzęt zmechanizowany saperski.

PSZ w DWŚ, tom I, cz. I, str. 211.

Zwłaszcza uderzający był brak kolumny saperskiej, który pozabawiał dywizję mostu pontonowego.

Od chwili zarządzenia mobilizacji (24 sierpnia rano) do wymarszu naszego batalionu (31 sierpnia rano) przeszło bardzo wiele czasu, jeżeli się zważy, że za normalny okres mobilizacyjny dywizji pierwszego rzutu uważa się 3 doby. Mobilizacja więc miała przebieg niezwykle flegmatyczny. Potwierdza to również Truskowski, pisząc:

„Godziny popołudniowe spędzałem na pomoście przystani wioślarskiej w kąpielówkach, raz po raz zanurzając się w chłodnych falach Wilii. Mój dowódca, podpułkownik Podlewski..., który co pewien czas kontrolował postępy mobilizacji, nie wyrażał swą miną aprobaty na widok ociekającego wodą adiutanta, jednak zakazu kąpania się nie wydawał”.

Truskowski, Mój Wrzesień, str. 27.

Nie w ten sposób wyobrażamy sobie mobilizację powszechną. Przytaczam opinię Piłsudskiego w tej kwestii:

„Ta szalona robota mobilizowania, gdy nad głową stoi wyznaczony termin, na który trzeba być gotowym, ta masa szczegółów, które się narzucają i które przepracować trzeba, jest jednym z najcięższych wysiłków oficera i żołnierza. Robota ta wysysa z każdego oficera wszystko, co człowiek dać może i na podstawie wszystkich wspomnień ludzi, którzy przechodzili przez mobilizację, wiem, że po jej wykończeniu siadali do wagonów śmiertelnie zmęczeni, o niczym myśleć już nie zdołali”.

J. Piłsudski, *Pisma Zbiorowe*, tom. VI, str. 63.

Zwłoka w odtransportowaniu na zachód wojsk z O.K. III nie jest zrozumiała. *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej* wzmiankują, że przewozy te miały odbyć się „w ostatniej niejako chwili” (tom I, cz. I, str. 404), nie podając wyraźnego motywu takiej decyzji.

Do pewnego stopnia można tłumaczyć to zjawisko trudnościami kolejowymi, co było tym bardziej nieoczekiwane, że poważna część wojsk mobilizowanych w sąsiednich O.K. IX i O.K. II została przewieziona na zachód w dużo wcześniejszych terminach. Plan przewozów kolejowych powinien był zatem mieć luz.

„Przewozy koncentracyjne wojsk mobilizowanych w O.K. zachodnich odbywały się sprawnie i bez zacięć. Niespodzianie natomiast wystąpiły duże trudności w przewozach wojsk mobilizowanych w O.K. III, na tle braku taboru kolejowego na terenie dystrykcji wileńskiej”.

PSZ w DWŚ, tom I, cz. I, str. 411.

P U Ł T U S K

Ranek 1 września zastał nas na zapchanej transportami stacji w Białymstoku. Wszystko szło gładko, z zadowoleniem patrzyłem na funkcjonujący bez zgrzytów mechanizm kolei. Już drugi raz w tym roku jechałem tą samą linią, podobnym transportem, podobnym wagonem.

Wtedy w marcu wojna też wydawała się tuż, przed nami i z takim samym spokojem, z ochotą patrzyliśmy jej w oczy. Rozum podsuszał wprawdzie różne wątpliwości co do jej wyniku, ale w duchu byliśmy spokojni, pewni siebie, pewni armii, której

częstkę stanowiliśmy. We wszystko można było wątpić, ale nie w to, że bić się będziemy dobrze.

W przejeździe oglądałem z zaciekawieniem most na Narwi: był już obstawiony karabinami maszynowymi i artylerią przeciwlotniczą. Na stacjach mówiono, że samolot niemiecki rzucił dziś rano bomby na Grodno — co za bezczelność, trudno było wprost w to uwierzyć. Lecz inna wiadomość odwróciła moją uwagę od dalszych spraw: okazało się, że wcale nie jedziemy za Warszawę, a będziemy wyładowani na stacji Sadowne zaraz za Małkinią. Małkinia? To gdzieś nad Bugiem. Nie znam tych okolic.

W Sadownem podstawiono transport do rampy. Kompania od razu dała nurka w las. Wyładunek taboru szedł szybko, zaprzęgano i siodłano konie. Zarządzone zostało pogotowie — nasze 4 karabiny maszynowe ustawione na specjalnych stojakach patrzyły w pogodne, bezchmurne niebo. Uważałem przygotowania te za nieco teatralne, i robione tylko dla zasady. Na stacji nie można było nic dostać do jedzenia, bufetowa rozkłada ręce, że tyle narodu tu się przewala. — Jakiego narodu? — No przecie dzień i noc idą transporty i wyładowują się tu na stacji, więc wszystko wyjedli.

Wiadomość, że wojna jest zaczęta, nadeszła koło południa. Przyjeśliśmy ją wszyscy ze spokojem, nawet z ulgą. Za długo już zbierało się na nią. Byliśmy tylko początkującymi żołnierzami Drugiej Wojny Światowej, ale za to weteranami wojny nerwów. Teraz coś świeżego, potężnego jak fala powietrza po wybuchu, szło na nas z zachodu. Nigdy nie znosiłem ćwiczeń wojskowych — była w nich nuda wypływająca z braku autentyzmu. Wszystko robiło się tam na niby, wśród fikcyjnych założeń i imitowanych przeszkód. Życie oficera podczas pokoju, osnute jest na fikcji, której żadne usiłowania nie mogą sprowadzić do rzeczywistości, dopóki strzela się ślepyimi nabojami, a wybuchy pocisków markowane są wapnem na ziemi. Teraz dopiero zobaczymy rumieńce życia na manekinie wojny, który pokazywano nam dotąd.

Pierwszy etap prowadził do wsi Morzyczyn. Odległość była niezbyt duża, marsz odbywał się spokojnie. Posuwaliśmy się na północno-zachód w kierunku Prus Wschodnich, od których dzielił nas jeszcze Bug, a potem Narew. Byliśmy na Podlasiu w kraju lekkich gruntów. Długotrwała susza pokryła polne drogi naszego marszu grubą warstwą piachu, w którym zarzynały się koła taborów, zarzynały się tym mocniej, że piach ten był rozjeżdżony przez tysięczne koła kolumn, które po nim poprzednio przeszły. Konie ciężko pracowały.

Do Morzyczyna doszliśmy wieczorem. Miejsca było w bród. Rozmieściłem pluton w 3 stodołach na skraju wsi, wozy plutonowe

pod drzewami w opłotkach, konie w stajni. Kolacja z kuchni polowej, jajecznica u gospodarza. Jak dotąd wojna prezentowała się idyllicznie.

Idylla została przerwana około godz. 11-tej w nocy. Alarm. Świecąc mi w rozespane oczy latarką łącznik meldował, że zbiórka kompanii zarządzona jest w drugim końcu wsi, o kilometr. Co u diabła! Wokoło panowała zupełna cisza. Byłem najzupełniej pewien, że to jakiś kawał, widocznie dowódca kompanii zamarzyły się nocne ćwiczenia — też się wybrał. Pewno zaraz wrócimy spać na swoje siano. Bardzo szybko pluton stanął na nogi, taboryci piorunem zaprzęgali konie.

Na miejscu okazało się, że to nie zabawki, ale prawdziwy odmarsz. Ładna historia! A ja tak byłem pewny powrotu do naszej stodoły, że nawet zostawiłem w niej koc i inne swoje rzeczy. Na szczęście któryś pluton zgubił w ciemności wozy i, zanim je odszukał, pchnął gońca, który przywiózł mój dobytek. Zaraz potem ruszyliśmy. Po paru godzinach zamajaczyła przed nami szeroka, jasna dolina — przekraczaliśmy Bug po moście koło miasteczka Brok.

Pierwszy nocny marsz — potem dobrze rozgryzłem wszystkie smaki tych pochodów pod gwiazdami, długich godzin na siodle w sennym otępieniu aż do tej najgorszej chwili przed świtem, kiedy głowa raz po raz pada na końską szyję, a zdrętwiałe nogi wylatują ze strzemion. Potem dobrze poznaliśmy cenę kilometrów odwalonych między zmierzchem, a wschodem słońca. Teraz byliśmy dopiero na początku, dopiero zaczynaliśmy smakować wojnę.

Noc. Las. Szeroka, rozjeżdżona droga. Tyle razy tłukłem się na Wileńszczyźnie taką samą piaszczystą drogą, takim samym sosnowym lasem. Tylko że teraz cała szeroka przestrzeń między dwoma ścianami drzew dyszy tajemniczym, nocnym życiem ludzi, koni, wozów, dudniących armat, samochodów błyskających niebieską poświatą. W ten pochód tysięcy my, kompania, wtopieni jesteśmy jako maleńki element, skromna cząstka całości. Teraz dopiero te masy, które wyrzuciły pociągi w Sadownem i w Małkini, wyłoniły się z ciemności i prą naprzód. To idzie Dywizja.

Dobrze już w dzień przybyliśmy do wsi Poręba Średnia. Nie tyle była ona duża, co niesłychanie duża — ciągnęła się z kilka kilometrów wzdłuż drogi. Kompania zajęła kwatery gdzieś w środku. Stały tam inne oddziały wojskowe, ale miejsca starczyło dla wszystkich. Tabor został zamaskowany pod drzewami i w stodołach, zanościło się na dłuższy postój. Kilka godzin spaliśmy, potem plutony odchodziły kolejno na punkt sanitarny, gdzie lekarz baonowy przeprowadzał szczepienia przeciwtyfusowe. Wie-

czorem wypłacono normalny żołd, co wzbudziło pewne niezadowolanie, gdyż spodziewano się dodatku wojennego, który przysługiwał nam, skoro wojna została już niewątpliwie rozpoczęta. Również nie fasowaliśmy jeszcze papierosów, które też już się należały.

Nazajutrz była niedziela 3 września, zwykła cicha niedziela we wsi. Ludzie jechali do kościoła, nic nie zapowiadało jeszcze wojny, która gdzieś dalej musiała już rozlewać się po polskiej ziemi. Jakieś samoloty przeszły wysoko, ale raczej wyglądały na nasze niż na niemieckie. Rozłożyłem pod drzewami zawartość mojej plutonowej biedki amunicyjnej, sprawdzałem skrzynie z ładunkami trotylu, spłonki, zapalniki, zwoje lontu prochowego i wybuchowego — cała alchemia saperska uśpiona w wysłanych wołokiem drewnianych pudłach.

Koło południa natrafiłem przypadkiem na radio detektorowe w jednym z domów. Ledwo przyłożyłem słuchawkę do ucha — popłynęły z niej dźwięki hymnu *God save the King*. Po chwili podniecony głos spikera obwieścił, że Anglia wypowiedziała Niemcom wojnę. Słuchawka zaczęła zalewać mnie falą entuzjazmu, wyrzucać z siebie okrzyki tłumów, przemowy ministrów, dźwięki orkiestr. Oto stało się coś ponad wszelkie inne sprawy ważnego i radosnego. Z tą chwilą wojna jest w ostatecznym wyniku wygrana, bez względu na jej koleje w pośrednich stadiach. Z tą myślą (która w ciągu kilku lat następnych nie utraciła dla mnie nic ze swojej słuszności) pobiegłem do kompanii, aby jej obwieścić tę triumfalną nowinę.

Po południu dowiedziałem się, że Francja przyłączyła się do wojny. To była już tylko zwykła formalność.

Wymarsz został zapowiedziany na wieczór. Dowódcy plutonów dostali mapy sztabowe 1 : 100 000, a bezpośrednio przed wyruszeniem została nam podana trasa marszu. Tym razem mieliśmy oprzeć się aż o Narew — postój był wyznaczony we wsi Ostrykół Włościański około 10 km od miasteczka Różan. W tym miejscu rzeka płynąca na południe, tworzy kolano, skręcając na zachód. Te strony znałem niezłe, gdyż latem, stojąc w Zegrzu pracowałem przy umocnieniach na linii obronnej Narwi i bywałem w Różanie, w Pułtusku, w Serocku. Toteż poczułem się pewnie, skoro — chociaż z daleka — mieliśmy się opierać o fortyfikacje, w których wykonaniu sam brałem udział i w które wierzyłem.

Od pierwszego dnia marszu zaczęły wychodzić na wierzch niektóre nasze słabe strony. Nie tylko konie z trudem wyciągały się z morderczego piachu, ludzie byli też przeciążeni. Pierwsi Żydzi, jako mniej odporni, zaczęli mdleć po drodze. Potem coraz więcej ludzi, którzy naprawdę iść nie mogli, przychodziło ładować

na posuwające się z trudem wozy. Coraz więcej amatorów jazdy trzeba było odpędzać od taboru. Okrzyk „Sanitariusz!” brzmiał często wzdłuż kolumny. Rysztunek saperski niedostosowany do długich marszów, zarzywał kompanię. W ciemnościach nocy ludzie wysilali swój koncept, aby pozbyć się „majdanu”, wepchać go na wóz, pod plandekę, pod łódź saperską, tak aby woźnica tego nie zauważył. Nowe buty, które jeszcze nie zdążyły ułożyć się do nogi, niemiłosiernie nacierały i odparzały skórę. Mimo to wszystko twardy chłop białoruski na ogół znosił trud marszu z nadzwyczajną odpornością, jaką może wytworzyć tylko życie na naszej wsi. Coraz to leśna droga była areną wspaniałej wytrzymałości, tężyzny i humoru. Dziesiątki ludzi szło boso, niosąc buty na plecach. Widziałem takich, którzy na wesoło opatrywali sobie płaty odtartej i popękanej skóry na stopach. Te rany też wymagały heroizmu.

Tej właśnie nocy przypadła służba na mnie, na mój pluton. W marszu było to mocno kłopotliwe — oficer służbowy kompanii był odpowiedzialny za tabor. Przeciąganie wozów przez najgorsze miejsca, przepzęganie koni, zapędzanie plutonu do pchania łodzi saperskich — to wszystko było na jego głowie.

Marsz był długi. W ciemności minęliśmy uśpione miasteczko Długosiodło. Oba tabory kompanijne przemieszały się ze sobą i z wozami dowództwa, ale gdy rozedniało — wszystko wróciło do właściwego szyku, tak że w porządku dobiliśmy wreszcie do naszego Ostrykołu. Była to biedna wioseczka położona o kilkaset metrów od Narwi.

Dwa plutony odeszły zaraz na rzekę na jakieś zadanie, ja uchowałem się szczęśliwie. Przez cały dzień na słomie rozłożonej w jakimś ogródku odsypiałem nocny marsz. Od czasu do czasu Wydruk budził mnie, przynosząc w menażce coś do zjedzenia. Upał był, jak w lipcu.

Lecz oto wojna zbliżała się. Daleko za rzeką zaczęły grać armaty. O kilka kilometrów na północ unosiły się wysoko i opadały czarne chmury dymu — to paliło się coś w Rózanie. Daleki warkot samolotów dochodził stamtąd, jak delikatne brzęczenie owada. Wytknięte w niebo lufy naszych karabinów maszynowych teraz już straciły swój poprzedni dekoracyjny charakter — lada chwila mogły z nich paść strzały.

Noc mijała niespokojnie. Jakieś oddziały wycofywały się od rzeki i szukały noclegu w naszych stodołach, pędzono bydło, przejeżdżały cywilne wozy. Wstawał słoneczny, jasny dzień 5 września. Rano otrzymałem rozkaz obsadzenia przepraw i brodów na pobliskim odcinku Narwi. Zaczynało być gorąco. Nad Rózanem stał ogromny czarny słup dymu, sięgający aż do chmur. Odgłosy

wybuchów mieszały się z graniem artylerii, tworząc jednolity ciąg ognia, dalekiego jeszcze wprawdzie, ale całkiem już wyraźnego. Pojedyncze samoloty zaczęły ukazywać się z rzadka nad nami.

Obsadziłem swoimi ludźmi 2 człony* z łodzi saperskich, które przewoziły na nasz brzeg jakąś piechotę, resztę drużyn rozesłałem do innych punktów, rozrzuconych na długości kilku kilometrów. Wobec samolotów kręcących się nad nami i doskonałej widoczności trzeba było przerwać przeprawę. Kazałem spławić człony nieco w dół i zamaskować gałęziami w małej zatoczce. Można je będzie użyć dopiero w nocy.

Ledwo uporąłem się z tą robotą, goniec wezwał mnie do wsi do dowódcy kompanii: odmarsz za 2 godziny, rozbierać człony, ładować łodzie saperskie, ściągać ludzi.

Podczas pracy kilka razy trzeba było rozbiegać się i chować w niskie krzaki nadrzeczne — tylko konie stały na brzegu bezbronnie i flegmatycznie. Samoloty interesowały się nami, ale poprzestały na obserwacji. Nadchodziły ściągnięte obsady innych przepraw, kilku ludzi po drodze musiało kryć się przed ostrzeliwaniem z nisko lecącej niemieckiej maszyny. Wojna w pełni.

We wsi dowiedziałem się, że maszerujemy do Pułtuska. Pułtusk! — to słowo poderwało mnie radośnie. Przed paru miesiącami brałem przecie udział w opracowaniu projektu fortyfikacyjnego przedmościa Pułtuska, pamiętałem dokładnie całe założenie taktyczne obrony opartej o samo miasto i pobliski fort Kacice, miałem w głowie podział na odcinki, rozkład schronów, schemat czasowy robót, które należało wykonać po zarządzeniu pogotowia. Oba mosty — nowy żelazny i stary drewniany — też znałem na wylot, bo obliczałem amunicję dla ich zniszczenia. Wszystko to niezbyt może przypominało linię Maginot'a, ale w pojęciu moim stanowiło silną zaporę. Do Pułtuska szedłem, jak do Verdun — tam dopiero będziemy bić się.

Po wyjściu ze wsi kilka samolotów zaczęło kłębić się nad nami, oddalać się i znów wracać. Kompania momentalnie kryła się, ale tabór na otwartej przestrzeni nie miał żadnej osłony. Na szczęście zbliżyliśmy się do lasów. Nasze karabiny maszynowe wciąż wędrowały z wozów na swoje stojaki: posypały się pierwsze strzały. Nie tylko jesteśmy na wojnie, ale już walczymy. Gdzieś niedaleko łomotały wybuchy, ale na nas póki co nic nie spadało. Dokoła wojna rozlewała się, jak powódź, rosnąc z godziny na godzinę. Czarny słup dymów wystrzelający nad Rózanem, znikł nam z oczu, ale w kilku innych miejscach widniały wysokie

* Promy.

pióropusze pożarów, unoszące się pionowo w spokojnym powietrzu. Zwłaszcza z lewej strony, na południe od nas cały horyzont był przysłonięty szarym tumanem. Okoliczni ludzie twierdzili, że to pali się Wyszków. Koło wieczora rozeszły się wiadomości, że całe miasteczko jest w ogniu i że dużo ludzi zostało zabitych przez bomby.

We wsiach, które przebywaliśmy widać było oprócz zarządzeń mobilizacyjnych, również ogłoszenie, że w okręgu pułtuskim zostało wziętych kilku zakładników narodowości niemieckiej, którzy będą rozstrzelani w razie uszkodzenia linii telefonicznych lub innych aktów dywersji. Było to niebezpieczeństwo dość realne, bo w niektórych osiedlach Niemców było sporo. Marsz był ciężki, więc dla ulżenia ludziom zarekwiraliśmy w pewnej wsi kilka wozów, by załadować na nie plecaki i sprzęt przenośny. „*Sind sie Deutsch?*” — zagadnąłem jednego z woźniców. — „*Ja*” — odpowiedział i spojrzął na mnie naiwnie z wielką ufnością.

Od cywilnych jadących drogą zasłyszałem wiadomość, którą ja tylko rozumiałem: w Pułtuskusku wojsko wysadza domy znajdujące się przy ul. Kościuszki. Usunięcie kilkudziesięciu budynków w pobliżu tej ulicy było przewidziane w znanym mi projekcie fortyfikacyjnym dla stworzenia swobodnego pola obstrzału z obranych stanowisk. Szczegółowy wykaz, który sam sporządzałem, opatrzony został uwagą: „Zniszczyć w obliczu zbliżającego się nieprzyjaciela”. A zatem projekt obrony przedmościa został wykonany, w Pułtuskusku bronimy się do ostatka!

Do samego miasta nie weszliśmy. Późnym wieczorem kompania zatrzymała się we wsi Popławy, która właściwie stanowi przedmieście Pułtuskusa położone po drugiej stronie rzeki, zamieszkałe przez biedną ludność. Ubogie domki były opuszczone i pozamykane — mieszkańcy zostali ewakuowani. Łamiąc kłódki i zamki wchodziliśmy do ciemnych wnętrz, a światła latarek płoszyły stada karaluchów. Wszędzie widać było ślady pośpiechu, z jakim mieszkańcy przed wyruszeniem chwyтали tylko najpotrzebniejszy dobytek. Zwalając wątle płoty stawialiśmy pod drzewami i w szopach wozy taborowe i konie. Zmordowani ludzie walili się spać pokotem na słomie naciągniętej do izb ze stogów.

W nieco większym domku zajęтым przez moich saperów wpadły mi w oko drzwi zamknięte na porządną zamek, prowadzące do jakiejś opuszczonej izby: tam będę spał. Zawolałem Wydruka, by otworzył — przyniósł dużą saperską siekiere i zaczął nią podważać zamek. Drzwi, mimo pozorów lekkości okazały się mocne. Świecąc latarką patrzyłem na twarz Wydruka, na której zwykły wyraz przechodził szybko we wściekłość. Z furią walił w sosnowe deski ciężkimi ciosami siekiery — cały dom

drżał przy każdym uderzeniu. Po kilkunastu razach drzwi puściły, Wydruk wdarł się do środka. W mroku jego wysoka postać z siekierą w ręku dyszała dzikością. Musiałem osadzić go ostrym krzyknieniem, by nie zaczął rąbać szaf i stołów, wywalać okien. „To wojna, panie!” — usprawiedliwiał się niechętnie. Wilk poczuł krew, Wydruk poczuł wojnę.

Noc przeszła spokojnie, dopiero rano kanonada poderwała mnie ze stołu, na którym urządziłem sobie spanie na wiązkach słomy — artyleria waliła gdzieś niedaleko. Oba mosty na Narwi i samo miasto widać było, jak na dłoni. Na niebie jasnym i bezchmurnym huczały samoloty. Spod drzew patrzyliśmy z entuzjazmem, jak zbliżały się nieśmiało do mostów i zaraz zawracały, ścigane ogniem artylerii przeciwlotniczej. Czerwone punkty pocisków doskonale widoczne na tle nieba podnosiły się ku nim, kresząc w przestrzeni prawidłowe parabole i nagle gasły — to wybuch. Cóż, kiedy ani jedna z ostrzeliwanych maszyn nie została porażona. Żołnierze pytali mnie w zniecierpliwieniu, gdzie są nasze samoloty. Odpowiadałem, że widocznie zajęte są bombardowaniem Berlina.

Po godzinie przyszły rozkazy: 1-szy i 3-ci pluton szły na rzekę przygotować mosty do zerwania, reszta kompanii miała odprawić tabor i czekać z nim w lesie przy szosie o 10 km w stronę Wyszkowa. Rozkaz ten nie zachwyił mnie wcale. Co u diabła! Jeszcze nie weszliśmy do Pułtuszka, z którym wiązałem tyle nadziei, a już mieliśmy ruszać w inną stronę. I to jeszcze dokąd? Cofać się, wyraźnie cofać się na południe. To nie było mi w smak.

Początkowo szosa szła lasem. Coraz to trzeba było biec pod drzewa i chować się przed samolotami. Wtedy wozy i konie zostawały bezbronne na szosie, bo przeważnie czasu nie było, by coś z nimi począć. Na szczęście nic złego się nie stało. Raz duży bombowiec wypłynął zza drzew tak nagle, że nawet nie zdążyłem zeskoczyć z konia. Przez moment czekałem skulony na końskiej szyi, a w głowie tłukło mi się pytanie: bomba, czy karabin maszynowy? A on przeszedł nad nami niziutko i popłynął w stronę Pułtuszka, wracając ze swojej wyprawy. Nawet nikt nie zdążył strzelić.

Wreszcie przywarowaliśmy w wyznaczonym lesie. Od Pułtuszka dochodził coraz to silniejszy ogień artyleryjski. Odesłałem do mostów moją plutonową amunicję wybuchową. Kuchnia polowa wydała nam obiad, a resztę powiozła pracującym na rzece plutonom, lecz po paru godzinach wróciła, nie mogąc dostać się na miejsce z powodu ognia artyleryjskiego. Jeden z kucharzy był ranny w rękę — samochód zabrał go gdzieś do tyłu. Od gońców wiedziałem, że oba mosty są silnie ostrzeliwane. Od czasu do

czasu ukazywały się samoloty i wybuchała wściekła strzelanina naszych karabinów maszynowych i ręcznych. W pośpiechu paru ludzi strzeliło przez założone na lufy ochraniacze. Przez cały czas obserwowałem z niepokojem szosę, po której wciąż posuwały się w stronę Wyszkowa długie kolumny taborowe.

Nad wieczorem przyszedł nowy rozkaz: tabor czekać w lesie, reszta kompanii maszerować do Pułtuska. Duch podniósł się we mnie, kiedy szybko szliśmy z powrotem tą samą szosą, która nas tu przyprowadziła dopiero dziś rano. Zarazem jednak widać było, że nie wszystko jest w porządku: już nie tylko uchodźcy cywilni i tabor, ale i oddziały wojska wycofywały się w stronę Wyszkowa. Zmrok zapadł. Chwilami droga była zupełnie zatłoczona. Jechałem naprzeciw tej fali z zaciśniętymi zębami, pilnując porządku w plutonie. Jakiś robociarz skoczył do mnie z boku, wołając: „Panie, co pan robi, gdzie pan jedzie?”. — „Do Berlina!” — warknąłem na niego z góry.

Droga wznosiła się łagodnie, strefa ognia była już blisko przed nami, o kilkaset metrów widać było błyski i dymy pożarów — to artyleria niemiecka roznosiła nieszczęsną wieś Popławy, w której spaliśmy jeszcze tej nocy. Zatrzymaliśmy się w lasku, czekając na dalsze rozkazy, które nie nadchodziły. Po godzinie zjawił się dowódca kompanii z tymi plutonami, które pracowały przy mostach — cofaliśmy się znowu do naszego taboru w lesie.

Koło północy okazało się, że cofamy się dalej — znikły resztki moich nadziei na Pułtusk. W duchu buntowałem się i gubiłem w domysłach. Nikt nie rozumiał dokładnie, czemu się cofamy. Widocznie Niemcy musieli gdzieś przerwać się bokami. Z ponurą wściekłością wyciągałem po ciemku tabor na skraj lasu — tej nocy był to mój obowiązek, bo znowu miałem służbę.

Ruszyliśmy wreszcie, lecz ku utrapieniu woźniców nie szosą, a polną drogą biegnącą równoległe do niej o paręset metrów. Zaraz wjechaliśmy w długą ciemną i uśpioną wieś Topolnica. Zmęczeni ludzie szli sennie, ja też drzemałem na siodle.

Lecz oto nagle poderwałem się: w ciszy nocnej daleko z lewej strony rozległ się strzał artyleryjski. Zamierający w odległej przestrzeni huk przerodził się w delikatny gwizd, który w jednej chwili spotężniał do rozmiarów wycia i nad naszymi głowami doszedł do swego najwyższego napięcia, przewalając się na drugą stronę wśród przeraźliwych wibracji. Zrobiłem ruch, by zeskoczyć z konia, ale równocześnie poczułem, że to nie zda się na nic. Zanim dosięgnę ziemi — i tak będzie już po wszystkim. Przyłgnąłem do końskiej szyi. Jednocześnie wzrok mój padł na kompanię, która nagle znalazła się gdzieś nisko, u końskich nóg. W ciemności leżący pokotem ludzie wyglądali, jak stłoczone stado owiec.

W tej chwili huk i błysk rozdarły ciemność nocną. Pocisk trzasnął niezbyt blisko od nas, obok pustej szosy, którą pozostawiliśmy na prawo.

Kompania oderwała się z ziemi, lecz po chwili znów leżała na drodze, przytłoczona wyciem następnego pocisku. Równo, jeden za drugim nadchodziły z ciemności nad nasze głowy. Odbieraliśmy wojenny chrzest żołnierza, do tej pory byliśmy jeszcze całkiem niewinni. Zeskoczyłem z konia, ale po chwili znów byłem na siodle. Widoczne było, że artyleria ostrzeliwuje szosę, po której my akurat nie szliśmy, mimo że byliśmy od niej blisko. Zaczął się pośpieszny marsz, który co chwila przechodził prawie w bieg. Nie było już ani zmęczonych, ani chorych, wszystkie buty stały się wygodne, najbardziej okaleczone nogi wróciły do pełnej sprężystości. Nie tylko nie trzeba było nikogo popędzać, ale wciąż przychodziło wstrzymywać tył kolumny, by nie zapędzał się do czoła. Również konie taborowe zaczęły wykazywać niespodziewaną ochotę do wzajemnego wyprzedzania się. We wsi widać było popłoch, ludzie z tobołkami uciekali wprost w pole.

Potem, po dalszych doświadczeniach wojennych, incydent ten wydał mi się bardziej zastanawiający, niż w pierwszej chwili. Artyleria niemiecka zaczęła ostrzeliwać ten odcinek szosy, na którym mieliśmy się znaleźć zaraz po wyruszeniu z lasu. Gdybyśmy tą szosą maszerowali — dostalibyśmy się pod ogień niewątpliwie, uratowało nas to, że skręciliśmy na boczną, równoległą drogę. Ostrzeliwanie było przeprowadzone z zadziwiająco celnością pomimo nocnej pory i ustało bardzo szybko po minięciu przez nas krytycznego odcinka. To wszystko zdaje się potwierdzać opinię, z którą spotkałem się potem nieraz, że ogień artylerii niemieckiej bywał kierowany przy pomocy sygnałów radiowych przez cywilnych obserwatorów wysyłanych naprzód do obiektów ostrzeliwanych.

Kiedy rozedniało — zatrzymaliśmy się w lesie. Kuchnia polowa bardzo szybko ugotowała i wydała śniadanie. Sporo ludzi brakowało z tych, którzy pracowali na mostach w Pułtusku, z 1 plutonu tylko kilku saperów. Trzeba się było spodziewać dużych strat, wobec silnego ognia, pod jakim te mosty znajdowały się podczas pakietowania. Były wiadomości, że zginął goniec dowódcy kompanii Chrostowski. Drzemiąc i pijąc kawę przeleżeliśmy jakiś czas pod drzewami na słońcu, które zaczęło przygrzewać po zimnej nocy.



Wychodząc na wojnę nie miałem pojęcia, że:

1-sza Dywizja piechoty Legionów, transportowana pośpiesznie z Wilna, miała wejść w skład grupy operacyjnej „Wyszków”, stanowiącej odwód Naczelnego Dowództwa dla frontu północnego, skierowanego przeciwko Prusom Wschodnim. Na dowódcę grupy był przewidziany gen. Skwarczyński, który jednakże, aż do chwili wybuchu wojny, był czynny jako dowódca tzw. korpusu interwencyjnego na Pomorzu. Dopiero w dniu 2 września gen. Skwarczyński przybył do Ostrowi Mazowieckiej, ale zanim zdołał objąć dowództwo — został skierowany na południe Polski, na inne stanowisko. Dowództwo grupy objął na skutek tego dowódca 1-szej dywizji, gen. Kowalski. Było to dość naturalne, gdyż poza tą dywizją, stanowiącą trzon całości, w skład grupy wchodziła tylko 41-sza dywizja piechoty (gen. Piekarski), która jako rezerwowa, mobilizowała się wolniej i w sposób bardziej improwizowany, niż dywizje etatowe. Ze swego składu (niezbyt kompletnego), dywizja ta wydzieliła obsadę twierdzy Różan, pozostała więc bardzo uszczuplona, jako jednostka manewrowa.

Również 35 dywizja piechoty, mobilizująca się powoli na Wileńszczyźnie, miała wejść w skład grupy „Wyszków”, ale praktycznie nie zdołała już dołączyć.

Inne jednostki (Mazowiecka brygada kawalerii, 33-cia dywizja piechoty) były dołączane do grupy i wycofywane z niej, w miarę rozwijających się operacji.

Początkowo rozmieszczenie grupy operacyjnej „Wyszków” przewidziane było za stykiem armii „Modlin” (gen. Przedrzymirski) z samodzielną grupą operacyjną „Narew” (gen. Młot-Fijałkowski). Nazwy tych trzech wielkich ugrupowań dostatecznie określają ich rozmieszczenie terytorialne.

Działanie grupy „Wyszków” były oczywiście uzależnione od obu jej wielkich sąsiadów. W momencie wybuchu wojny grupa nie była formalnie podporządkowana żadnemu z nich, lecz podlegała bezpośrednio Naczelnemu Dowództwu.

1-sza dywizja piechoty, jako odwód, weszła do akcji dopiero w parę dni po rozpoczęciu działań wojennych. Inne dywizje w ugrupowaniach sąsiednich, znalazły się w ogniu już od pierwszych godzin.

Sąsiednia armia „Modlin” składała się:

z 20-tej dywizji piechoty (płk Lawicz), rozmieszczonej na świeżo wybudowanej, wysuniętej pozycji ufortyfikowanej na północ od Mławy (tej samej, w budowie której brałem pewien udział w lipcu), zmobilizowanej w rejonie Słonim-Baranowicze i przewidzianej do Mławy już w marcu, a więc dobrze wgrzyzionej w zajmowany przez siebie teren i w przez siebie samą zbudowane fortyfikacje;

z 8-mej Dywizji piechoty (płk Furgalski), mobilizowanej w alarmie, w ostatnich dniach, w rozległym rejonie Modlin, Płock-Mława. Z jej pułkami piechoty 13-tym i 32-gim stykałem się z daleka w Pułtusku, Modlinie i Działdowie. W momencie wybuchu wojny dywizja była przesuwana forsownymi marszami na północ, na zaplecze 20-tej dywizji piechoty, stanowiąc odwód swojej armii „Modlin”:

— z Nowogródzkiej brygady kawalerii (gen. Anders), na lewym skrzydle Armii (rej. Działdowa), wysuniętej do przodu, przed pozycję mławską. Brygada była zmobilizowana już w marcu;

— z Mazowieckiej brygady kawalerii (płk Karcz), na prawym skrzydle armii, na wschód od Mławy, nad rz. Ulatówką aż po rz. Orzyc, zmobilizowanej w alarmie.

Sąsiednia samodzielna grupa operacyjna „Narew” składała się:

— z 18-tej Dywizji piechoty (płk Kossecki), zmobilizowanej w alarmie, rozmieszczonej w łuku Narwi na zachód od Łomży;

— z Podlaskiej brygady kawalerii (gen. Kmicic-Skrzyński), zmobilizowanej w alarmie, rozmieszczonej na północ od Łomży, w rej. Stawiski;

— z Suwalskiej brygady kawalerii (gen. Podhorski), zmobilizowanej w alarmie, zajmującej wydłużony rejon między Suwałkami a Augustowem;

— z 33 rezerwowej dywizji piechoty (płk Zieleniewski), zmobilizowanej częściowo, znajdującej się na wschód od Ostrołęki;

— oraz z szeregu mniejszych ugrupowań i oddziałów na linii Narwi i Biebrzy oraz na Suwalszczyźnie.

Uderzenie niemieckie, przeprowadzone od pierwszych godzin wojny na pozycję mławską, natrafiło na silny opór 20-tej dywizji piechoty. Jednakże już w drugim dniu walk Niemcy zdołali zepchnąć Mazowiecką brygadę kawalerii i przeniknąć przez podeschnięte (upały!) bagno Niemytje, przedzielające pas fortyfikacji mławskich co doprowadziło do oskrzydlenia prawej (słabiej wykonanej i krótszej) ich części. W dniu 3 września położenie pod Mławą było już ciężkie. Przeciwdziałanie 8-mej dywizji piechoty okazało się mało skuteczne, wobec zamieszania w rozkazodawstwie i słabego funkcjonowania łączności. W ciągu jednego dnia 3 września dywizja otrzymała 4 różne rozkazy.

W nocy 3/4 września dowódca 20-tej dywizji zarządził opuszczenie pozycji mławskiej. Jednocześnie duża część oddziałów 8-mej dywizji, uwikłanej w bezładne walki w rejonie Przasnysza i Gruduska, uległa żywiołowej panice i poszła w rozsypkę. Stało się to w dużej mierze za sprawą nieznacznego niemieckiego zagonu pancernego, który dotarł do Ciechanowa, na tyły 8-mej dywizji

i, wzniciając pożary w pasie swego posuwania się, zasugerował groźbę otoczenia.

Wycofujące się spod Mławy oddziały 20-tej dywizji piechoty były silnie bombardowane i nękane przez lotnictwo niemieckie, wskutek czego też przemieszały się i rozsypały na znacznej przestrzeni. Obie dywizje wycofywały się w stanie rozproszenia i upadku ducha, za Wisłę, na jej odcinku Modlin-Płock.

4 września wieczorem dowództwo armii „Modlin” musiało uznać obie dywizje piechoty, stanowiące trzon armii, za nieistniejące. Na kierunku warszawskim uderzenia niemieckiego ziała pustką przeraźliwa luka, obramowana na wschodzie, cofającą się na Pułtusk, Mazowiecką brygadą kawalerii — również wyczerpaną w walkach — na zachodzie Nowogródzką brygadą kawalerii, która, po lekkich tylko kontaktach z nieprzyjacielem, zachowała pełną zdadność bojową.

W tym samym czasie na prawym skrzydle frontu północnego, na odcinku samodzielnej grupy operacyjnej „Narew”, nie odczuwało się nacisku nieprzyjaciela. Podlaska brygada kawalerii robiła płytkie wypady na teren Prus Wschodnich.

W takim stanie rzeczy, odwód frontu północnego, którym była grupa operacyjna „Wyszków”, okazał się oczywiście powołany do akcji na korzyść armii „Modlin”. Była ona utrudniona, wobec sporej odległości, dzielącej zgrupowania 1-szej dywizji piechoty w dniu 4 września od miejsca katastrofy, która nastąpiła w tym czasie w rejonie Ciechanowa. Działania 1-szej dywizji w ciągu następnych paru dni były z tą katastrofą ściśle związane.

3 września w południe grupa operacyjna „Wyszków”, dowodzona już przez gen. Kowalskiego, została podporządkowana armii „Modlin”. Początkowo zostało przewidziane uderzenie przez Narew, w kierunku zachodnim, z rej. Różana, które miało wyjść o świcie dnia 5 września.

Wobec pogłębiającej się katastrofy na lewym skrzydle, rozkaz ten został zmieniony 4 września wieczorem. Nakazano marsz w rej. Pułtuszka i obronę linii Narwi, z możliwością zwrotu zaczepnego przez rzekę. Mazowiecka brygada kawalerii została podporządkowana gen. Kowalskiemu.

Na całej operacji zaważyła mapa, znaleziona w dniu 4 września przy zabitym pod Przasnyszem oficerze niemieckim i dostarczona niezwłocznie do dowództwa armii przez Mazowiecką brygadę kawalerii. Strzałki na niej naniesione zdawały się wskazywać na marsz niemieckich dywizji piechoty 1-szej i 12-tej oraz dywizji pancerniej Kempf (teraz dopiero ujawnionej) w kierunku Modlina i Wyszogrodu. Oznaczenia te odnosiły się jednak do zamierzeń

niemieckich w dniu 3 września, które zostały następnie zmienione. Dywizja Kampf została przerzucona przygranicznym terenem Prus Wschodnich dalej na wschód. W czasie, gdy 1-sza Dywizja piechoty Legionów odpływała w dniu 5 września, marszem dziennym, ku Pułtuskowi, pod Różanem rozgorzały walki na Narwią, połączone z bombardowaniem zaplecza na lewym brzegu rzeki. Pancerna dywizja niemiecka ukazała się tam, gdzie nie była wcale spodziewana. Wiadomość o jej dalekim manewrze bardzo późno trafiła do polskiego dowództwa.

„W ten sposób na północy wytworzyła się sytuacja paradoksalna. Podczas gdy Niemcy zwracali swoje gros w kierunku na Różan i od rana walczyli — na razie zresztą bezskutecznie — o przeprawę przez Narew w tym rejonie — strona polska, przygotowując się do działań zaczepnych przez Narew, w kierunku zachodnim, obecnie już z Pułtuska — odstaniała w dużym stopniu właśnie kierunek różański. Sytuacja taka powstała na tle braku wiadomości o nieprzyjacielu oraz na tle fatalnego stanu łączności, zwłaszcza między dowództwem armii 'Modlin', gen. Kowalskim i walczącą pod Różanem 41-szą dywizją piechoty”.

PSZ w DWŚ, tom I, cz. 2, str. 412.

Dalszym skutkiem oceny przez polskie dowództwo zdobytej mapy niemieckiej było wysadzenie w dniu 5 września rano mostu na Wiśle pod Wyszogrodem, co jeszcze bardziej utrudniło położenie cofających się za Wisłę rozbitych dywizji.

Wydedukowane z mapy wnioski odbiły się również w pewnym stopniu na odwróceniu armii „Pomorze” w górę Wisły.

W Y S Z K Ó W

Po paru godzinach ruszyliśmy. Zgubione plutony znalazły się, tak że kompania znów była prawie w komplecie. Oba mosty w Pułtusku zostały zerwane. Straty okazały się nieznaczne — paru zaginionych. Boczными drogami dotarliśmy do szosy wyszkowskiej i posuwaliśmy się nią dość spokojnie, mimo że teren otwarty nie zapewniał żadnej naturalnej osłony w razie bombardowania. Samoloty dały nam spokój, a droga nie była zatłoczona, tak że marsz szedł gładko. Jak zwykle, naokoło widać było liczne pożary. Ja miałem służbę, więc pilnowałem taboru.

W miarę zbliżania się do Wyszkowa zaczynało robić się coraz goręcej. Szliśmy terenem, który przed paru dniami był mocno bombardowany, jak to słyszeliśmy jeszcze w drodze do Pułtuska.

Sama szosa była prawie nieuszkodzona, ale obok widać było gęsto leje. Przeważnie znajdowały się one z prawej strony drogi, co nasunęło mi myśl, że bomby były znoszone w bok przez wiatr. Jednak i dalej na polach ślady bombardowania rzucały się w oczy, widocznie nie tylko droga stanowiła cel dla samolotów. Ukazały się pierwsze rozbite samochody, a w rowach przy drodze pierwsze porzucone pociski artyleryjskie, w drewnianych łubkach, błyszczące miedzią.

Weszliśmy na ten odcinek drogi, na którym przed dwoma dniami samoloty niemieckie urządziły rzeź uchodźców, ciągnących tędy tłumnie z Pułtusza i spod granicy Prus Wschodnich w kierunku Warszawy. Świadczyły o tym zabite konie, leżące koło drogi, porozbijane wozy. Trupy ludzkie były już przeważnie uprzątnięte. Przejeżdżając koło dużego przepustu zobaczyłem na jego betonowym dnie obfite ślady zaschniętej krwi. Na polu o paręset metrów zauważyłem jakieś niewyraźne szare grudy. Podjechałem bliżej: wokoło dużego leja leżało 10 trupów bezładnie porozrzucanych. Byli to cywilni, chłopcy i dziewczyny, przeważnie bardzo młodzi. Ubrania poszarpane wybuchem, przysypane ziemią i pyłem były w łachmanach, przez które przeświecało szerniające ciało. W rozrzuceniu rąk i nóg, w skrętach tułowi widać było znamiona tej olbrzymiej siły, która cisnęła ich o ziemię w chwili wybuchu. Jedno z ciał nie miało obu nóg, widać było na wierzchu szerniające wnętrze.

Weszliśmy w zabudowania Wyszkowa. Po obu stronach puste ogrody, zamknięte okiennice, zabite drzwi domów. Nigdzie ani żywego ducha. Do tego rozpoczęła się seria nalotów tak, że trzeba było wciąż przerywać marsz. Spod drzew przydrożnych obserwowaliśmy ogień artylerii przeciwlotniczej, która strzelała gdzieś w głębi miasteczka, prawdopodobnie koło mostu kolejowego. Nasze karabiny maszynowe odzywały się też, ale z rzadka, bo bombowce szły wysoko. Widać było, jak czarne przecinki bomb odrywają się od samolotów i, zakreślając łuk, przechylają się ostrzami w dół. Odgłosy wybuchów dochodziły od strony toru kolejowego. Żołnierze przez jakąś dziurę weszli do ogrodu, by narwać jabłek. Właściciel którego tam zastaliśmy, nie tylko nie protestował, ale zachęcał, by zabierali wszystko. Zaprowadził mnie do słomianej budy, w której zapewne spisał, pilnując owoców. Teraz leżał w niej na wznak martwy chłopaczek, może 8-letni. Widocznie został ranny, wczołgał się do środka i tam umarł.

Wreszcie samoloty uspokoiły się nieco i ruszyliśmy w stronę mostu na Bugu. Z wielu miast zniszczonych, które potem widziałem, żadne nie zrobiło na mnie wrażenia takiej martwoty, jak

Wyszków. Dzień był ciepły, prawie upalny, niebo bezchmurne. Niektóre bloki domów spaliły się już przed paru dniami, poza tym zalane słońcem ulice robiły wrażenie porządku i były przerażliwie puste i ciche. W całym mieście nie widzieliśmy dosłownie ani jednego człowieka, ani wojska, ani cywilnych. Żołnierze stukali bezskutecznie do zamkniętych sklepów. Dopiero na rynku koło mostu zza uchylonych drzwi patrzyli na nas jacyś brodaci Żydzi.

Mineliśmy most na Bugu. Oglądałem go z zainteresowaniem, przewidując, że będzie przy nim robota. Był drewniany, dość wysoki, długości kilkaset metrów. Od strony Wyszkowa zaczynał się tuż przy rynku, na wysokim brzegu, który stromo schodził do rzeki, po stronie przeciwnej ciągnęły się prześła powodziowe. Filary drewniane, belki główne żelazne, reszta konstrukcji drewniana.

Zaraz za mostem odchodziła w lewo droga w kierunku Łochowa, a na wprost, po wysokim nasypie szła świetna szosa warszawska o gładkiej, jak stół nawierzchni betonowej. Zeszliśmy z niej w lewo do lasu. Po ustawieniu taboru i kompanii zaczęło się gotowanie obiadu. W jakiejś brudnej chałupie zagrzałem sobie puszkę konserwy, którą miałem jeszcze z Wilna. Drugi pluton ppor. Grenia odszedł do roboty przy moście. Ja otrzymałem zadanie wytyczenia brodów, którymi oddziały cofające się po zerwaniu mostu mogłyby przejść rzekę. Roboty miałem w tym sporo. Ostatecznie, jeżdżąc łódką po rzece i sondując dno, wytyczyłem 3 brody. Najdogodniejszy z nich, o głębokości tylko 0,5 m był tuż koło mostu. W tych warunkach zrywanie mostu nie miało, jak mi się zdaje, zbyt dużego znaczenia praktycznego.

Wróciłem do kompanii i zjadłem obiad. Zmęczony byłem mocno, bo ostatniej nocy prawie nie spałem, toteż zaraz zważyłem się w lesie na płaszcz i koc, które przyniósł mi Wydruk. Spałem jednak nie więcej, niż pół godziny, bo dowódca kompanii wezwał mnie do roboty na most. Miałem iść sam, bez plutonu.

Kiedy zameldowałem się na miejscu, było już ciemno. Okazało się, że pakietowanie mostu zaczęli już przedtem jacyś inni saperzy, a myśmy mieli tylko wykończyć i sprawdzić tę robotę. W ciemności zbitą masą waliła przez most piechota, artyleria, tabory, sznury samochodów, tłumy uchodźców cywilnych pieszo i na wozach. Pożary, które powstały w mieście, rozszerzały się bez przeszkody, bo nikt nie myślał o ich gaszeniu. Coraz bliżej mostu widać było ogień i kłęby dymu. Otrzymałem rozkaz przygotowania do wysadzenia przyczółka od strony Wyszkowa i dwóch pierwszych przęseł.

W pierwszej chwili byłem po prostu bliski rozpacz. Przy-

dzielono mi saperów z innego plutonu, których nie znałem i którzy wciąż ginęli w ciemności i w tłumie idącym po moście. Tylko paru z nich miało jakieś pojęcie o minerstwie. Nikt nie wiedział, co już zostało wykonane, czy filary i belki główne są zapakietowane i w jaki sposób. Nie wiadomo było nawet, ile belek głównych ma przęsło. Nikt nie miał latarki elektrycznej. Oczywiście nie miałem zaufania do pracy moich poprzedników i wydawało mi się, że trzeba będzie wszystko zaczynać od nowa. Po omacku obejrzałem przyczółek i stwierdziłem, że niektóre spłonki są założone do ładunków, a zarazem połączenie wachlarzowe lontów wybuchowych zostało już włączone w przewód główny mimo, że na innych przęsłach praca nie była skończona. To mogło grozić przedwczesnym wybuchem przy łada nieostrożności. A tymczasem most drżał pod stąpaniem tłumów, które się przez niego przewalały. Po jednym chodniku został ułożony przewód główny. Posterunki saperskie pilnowały, by nikt tam nie wchodził i spędzały wszystkich na jezdnię. Oprócz tego stały jakieś posterunki wystawione przez żandarmerię, czy inne oddziały, które w zapale spędzały ludzi również z drugiego chodnika, powodując niepotrzebny tłok i rejwach. Pojedyncze kostki amunicji leżały luzem koło krawężników. Połączenia lontów ginęły gdzieś w ciemności nad wodą.

Z godzinę miotalem się z jednego końca mostu na drugi, wreszcie zły i przygnębiony poszedłem do kompanii na kolację. Zjadłem ją szybko, dostałem od podoficerów parę latarek, wziąłem kilku ludzi z mego plutonu i wróciłem.

Ogień zbliżał się coraz bardziej. Na rynku rozlewało się migotliwe światło, na przyczółku czuć było chwilami ciepły dech pożaru. Na moście wąż stłoczonych wozów i samochodów pęczniał i huczał coraz bardziej.

Powoli dochodziłem do ładunku z moją robotą. Po błocie i wodzie dobrnąłem do pierwszego filara. Konstrukcja okazała się bardzo masywna: kilkanaście solidnych pali, obitych z zewnątrz grubymi dylami do wysokości wody powodziowej. Do środka był dostęp przez mały, kwadratowy otwór wycięty w oszalowaniu. Wychodził z niego cały pęk lontów wybuchowych. Inne połączenie wachlarzowe zwieszało się z belek i wyprowadzone było na górę, do przewodu głównego, z którym nie było jeszcze połączone.

Na górze jezdnia huczała, jak bęben pod tysiącami nóg i kopyt. Tu, na dole ogarnał mnie spokój. Po raz pierwszy od paru tygodni poczułem samotność, której mi wciąż brakło. Powolnymi ruchami wspinam się do ciemnego otworu, ostrożnie odgarniam lonty, uważnie, żeby ich nie szarpnąć butem, przesuвам nogi

do środka. Pachnie wilgocią i gnijącym drzewem. Światło latar-ki rzuca ostre cienie w zamkniętej przestrzeni, okrągłe, grube pale wybiegają w górę i gubią się w mroku jak dziwna kolumnada. U dołu, przywarte do nich i mocno ściągnięte drutami, tkwią ładunki wybuchowe. Przy każdym, jak szary wąż z błyszczącą głową, zwiesza się zakończenie lontu wybuchowego z mosiężną spłonką.

Płynnymi, oszczędnymi poruszeniami, uważając na każde stąpanie, rozpoczynam moją wędrówkę wśród duchów zniszczenia, uśpionych w kilogramowych ładunkach trotylu. Delikatny ruch ręki, którym wprowadzam spłonkę do specjalnego otworu w ładunku, wygląda jak zakłęcie, jak obrzęd dziwnego rytuału.

Na belce znajduję zapomniane szczytce do cięcia drutu i obciskacz do spłonek.

Płynnymi, oszczędnymi ruchami przesuwam nogi na zewnątrz przez węzowisko lontów. Za parę godzin inne zakłęcie okaże swoją moc.

Znów widzę nad sobą przeszło mostowe i gwiazdzone niebo. Teraz na górę, do belek głównych. Po dylach oszalowania ostrożnie wyłazę coraz wyżej. Dwa potężne dwuteowniki biegną z filaru na przyczołek. Sprawdzam, że są starannie, prawie pedantycznie opakietowane: ładunki ściągnięte drutem i przymocowane deskami. Znów spłonki wędrują na swoje miejsce. Lonty zwieszają się w ciemną przestrzeń.

Dotykam głową dylów jezdni, po których w tej chwili jedzie artyleria. Kopyta zaprzęgów wałą w drzewo, działa przesuwają się, jak grzmoty. Pył sypie mi się na czapkę i na ramiona. Teraz słyszę warczenie motorów samochodowych. Nade mną przewala się odwrót dywizji.

Około 11-tej w nocy przyjechał goniec: wymarsz batalionu. Zbieram swoich ludzi. Greń zostaje z plutonem przy moście. Tabor wyjeżdża już na szosę, kompania jeszcze stoi na leśnej drodze. „Wydruk, konia!” — drę się na cały las. Po chwili kiwam się na siodle i raz po raz padam naprzód, koniowi na szyję: zmęczony jestem i spać mi się chce śmiertelnie.



Nad ranem doszliśmy do dużego majątku Niegów o 10 km od Wyszkowa. Odbito kilofem kłódkę na wrotach ogromnej stodoły i wszystko, jak stało, padało na słomę i zasypiało natychmiast. Poszedłem zobaczyć wozy plutonowe, które stały z taborem w dużej alei. Noc była zimna, już się zaczynały chłodne przedświty. Wracając zauważyłem niedużą szosę, stojącą nieco z boku. Oka-

zało się, że jest pusta. Zaczynało świtać. Ledwo zdążyłem zdjąć buty, a już spałem.

Obudziłem się nagle. Nade mną stał Wydruk i goniec Żemojda. Ze wzburzeniem tłumaczyli mi, co się stało.

Okazało się, że batalionu już nie ma w majątku. Przed godziną był alarm i odmarsz. Ponieważ idąc spać, lekkomyślnie zaniedbałem pokazać łącznikowi moją szopę, nikt nie wiedział, gdzie jestem i nie mógł mnie odnaleźć. W zamieszaniu początkowo nie zauważono, że mnie brak, dopiero przy wymarszu wyszło to na jaw. Ppor. Stanecki zagroził Wydrukowi, że go zastrzeli, jeżeli mnie nie znajdzie, co ten wziął całkiem serio. Szukali więc z Żemojdą po wszystkich zabudowaniach i w końcu znaleźli.

Położenie moje było fatalne. Zgubiłem kompanię, zostawiając pluton bez dowódcy, wykazując niedoświadczenie i lekkomyślność, a na dobitkę nie wiedziałem nawet, gdzie szukać mego wojska. Goniec nie znał celu marszu kompanii, wiedział tylko mniej więcej, w którym kierunku poszła. Nie miałem mapy, bo akurat odpowiednia sztabówka skończyła się. Od strony Wyszkowa słychać było silny ogień artylerii.

Najpierw ruszyłem drogą na wschód, którą mi wskazał Żemojda, pytając na wszystkie strony o wojsko, które wiozło w taborach żelazne łodzie na wozach. To była cecha charakterystyczna, odróżniająca nas od innych oddziałów. Mała polna dróżka, którą posuwałem się, była rozryta kołami i kopytami, jak szeroki gościńiec. Widać było, że całe kolumny przejechały nią tej nocy. Wśród sprzecznych i bezsensownych wiadomości minąłem szosę, którą jakieś wojska maszerowały na Radzymin i oparłem się w końcu aż o Tłuszcz. Robiłem, co mogłem, aby skłonić konia do pośpiechu, ale żadne środki nie mogły wymusić na nim nawet lekkiego klusa.

Przy wjeździe do Tłuszcza natknąłem się na kilkunastu żołnierzy kopiących dół przeciwczołgowy pod dowództwem grubego i zażywnego podporucznika rezerwy. Dowiedziałem się od niego, że oddziały wojskowe cofają się w kierunku Warszawy, że miasteczko jest zupełnie puste, stacja kolejowa wielokrotnie zbombardowana, komunikacja kolejowa z Warszawą przerwana. Na potwierdzenie tych wiadomości rozpoczął się nalot i czarne pióropusze wybuchów uniosły się nad domami.

Pojechałem z powrotem. Byłem głodny, spocony i nade wszystko zły na siebie samego. Znalazłem na drodze Wydruka i Żemojdę. Po kilku godzinach gorączkowego szukania wróciliśmy znów do punktu wyjścia. Zacząłem rozpytywać na nowo w jednej wsi, potem w drugiej — żadnego rezultatu.

Ostatecznie zdecydowałem poszukać wiadomości w Wyszkowie. Artyleria wciąż tam biła. Szosą jechały jakieś małe oddziały, od których wiedziałem, że most jeszcze stoi, musi być tam zatem Greń z plutonem, który na pewno jest powiadomiony, dokąd ma się cofać. Zostawiłem konia, siadłem na rozklekotany rower Zemojdy i pojechałem.

Gładka, jak stół betonowa szosa była pusta. W kilku miejscach widać było lekkie ślady bombardowania. Parę samochodów z oficerami przejechało tam i z powrotem. Kilka rozbitych i ogołoconych ze wszystkiego ciężarówek i „łazików” leżało w rowach. Huk dział brzmiał coraz donośniej. Z boku słyszałem odgłosy idącego po torze parowozu — był to pociąg pancerny. Wjechałem w las obsadzony już przez piechotę. Droga zaczęła wznosić się po nasypie. Koło domku dróżnika zobaczyłem kilku naszych saperów i dowiedziałem się, że porucznik jest przy moście. Zostawiłem rower i dalej poszedłem pieszo.

Ogień artyleryjski nie był zbyt gęsty, ale nie było roztropnie iść dalej szosą po nasypie. Zacząłem posuwać się dołem, potem po kilku bliskich wybuchach, przebiegłem na drugą stronę wału. Dopiero koło samego przyczółka wyszedłem na górę i rozejrzałem się. Most, który wczoraj roił się od ludzi, teraz był pusty, jak wymiół. Pożar wygasł, ale miasteczko wyglądało z daleka znacznie uszczuplone. Na samym przyczółku stało działko przeciwpancerne i kilka karabinów maszynowych, gotowych do strzału. Wysoki kapitan w hełmie, z lornetką i mapą wyszedł na szosę. Zameldowałem mu się, pytając o Grenia. Był widocznie zainteresowany moim przybyciem, gdyż myślał, że przynoszę rozkaz wysadzenia mostu, doznał rozczarowania, gdy okazało się, że tak nie jest.

Poczułem się lekko i prawie radośnie. Całodzienne przygnębienie z powodu zgubienia kompanii minęło mi nagle, gdy znalazłem się w ogniu. Zapomniałem o głodzie i zmęczeniu. Zbiegłem z nasypu, wdrapałem się na inny wał i wreszcie dotarłem do skarpy, za którą leżał Greń ze swoimi. Był błydy i zmęczony, oczy mu się zamykały. Wyglądał, jakby chciał się zdrzemnąć między jednym wybuchem a drugim.

Samolot zaczął krążyć nad nami i za chwilę posłyszeliśmy wycie bomb, które poprzedzało eksplozje. Dowiedziałem się, że kompania jest w folwarku Adelin, zaledwie o kilka kilometrów od swego poprzedniego miejsca postoju. Na moście wszystko było od dawna gotowe i lada chwila miał przyjść rozkaz zapalania. Okazało się, że nad ranem jakiś pułkownik kazał z wielkim gwałtem przygotować do wysadzenia również most kolejowy,

a ponieważ nie było dość amunicji, trzeba było odjąć część od mostu drogowego, tam gdzie jej było za dużo.

Po chwili znów byłem na rowerze i gnałem z powrotem. Znalazłem Wydruką i Żemojdę, oczekujących na mnie przy drodze. W jakiejś chałupie dostaliśmy chleba i jaj, które piłem na surowo. Koń ledwo szedł. Powlekliśmy się szukać owego Adeline, który miał leżeć gdzieś blisko, za torem kolejowym.

Cały dzień 8 września spędziłem na pogoni za moim zgubionym oddziałem. Wymęczyła mnie ona do reszty, ale zarazem rozwidniła nieco w głowie. Przed tym nie widziałem nic, oprócz własnego batalionu i nie miałem żadnego szerszego poglądu na sytuację. Teraz obejrzałem spory szmat terenu, po którym posuwa się dywizja. Cofanie, które rozpoczęło się od Pułtuszka i które brałem za lokalny manewr, teraz wydało mi się bardziej niepokojące. Zaczęło wykluwać się pierwsze podejrzenie, że planowane ruchy oddziałów były raczej bezładnym odwrotem, niż planową akcją.

W pewnej chwili, już pod wieczór na tle jednostajnej kano-nady artyleryjskiej buchnęła silna, pojedyncza eksplozja. Po paru minutach zabrzmiała druga, złożona z trzech osobnych detonacji, jak krótka seria z olbrzymiego karabinu maszynowego. To mosty poszły w powietrze.



Miałem bardzo niedokładne pojęcie że:

1-sza Dywizja piechoty, po ciężkim marszu spod Różana, przybyła w nocy 5/6 września i w ciągu dnia, do Pułtuszka i obsadziła swymi pułkami piechoty przedmoście i linię Narwi. Odcinek między Pułtuskiem a Serockiem objęła Mazowiecka brygada kawalerii.

Pułtusk posiadał też własną załogę, złożoną z drobniejszych oddziałów, pochodzących częściowo z miejscowego 13 pułku piechoty. Nie wiedziałem, że znajdowała się w ich liczbie również moja poprzednia kompania saperów KOP „Wilejka” — jedyny oddział KOP w składzie armii „Modlin”.

Walki na północnym brzegu Narwi toczyły się przy ostrym udziale artylerii niemieckiej i bombardowania lotniczego. Brały w nich udział po naszej stronie wszystkie 3 dywizyjne pułki piechoty 1-szy, 5-ty i 6-ty. Początkowo natarła na nie niemiecka 61-sza dywizja piechoty.

„Po stronie polskiej doszło 6 września do dużego zamieszania na styku armii 'Modlin' i samodzielnej grupy operacyjnej 'Narew' na tle złego funkcjonowania łączności i wynikłych stąd nieporozu-

mień w dziedzinie rozkazodawstwa. W tych warunkach niemieckie wojska szybkie (dyw. panc. Kempf i 1 brygada kawalerii) łatwo sforsowały Narew pod Różanem i usadowiły się na wschodnim brzegu rzeki, wbijając się w ten sposób klinem między samodzielną grupę operacyjną 'Narew' i armię 'Modlin'.

W tym samym dniu polskie Naczelne Dowództwo zrezygnowało ostatecznie z wszelkich zwrotów zaczepnych znad Narwi i nakazało przejść do obrony na linii tej rzeki, upoważniając jednocześnie dowódcę samodzielnej grupy operacyjnej 'Narew' do odwrotu w kierunku południowo-wschodnim, w wypadku, jeśliby nieprzyjacielowi udało się przelamać obronę. Jednakowoż jednoznaczny rozkaz nie dotarł do dowódcy samodzielnej grupy operacyjnej, skutkiem czego — zgodnie z poprzednimi rozkazami — wojska samodzielnej grupy operacyjnej pozostały nad Narwią (na linii: południe Ostrółęka-Wizna) aż do 8 września wieczorem, starając się (mimo włamania się Niemców pod Różanem) wytrwać w obronie możliwie jak najdłużej. Natomiast dalej na południe wojska wschodniego skrzydła armii 'Modlin' (grupa operacyjna gen. Kowalskiego), po zaciętych walkach 6 i 7 września (z niemieckimi 61 i 11 dywizjami piechoty) pod Pułtuskim zostały wycofane zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza i w przekonaniu, że także samodzielna grupa operacyjna 'Narew' się wycofuje. W ciągu nocy 7/8 września wojska te (wraz z pomieszanymi oddziałami 33 i 41 dywizyj piechoty) spłynęły przez most w Wyszkuwie na południowy brzeg Bugu i zaczęły obsadzać linię tej rzeki — nie sięgając jednak po Brok.

Wykorzystując sukces pod Różanem i wycofanie za Bug prawego skrzydła armii 'Modlin', gros 3 armii niemieckiej (61, 11, 12 i 1 dywizje piechoty, a następnie też 206 dywizja piechoty) przepравиło się przez Narew w rejonie Pułtuska i Różana. W ciągu 8 września Niemcy opanowali Ostrów Mazowiecki a w nocy 8/9 września ich czołowe elementy uchwyciły południowy brzeg Bugu pod Brokiem, oddzielając w ten sposób definitywnie samodzielną grupę operacyjną 'Narew' od armii 'Modlin' i przeskrzydając od wschodu obronę polską nad Bugiem".

PSZ w DWŚ, tom I, cz. 2, str. 457, 8.

Sprawa podporządkowania rezerwowych dywizyj 41 i 33, dyskutowana w ciągu najgorętszych dni między armią „Modlin” a samodzielną grupą operacyjną „Narew”, trudna jest do odcyfrowania, wśród zagmatwanych nieporozumień rozkazodawstwa. Obie dywizje, wykonując nieaktualne i prostowane *ex post* rozkazy, opuściły obszar Różana, gdzie były nagląco potrzebne, a do-

łączyły — w stanie uszczuplonym i zdeorganizowanym — do grupy operacyjnej gen. Kowalskiego. Ten stan faktyczny nie dał się odrobić i uniemożliwił koncentryczne uderzenie na Rożan, dla odzyskania linii Narwi, zamierzone przez gen. Młota-Fijałkowskiego na dzień 7 września. Krytycznej nocy 7/8 września jednostki te przeszły przez most w Wyszkowie na południowy brzeg Bugu wraz z 1 dywizją piechoty.

„Tymczasem jednak zapadały już w sztabach niemieckich decyzje dalej idące. Ostatecznie w nocy 8/9 września postanowiono rzucić XIX korpus gen. Guderiana — podporządkowany wprost dowódcy grupy armii 'północ' — przez Wiznę na Brześć i Włodawę, a więc na głębokie tyły polskie.

Tej samej nocy samodzielna grupa operacyjna 'Narew' rozpoczęła wreszcie odwrót, wycofując 18-tą dywizję piechoty, trwającą jeszcze w zakolu Narwi pod Ostrołęką”.

PSZ w DWŚ, tom I, cz. 2, str. 458, 9.

„Podczas gdy moje dywizje przeprowały się przez Wisłę, udałem się wieczorem 7 i rano 8 września na polowanie na jelenie, ubijając okazałego dwunastaka. Obeznanym z terenem łowieckim leśniczy z hrabiowskiej administracji lasów uważał za swój święty obowiązek osobiście być moim przewodnikiem”.

Guderian, *Wspomnienia Żołnierza*, str. 64.

ODWRÓT

Tłukłem się aż do zmroku po różnych laskach i zagajnikach, zanim odszukałem kompanię. Tabory baonowe i nasze stały rozrzucone i trudno się było zorientować. Wyczuwało się pewne zaniepokojenie, jacyś łącznicy i gońcy jeździli tam i z powrotem.

Przygotowałem się na porządną przeprawę z dowódcą kompanii, która mi się zresztą słusznie należała, toteż zdziwiony byłem, że przewidywana burza, która musiała wybuchnąć na mój widok — skończyła się szybko i bez grzmotów. Pewien wpływ na to miała zapewne ta okoliczność, że — jak się potem dowiedziałem — właśnie w tym dniu zaginęła cała kompania „Konrad”, która bez taboru i bez dowódcy, tylko z młodszymi oficerami, była wysłana na jakieś zadanie. Ja, gubiąc mój pluton, a potem go odnajdując, nie byłem w pozycji gorszej od por. Jakubow-

skiego, który znalazł się z kolei w tragikomicznej roli dowódcy poszukującego swego oddziału. Zresztą w tym wypadku rzeczą kompanii było odszukać dowództwo batalionu, a nie odwrotnie.

Jak zwykle kompania spała w lesie koło broni ustawionej w kozły. Tej nocy udało się nam, bo wymarsz był dopiero nad ranem. Wrócił pluton, który zerwał mosty. Opowiadali, że kolejowy żelazny, który był pakietowany na gwałt, nie chciał wybuchnąć od razu i trzeba było przerabiać połączenia. Drewniany drogowy poszedł gładko. Jeden saper został zabity — dostał odłamkiem pocisku w tył czaszki. Gdybyśmy mieli hełmy — pewno by żył.

Po strasznych piaskach maszerowaliśmy gdzieś na wschód, zostawiając Warszawę z boku. Otrzymaliśmy nowe mapy, więc orientowałem się w sytuacji. Po zimnej nocy dzień był słoneczny, upalny. Widać było pewne rozprężenie. Co chwila ktoś pytał o jakiś pułk, szukał jakiegoś dowództwa, jakichś taborów. Najczęściej słyszało się nazwy „Wisła”, „Warta”, „Niemen” — kryptonimy trzech legionowych pułków piechoty, stanowiących trzon dywizji. Oprócz nich pytano o najróżniejsze nazwy, brzmiące nieraz fantastycznie.

Wszystko to pachniało grubą przesadą. System kryptonimów rozbudowany głęboko w dół naszego schematu organizacyjnego, bo aż do kompanii włącznie, był ogromnym obciążeniem dla własnej łączności, a niewielką zapewne przeszkodą dla wywiadu nieprzyjaciela — zatem przynosił więcej szkody, niż pożytku. Być może był on usprawiedliwiony w okresie mobilizacji i transportu wielkich jednostek na ich stanowiska wyjściowe, ale po rozpoczęciu działań wojennych stawał się istną grą w ciuciubabkę. Jakie szczególne korzyści wynikały stąd, że nazywaliśmy się kompanią „Konstanty” batalionu „Piłica”, a nie 1 kompania 1 batalionu saperów? Przeciwnikowi na froncie chodzi przede wszystkim o stwierdzenie, jaką wielką jednostką nieprzyjacielską ma przed sobą. To, że byliśmy I Dywizją Piechoty Legionów, Niemcy mogli ustalić bez trudu od każdego jeńca. Jakie są detale budowy tej dywizji — obchodziło ich zapewne dużo mniej, gdyż skład polskiej etatowej dywizji piechoty nie przedstawiał sobą tajemnicy. My zaś w te właśnie detale kładliśmy najwięcej naszej energii samomaskowniczej. W wojnie o bardziej ustalonym charakterze nie byłoby to może tak groźne, lecz w szybkim przelewaniu się naszych działań w kompanii wrześnieowej, walka stała się nieustannym poszukiwaniem wszystkich przez wszystkich, przy czym obie strony — poszukujące i poszukiwana — znajdowały się w nieustannym ruchu. Jak najdalej idące ułatwienie tych poszukiwań, a nie ich utrudnianie — było potrzebą chwili.

A tymczasem zakorzeniony w nas system działał wręcz przeciwnie. Jakże rzadko pytany, przy zasypywaniu go gradem kryptonomów przez pytającego, zdobywał się na łut zdrowego rozsądku, zawartego w słowach: „Powiedz po ludzku o co ci chodzi, a ja ci pomogę”. Przeciwnie mówiliśmy, jak ci biblijni budowniczy, którym Bóg splątał języki. Nie tylko pytany chronił się za śmieszna przegrodę konwencjonalnych terminów i podawał tylko najniezbędniejsze minimum informacji — pytający często również miał ambicję nie podania pytanemu — niepowołanemu, czego właściwie szuka. Wytworzyła się szkodliwa mania tajemniczości tycząca się najprostszych, bieżących spraw, których ukrywanie wynikało nie z istotnej potrzeby, a z pewnej manieri. W tym systemie postawą wielu nie było „Szukajcie a znajdziecie”, ale „Szukajcie lecz nie znajdziecie”.

Spójrzmy na realne przykłady takiego postępowania. Pod Wyszkowem zgubiłem swój pluton, czy raczej sam zgubiłem się od plutonu. Nastąpiło to wskutek mojej karygodnej lekkomyślności: kompania odeszła na nowe miejsce postoju, podczas kiedy ja spałem. Jasne było chyba, że mimo to należało umożliwić mi szybkie odnalezienie oddziału. Tymczasem oficer, który kazał mnie szukać, nie podał gońcowi nowego miejsca postoju kompanii, odległego o kilka kilometrów, czyli praktycznie uniemożliwił mi dołączenie. Odnalazłem kompanię po dłuższych, zmudnych poszukiwaniach i to tylko w ten sposób, że znałem miejsce postoju innego plutonu, który go jeszcze nie zmienił, czyli uchwyciłem element nieruchomy w powszechnym ruchu, który mnie otaczał. Gdyby nie to, mój pluton nie miałby wiele szans na odzyskanie swego dowódcy.

Czy ten sposób postępowania ze strony ppor. Stanieckiego był jakimś jego indywidualnym wyskokiem? Bynajmniej — tego wymagał system. Wszystkim — w tej liczbie i mnie sameму — wydawało się to wówczas całkiem naturalne. Podobnie naturalnie było „nie dostrzegać” oznak pułkowych na mundurach obcych oficerów i „nie domyślać się”, skąd pochodzą znane, sąsiednie oddziały. Stanowiło to wyższy gatunek taktu, czy też wyższy stopień lojalności służbowej.

Inny przykład był bardziej drastyczny. Tegoż dnia 8 września batalion „Pilica” zgubił całą kompanię „Konrad”, która nie miała już się odnaleźć do końca kampanii wrześniowej. Podczas kiedy my przygotowaliśmy most na Bugu do wysadzenia, poszczególne plutony tamtej kompanii, pod dowództwem młodszych oficerów, wyruszyły na budowę stanowisk artyleryjskich o kilka kilometrów. Po wykonaniu tego drobnego zadania plutony zebrały się w kompanię ale nie potrafiły już odszukać przesuwającego

się dowództwa batalionu, przy którym pozostał również dowódca kompanii por. Jakubowski. Wydawałoby się, że jest nie do wiary, by w tych warunkach nie można było nawiązać łączności.

A jednak tak się stało. Kompania pływała gdzieś opodal, ale była nieuchwytna. Mechanizm tej nieuchwytności jest dość zrozumiały dla tych, którzy tam byli.

Pozbawiony swego oddziału por. Jakubowski pełnił przez ten czas funkcje ordynansowe w dowództwie dywizji, co powinno było dawać temu inteligentnemu i energicznemu oficerowi szersze możliwości informacyjne. To jednak też nie przyczyniło się do wyjaśnienia położenia. Należy stwierdzić, że w tym rażącym przypadku dowództwo dywizji nie było zdolne środkami swojej łączności odszukać swojej własnej kompanii, posuwającej się przez czas dłuższy w pasie odwrotu tej dywizji. I nawzajem, kompania wkładająca wszystkie siły w dołączenie, nie potrafiła „dopytać się” do dowództwa dywizji na dziwacznie pokrzyżowanych ścieżkach tej niezwyklej wojny. A przecież w tym czasie nie byliśmy jeszcze rozbici, a tylko z lekka napoczęci przez proces dezorganizacji.

W bardzo wielu wypadkach oficjalną łączność musiał zastąpić spryt i „węch” białoruskiego chłopca, jego „smykałka” w trudnym terenie. To dużo, ale jednak to za mało, jak na system łączności armii nowoczesnej.



Nikt nie miał pojęcia, dokąd kierować coraz to liczniejszych rozbitków i maruderów z różnych oddziałów, którzy pętali się pojedynczo i grupami, prosząc wciąż, żeby ich przyjąć do kompanii: nie mają co jeść, bo kto ma ich teraz żywić? U nas też ludzie zaczęli gubić się po drodze. Zapodział się gdzieś jeden z drużynowych mego plutonu, który chorował od paru dni na żołądek i ledwo szedł. Rzucił mi się w oczy żołnierz, mówiący z niemiecka i uzbrojony w niemiecki karabin, który natarczywie prosił, żeby go przyjąć do saperów i twierdził, że jest z 5 pułku piechoty. Wydał mi się podejrzany i zacząłem go obserwować, ale odwołano mnie i zginął z oczu. Ogień artyleryjski słychać było z paru stron, a poza tym jak zwykle, nie brakło pożarów.

Tak doszliśmy do Urli. Miejscowość letniskowa, pełna żydowskich pensjonatów, była pusta, jak wymiotti. Jeszcze bardziej wymowny był widok linii kolejowych Warszawa-Wilno, którą przekraczaliśmy — stacja głucha i opuszczona, leje od bomb koło toru, porwane druty telegraficzne, martwa cisza i bezruch na linii. Widać było, że komunikacja kolejowa jest doszczętnie wykończona.

Znajdowałem się w tyle kompanii, kiedy dogoniła nas kłusem duża grupa oficerów, z jadącym na czele generałem — sztab dywizji. Pierwszy raz zobaczyłem dowódcę dywizji generała Kowalskiego: energiczna twarz, ostre rysy, dobra postawa na koniu.

— Jaki kierunek marszu? — zwrócił się do jednego z naszych podporuczników.

Nie wiedział. Zamilkł skonfundowany.

— Do dupy z oficerem, który nie wie, dokąd idzie! — powiedział dobitnie, z doskonałą dykcją, generał.

I z mroczną twarzą pojechał dalej. Za nim sztab.

Minęliśmy miasteczko Jadów, niezbyt zniszczone przez samoloty i nie tak puste, jak Wyszków, ale również gruntownie pozabawione żywności. Nie sposób było coś dostać w pozamykanych sklepach. A głód zaczynał po trochu dokuczać, bo wobec nieustannych marszów, kuchnie polowe nie mogły gotować posiłków na porę. Dostawa żywności też nieco szwankowała. Na wsi jedzenia było jeszcze w bród, ale trudno było ściągnąć je na czas.

Zaczął się ciężki marsz. Za Jadowem skrociliśmy bardziej na południe. Po fatalnych drogach, w upale, konie taborowe z trudnością dawały radę wozom, a saperzy swojemu rynsztunkowi. Mnożyła się ilość odparzonych i obtartych nóg. Dużo ludzi szło boso. Trzeba było walczyć o plecaki, które wszyscy pchali na wozy, nieraz chytrze je maskując. Zdarzało mi się, że zwałem je wprost na drogę lub do rowu, nie mogąc dowołać się właściciela. Wobec braku żywności trzeba sobie było radzić własnym przemyśleniem i posyłać patrole, które rekwirowały, co się dało, wystawiając kwity na świstkach papieru. Do kotła szła dosłownie „gęś z prosięciem”. Chleb fasowano nieregularnie. Nawet o wodę było trudno. Maszerująca dywizja wypijała całą zawartość pobliskich studni, które zresztą nie były obfite wobec długiej suszy. Z ich dna można było wyciągnąć, tylko trochę żółtego błota. Napojenie koni było nieraz całym dylematem. Kuchnie polowe musiały szukać wody często o parę kilometrów w bok od trasy marszu.

Obok nas prowadzono niedużą grupę jeńców niemieckich, którzy budzili ogólne zainteresowanie. Ich zielonkawe mundury z daleka rzucały się w oczy. Przeważnie byli bardzo młodzi, dobrze umundurowani i odżywieni. Na postoju podjechałem do nich z ważną miną, odgrzebując w pamięci moją zardzewiałą niemiecczynę: — *Wovon sind sie?* — *Aus Ost-Preussen* — odpowiedzieli chórem; — *Sind sie müde?* — Tak, są zmęczeni, już 2 noce nie spali; — *Haben sie zu Essen bekommen?* — *Jawohl, Suppe* — wrzasnęli, trzaskając w obcasy. Zadziwiające jest zdyscyplinowanie tego narodu. Wyczerpałem chwilowo zasób

niemieckich zwrotów, toteż zawróciłem konia i odjechałem. Nie widać było względem nich nie tylko nienawiści, ale nawet niechęci wśród naszych żołnierzy. Nawet eskorta częstowała ich papierosami i żywnością.

Kiwaliśmy głowami nad ich zaślepieniem: nie chcieli wierzyć naszym najzupełniej pewnym wiadomościom, że w Niemczech wybuchły rozruchy, a Berlin jest doszczętnie zbombardowany. Oto w jakim stanie ogłupienia utrzymuje Hitler swój naród!

Za jeńcami szła nierównie większa grupa aresztowanych cywilnych szpiegów i dywersantów. Ledwo ich było widać przez najeżony bagnetami konwój. Niektórzy ubrani byli w skórzane kurtki szoferskie, czy lotnicze, inni mieli wygląd miejscowych chłopów. Z dziesięciu było skutych za rękę do kilkumetrowego wspólnego łańcucha. Na twarzach ich widać było śmiertelne zmęczenie i wyczerpanie, pogłębione niezbyt różowymi perspektywami na bliską przyszłość: oficerowie wołali do dowodzącego eskortą wachmistrza żandarmerii, by kazał kopać dół i kończyć z nimi szybko. Przypuszczam, że jak zwykle w takich okolicznościach, sporo z nich nie miało nic wspólnego z tym, co im zarzucano.

W taborach konie coraz częściej ustawały. Szczególniej łodzie saperskie grzęzły wciąż w piasku. Kolumny rozrywały się, mieszały z innymi taborami, końca nie było poszukiwaniom, wołaniom o dowództwo „Pilicy”, o „Konstantego”, o „Konrada”, o różne inne okazy nomenklatury wojennej. W nocy zaczynało się inne piekło. Z bezsenności i zmęczenia traciłem wciąż orientację i nie bardzo wiedziałem, co się ze mną dzieje. Co chwila wozy stają, bo coś się z przodu zacięło. Kompania wali się do rowów przydrożnych. Ja czekam na koniu, wreszcie zsiadam i zapadam w półsen, trzymając wodze w rękę. Po chwili budzi mnie donośne „Kompania powstań!”. Znow ruszamy i za chwilę znow stoimy. Pluton służbowy trzeba posłać do popychania cięższych wozów. Saperzy rozłazą się po drodze, pchają plecaki na wozy i sami włożą pod plandeki, między chorych, którzy już tam leżą. Pył stoi całą chmurą nad drogą i wgryza się w oczy. Zostaję z tyłu, wyciągając jakiś wóz, który się zepsuł, potem jadę naprzód, goniąc swój oddział. Po ciemku mijam kompanię, która akurat leży w rowie na chwilowym postoju, zapędzam się do przodu, ale słyszę jakieś obce nazwy, więc wracam. Wreszcie, sam dobrze nie wiedząc, w jaki sposób, łapię jakąś część kompanii, która rozciągnęła się na długości paru kilometrów. Dopiero jak rozednieje, można będzie zebrać do kupy i uporządkować pluton.

Któregoś wieczora w ogóle nie mogliśmy ruszyć z naszego

lasu. Kolumny tak się zagwoździły w ciemności na krzyżujących się drogach, że nie sposób ich było rozplątać. Parę dobrych godzin staliśmy na drodze, posuwaliśmy się od czasu do czasu o kilkadziesiąt metrów. Kiedy doszliśmy wreszcie do feralnego skrzyżowania, zobaczyłem tam z daleka kłębowisko wozów i ludzi, po którym uwijały się jakieś szatany, wrzeszcząc i świecąc latarkami. Zjechałem koniem w las i ominąłem z daleka to miejsce. Uszliśmy w ciągu tej nocy tylko kilka kilometrów. W ogóle nocne marsze dawały w efekcie śmiesznie krótką przebytą odległość.

W tych ciężkich dniach, często bardziej uciążliwych, niż bezpośredni udział w bitwie, oficerowie dzielili twardy los kompanii i wkład ich trudu nie był na pewno mniejszy od wysiłku każdego żołnierza, mimo że w marszu mieli konie wierzchowe. Dowódca kompanii był zawsze na czele, nikt nie opuszczał swego plutonu, nikogo nie widziano dekującego się w nocy na wozie, co można było zauważyć czasem wśród oficerów innych oddziałów.

Por. Pierewoz, dowódca kompanii, był bardzo młody, co sprawiało, że czasem pokrywał krzykiem i pewną fanfaronadą dwój brak doświadczenia. Był to jednak niewątpliwie twardy oficer i dobry dowódca. Trzymał i utrzymał do końca kompanię — uszczuploną, ale zwartą. Nikt nie może odmówić szacunku dla jego bojowego nastawienia, woli walki i osobistej odwagi.

Jeżeli dowódcy kompanii brak było pewnej dojrzałości, to drugi oficer zawodowy ppor. Stanecki był całkiem, ale to już całkiem młody. Stanowił typ ledwo opierzonego oficera wprost z podchorążówki, ze wszystkimi psychicznymi właściwościami tego okresu. Z takim bagażem pojęciowym, stosownym może dla koszar, nie ma co wybierać się w pole — zwłaszcza w tamtym wrzeźniu.

Przytoczę jeden tylko charakterystyczny moment: podczas bardzo ciężkiego marszu za Urlami, kiedy ludzie wypruwali z siebie siły w piasku i upale, zapodział się gdzieś ordynans ppor. Stanckiego, który nie mógł się go dowołać, kłusując dookoła kompanii. „Dziesięciu ludzi z końca biegiem do mnie!” — krzyknął wreszcie rozszłoszczony podporucznik. I rozkaz ten niestety musiał być wykonany w imię frontowej dyscypliny.

Młody człowiek nałożył hełm na swój syfon z wodą sodową i ruszył na wojnę.

Szczegół humorystyczny stanowiły wielkie bagaże, z jakimi wybrali się na wojnę obaj oficerowie zawodowi. Ordynansi uginali się, dźwigając wozy z pościelą i ciężkie walizy, których zawartość do końca została dla mnie tajemnicą.

Dwaj dowódcy plutonów podporucznicy Greń i Awtuszewski przedstawiali sobą średni, raczej dobry poziom oficera rezerwy.

Zwłaszcza Awtuszewski robił wrażenie pewnej tężyzny. Greń był niewątpliwie słabszy fizycznie i z większym wysiłkiem znosił trudy, których nie szczędziło nam ostre tempo wrześnieowe.

Jedna z łodzi saperskich utknęła. Musiałem oddać do zaprzęgu mego olbrzyma — teraz dopiero znalazł się na właściwym miejscu. Dostałem na jego miejsce małego, gniadego konika z bardzo jasną grzywą, który przybłąkał się przed paru dniami do saperów. Był to prawdziwy koń kawaleryjski, nigdy widocznie nie chodził inaczej, niż pod siodłem, bo nie dał się zaprząć do wozu. Był szybki, zwrotny i ruchliwy. Zmieniłem więc kijek na siekierkę.

Jednego wieczora trafiliśmy do jakiejś wsi, gdzie parę godzin spaliśmy w stodołach. Armaty grały, gdzieś za nami. Tuż blisko wybuchła strzelanina karabinowa, zarządzono alarm, ale wszystko ucichło. Rano zatrzymano nas w jakimś dużym majątku. Tabor odjechał do lasu, a kompania zajęła stanowiska w parku wokół dużego murowanego domu, w którym podobno stał sztab dywizji. Kilka razy zmienialiśmy miejsce i dwójkami maszerowaliśmy tam i z powrotem. Widać było, że dowódca kompanii sam nie bardzo wie, co robić. Wreszcie rozstawił nas koło budynku, wśród młodych drzew owocowych. Ja z paru drużynami ułożyłem się za jakimś dużym śmietnikiem. Przed nami było puste pole, a o 300 m gęsty las sosnowy. Z chwilą ukazania się nieprzyjaciela z tego lasu mieliśmy na sygnał dowódcy kompanii, atakować go na bagnety. Wielka naiwność tego założenia rzucała się w oczy. Wpierw miało się dopuścić do zajęcia przez nieprzyjaciela wygodnej pozycji w gęstym lesie, a potem dobierać się do niego bagnetami po beznadziejnie otwartym polu. Mogło to stworzyć piękny obrazek grottgerowski, ale kłóciło się z pojęciami o nowoczesnej wojnie. Wszystko to jednak nie tłumiliło naszego rozmachu. Widać było u ludzi chęć walki i wiarę w swoje siły, charakterystyczną dla żołnierza z kresów białoruskich, który nie przejawiając na zewnątrz zbyt dużego zapału, jest spokojny i pewny w walce, o ile, oczywiście, nie został przed tym zdemoralizowany. Już poprzednio słychać było dookoła, że Niemcy nie wytrzymują ataku na bagnety i cofają się od razu. Rozdano dodatkową amunicję. Obok nas przechodziły jakieś rozproszone grupki piechurów, którym odbieraliśmy hełmy. Należało jeszcze ustawić karabiny maszynowe, a trudno było znaleźć dla nich takie stanowiska, by nie raziły swoich podczas mającego nastąpić ataku. Wobec tego oficerowie po pierwszych próbach przekazali mnie tę sprawę, ja jednak również nie dałem rady, więc ostatecznie rzecz oparła się o kaprała Łobacza, bardzo dzielnego podoficera, który jakoś z tego wybrnął.

Minęło parę godzin. Patrole wracały z lasu, nie przynosząc

nic ciekawego. Ktoś przyciągnął mi słomy z pobliskiego stogu, więc zasnąłem smacznie na moim śmietniku. W krzawkach saperzy wykryli sporego wieprza i zaraz kilku zabrało się do niego z zapalem, zdejmując bagnety z karabinów, ale podniósł wielki kwik i uciekł, a ja zabroniłem nastawać na jego życie w pobliżu budynków. W podwórzu stały dwie zdobyte ciężarówki niemieckie, jedna wojskowa, druga cywilna zarekwirowana, jak to było widać po wymalowanej na karoserii nazwie jakiejś firmy handlowej z Prus Wschodnich. Wyładowane były skrzyniami, bielizną, mundurami. Naszedł wieczór i zrobiło się zimno, zaczęliśmy więc wyciągać niemieckie kurtki i wkładać je pod płaszcze. Gdy ściemniało, ruszyliśmy dalej.

Następnego dnia miałem znów służbę. Zatrzymaliśmy się, jak zwykle w lesie. Artyleria odzywała się z różnych stron, to dalej, to bliżej. Poszedłem spać, ale zaraz obudził mnie podoficer służbowy, bo samolot niemiecki zaczął nas ostrzeliwać z karabinu maszynowego. Pobiegłem do taboru: para koni od kuchni polowej była poraniona. Jeden miał przestrelone nozdrza — wielki, krwawy sopel zwieszał mu się z pyska. Plutonowy-szef już posłał ludzi, żeby szukali nowych koni w pobliskich zagrodach.

Skoro ściemniało — ruszyliśmy. Już przy wyprowadzeniu taboru z lasu okazało się, że koniowi od wozu amunicyjnego coś się stało. Nogi miał zupełnie sztywne tak, że nie mógł prawie utrzymać się na nich. Była to śliczna gniada klacz, najlepsza w taborze. Amunicję trzeba było wyprowadzić za wszelką cenę. Wprzęgliśmy samego gniadego do ciężkiego wozu — zaczął rwać się, stawać dęba, bicie nic nie pomogąło. Kilkunastu ludzi wypchało go wraz z wozem na szosę i wstawiło do kolumny. Szarpał się i rwał uprząż, ale szedł.

Rano zatrzymaliśmy się na krótko w majątku Mienia. Był tam duży budynek, do którego ewakuowano jakiś szpital z Warszawy. Zajeżdżały wozy z rannymi, kręcili się sanitariusze. W zabudowaniach stały gromady piechoty, widocznie już zdemoralizowanej i rozprzężonej. Zobaczyłem wśród niej mego znajomego z Wilna, majora Kusztrę z 5-go pułku piechoty. Był wychudły, bardzo zmieniony na twarzy. Powiedział mi po cichu, że Warszawa już jest właściwie wzięta przez Niemców.

Wrócił patrol wysłany po żywność z pełnym wozem. Posyłało się na takie wyprawy największych spryciarzy i cwaniaków, którzy spod ziemi potrafili wydostać, co trzeba. Jeden z nich dał mi całą manierkę nalewki wiśniowej. Pociągnąłem i od razu poczułem wielką werwę, pewność siebie i innymi oczami patrzyłem na to, co się koło mnie dzieje.

A działa się niezbyt dobrze. Byliśmy tuż przy linii kolejowej

Warszawa-Siedlce między Mińskiem Mazowieckim, a Kałuszynem. Samoloty uwijały się gęsto po niebie. Na torze żadnego ruchu. Mijały nas oddziały wojskowe w coraz to gorszym nieporządku i dezorganizacji.

Zaraz za majątkiem kończyła się szosa. Wóz utknął w piasku. Gniady zbuntował się i nie ruszył ani kroku. Złamał hołobłę, porwał uprzęż i nie było rady. Kompania poszła naprzód. Zostałem z kapralem i paru ludźmi — wobec tego, że miałem służbę, amunicja była na mojej głowie. Droga nagle zrobiła się zupełnie pusta i zapanowała cisza.

Poszliśmy szukać innego konia. U sołtysa znaleźliśmy kłacz bardzo ładną, ale żrebną. Oczywiście było, że nie pociągnie ciężkiego wozu po takim piasku, ale zarekwirowałem ją przyrzekając zwrócić, jeśli znajdzie się inny koń na jej miejsce. Po długich krzykach, płaczach, groźbach spalenia wsi, inny koń został odkryty w jakiejś zagrodzie. Wóz ruszył z największą trudnością po potwornym piachu. Tak dobrnęliśmy do Cegłowa, gdzie przeszliśmy tor kolejowy.

Tuż koło przejazdu stało kilka parowozów, a potem kilometry chyba sznur wagonów towarowych. Puściłem się konno wzdłuż toru, bo ktoś powiedział, że gdzieś tam dają chleb, a my byliśmy głodni.

To, co zobaczyłem rozdzierało mi serce. Olbrzymi transport wojskowy, złożony chyba z kilku pociągów, był unieruchomiony i porzucony na pastwę losu. Nie było przy nim ani warty, ani kolejarzy, ani w ogóle żywej duszy. Z daleka kręcili się niespokojnie cywile z miasteczka. Patrzyłem osłupiały, na całe platformy zastawione jakimś specjalnym sprzętem łączności, jakimś nadzwyczajnymi aparatami we wspinających skórzanych pokrowcach, na sterty mundurów, ubrań, materiałów opatrunkowych, na dziesiątki i dziesiątki wagonów zamkniętych, które nie wiedziałem, co zawierają. Z tych milionowych bogactw zabrałem 4 bochenki chleba, które wyjąłem, nie zsiadając z konia, z otwartego wagonu. Wiele zrozumiałem, jadąc wzdłuż tego transportu.

Za torem rozpoczął się piach najgorszy chyba, jaki spotkałem kiedykolwiek a różne piachy przychodziło mi widywać na Wileńszczyźnie. Zarekwirowany koń opadł z sił i przystał. Ze sznurów i pasów zrobiliśmy drugą uprzęż i na dodatkowym orczyku przepięliśmy znów mego gniadego, który zrzucił kawaleryjską pychę z serca i udawał, że ciągnie. Tak dobrnęliśmy powoli przez Kuflew do wsi Mała Wieś, koło której w rzadkim brzeźniaku stał batalion. Ledwo zdołałem umyć się, coś zjeść i zasnąć, jak już zostałem wezwany na odprawę.

Do tej pory trzymaliśmy się niezłe. Batalion był zdekompleto-

wany, bo kompania „Konrad”, która zaginęła jeszcze pod Wyszkowem, wciąż nie była odnaleziona. Poza tym jednak braków prawie nie było, poza kilkoma zabitymi, rannymi i zaginionymi. Tabor dowództwa batalionu i obu kompanii były w całości. W całości również był duch tego wojska. Wszystko, co widzieliśmy po drodze, nie łamało w nas przekonania, że odwrót jest podyktowany koniecznością taktyczną i, chociaż odbywa się dość beładnie, skończy się jakimś manewrem, atakiem, zaskoczeniem, tak że będziemy na wierzchu. Niezłomnie wierzone wiadomościom, że grupa gen. Dąb-Biernackiego zajmuje Prusy Wschodnie, że samoloty angielskie przybyły do Polski, że Berlin jest zbombardowany. Szkielet złożony z oficerów i podoficerów nie był nigdzie załamany, a kuchnia polowa, mimo że funkcjonowała nieregularnie, dalej stanowiła widomy znak i rękojmię zwartości kompanii. Karność nie rozluźniła się ani trochę. Nawet żołd był wypłacany, skoro tylko dało się złapać wolną chwilę.

Teraz miało nastąpić pierwsze załamanie: na odprawie otrzymaliśmy rozkaz częściowego zniszczenia taboru. Każdy rozumiał, że jest to konieczne i celowe, a jednak nie mogliśmy bez zakłopotania patrzeć w oczy saperom, wykonując za zarządzeniem plutonach. Morze zbiorowego wysiłku kosztowało przeprowadzenie naszych wozów przez te paręset kilometrów przerażających dróg. Każdy przedmiot, który teraz szedł w ogień, był droższy o cenę potu i bezsennej nocy nas wszystkich. Niszczyliśmy to, czego utrzymanie stanowiło dotychczas naszą ambicję. Było to przyznanie się do wielkiej słabości przed każdym saperem, przed każdym taborystą. Żołnierz, który patrzył na to całopalenie stawał się już nie tym, którym był jeszcze wczoraj.

Skoro już trzeba było niszczyć — ludzie wpadali w drugą skrajność. Na widok ognisk, na których paliły się skrzynie z narzędziami ciesielskimi i kowalskimi, oblane naftą mundury i buty — budziła się w tych białoruskich chłopach wilcza drapieżność. Z tą samą pasją niszczenia, którą widziałem u Wydruka, gdy rąbał drzwi w Pułtusk, wdeptywali w błoto manierki i menażki, łamali o drzewa łopaty, tłukli latarnie, cieli nożami liny.

Na opróżnione wozy w pośpiechu ładowano plecaki i sprzęt przenośny. Odtąd kompania miała maszerować lekko. Kiedy już odchodziliśmy, w ciemności rozległa się detonacja, to nasze łodzie saperskie kończyły swój żywot.



Orientowałem się ogólnie, że odmarsz batalionu z folwarku Adelin pod Wyszkowem w dniu

9 września nad ranem, w kierunku południowo-wschodnim, wygłąda na opuszczenie linii Bugu. Nie miałem jednak pojęcia — i nie miał go zapewne w tym momencie nikt w dywizji, aż do gen. Kowalskiego włącznie — że zadyrygowany przez Naczelne Dowództwo, nieco później, nasz ruch w kierunku Urle-Jadów, jest odmarszem grupy wojsk „Wyszków” ku dalekiemu celowi — ku granicy rumuńskiej.

Nie miałem oczywiście pojęcia o sytuacji ogólnej, która w tym czasie dobiegała już wyjaśnienia, a w szczególności, że:

— w dniu 7 września marszałek Rydz-Śmigły opuścił Warszawę, przenosząc naczelne Dowództwo do Brześcia. W Warszawie został szef sztabu gen. Stachiewicz.

— w dniu 8 września przybył do Warszawy dowódca armii „Łódź” gen. Rómmel, po odcięciu go przez nieprzyjacielskie oddziały pancerne od dowodzonych przez niego wojsk. Gen. Rómmel objął dowództwo nad grupą wojsk, mającą bronić Warszawy. Została mu podporządkowana armia „Modlin” (gen. Przedrzymirski), której prawe skrzydło tworzyła grupa „Wyszków”, złożona z 1-szej, 33-ej i 41-szej dywizji piechoty.

W ramach tego nowego ugrupowania według koncepcji zarówno Naczelnego Dowództwa, jak i gen. Rómmela rola grupy „Wyszków” miała polegać na utrzymaniu linii Bugu, z możliwością zagięcia prawego skrzydła dla obrony Warszawy od północo-wschodu a nawet wschodu. Taki stan rzeczy utrzymywał się przez okres 8 i 9 września. Rozkaz Naczelnego Dowództwa z dnia 9 września nakazywał obronę linii Bugu, od ujścia Narwi do Małkini.

„Tymczasem na najwyższym szczeblu dojrzewała nowa zasadnicza decyzja, której treścią miało być przegrupowanie jak największej ilości wojsk daleko w tył — do Małopolski Wschodniej. Nie zachowały się żadne wypowiedzi Naczelnego Wodza, na podstawie których można by z całą pewnością ustalić, kiedy dokładnie powzięta została ta decyzja... Faktem jest, że właśnie ta sprawa oderwania od nieprzyjaciela i przegrupowania daleko na południowy wschód możliwie jak największej ilości wojsk, była już 7 września i następnie późno wieczorem 8 września, przedmiotem rozmowy między gen. Sosnkowskim a marszałkiem Rydzem-Śmigłym”.

PSZ : DWŚ, tom I, cz. 2, str. 780.

W tym samym dniu 9 września gen. Kowalski otrzymał rozkaz Naczelnego Dowództwa wycofania swojej grupy wojsk znad

Bugu w kierunku Białej Podlaskiej. Odmarsz dywizyj rozpoczął się tej samej nocy. Taki obrót był niespodzianką dla gen. Rómmla, który zgłosił swoje zastrzeżenia, a później, w swojej książce „Za Honor i Ojczyznę” krytykował usilnie tę decyzję Naczelnego Dowództwa za odsłonięcie w ten sposób Warszawy od wschodu.

Podobnie, jak to było pod Rózanem, wkrótce nastąpił nawrót. 10 września wieczorem nakazano utrzymanie linii Bugu. Jednakże przywrócenie pierwotnej sytuacji było już nieosiągalne. 1-sza dywizja piechoty odpłynęła na południo-wschód, wchodząc na ciernistą i mało realną drogę odwrotu do Małopolski Wschodniej.

JEDEN TRUDNY DZIEŃ

Wieczorem 13 września, przed wyruszeniem, zgłosiłem się, jak zwykle, do dowódcy kompanii po trasę marszu. Odcinek, który mi podał, był długi. „Solidna porcja” — powiedziałem sobie w duchu. Miejscem następnego postoju miała być wieś Jagodne. Nie figurowała już ona na sztabówce 1 : 100 000 „Siedlce”, a następnej mapki jeszcze nam nie wydano.

Odciążona kompania i zredukowany tabór poruszały się szybko, mimo że droga była mocno zatłoczona innymi oddziałami. Artyleria, która przedtem ucichła, teraz zaczęła odzywać się przed nami, a my przecie szliśmy wciąż na południowo-wschód. Nieprzyjaciel był już zatem na linii naszego odwrotu. Czuć było u wszystkich napięcie i niepokój, które jednak nie zmniejszyły mojej chęci snu. Nagle zjawił się dowódca batalionu kpt. Wejtko, zatrzymał nas i kazał zawrócić. Nie było to tak proste wśród ciemności i tłoku. Obróciliśmy tabor i cofnęliśmy się, potem skręciliśmy na bardzo wąską leśną dróżkę. Koło jakiejś leśniczówki natknąłem się na ławeczkę, stojącą koło płotu, usiadłem na niej i w jednej chwili zasnąłem. Obudził mnie koń, szarpiąc cuglami. Kilkoma drózkami, w ciemności czarnej, jak smoła, wojsko parło przez las.

Wreszcie doszliśmy do wsi, gdzie kolumny nieco się uporządkowały. Drogi rozchodziły się tu w kilka stron, więc paru oficerów kierowało ruchem. Część taboru została gdzieś z tyłu, pojechałem jej szukać. Przed nami huk dział brzmiał coraz silniej, rozlewał się szeroko. Łuny podnosiły się i przygasały na horyzoncie. Jasne już było, że jesteśmy otoczeni i idziemy do bitwy.

Znów laski, znów jakieś zabudowania. Marsz stał się szybki, nerwowy. Nie trzeba było nikogo przynaglać, nikogo zapędzać do kolumny. Tabor znalazł się cały i jechał, wóz za wozem.

Ostry ogień karabinów maszynowych przebijał teraz przez huk armat. Zaczynało dzień. Błady przedświt wydobywał z mroku zagrody chłopskie, rozrzucone wśród podlaskich pól i sośniaków, wyglądające pusto i bezludnie. W jakimś większym lasku, między drzewami, zobaczyłem dwie świnie, które nasunęły mi myśl o obiedzie dla kompanii, mocno niepewnym w tym dniu zapowiadającym się tak malowniczo. Paru saperów już biegło w tę stronę, a za nimi posuwał się wóz taborowy. Puknęło kilka strzałów i wóz wrócił do kolumny.

Z porannej mgiełki wynurzyły się krzaki i drzewa, zwiastujące bliskość rzeczki. Droga szła łąkami, po niskiej grobli, dalej widać było sporą wieś. Nieprzerwany jazgot karabinów maszynowych leciał stamtąd donośnie. Tuż za mostkiem, na poboczu drogi leżał na wznak zabity żołnierz niemiecki. Pod rozpiętym mundurem, na brzuchu widać było założony opatrunek, bandażę przesiąkniętą krwią na wylot. Żołnierze, idący łąką pokazywali sobie inne trupy w krzakach. W rowie koło drogi był rozciągnięty czarny kabel, gruby na palec, o błyszczących, metalowych złączach, rozwinięty z dużych bębnow, leżących obok. Potem przekonałem się, że była to zwykła linia telefoniczna. Niemiecki sprzęt łączności odznaczał się nadzwyczajną solidnością, ale był też dużo cięższy od naszego.

Wchodziliśmy do wsi Olszyce, z której nasze natarcie przed chwilą wyrzuciło Niemców. W środku wsi dogasał właśnie pożar. Z kilku chat zostały tylko piece i kominy. Wyniesiony dobytek walał się dookoła. Kolumna nasza wjechała między chałupy i zatrzymała się na drodze zatłoczonej już wozami. Wszędzie w opłotkach było pełno piechoty w hełmach. Na jakimś ganku siedziało kilku oficerów białych i zmęczonych.

Staliśmy tak z godzinę. Wieś leżała nisko, tuż za nią droga wychodziła na płaskie pagórki. To położenie dawało nam pozór spokoju i pewności, zdawało się, że tu, między chatami, za stokiem wzgórza możemy czuć się bezpieczniej, a taniec się zacznie dopiero, gdy wyjdziemy tam, na górę. Ogień karabinów maszynowych, który dochodził stamtąd, zaczął się stopniowo oddalać i słabnąć, artyleria zamilkła. Chałupy były prawie puste — mieszkańcy uciekli. Wśród wozów pętał się żołnierz z obandażowaną twarzą. Kula przeszła mu oba policzki, wybijając kilka zębów górnej szczęki. Szedł pochylony naprzód i pluł krwią przez opatrunek.

Przede wszystkim byłem głodny. Oddałem Wydrukowi konia, posłałem Żemojdę na wieś i sam zacząłem szukać po chałupach. Znalazł się bochenek chleba, od jakiegoś piechura wydebiłem kawałek słoniny. Ktoś dał mi puszkę konserw, którą schowałem

na czarną godzinę do kieszeni płaszcza. Piechota jadła te konserwy masowo, a my nie mieliśmy ich wcale. Należało jeszcze pomyśleć o uzbrojeniu. Właśnie przed paru dniami zgubiłem swój prywatny pistolet — mały browning — który zresztą, jako broń, miał tylko symboliczne znaczenie. Teraz trzeba było mieć broń na serio. Wydruk wyniósł mi z taboru karabin i bagnet, do kieszeni napchałem amunicję.

Już ruszaliśmy. Skoczyłem konno na drugi koniec wsi, żeby ściągnąć ubezpieczenie. Stało tam kilka działek przeciwpancernych i karabinów maszynowych pochowanych za budynkami, pod dowództwem sierżanta-podchorążego z piechoty. Kiedy wróciłem, długa kolumna wozów wjeżdżała już pod górę. Z lewej strony został duży budynek z czerwonej cegły — przypuszczalnie szkoła. Wozy szły ostro, prawie kłusem. Gnałem konia, żeby dopędzić kompanię, która była już z przodu. Wyjechawszy na górę zobaczyłem przed sobą obszerną równinę — pola, gdzieniegdzie krzaki. Z przodu o parę kilometrów i z boku widać było las. Z lewej strony sunęły z takim samym pośpiechem kolumny podobne do naszej, ledwo widoczne w olbrzymiej chmurze pyłu. Wyprzedziłem wóz, na którym leżał ranny jeńiec niemiecki — był nieprzytomny, co chwila zrywał się i krzyczał strasznym głosem. Dojechałem do swoich. Kompania szła wydłużona po obu stronach wozu.

Karabiny maszynowe zagrały znów przed nami, nikt nie wiedział, czy to nasze, czy nieprzyjacielskie. Kilka kul gwizdnęło, ale szły gdzieś górą. Dowódca rozsypał kompanię „rojem” i kazał założyć bagnety. Dwa plutony posuwały się po jednej, pozostałe dwa po drugiej stronie drogi. Ogień wzrastał się, ale dalej nie było wiadomo, kto i skąd strzela. Na dane hasło rzuciliśmy się biegiem do natarcia. Ja jechałem konno — z bagnetem na karabinie trzymanym jak lanca musiałem wyglądać malowniczo. Z początku okrzyk „hurra” zagłuszył wszystko. Tabor ruszył kłusem i wysunął się nawet nieco naprzód. Światło słoneczne zrobiło się żółte od pyłu. Dziesiątki głosów powtarzało rozkazy „Tabor stać!” i „Tabor jechać!”. Ktoś podał komendę „Gaz”. Zacząłem naciągać maskę, co nie było wcale łatwe, ale zanim zdołałem się z tym uporać, okazało się, że gazu nie ma. Naraz ktoś krzyknął „Kawaleria naprzód!” i przez parę minut wszyscy powtarzali ten rozkaz, nie wiadomo przez kogo wydany. Rozwinięty półszwadron ułanów wyjechał galopem na czoło. Ogień szedł coraz gęstszy, ale po staremu nic nie było widać na linii naszego natarcia. Uderzało ono w próżnię — nie było na kogo nacierać. Żołnierze ustawiali, nie mogąc wytrzymać długiego biegu, kompania rozciągała się. Wciąż jechałem konno ogarniając swój plu-

ton. Jak dotychczas nikt nie został ranny, ani nawet nie widziałem charakterystycznych bryzgów od kul, idących po ziemi.

Naraz z lewej strony zabrzmiał strzał artyleryjski, który przeszedł w dobrze znajome wycie. Pocisk trzasnął o jakieś 200 m za mną. Następny wybuch bliżej, koło drogi. Kompania rzuciła się biegiem naprzód, tabor ruszył ostrym kłusem. Dość rzadki ogień artyleryjski posuwał się za nami systematycznie. Pola skończyły się i wpadliśmy w młodniak sosnowy. Ludzie rozsypywali się coraz bardziej i oddalali od drogi, która była osią marszu i po której jechał dowódca kompanii. Wciąż uważałem, żeby nie zgubić z oczu, a zarazem zwoływałem swoich po lesie. Parę pocisków padło blisko, wśród krzaków, z rozsypanego plutonu kilkunastu saperów leżało na ziemi, ale wszyscy wstali i ruszyli dalej. Po każdym wybuchu koń zrywał się do galopu, musiałem go z całej siły ściągać wodzami i zwracać.

Ostatnie parę kilometrów przebiegłem pieszo, gdyż oddałem mego konia ppor. Awtuszewskiemu, który, nie wiem czemu był pozbawiony w tym natarciu swego własnego wierzchowca i opadł z sił.

Wreszcie ogień artyleryjski pozostał za nami, karabiny maszynowe słychać było gdzieś w innej stronie. Zaczęliśmy ściągać plutony do drogi. W jakimś lasku dowódca zarządził zbiórkę kompanii. Widok był niewesoły. Przede wszystkim zginął cały tabor, częściowo rozbiła go artyleria, a reszta nie dojechała, bo na ostatnim odcinku konie nie wytrzymały szalonej jazdy kłusem po zabójczym piachu zwłaszcza, że już od kilku dni słyż mało odpoczywając i słabo jedząc. Doszedł tylko jeden jedyny wóz, który przyprowadził plutonowy-szef. W pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy z wielkości straty. Nie mieliśmy już karabinów maszynowych, przepadły wszystkie wozy plutonowe, byliśmy bez amunicji wybuchowej. Zginęły plecaki i sprzęt przenośny, które wczoraj dopiero załadowaliśmy na wozy. Zostały nam tylko gołe karabiny w rękach. Nawet skrzynia kancelaryjna ze wszystkimi papierami, mapami i kasetą z pieniędzmi przepadła na drodze. Najgorszym żalem przejęła mnie strata kuchni polowej, a nie bez ironicznej *Schadenfreude* myślałem o prywatnych tobołach i walizach naszych dowódców, leżących teraz gdzieś w rowie.

Około 80 ludzi stanęło na zbiórce. Tylko tyle zostało z kompanii, która jeszcze przed paru godzinami liczyła ponad 250 chłopów. Wszyscy oficerowie byli na miejscu. Saperzy ledwo stali na nogach. Ja sam, mimo że cały prawie czas jechałem konno, byłem wypruty z sił. Po przeliczeniu plutonu, w którym zostało koło 20 ludzi, i zameldowaniu stanu, położyłem się pod drzewo i zasnąłem natychmiast.

Spałem zapewne nie dłużej niż kwadrans. Ruszaliśmy dalej. Otrzymałem rozkaz prowadzenia „taboru”. Ta szumna nazwa odnosiła się do naszego jednego wozu. Nie byłem przy nim zbyt potrzebny, bo szef już go pilnował. Jednak ten mały wózek, zaprzężony w zgonioną szkapę miał dla kompanii pewne moralne i symboliczne znaczenie i dlatego, przypuszczam, została doń przydzielona tak szumna asysta. Ruszyliśmy piaszczystą leśną drogą gdzieś na wschód. Już po paru kilometrach kompania zginęła mi z oczu, bo koń nie dawał rady wozowi. Wlekliśmy się powoli, ale i tak wyprzedziliśmy parę samochodów zarzniętych w piachu, których obsługi robiły, co mogły, by je wyciągnąć i chciały użyć do tej syzyfowej pracy naszego konia. Pojechałem naprzód szukać lepszej drogi. Gdy wróciłem, szkapą była u kresu sił. By jej ulżyć, woźnica po drodze wyrzucił część ładunku, wraz z moim karabinem i płaszczem, które poprzednio tam umieściłem. A przecie w kieszeni tego płaszcza tkwiła moja, ciężko wydebniona puszka konserw! Słabo zrobiło mi się na myśl, że już jej nie zobaczę. Przez cały czas natarcia czułem ją, jak uciskała mi udo i tyle sobie po niej obiecywałem! O karabin mniej się martwiłem — wiedziałem, że zaraz znajdę inny.

Nawet nie było czasu wpaść w gniew i należycie zbesztać woźnicę. Znalazłem jakąś boczną dróżkę, dość twardą, kawałek przejechaliśmy gładko. Dróżka zamieniła się w ścieżkę, a ta w ogóle zanikła. Wóz utknął w krzakach, koń przebierał w miejscu drżącymi nogami. Wałąc go batem i kolbą ujechaliśmy jeszcze ze sto metrów. Wreszcie padł. Pośpiesznie przejrzelismy zawartość: skrzynka amunicyjna, worek z kaszą, jakieś mundury. Szef spojrział na mnie pytającym wzrokiem — machnąłem ręką. Woźnica poprzecinał nożem uprzęż, żeby uwolnić leżące zwierzę od wozu. My napychaliśmy kieszenie amunicją.

Pojechałem stępa naprzód, za mną szli szef i woźnica. Po chwili zatrzymałem się na brzegu lasu. Kompanii ani śladu. Karabiny maszynowe i strzelanina dochodziła z lewej strony. O kilometr na wprost widać było inny las. Kilku żołnierzy szło w tę stronę po otwartej przestrzeni. Jeden z nich odstał i ciągnął się wolno, kulejąc. Tuż za nim wykwitwały na polu małe obłoczki pyłu od kul siekających piasek, czego ten widocznie nie zauważał, bo szedł dalej z nadzwyczajnym spokojem. Skręciliśmy w prawo, gdzie teren się nieco podnosił i dawał niejaką osłonę.

Tak doszliśmy do dużej wsi wyciągniętej wzdłuż szerokiej drogi. Żadnego oddziału wojskowego nie było widać, ale wszędzie kręciło się mnóstwo żołnierzy luzem. Rozpytując o drogę dowiedziałem się, że wieś nazywa się Róża Podolna, a Jagodne,

gdzie miała mieć postój kompania, leży o 4 km w dużych lasach. Paru spotkanych oficerów również kierowało się w tamtą stronę, by szukać swoich oddziałów. Jeszcze raz obejrzałem sztabówkę: ani Róża ani Jagodne już nie były na niej wykazane, ale musiały być gdzieś blisko od jej południowego krańca. Znalazłem drogę, prowadzącą do Jagodnego od północy i część dużego lasu. Zacząłem rozumieć, że chodzi tu właśnie o te lasy, gdyż zostały one wybrane jako punkt zborny dywizji.

Strzały umilkły i zrobiła się cisza dawno już niesłyszana. Jacyś żołnierze myli się przy studni. Napoiłem konia, zacząłem rozglądać się za jedzeniem, którego oczywiście nie można było dostać. Mimo to ruszyłem dalej pełen dobrej myśli. Na lewo o kilkaset metrów widać było ów las, w którego wnętrzu czeka nas spokój, może nawet kilka godzin snu. Tam można będzie jako tako zebrać rozproszoną kompanię. Sporo ludzi i wozów posuwało się razem z nami, tą samą drogą na wschód.

Nagle od strony lasu rozdarł ciszę ostry głos karabinu maszynowego. Po paru sekundach zawtórował mu drugi, potem jeszcze kilka zagrało długimi seriami. Wśród stojącej na polu artylerii wszczęło się zamieszanie. Wszyscy skoczyliśmy z drogi w bok, na łąkę, a potem do brzeźniaka. Zeskoczyłem z konia i rozglądałem się za bronią. Po chwili miałem już w rękę nowiutki karabin, ktoś dał mi pełną ładownicę. Kilku oficerów i podchorążych biegało wśród drzew z pistoletami w rękach, starając się opanować panikę. Beładne gromady żołnierzy dały się dość łatwo zatrzymać i zawrócić. Mieliśmy nacierać na las.

Mimo, że to co się stało, było w najwyższym stopniu niespodziewane i przytłaczające — nie byłem jednak najgorszej myśli. Nie mieściło mi się w głowie, by w lesie miały być poważne siły niemieckie, raczej myślałem, że są to patrole, które przekradły się w gęstwinie i biją stamtąd po otwartym polu, na którym my stoimy. Rachowałem, że można je będzie stamtąd wyrzucić, zwłaszcza, że wewnątrz lasu, w rejonie Jagodnego, musiały być przeciw jakieś nasze oddziały.

Poszliśmy do natarcia. Byłem w kłopotcie, co robić z koniem. Trudno było iść w tyralierze, prowadząc go za uzdę. Niewiele myślać, rozpoprężyłem go i przywiązałem mocno do drzewa. Doszliśmy do drogi, na której przychwyciła nas strzelanina. Kilka karabinów maszynowych stanęło pod budynkami wsi i strzelało do lasu. Pole było puste, tylko leżało na nim sporo zabitych koni i kilka jaszczów artyleryjskich.

Natarcie rozwijało się niemrawo, kto chciał, zostawał z tyłu. Część ludzi zabrała się do wiejskich budynków i tam już ugrzęzła. Bez dowództwa, bez zorganizowanych oddziałów nic się nie

chciało kleić. Zaczęliśmy podciągać naprzód jeden z karabinów maszynowych. Kierowałem się na lewe skrzydło natarcia, uważając (zresztą niesłusznie, jak się potem wyjaśniło), że najpierw trzeba obsadzić zachodnią część lasu i stamtąd spychać nieprzyjaciela na wschód. Wykorzystując maleńkie siodło terenowe dostaliśmy się dość łatwo na grzbiet łagodnego pagórka. Kule gwizdały ostro. Wczołgałem się na szczyt, ale ledwo wytknąłem głowę — dookoła wykwitły znajome, małe obłoczki pyłu i poleciały żdzibła trawy. Szybko wycofałem się i popęzłem na inny punkt wzgórza. Strzeliłem do lasu raz i drugi, ale bez przekonania, bo żadnego wyraźnego celu nie było widać. Byliśmy odosobnieni, gdyż natarcie skierowało się głównie na prawe skrzydło i utknęło w połowie drogi na polu. Opodal karabin maszynowy bił krótkimi seriami, jakiś energiczny kapral z obsługi wymyślał sierżantowi, że ten nie idzie szukać amunicji, która się zaraz skończy. Naprzeciw nas ogień niemiecki przycichł, za to w głębi lasu strzelanina coraz to się wzmagala. Jasne było, że to nie patrole, ale poważne siły nieprzyjacielskie zajęły las, zanim dywizja do nich doszła.

Czas mijał. Trochę strzelając, a trochę drzemiąc leżałem na polu. Przychodził mi na myśl mój gniady, którego w swej naiwności spodziewałem się znaleźć przywiązanego do drzewa tam, gdzie go zostawiłem. Pocieszające i nadzwyczajne było to, że samoloty gdzieś znikły. Pierwszy raz od początku wojny mieliśmy dzień prawie zupełnie wolny od nalotów. Tylko parę pojedynczych aparatów widziałem od rana. Coś w tym musiało być. Czy to nie pierwsze oznaki wyczerpania sił u Niemców?

Natarcie rozlało się ostatecznie, karabinowi maszynowemu zabrakło amunicji. Cofnęliśmy się do wsi. Na polu stał opuszczony jaszcz, przy nim leżały konie. Były to artyleryjskie olbrzymy, jasno-gniade, ślicznie utrzymane. W połysku lśniącej sierści odbite były długie lata trudów całych roczników artyleryjskich przy nich czyszczeniu, lata starań i dumy podoficerów. Jeden był zabity, drugi, widocznie dość lekko ranny, podniósł się na przednie nogi, zaczął wyciągać szyję, gdy się zbliżyłem. Nastawiał śliczny łeb, jakby spodziewając się, że mu pomożę, kiedy przykładałem mu lufę karabinu między uszy.

We wsi było już pusto. Gromadki żołnierzy odchodziły, kierując się na wschód, cywilni gdzieś znikli. Pobiegłem do drzewa, przy którym konia nie było już oczywiście ani śladu. Szef i woźnica dawno już gdzieś się zapodzieli, zamiast nich przyłączyli się do mnie dwaj zbłąkani saperzy z mego plutonu. Rozumiałem, że teraz nie łatwo mi przyjdzie odszukać kompanię. Byłem tym nieco przygnębiony, a zarazem odczuwałem pewną radość wypły-

wającą z samodzielności. Zwłaszcza nieznośny ppor. Stanecki zbrzydł mi ostatecznie. Być zwolnionym na parę dni od widoku naszych oficerów — wydało mi się nawet wcale miłe. Szukać kompanii trzeba gdzieś na wschód, czy na południe. Zresztą w tej chwili nie myślałem, dokąd iść, bo przede wszystkim byłem głodny. Nie wyjdę ze wsi, aż czegoś nie zjem.

Puściłem się wzdłuż wsi w pogoni za żarciem. Wszystkie domy pozamykane. Dopadłem jakiegoś chłopka, który z jamy na kartofle wydobył bochenek chleba. W jednej z chat zobaczyłem przez szybę garnki na piecu. Na oknie stała figura Matki Boskiej, postawiona tam, jak widać, przez uciekających mieszkańców, aby chroniła dom od niepożądanych odwiedzin. Nic nie pomogło — podważyłem bagnetem ramę, odstawiłem ostrożnie figurę i już byłem w środku. W garnku znalazłem tłuczone kartofle z marchwią, jeszcze trochę ciepłe. Rzuciłem się z moimi saperami na ten specjał, ale zanim parę razy ruszyliśmy łyżkami, już pod oknem stało kilku piechurów, wykazujących żywą ochotę, żeby się do nas przyłączyć — trudno im było odmówić. Kończąc „wizytę” postawiłem Matkę Boską na dawne miejsce i zamknąłem okiennicę.

Zebrała się garstka ludzi. Niektórzy byli już bez broni, za co wymyślałem im ostro. Tłumaczyli się mętnie, że byli w niewoli i uciekli. Szeroka droga, na której staliśmy, prowadziła do Łukowa. Oczywiście zesliśmy z niej w bok, do zarośli, żeby iść polami i lasem. Wiedziałem, że dalej na południe przechodzi szosa ze Stoczka do Łukowa. Byliśmy więc w klinie między dwiema dużymi drogami, tak że nie bałem się zabłądzić.

W krzakach stało kilkanaście wozów, ktoś zawołał mnie w tę stronę. Byli to ranni. Jakiś sierżant z piechoty, zdaje się że z orkiestry, z postrzelonym kolaniem, pytał czy nie mogę znaleźć mu lekarza, bo rana strasznie krwawi. Nogę miał ściągniętą pasem. Jak mogłem mu pomóc?

Szliśmy szybko, ale ostrożnie, wyciągnięci w długi rząd. Zachmurzyło się i wybuchła krótka burza, która nas mocno przemoczyła. Do tej pory był to pierwszy deszcz na wojnie, po szeregu dni bezchmurnego nieba. Karabiny maszynowe przecichły. Weszliśmy do lasu, gdzie czuliśmy się bezpieczniej. Zza drzew ukazała się grupa piechurów, którzy przyłączyli się do mnie, potem przyczepiło się kilku artylerzystów, uzbrojonych tylko w lornetki. Z wielką ostrożnością przebywaliśmy duże, leśne polany. W samotnej zagrodzie rozpytałem o drogę. Okazało się, że spory oddział Niemców był tu przed godziną. Pod studnią stał żołnierz lekko ranny w ramię, któremu baby nakładały świeżą koszulę.

Na leśnej dróżce leżały porzucone maski, pasy, mundury.

Zbliżał się wieczór, więc podjąłem z ziemi płaszcz żołnierski. W kieszeni znalazłem prosty, chłopski scyzoryk. Gdzieś niedaleko słychać było jakieś samochody. Wyszliśmy na szosę — wydawała się pusta i głucha. Zrobiło się zupełnie ciemno. Kazałem ludziom bez karabinów iść polami o paręset metrów od drogi, sam z kilkoma uzbrojonymi posuwałem się szosą, bardzo ostrożnie, zatrzymując się i nad słuchując. Podchodziliśmy do wsi. Posłyszałem za sobą zbliżające się głosy ludzkie — szybko zesłaliśmy w kartofle.

Ludzi okazało się tylko dwóch i to bezbronnych. Zatrzymałem ich — był to plutonowy z 5-go pułku piechoty i jakiś szeregowiec. Opowiadali, że przed kilku godzinami Niemcy wzięli ich do niewoli w lesie, wraz z całym oddziałem, odebrali broń i puścili wolno, każąc iść do domu. Dziwili się, że my nie rozchodzimy się jeszcze, każdy w swoją stronę, skoro wszystko jest skończzone, oficerowie uciekli, a dywizja rozbita. Tylko rzucić karabiny i można iść swobodnie, gdzie kto chce.

Była to zupełna demoralizacja. Poza tym wieści te stanowiły nieoczekiwaną nowość. Dotychczas istniało głębokie przekonanie, że Niemcy od razu wywożą jeńców na roboty, z których nikt żywy nie wróci, bo panuje tam straszny głód. Skutki tych wiadomości okazały się natychmiast: kiedy wchodziłem do wsi, miałem przy sobie już tylko moich dwóch saperów. Reszta pośpieszyła wykorzystać rady naszych nowych informatorów.

Wieś nazywała się Dębie. Niemcy tu już się pokazywali. Rozumiałem, że jedyną moją szansą jest odsadzić się przez tę noc jak najdalej na wschód, że szaleństwem byłoby zatrzymywać się tu, obok szosy. A równocześnie kilka niespanych nocy wielkim głosem wołało o sprawiedliwość. Niech cała armia nieprzyjacielska szuka mnie w tej wsi — ja ogłaszam zawieszenie broni. Gotów jestem bić się, strzelać, rąbać, ale jutro, jak się wyśpię.

W którejś chacie, kiwając się nieprzytomnie, opychałem się kaszą, piłem gorące mleko. Potem gospodarz zaprowadził mnie na podwórze. Po drabinie wlałem na ciasny stryżek nad stajnię, czy oborą. W ciemności wkopałem się w siano, ściągnąłem buty, okryłem się znalezionym płaszczem. Przez głowę przemknęła myśl, że jeszcze dziś rano kompania była w pełnym składzie, wszystkie cztery plutony i tabor... Potem kompania, wojna i cały świat przestały dla mnie istnieć.



Dotychczas dywizja miała za sobą dwa stoczone boje: walki pod Pułtuskim 6, 7 września oraz

pod Wyszkowem i Brańszczykiem 8, 9 września. W obu wypadkach chodziło o utrzymanie linii rzek: najpierw Narwi, potem Bugu, w obliczu posuwającego się od północo-zachodu natarcia niemieckiego. Odcinki tych rzek, bronione przez grupę operacyjną „Wyszków”, nie zostały przełamane. W pierwszym wypadku wycofanie nastąpiło na skutek oskrzydlenia przez pancerny zagon niemiecki, który łatwo sforsował odsłoniętą Narew pod Rożanem, co było wynikiem przede wszystkim fatalnego funkcjonowania łączności między polskimi wielkimi jednostkami a centrami dowodzenia.

W drugim wypadku nastąpiło także sforsowanie Bugu pod Brokiem przez tenże zagon, lecz wycofanie się ze strony polskiej było tu raczej wynikiem powziętej już w tym czasie centralnej decyzji odwrotu do Małopolski Wschodniej.

Obecnie sytuacja miała się zmienić. Działania odbywały się po tej samej osi, przebiegającej z północnego zachodu na południowy wschód, ale w odwrotnym układzie. Niemieckie oddziały zmotoryzowane, posuwając się z dużą przewagą szybkości, dotarły na wschód od Warszawy, na wysokość linii kolejowej Warszawa-Brześć, w rejonie Kałuszyna, Łukowa, Siedlec. Podobnie jak strona polska przed kilka dniami, zajęły one stanowiska frontem na północny zachód, zastępując drogę przebijającym się polskim jednostkom, które nacierały teraz analogicznie, jak Niemcy pod Pułtuskim i Wyszkowem.

Otworzyło tę serię walk nasze nocne natarcie na zajęty przez Niemców Kałuszyn, prowadzone 11/12 września, głównie siłami 6 pułku piechoty. Przy poważnych stratach pułku przejście zostało otworzone i dywizja przekroczyła linię kolejową Warszawa-Siedlce.

Następną fazą było forsowanie w dniach 13 i 14 września zapory niemieckiej, założonej w rej. wsi Wodynie, Oleśnica, Olszyc, Domanice, na południe od Łukowa. Celem tego manewru niemieckiego było niedopuszczenie 1-szej dywizji do kompleksu lasów w rejonie wsi Jagodne stanowiącego ochronę przeciwlotniczą i stwarzającego możliwość przyjscia do siebie przemęczonym oddziałom polskim. Przy rozrywaniu tej sieci 1-sza dywizja uległa silnej dezorganizacji i skłębieniu, poniosła duże straty w uzbrojeniu i sprzęcie i odeszła na południo-wschód poważnie uszczuplona. Dotkliwym ubytkiem była strata całej prawie artylerii.

Samodzielna grupa operacyjna „Narew”, odcięta od północy przez zagon niemiecki pod Rożanem, została w międzyczasie zlikwidowana. Walcząca pod Łomżą, ze szczególną zaciekłością 18-ta dywizja piechoty, została ostatecznie rozbita 13 września. Jej bardzo ciężko ranny dowódca płk Kossecki trafił do niewoli.

W dniu 10 września zostały przełamane polskie umocnienia na Narwi pod Wizną, co otworzyło drogę korpusowi pancernemu gen. Guderiana, kierującemu się na Brześć.

DO CHEŁMA

Obudziłem się koło 6-tej rano. Panowała cisza. Nic prawie nie było widać, wieś znikła w gęstej mgie porannej. Wypoczęty, wesoły, w doskonałym humorze zstąpiłem z mojego stryszka, niosąc w sobie cud przeistoczenia, który daje noc przespana kamienym, martwym snem. Absorbowała mnie w tej chwili sprawa zjedzenia dobrego śniadania. W chacie nie zastałem już moich dwóch saperów, którzy tam spali. Czekają mnie natomiast nowe wiadomości, niezbyt pomyślne.

Okazało się, że Niemcy w nocy zajęli wieś. Duży jakiś oddział obsadził szosę i rozpoczął ogień z karabinów maszynowych, a także oddano parę strzałów armatnich. Nad ranem wyruszyli gdzieś dalej, tak że obecnie wieś jest pusta, tylko patrole kręcą się od czasu do czasu. Wszystkie te nocne sprawy nie były zdolne przerwać mojego snu i dopiero teraz dochodziły do mej świadomości. Nie bardzo wierzyłem w strzały armatnie, ale wszyscy jednym głosem to potwierdzali, opisując jak chałupa trzęsa się, a szyby dzwoniły. Były to zapewne jakieś granatniki.

Jedząc barszcz z kartoflami rozmyślałem nad moim nieszczęśliwym położeniem. Jak tu iść na wschód, kiedy szosa łukowska już jest w rękach niemieckich? Wobec tego raczej wypada brać się na południe. W dodatku obaj saperzy zniknęli, a jednemu z nich dałem wczoraj moją ładownicę. Zostało mi amunicji tylko tyle, co w karabinie.

Tak jak stałem, w spodniach i w koszuli, wysunąłem się na szosę. Poszedłem do sołtysa, u którego miały leżeć jakieś porzucone wojskowe rzeczy. Rzeczywiście w chlewie walała się uprząż i siodła, ale amunicji nie było. Jakiegoś starszego, bardzo rozsądnego chłopca rozpytałem o drogę i wypisałem sobie szereg wsi w kierunku na Adamów. Powiedział mi on także, że dalej na drodze leży kupa karabinów. Tam znajdę amunicję na pewno.

Mówiąc z nim w podwórku, obejrzałem się nagle na szosę: dwóch rowerzystów niemieckich w hełmach, z karabinami przez plecy przejechało o kilkanaście kroków od nas. Nie tyle zmroził mnie ich widok, co uderzyło wrażenie zupełnego spokoju i pewności siebie, z jaką jechali bez pośpiechu przez wieś. Nie tak zachowuje się żołnierz w pierwszej linii. Widać byłem już na

terenie gruntownie zajęтым przez nieprzyjaciela. Z duszą na ramieniu ruszyłem szosą szukać nieszczęsnej amunicji. Ledwo minąłem kilka chat, kiedy raptem przede mną zamajaczyła sylwetka jeźdźca w niemieckim hełmie na głowie. Obok szedł pieszo drugi Niemiec, prowadząc rower. Wyłonili się z mgły tak nagle, że nie zostało mi ani sekundy czasu, żeby coś przedsięwziąć. Instynkt podszeptął, że jedyną radą jest zachować spokój. Tym samym krokiem poszedłem naprzód na ich spotkanie. Patrzyli podejrzliwie na moją cywilną koszulę i wojskową czapkę. Po kilku sekundach zrównałem się z nimi. Wymijając mnie o krok jezdny rzucił przez zęby: „*Da ist noch einer*”. — „*Ach wo, nein*” — odpowiedział niedbale rowerzysta.

Nerwy nie wytrzymały, odechciało mi się szukania amunicji po szosie. Skręciłem do pierwszej zagrody i zacząłem przemykać się z powrotem do moich gospodarzy, by zabrać rynsztunek i wynosić się ze wsi. Znów natknąłem się na tych samych dwóch Niemców, którzy na podwórku innej zagrody rekwirowali konia. W końcu dobrnąłem na mój stryzzek. Zrzuciłem w dół karabin, pas, bagnet, torbę, maskę. Znaleziony płaszcz zostawiłem. Przeskoczywszy przez wysoki płot byłem w polu. Po kilkudziesięciu krokach wieś roztopiła się we mgle.

Szedłem szybko polami, jakimś zagajnikiem. Chłopak pasący bydło zapewnił mnie, że w następnej wsi Józefów Niemców nie ma. Niezbyt wierząc mu, z wielką ostrożnością posuwałem się pod zabudowania, ale okazało się, że rzeczywiście nikt tu jeszcze nieprzyjaciela nie oglądał, ani nawet nie miał pojęcia, że jest on tak blisko. W jednej chacie dostałem mleka, w drugiej kilka sztuk łądunków. Uspokojony i pewien siebie ruszyłem dalej do Jeleńca.

Tam znów zmieniłem kierunek i skręciłem na wschód. Okazało się, że całą noc wojsko waliło w stronę Radzyna, droga była poryta świeżymi, głębokimi koleinami. Przejechał jakiś wóz z rannymi. We wsi widać było grupki żołnierzy bez broni. Wstąpiłem do majątku i poprosiłem o skarpety, bo moje podarły się zupełnie, a zapasowe przepadły w taborze. Wypiłem również parę szklanek maślanki. Poszedłem dalej.

Na drodze ruch był duży. Na zachód jechały całe karawany rowerzystów. Fala uciekinierów, która lunęła na wschód w pierwszych dniach wojny, teraz wracała w stronę Warszawy. Wszystko to przewalało się ścieżkami koło drogi, taszcząc tobołki i plecaki i rozpytując o Niemców. W drugą stronę, na wschód szły luźne gromadki żołnierzy przeważnie bez broni, jechały wozy. Karabiny, które tyłu wczoraj jeszcze rzucało o ziemię, teraz wzrosły

w cenie. Po raz pierwszy w życiu odczułem przywiązanie do mej żołnierskiej broni. Wypisane na ścianach koszar, tylekroć czytane słowa: „Karabin jest najlepszym przyjacielem żołnierza” teraz nie wydawały mi się frazesem bez pokrycia. Czyszczenie broni doprowadzone w podchorążówce do absurdu, będące źródłem ustawicznych udręk i szykan, sprawiło, że karabin budził we mnie dalekie od przyjaźni skojarzenia. Pamiętam uczucie ulgi, z jakim po ukończeniu kursu oddawałem ten nawazelinowany grat do magazynu: zdawało mi się, że pozbywam się kajdan.

Teraz, mijając gromady moich nieuzbrojonych towarzyszków marszu, czułem się wywyższony, właśnie dzięki karabinowi, który nosiłem na ramieniu. Dzięki niemu patrzyłem z góry na wszystkich. Zacząłem obawiać się rozstania z nim bodaj na chwilę, zdawało mi się, że każdy z tych bezbronnych patrzy na mnie z zazdrością.

Niedaleko za Jeleńcem rzucił mi się w oczy pewien zwykły piechur. Z daleka odbijał tym od innych, że miał na sobie kompletne uzbrojenie i rynsztunek. Maszerował samotnie drogą, jakby tylko co wyszedł z magazynu kompanijnego. Zainteresowałem się tym rzadkim okazem. Miał wszystko: karabin, bagnet, maska, chlebak, zrolowany płaszcz, ogromne brezentowe ładownice z amunicją do ręcznego karabinu maszynowego, granaty ręczne. Nawet hełm niósł na głowie, zamiast powiesić to ciężkie żelastwo przy pasie. Brakowało tylko plecaka — tłumaczył się z zażenowaniem, że złożył go wraz z całą kompanią na wóz, który zaginał podczas bitwy. Był z 1-go pułku piechoty, nazywał się Kejzik i pochodził z Brześcia. Zaraz wziąłem go pod swoją komendę.

Szliśmy dalej razem. Sporo ludzi cisnęło się do mnie, ale nauczony wczorajszym doświadczeniem, brałem tylko tych, którzy mieli karabiny i budzili zaufanie, a resztę pędziłem na zbity łeb. Po południu dotarliśmy do dużego dworu, do którego wkroczyłem na czele mego oddziału złożonego coś z 4 ludzi i z pewną miną żądałem obiadu. Dano nam olbrzymi garnek doskonałego kopuśniaku z kartoflami. Widok ten znacznie podniósł nas na duchu. Jakiś wysoki podporucznik rezerwy przyłączył się do nas. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że jest z wojsk poznańskich i zjawił się tu aż spod Kutna. Wśród ciągłego ruchu, wchodzenia i wychodzenia ktoś ukradł mi sweter, który zdjąłem na dzień i niosłem przy torbie, ale który w nocy był bardzo potrzebny. Zajechało auto i na ganku zjawił się jakiś major, który — jak zrozumiałem — kierował odwrotem. Zameldowałem się mu i dowiedziałem, że punkt zborny jest wyznaczony w majątku Borowin o 6 km od Radzyna. Miał

czarne wąsiki i jakiś cudaczny mundur — wyglądał bardzo podejrzanie. Odchodząc widziałem, jak zasiadł na ganku nad mapami w towarzystwie dziedzica i dziedziczki. Cała trójka przybrała miny tak ważne, jakby losy dywizji miały rozstrzygnąć się na tej konferencji. Nie byłem zachwycony tym za ścisłym, zdaniem moim, kontaktem wojska ze społeczeństwem. Potem, po paru dniach przyzwyczałem się do tego, że losami oddziałów naszych kierowały nieraz przygodne cywilne osoby.

Pod wieczór wyszliśmy ze wsi Ulan na szosę radzyńską. Ponieważ Łuków był według powszechnej opinii zajęty przez Niemców, można się było spodziewać również na tej szosie różnych niemiłych spotkań. Znowu zebrało się koło mnie około 15 ludzi. Oddałem ich poznańskiemu podporucznikowi z tym, że pójdą bocznymi drogami. Sam zabrałem mojego Kejzika, stanowiącego skład amunicji i granatów ręcznych i puściliśmy się szosą. Mieliśmy się spotkać z tamtymi nazajutrz w Radzynie.

Szosa była zupełnie spokojna i cicha, szliśmy przez lasy. Roje cyklistów jadących w stronę Warszawy z nadejściem ciemności poznikały z drogi. Jakiś czas szedł z nami młody człowiek, który opowiadał, jak cała jego rodzina spaliła się w domu zbombardowanym przez Niemców koło Częstochowy. Przejechał wóz drabiniasty pełen śpiących oficerów. Pod samym Radzynie skęciliśmy spory kawałek w bok od szosy i zanocowaliśmy. Długo czekaliśmy na jedzenie, bo gospodyni bez końca odmawiała pacierze i nie można jej było przerwać. Przez ten czas czyściliśmy karabiny. Pierwszy raz w życiu robiłem to z całym przekonaniem: były pełne piasku i zamek zaczynał się przy repetowaniu.

Nazajutrz raniutko weszliśmy do Radzyna. Miasteczko wyglądało „normalnie”: domy miejscami wypalone, sklepy pozamykane, ani mowy żeby znaleźć coś do jedzenia. Wojska bardzo mało, a za to na ulicach sporo Żydów kręcących się niespokojnie i z widoczną ulgą komentujących brak samolotów, które od paru dni dały spokój i zaniechały swoich systematycznych odwiedzin. Z nierozłącznym Kejzikiem obiegłem całe miasto rozpytując wszędzie o moją „Pilicę”. Po ulicy uwijał się osobnik z opaską straży obywatelskiej na ramieniu, który z wielką pewnością siebie zalecał mi udać się do jakiejś wsi o kilkanaście kilometrów na wschód. O istnieniu majątku, który podał poprzedniego dnia major z wąsikami — w ogóle nikt nie słyszał. Potem znowu zatrzymało się auto pełne oficerów. Ci kierowali mnie bardziej na południe, szosą do Parczewa, ale z dalszej rozmowy wynikało, że informacje ich pochodzą od pewnego plutonowego, który kręcił się po miasteczku. Ostatecznie coraz mniej wiedziałem, co mam robić. Wydostałem trochę tranu w apteczkę

i z wielką starannością wysmarowałem buty. Potem stanąłem przed zakładem miejscowego golibrody. Był zamknięty, ale po kilku uderzeniach kolbą w drzwi — odpowiedni izraelita zjawił się, jak spod ziemi, powyciągał pochowane brzytwy i z wielką godnością przystąpił do wykonywania swego zawodu na twarzy mojej i nieodstępnego Kejzika.

Na koniec uchwyciłem pewną nić: przechodziłem właśnie koło jakichś dużych zabudowań, kiedy skoczyło ku mnie kilku naszych saperów. Jak się okazało stał tam dość spory tabor, który poprzedniego dnia przywiózł do tutejszego szpitala rannych z bitwy pod Jagodnem. Teraz furmanki były puste i miały jechać dalej. Tabor był złożony z wozów różnych pułków, w tej liczbie i paru saperskich. Zacząłem szukać oficera, który prowadził ten transport. Okazało się, że był nim młody rezerwista z 1-go pułku piechoty ppor. Perelsztejn, Żyd. Szedł właśnie do szpitala i zabrał mnie ze sobą. Początkowo sądziłem, że prowadził rannych, jako lekarz, potem wyjaśniło się, że jest to oficer liniowy.

Był to istny fenomen. Każdy inny po zdaniu rannych i otrzymaniu od szpitala odpowiedniego pokwitowania, pojechałby spokojnie dalej. Jego żadna siła nie mogła oderwać od swoich pupilków. Szpital był biedny, ciasny, ranni leżeli pokotem na słomie prawie bez pościeli, brakło środków opatrunkowych i lekarstw. Godziny mijały, a Perelsztejn szalał, biegając po mieście. Od magistratu wydębił sienniki, od gminy żydowskiej łóżka, wy dostał słomy, zarekwirował jakiś dom, żeby w nim umieścić lżej rannych. Wybuchnął oburzeniem, gdy dowiedział się, że w szpitalu brakuje surowicy przeciwężcowej. Oświadczył, że nie może dopuścić, żeby jego ranni zostali bez zastrzyku i znów pobiegł na miasto szukać i rekwirować co się da po aptekach.

Co więcej, kiedy po paru miesiącach spotkałem go przypadkiem na ulicy w Wilnie — miał wiadomości, co stało się z poszczególnymi rannymi, których wówczas w Radzynie zostawił, wiedział, kto umarł, komu co amputowano, kto czuje się lepiej. Jednym z jego pupilów był również ów sierżant z piechoty z przestrzelnym kolanem, którego zostawiłem bez pomocy na polu bitwy pod Różą Podolną. Perelsztejn przywiózł go do Radzyna, a w Wilnie podał mi jego nazwisko wraz z wiadomością, że amputowano mu nogę. Oto sztuka, której nie dokazałby żaden aryjczyk w tych warunkach i w tym czasie!

Czas mijał, przeszło już południe, a ranni wciąż jeszcze nie byli otoczeni należyłą opieką. Ostatecznie stanęło na tym, że ja dalej poprowadzę tabor, a porucznik zatrzyma sobie jeden wóz i pozostanie w Radzynie, aż wszystkiego nie wykończy. Co

do kierunku ustaliliśmy w końcu, że najlepiej będzie jechać na Parczew. Widoczne było, że tu, koło Radzynia nie ma co spodziewać się jakiejś koncentracji naszych oddziałów.

Na moim nowym stanowisku dowódcy taboru poczułem się od razu znakomicie. Zarezerwowałem sobie najlepszy, parokonnny wóz, na którym zainstalowałem się niedostępnym Kejkikiem. Na innych furach było sporo mundurów, koców, hełmów, karabinów, a bystre moje oko wykryło również puszki z konserwami. Przy taborze szły dwa konie wierzchowe — straszne chabety, jedna gorsza od drugiej. Dosiadałem ich w ważniejszych momentach. Zabroniłem stanowczo budzić się, gdyby zdarzyło mi się zdrzemać na wozie. Wybrałem sobie dobry płaszcz, menażkę, manierkę, słowem porosłem w pierze.

Jeszcze przed wieczorem przyszło mi się rozstać z Kejkikiem. Koło drogi w lasku ukazał się spory tabor — w tym miejscu zbierał się 1-szy pułk piechoty. Na szosie stał krępy, nieduzego wzrostu major (jak się potem okazało nazywał się mjr Rocznik), który wyławiał z mojej kolumny swoje wozy pułkowe. Wraz z nimi został Kejkik. Z łałem podałem mu rękę na pożegnanie. Był to jeden z nielicznych prawdziwych żołnierzy, których widziałem podczas tego odwrotu. Nie należał zapewne do kategorii bohaterów, lecz armia złożona z samych Kejkików nie byłaby łatwa do zwyciężenia.

Posuwaliśmy się szybko. Z wyżywieniem było skąpo, ale któż miał sobie poradzić, jeśli nie taboryta? Na każdym wozie były jeszcze jakieś zapasy, dla koni ściągąco się siano we wsi, podczas noclegu lub w marszu ze stogów. Wsie przy drodze były już mocno objedzone, ale nie opuszczałem rąk. Raz koło przydrożnej chałupy osadził mnie w miejscu jakiś znajomy zapach. Skoczyłem z wozu, wsunąłem nos do jednej izby, do drugiej i odkryłem u jakiegoś uchodźcy duży garnek z gotującą się kiełbasą.

Kilka wozów przybyło po drodze, na moim zainstalował się pewien podchorąży z artylerii i żandarm. Wymyślali wciąż na mjr. Rocznika, tego samego, któremu poprzednio zdawałem tabor. Zarzucali mu, że podczas bitwy pod Jagodnem miał wyprowadzić ich oddział z lasów, lecz w ostatniej chwili gdzieś się zaprzepaścił, tak że po dwugodzinnym bezskutecznym oczekiwaniu zostali w rezultacie rozbici.

Widać było ze wszystkiego, że Parczew też nie jest kresem naszej wędrówki, była mowa o jakimś punkcie żywnościowym, gdzie mieliśmy pobrać prowiant, przebąkiwano o Włodawie. Nikt nie miał mapy, tak że z trudem orientowałem się w kierunkach i odległościach. U przejeżdżających oficerów widziałem

jakieś mapy samochodowe lub po prostu maleńkie mapki szkolne w najpopularniejszych wydaniach.

Ukazały się wieże kościelne Parczewa. Z daleka miasto prezentowało się okazale, toteż dosiadłem jednego z moich wierzchowców. Jakoż nie zawiodłem się. Punkt żywnościowy okazał się wprawdzie mitem, ale w mieście sklepy były otwarte. Zarządziłem postój taboru. Chleba i słoniny można było kupić do woli. Miasto wcale nie było zbombardowane. W napadzie optymizmu zapragnąłem wysłać list do domu z tej oazy szczęśliwości, ale po chwili oprzytomniałem i dałem spokój niedorzecznościom.

Okazało się, że jest tu nawet komenda wojskowa. W pustym domu posterunku policji zastałem jakiegoś majora, kręciło się kilku telefonistów, stały samochody, poszukujące benzyny. O „Pilicy” nikt nie miał pojęcia, ale za to w ogródku ze zdziwieniem ujrzałem ppor. Wasilewskiego, oficera żywnościowego batalionu. Był w jakimś cudacznym cywilnym stroju — okazało się, że wpadł pod Jagodnem do niewoli i uciekł w tym przebraniu. O mojej kompanii coś gdzieś słyszał, że idzie na Włodawę. Kłopotał się, skąd dostać mundur. Zaraz sprowadziłem z mego taboru wyszargane kawaleryjskie spodnie i nielepszą kurtkę. Czapki nie było, więc dałem mu hełm. Za tę usługę porucznik zrewanżował mi się pudełkiem szprotek, dodając do tego pół manierki miodu. Niedarmo był oficerem żywnościowym.

Po godzinie w podniosłym nastroju ruszyliśmy dalej. Podchorąży i żandarm przetrząsnęli całe miasto, a skutki ich bystrości i dobrej orientacji leżały oto na wozie w postaci zapasów na drogę. Nie zabrakło nawet kilku butelek piwa. Z moimi szprotami stanowiło to piękną całość. Na innych wozach ludzie również zaopatrzyli się, jak kto mógł. Gorzej było z końmi, które nie wynosiły z Parczewa tak przyjemnych wrażeń, jak my. Żeby to wyrównać, w najbliższym majątku zarekwirowałem kilka worków owsa.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że znów trzeba było łamać sobie głowę, dokąd jechać. Wzdłuż drogi rozeszła się pogłoska, że do Włodawy nie ma po co fatygować się, bo Niemcy już ją zajęli. Skąd Niemcy we Włodawie? Trudno było w to uwierzyć. Coraz więcej głosów mówiło, by kierować się do Chełma. Na jakiejś mapie zobaczyłem, że to straszny kawał drogi. Nasza turystyka po Polsce nie prędko miała się jeszcze skończyć. W każdym razie należało spieszyć się i popędzać konie. W Sosnowicy trzeba się było decydować ostatecznie, bo drogi się rozchodziły. Wybrałem Chełm.

Koło wieczora napotkałem na drodze duży wóz parokonnny

z kilkunastoma ludźmi. Z radością poznałem w nich naszych saperów. Było wśród nich paru podoficerów. O kompanii nie wiedzieli nic pewnego. Włączyłem ich do swego taboru. Wszyscy mieli broń, a na furze wieźli pewien zapas żywności. Poczułem się pewnie, mając swój naprawdę własny oddział.

Konie były zmęczone. Późnym wieczorem nawinał się nam po drodze duży majątek Brus. Tabor skręcił do bramy i stanął na gazonie pod drzewami. Żołnierze rozlokowali się, jak kto mógł we wsi obok, taboryci zostali przy koniach.

Zaczęła się ciężka noc. We dworze panował nastrój paniczny. Pomimo spóźnionej pory nikomu nie przychodziło do głowy iść spać. Wiadomości o zajęciu Włodawy przez Niemców były już całkiem pewne. Można się było spodziewać nieprzyjaciela lada chwila. Wobec tego pobyt nasz w majątku był bardzo nie na rękę właścicielom, którzy przeceniając właściwości niemieckiego wywiadu, obawiali się bombardowania dworu, w którym stoi wojsko. Do tego jeszcze w stodole spała jakaś kompania strasznie zdrożonej piechoty.

Zjawiłem się w jadalni, w której zebranych było kilkanaście osób. Przy całej swojej grozie sytuacja była również śmieszna. Już sam widok rodziny ziemiańskiej, jakby wyjętej z komedii Błazińskiego, działał na mnie rozweselająco. Wszyscy starali się w delikatnej formie ostrzeżeń i smutnych przewidywań skłonić mnie do natychmiastowego odjazdu: lada moment Niemcy z Włodawy mogą ukazać się na szosie przechodzącej o kilka kilometrów i zaskoczyć nas tu, lub przynajmniej odciąć od Chełma; jest to ostatnia sposobność przedostania się dalej, wypuścić z rąk ten moment — to istne samobójstwo.

A ja ani myślałem ruszać z miejsca. Z jednej strony miałem perspektywę kolacji, znośnego noclegu, nakarmienia rano koni nową porcją zarekwirowanego owsa (który był na miejscu, co już zdołałem przewąchać), z drugiej rozumiałem, że Włodawa jest dość daleko i że czołgi niezbyt mogą poruszać się nocą w terenie, tak że do rana nie ma niebezpieczeństwa bezpośredniego zaatakowania. Oczywiście ryzyko było spore, ale cała wojna z niego się właśnie składa. Opanował mnie wisielczy humor. Siedząc za stołem i popijając najspokojniej herbatę, zbywałem żarcikami złowieszcze krakania rozlegające się ze wszystkich stron. Co będzie, to będzie. Zdawałem sobie sprawę, że w tych warunkach spać beztrosko, bez żadnych wart, posterunków, ubezpieczeń — to więcej niż lekkomyślność, to zbrodnia w moim dotychczasowym, klasycznym pojęciu o wojnie. Ale od tych klasycznych pojęć cała otaczająca nas rzeczywistość była tak daleka...

Ostatecznie stanęło na tym, że zasięgnę zdania dowódcy owej kompanii piechoty, która spała jak martwa w stodole. Udałem się tam w towarzystwie paru miejscowych osób i nie bez trudu udało się nam przywołać, do jakiej takiej przytomności młodego kapitana leżącego na wozie. Jeden z obecnych w sugestywnej formie zapewnił go, że Włodawa została wzięta i że Niemcy są tuż. — „Będę spał z kompanią do rana, resztę mam w dupie” — brzmiało niewyraźne mruknięcie, które natychmiast przeszło w chrapanie. Spojrzałem z sympatią i aprobatą na zagrzebaną w sianie postać naszego lakonicznego interlokutora.

W jadalni tymczasem trwały konwulsje niepokoju. Część obecnych w obawie (moim zdaniem zupełnie nierealnej) przed mającym nastąpić bombardowaniem wybierała się gdzieś wyjeżdżać końmi. Coraz to kazano je zaprzęgać, i znów wypręgać. Na drodze błyskały reflektory latarni, przez otwartą bramę zajeżdżały przed dwór pojedyncze samochody z oficerami. Jakiś energiczny młody człowiek, przypuszczalnie miejscowy administrator, czy też może uchodźca, przyjmował wraz ze mną przybywających, komunikował o grożącym niebezpieczeństwie, wysyłał wszystkich na Chełm, objaśniał drogę — słowem był faktycznym kierownikiem całego odwrotu, jeżeli wolno mi użyć tego słowa na określenie chaotycznego i panicznego ruchu, który przewalał się tej nocy obok dworu.auta szybko zawracały i znikwały, nadjeżdżały nowe. Ziało od tego wszystkiego zupełnym rozkładem, na naszych oczach rozpadał się trup armii.

Zrobiło się jeszcze weselej, kiedy w ciemności rzucił się na mnie pies podwórzowy i w haniebny sposób zmasakrował moje spodnie, rozrywając całe kolano. Musiałem je zdjąć i znów zjawiłem się w dramatycznej jadalni, prosząc o pomoc. Jakaś starsza i dostojna dama podjęła się załatwienia tej niezbędnej części mego umundurowania, co trwało dość długo. Przez ten czas działałem bardzo energicznie, maskując płaszczem fatalne braki mojej garderoby, meldowałem się jakimś majorom i otrzymywałem od nich bezsensowne rozkazy, których ani myślałem wykonywać.

Wreszcie położyłem się w stajni na sianie, ale zanim porządnie zasnąłem — już trzeba było wstawać: zjawił się nowy major, tym razem lekarz. Sanitarka ugrzęzła mu w piasku, potrzebował koni do jej wyciągnięcia. Posłałem moją najlepszą parę. Znowu zdrzemnąłem się na godzinkę, obudziło mnie światło latarki. Sanitarka stała już w podwórzcu, ale nie mogła iść o własnych siłach, bo coś się stało ze sprzęgłem. Wobec tego major zostawił ją, a domagał się ode mnie furmanki, by jechać dalej. Ruszył z wielkim pośpiechem. Mżył drobny deszczyk.

Już dniało. Teraz należało wynosić się stąd co żywo. O kilka kilometrów przechodziła szosa z Włodawy, którą trzeba było przeciąć, zanim Niemcy się na niej pokażą. Szybko dzieliłem taborytom zarekwirowany owies, żołnierze pili mleko pod kuchnią. Piechota ze stodoły też już się zbierała do odmarszu. Z opuszczonej sanitarki fernali i baby wyciągały, co się dało. Po godzinie mijaliśmy już wieś Kołaczce, przecinając szosę. Wszystko spokojnie, Niemców ani śladu. Udało się.

W miarę zbliżania się do Chełma duch zaczął w nas po trochu wstępować. Trafiliśmy na jakąś improwizowaną linię obronną: przy szosie stały działka przeciwpancerne, piechota zajmowała stanowiska. Na koniec zobaczyłem oddziały wojskowe, a nie luźne gromady, wśród których obracałem się tyle czasu. Z szosy chełmskiej, na którą trafiliśmy, skierowano nas w bok do miasteczka Sawin. Ukazało się kilka samolotów niemieckich. Od czasu bitwy pod Jagodnem nie widzieliśmy ich wcale, co nadzwyczajnie dodawało mi ducha i umacniało w przekonaniu, że Niemcy ciężko dyszą.

Zatrzymaliśmy się w końcu w lesie, przy jakimś taborze, koło wsi Krobonosz. Okazało się, że to 5-ty pułk piechoty Legionów. Podobnie jak to było poprzednio, zjawił się oficer, który zabrał wozy, pochodzące z tego pułku. Wydano nam chleb, słoninę, na wieczór zapowiadała się kawa. Znowu poczułem się w prawdziwym wojsku. Chociaż prawdziwe wojsko nie polega tylko na jedzeniu, to jednak niewątpliwie zaczyna się od zaprowiantowania żołnierza.

Od strony linii obronnej, która została za nami, zaczął dochodzić ogień artylerii — przemknęliśmy się w ostatniej chwili. Parę godzin spałem pod drzewem, było zimno i mokro. Ruszyliśmy, gdy porządnie ściemniało. Zaczął się dobrze znajomy nocny marsz.

Wczesnym rankiem byliśmy pod Chełmem. Miasto na górze wyglądało imponująco, ale my nie weszliśmy tam wcale, ku mojemu żalowi, kierując się od razu szosą na Zamość.

Wszystko szło niby dobrze, ale 5-ty pułk rozczarował mnie szybko. Nakarmił nas należycie, trzeba mu było oddać sprawiedliwość, ale nie samym chlebem człowiek żyje. Najwyższa pora już była odszukać własną kompanię, a tu znikąd nie było o niej wiadomości. Teraz znowu ominęliśmy Chełm, w którym spodziewałem się coś wyświecić w tej materii. Do tego jeszcze jakiś kapitan, któremu, widać, przypomniał się plac ćwiczeń, zaczął ganiać to wojsko na sposób koszarowy, nie oszczędzając

moich saperów. Dawno już odwykliśmy od tego. Zacząłem rozglądać się za innym, bardziej odpowiednim *engagement*. Sposobność nadarzyła się już po paru kilometrach: ludzie podnieśli krzyk, bo w lesie koło drogi zauważyli kolegów. Okazało się, że stał tam jakiś inny batalion saperów wileńskich, o którego istnieniu nawet nie wiedziałem. Do dziś dnia nie mam pojęcia do jakiej dywizji należeli i skąd się wzięli w tym miejscu. Oczywiście przyłączyłem się do nich i cały dzień staliśmy obok w lesie. Jednak i tym razem nie byłem zadowolony. Od razu widać było, że nic dobrego nie zapowiada się w kwestii wyżywienia, tak żywo mnie obchodzącej. Na ten temat nowy batalion był bardzo lakoniczny — widocznie sam nie opływał w dostatki. W dalszym ciągu nie było żadnych wiadomości o „Pilicy”, która wpadła, jak kamień w wodę. Po południu wziąłem jednego z moich słynnych wierzchowców i powlokłem się na nim do Chełma.

W mieście nie widziałem specjalnego zniszczenia, bo samoloty niemieckie interesowały się przeważnie linią kolejową i stacją. Wojska było dużo, na ulicach panował gorączkowy ruch, przejeżdżały kolumny samochodów i wozów, przewalały się tłumy uchodźców. Budowano barykady przeciwczołgowe, miejscami bruk i płyty chodnikowe były wyrwane. W żadnym mieście nie widziałem dotychczas takiego widoku. Coś się zapowiadało, ale patrzyłem na te przygotowania dość sceptycznie i bez wiary. Wiarę łatwo jest stracić, ale trudno ją odzyskać.

Nie potrzebowałem długo szukać. Na przejeżdżającym wozie poznałem paru naszych saperów, od których dowiedziałem się, że dowódca „Pilicy” kpt. Wejtko jest w Chełmie. Oddział stoi na górze, koło kościoła, w budynku gimnazjum.

Pojechałem szybko z powrotem po moich ludzi czekających w lesie. Wiadomość o odnalezieniu swoich została przyjęta z radością. Było już ciemno, kiedy w jakiejś pustej sali szkolnej meldowałem się dowódcy batalionu. Była to noc 19/20 września.



Przebijająca się na południe 1-sza dywizja podlegała w dalszym ciągu armii „Modlin”. Dowództwo tej armii, z gen. Przedzrymirskim na czele, również wycofywało się, oddawszy do obrony Warszawy dużą część swoich wojsk (dowodzonych przez gen. Zulaufa).

Cała grupa wojsk, złożona z 1-szej dywizji piechoty Legionów oraz z 41-szej i 33-ej rezerwowych dywizji piechoty pod dowództwem gen. Piekarskiego i płk. Zieleniewskiego, po przebieciu się pod Jagodnem, posuwała się szerokim pasem na połud-

nie, w stanie dużego rozprężenia i rozproszenia. Została ona podporządkowana stworzonemu doraźnie dowództwu Frontu, którego zadaniem było kierowanie przebijaniem się oddziałów na prawym brzegu Wisły do Małopolski Wschodniej. Dowództwo Frontu objął gen. Dąb-Biernacki, który po rozbiciu armii „Prusy” w rejonie Piotrkowa i Radomia, skupiał szczątki tych swoich wojsk, które zdołały przeprawić się przez Wisłę.

Analogiczny front, stworzony w Małopolsce, był dowodzony przez gen. Sosnkowskiego.

W skład wojsk podporządkowanych gen. Dębowski-Biernackiemu wchodziło szereg wielkich jednostek, lecz przeważnie miały one charakter szcztakowy. Z wojsk, które dotarły z lewego brzegu Wisły tylko Nowogródzka Brygada Kawalerii, która uniknęła do tej pory forsownych walk, zachowała swój stan prawie nie uszczuplony.

W ciągu kilku następných dni po bitwie pod Jagodnem, 1-sza dywizja posuwała się bez kontaktu z nieprzyjacielem, porządkując i uzupełniając swoje nadwątlone stany. W dniu 21 września dotarła do m. Przewale w bliskości lasów Zamojskich, w którym to rejonie nastąpiła pewna koncentracja również innych oddziałów (Nowogródzka, Wileńska i Wołyńska Brygada Kawalerii, grupa kawalerii płk. Komorowskiego, zgrupowania oddziałów piechoty generałów Olbrychta i Wołkowickiego).

Dalsza droga została zastawiona przez silne zgrupowanie niemieckie, które dotarło tu z południo-wschodu, drogą na Jarosław i Lubaczów, już przed kilku dniami. Oddziały niemieckiej 4-tej dywizji lekkiej obsadziły Tomaszów Lubelski i Zamość już 13 września. Od tej pory bariera niemiecka znacznie stężała i została uzupełniona z kierunku zachodniego przez oddziały 5-tej dywizji pancernej, które przekroczyły Wisłę pod Annopolem. W dniach 19 i 20 września kleszcze niemieckie zdławiły w tym rejonie szczątki armii „Kraków”, które się aż tu wycofały.

W międzyczasie niemiecki zagon pancerny korpusu generała Guderiana, idący z Prus Wschodnich po przełamaniu Wizny — doszedł do Brześcia i zdobył twierdzę w dniu 17 września. Jedna z jego dywizyj, mijając Brześć od wschodu, sięgała po Włodawę.

W tych warunkach akcja gen. Dęba-Biernackiego w kierunku Małopolski Wschodniej nie miała widoków powodzenia.

W KOTLE

Od razu na wstępie spotkał mnie zawód: odnaleziony oddział nie miał nic wspólnego z moim macierzystym batalionem, który

w dalszym ciągu pozostał nieuchwytny i zawieszony w dalekiej przestrzeni. To tylko nasz dowódca z kilkoma oficerami, po utracie swego oddziału przyłączył się do jakiejś innej formacji, którą napotkał w Chełmie.

Drugą nieprzyjemnością była wiadomość o wymarszu, który ma nastąpić już za parę godzin. Od początku wojny nie zdarzyło nam się przenocować chociaż dwa razy w tym samym miejscu, toteż bardzo mi przypadła do gustu myśl spędzenia paru dni w tej chełmskiej szkole. A tu nie zdążyłem nawet ogolić się, jak już trzeba było ruszać.

Wobec tego czym prędzej trzeba było myśleć o jedzeniu. W małym budynku przy gimnazjum mieściła się kuchnia. Z wielką energią wtargnąłem tam, by wydębić coś dla moich ludzi, mimo że jeszcze nie zostali wciągnięci w stan żywionych. Po pewnych targach wydano nam porządną porcję gulaszu, ale chleba nie było nigdzie. Trudno, opychaliśmy się mięsem „na goło”.

Tłukąc się po całym gmachu wśród gromad żołnierzy, które poruszały się w zupełnej ciemności, natknąłem się wreszcie na dowódcę tej kompanii, do której zostaliśmy tu włączeni. Po oglądnięciu go w świetle posiadanej przeze mnie świeczki, poznałem w nim mego dawnego kolegę z politechniki, ppor. rezerwy Kotlara.

O noclegu nie było co myśleć wobec zapowiedzianego wymarszu. Na podwórzu stał tabor zaprzężony już i gotowy do jazdy. Leżeliśmy koło naszego wozu, okrywając się płaszczami i marznąc beznadziejnie. Godziny mijały. Na koniec nad ranem zrobił się ruch. Było już jasno, kiedy wychodziliśmy z Chełma, kierując się na południowy wschód, szosą na Hrubieszów. W świetle dziennym oglądałem z zaciekawieniem nowe wojsko, do którego trafiłem.

Cóż to była za formacja? Przebyłem w niej sporo czasu, ale dotychczas nie wiem, jak się nazywała i jakie zadanie miała wykonać. Dowodził nią oficer o energicznej twarzy, kpt. Mańkowski. Składała się przede wszystkim z kolumny pontonowej należącej do 2-go Batalionu Saperów z Puław. Patrzyłem na nią z pewnym przekąsem, gdyż nigdy nie miałem zbyt dużego zaufania do mostów pontonowych, lecz musiałem przyznać, że wyglądała imponująco: olbrzymi korowód specjalnych ciężkich wozów na ogumionych kołach, załadowanych pontonami i materiałem mostowym — wszystko to ani otarło się jeszcze o wojnę. Kolumna taka mogła stać się skarbem w rękach potrzebującej jej dywizji, a była zupełnie bezsensowna, jako jednostka samodzielna.

Poza tym trzonem byliśmy jeszcze my, tzn. parę kompanii, które dopiero w drodze tworzyły się z rozbitków. Bardzo możliwe, że po kilku tygodniach wycofania z linii, odpoczynku, nowej

organizacji i nowej karności można było otrzymać z tego ciasta prawdziwych saperów. Ci, wśród których posuwałem się szosą hrubieszowską, wyglądali tak żałośnie, że doprawdy z trudem można było ten luźny materiał uważać za wojsko: mieszanina z różnych oddziałów i różnych dzielnic, uzbrojona niejednolicie w karabiny polskie, niemieckie i francuskie, nie mówiąc już o tym, że część w ogóle była bez broni; tylko połowa mogła maszerować normalnie, reszta miała chore, obtarte i odparzone nogi; nikt nie widział ani porządnego podziału na plutony, ani wyraźnych funkcji oficerów i podoficerów — gdzieś bokami włożył się sierżant z kryminalną gębą, który miał być szefem kompanii; nie było mowy o normalnym rynsztunku, sprzęcie przenośnym, amunicji wybuchowej — o tym wszystkim, bez czego saper przestaje być saperem, a zostaje sprowadzony do roli marnego gatunku piechoty; wszędzie dookoła same zniechęcone, dawno nieogolone twarze.

Zresztą nie o zaopatrzenie i nie o sprzęt tu chodziło. Niejednokrotnie oddziały najędźniej uzbrojone i wyposażone potrafiły zachować ducha bojowego, zdolność do walki. My wszyscy, poczynając od dowódców, a kończąc na taborytach, byliśmy już wojskiem gruntownie zdemoralizowanym, a zdolnym do wszystkiego, lecz nie do brania czynnego udziału w wojnie. Paręset kilometrów uciekaliśmy nie widząc nigdzie żadnej myśli o oporze na przekonywującą skalę i za jedyny cel mając uchronić cenne życie i najeść się do syta. Ta turystyczna wędrówka zrodziła w nas wątpliwość, czy w ogóle istnieje gdzieś jakaś prawdziwa linia oporu. Dokąd wędrujemy teraz na wschód tą szosą zawałoną na poboczach rozbitymi samochodami, tym długim cmentarzyskiem polskiej motoryzacji? Na jakich wodach mamy budować mosty z tej zatraconej kolumny, którą ze sobą ciągniemy? Czy wyniknie z tego coś na serio.

Wszystko dookoła mówiło, że to, co nas otacza, już walką na serio nie jest. Rozgrywało się przed nami jakieś ogromne widowisko, jakiś *commedia dell arte*, którą sami doraźnie komponowaliśmy. Potrwa to jeszcze dzień czy tydzień, ale musi się skończyć opuszczeniem kurtyny. Można by wprawdzie od razu wyjść z teatru, skoro widowisko jest koszmarne, ale pewne nawyki myślowe, pewne schematy głęboko w mózgu wryte każą brać udział w spektaklu do końca, z karabinem trzymanym w ręku, jak kaduceusz.

Już od samego wyruszenia było na co patrzeć: wciąż miały nas duże, zwarte oddziały idące ze wschodu ku Chełmowi, prowadzone przeważnie przez podoficerów i... najgruntowniej pozabawione broni! Na wszystko byłem przygotowany, ale ten widok

na wojnie naprawdę był niezwykle. Na nasze zapytania odpowiedzieli niechętnie, że o kilkanaście kilometrów dalej szosa przechodzi przez las, w którym polscy oficerowie rozbrajają oddziały idące ze wschodu i że broń ta jest na miejscu niszczone! A my mieliśmy przejść przez ten las, idąc w odwrotnym kierunku. Nic nie rozumiałem. Zastanawiałem się, czy w razie czego dać się rozbroić, jeżeli zaczniemy składać broń w tym feralnym miejscu.

Oprócz nas nie było widać wojska posuwającego się na wschód, natomiast cała szosa stała się granatowa od mundurów policji idącej oddziałami i luzem, pieszo i jadącej na rowerach. Na drodze ukazał się nowy, kontrastujący z policją rodzaj wędrowców: zwolnieni więźniowie w szarych chałatach i płaskich myckach. Było też sporo wozów z uchodźcami.

Natomiast w przeciwną stronę, ku Chełmowi jechał tą samą drogą ze wschodu gęsty sznur aut i wozów — również z uchodźcami. Przeważnie byli to ludzie o wyglądzie ziemian, ale nie brakło i innych odmian. Widziałem rodzinę złożoną z ojca, matki i dwojga drobnych dzieci, jadącą na małym rowerze motorowym. Niepodobna było dopytać się, co to wszystko znaczy. Mówiono niejasno o bolszewikach, o Ukraińcach. To ostatnie trafiło mi bardziej do przekonania. Tłumaczyłem sobie, że na wschodzie wybuchło powstanie ukraińskie. Skierowanie wielkiej ilości policji w tym kierunku utwierdzało mnie w moim mniemaniu.

Wyprzedziliśmy dziwny jakiś oddział, idący na wschód: z daleka widać było kolorową mieszaninę różnych barw mundurów. Okazało się, że to niezbyt duża grupa jeńców niemieckich eskortowana przez całą kompanię policji, wspomaganą jeszcze przez kompanię wojska. Nie można było bez pobłażliwego uśmiechu patrzeć na to widowisko: na jednego jeńca przypadało co najmniej trzech groźnie uzbrojonych ludzi konwoju. Tu dopiero nasze linie były nie do przełamania.

Doszliśmy wreszcie do owego nieprawdopodobnego lasu i... minęliśmy go najspokojniej, przez nikogo nie zaczepieni.

Wchodziliśmy w żyzny, pszeniczny kraj, który jest spichrzem Polski, a coraz bardziej było nam głodno, coraz trudniej o kawałek chleba, o kubek mleka. Kuchnie polowe istniały wprawdzie przy naszym wojsku, ale obsługiwały tyle oddziałów naraz, że trzeba je było uważać raczej za symbol, niż za podstawę wyżywienia. Dobrze, jeżeli raz na dobę zdołało się z nich wydoić trochę kawy na dnie menażki. Właziliśmy jak szarańcza do zagród położonych dalej od drogi, polując na jajko, na kawałek słoniny, na miskę zupy. Nie tylko było głodno, ale obco. Już przed Chełmem zaczęła nieznacznie zmieniać się mowa, którą słyszeliśmy

u miejscowej ludności. Tu otoczył nas język nie będący może czystym ukraińskim, ale daleki również od polszczyzny i jakże niepodobny do naszego białoruskiego, który brzmi w uchu tak swojsko... Z coraz głębszym uczuciem nieufności mijaliśmy partrzących wilkiem chłopów, baby które na widok pontonów spiętrzonych na wozach chowały się do chat myśląc, że to jakieś straszne maszyny śmierci.

Gdzieś po drodze do taboru przyłączył się wcale elegancki powóz, najwidoczniej pochodzący z jakiegoś dworu, na którym siedział podchorąży Lechowicz, mój zastępca z dawnego plutonu w „Pilicy” z kilkoma saperami. Zjawił się ppor. Wasilewski, ten sam, którego ubierałem w Parczewie i znów objął funkcje oficera żywnościowego. Z daleka zobaczyłem w innej kompanii charakterystyczną postać mego Wydruka. Pomimo włączenia do nowego oddziału — w dalszym ciągu trzymałem razem moich saperów, a wóz uważałem niemal za moją prywatną własność. Na jego spodzie odkryłem walizki jakichś nieznanych oficerów z piechoty, które odtąd miały mi służyć, w zamian za moją zaginioną. Znalazł się tam też duży plik map 1 : 100 000 obejmujących całą północną Polskę i Prusy Wschodnie. Jednego konia wierzchowego zostawiłem gdzieś po drodze, żeby dalej nie śmieszył ludzi, drugi włókł się za wozem.

Wraz z nami szedł podobny oddziałek saperów wileńskich pochodzący z 19-tej Dywizji, z tego samego batalionu, który mobilizował się w Wilnie obok nas w ogrodzie Bernardyńskim. Zostali rozbici gdzieś pod Radomiem, przepawili się przez Wisłę i oto w Chełmie spotkaliśmy się znowu. Również mieli swój własny duży wóz i trzymali się osobno. Dowodził nimi ppor. Karpuk.

W ten sposób, polując na jedzenie i pielęgnując różnego rodzaju separatyzmy, mineliśmy Hrubieszów. Staliśmy kilka godzin w dużym dworze mocno wyczerpanym i objędzonym przez niekończące się pochody wojsk, gdzie jednak mimo to karmiono nas z podziwu godną determinacją. Szosa urwała się, zjechaliśmy na gorsze drogi.

Skończyła się szatańska słoneczna pogoda. Samoloty rzadko ukazywały się na niebie, natomiast częściej widzieliśmy je rozbite, leżące na ziemi. Trudno było z daleka rozeznaczyć, czy są nasze czy niemieckie. Przyszedł nareszcie, po niewczasie prawdziwy wrzesień z mgłami, chmurami, nawet deszczem.

Samotny bombowiec ukazał się nisko nad drogą. Kolumna stanęła i skoczyliśmy jak zwykle do rowów, przygotowując karabiny. O paręset metrów przede mną rozległa się seria wybuchów. Zacząłem strzelać, starannie celując na metr przed śmigło. Prze-

sunął się nad nami i zaczął oddalać się przeprowadzany bezładnym ogniem. Z przodu duża, czarna chmura podniosła się nad drogą. Bomby trafiły w kolumnę pontonową.

Trzeba było czekać z godzinę, aż uporządkowało się zamieszanie. Wreszcie ruszyliśmy, zbliżając się do krytycznego miejsca. Z daleka już widać było całą hałdę zabitych koni, zwaloną obok drogi. Wozy roztrzaskane w drobne kawałki i zmietoszone blachy pontonów rozniesione były daleko po polu. Po drugiej stronie drogi czerniała świeża mogiła z wetkniętym niedbale krzyżem skleconym z kawałków desek. Kilku saperów kopało obok drugą taką samą. Niski i przysadzisty sierżant Deglau o mięsistej twarzy rzeźnika stał przy nich i dyrygował likwidacją incydentu. Pamiętałem go z dawnych ćwiczeń wojskowych w Wilnie. Skąd się tu wziął?

Zabity żołnierz leżał na poboczu drogi, oczekując na swoją kolej. Chłopska twarz z otwartymi ustami i wyciekającym z nich pasemkiem krwi była poszarzała, odczłowieczona. Daleki dystans dzielił już od życia tę martwą bryłę, która przed paru kwadransami stanowiła ludzką głowę. Teraz był to tylko leżący na ziemi przedmiot, zniszczony futerał, z którego uleciała treść. Przejechaliśmy — dwa groby i kilkanaście zabitych koni pozostało za nami.

Ciężki marsz trwał całą noc. Nie odstępowałem wciąż swego wozu broniąc go przed cisnącą się zgrają chorych, którzy włązili wszędzie. Po straszliwych wybojach brnęliśmy przez jakiś las. Przecięła nam drogę tajemnicza kolumna eleganckich limuzyn, jadąca w pełnym świetle reflektorów. Rano zatrzymaliśmy się w innym lesie, niedaleko od dużej wsi Telatyn. Tam staliśmy cały dzień. Nie orientowałem się, że byliśmy już gdzieś blisko Bugu i niezbyt daleko od Sokala.

Nie było to zachęcające miejsce pobytu. Na drodze walało się mnóstwo porzuconych wojskowych papierów, przeważnie żołnierskich książek ewidencyjnych. Wewnątrz lasu panował smród okropny, bo leżało tam sporo zabitych koni. Na skraju tkwiło kilka krzyży z patyków na bezimiennych, świeżych mogiłach.

Żołnierze, którzy poszli do wsi, nie dostali tam nic do jedzenia, a tylko znaleźli w chatach sporo zastrzelonych cywilnych. Wszystko to razem nie tworzyło miłej atmosfery.

Gromadka moja trzymała się twardo. Na wozie mieliśmy jeszcze spory worek grochu. Paru rutynowanych specjalistów z cywila wyprawilo się pod kuchnię polową, by opylić tam słoniny. Migiem wrócili, niosąc ucięty kawał świńskiego brzucha. W ten sam sposób postarali się o wiadro, rozpalili ogień. Przez

cały następny dzień żywiliśmy się zimnym, na wół ugotowanym, tłustym grochem, którego każdy miał pełną menażkę.

Przespałem się kilka godzin — było ciepło, bo okrywałem się kocem spod mego siodła. Ledwo wstałem z legowiska, ktoś ukradł mi płaszcz, w którego kieszeniach zawarty był do tego prawie cały mój majątek: para skarpet i kawałek mydła. Klnąc i wściekając się szukałem sprawcy na wszystkie strony. Ostatecznie posłałem swoich, aby załatwili sprawę w sposób im właściwy. Maluczko, a przynieśli mi płaszcz porwany z wozu innej kompanii. Wyglądał trochę kuso, ale trudno było przebierać. W kieszeniach znalazłem łyżkę i parę jabłek.

Dowódca kompanii ppor. Kotlar gdzieś zniknął, na jego miejsce wyłonił się inny młody oficer ppor. Kozłowski. Miała nastąpić jakaś reorganizacja, tworzono plutony, porządkowano uzbrojenie. Pod wieczór kuchnia polowa wydała nam całkiem niezły obiad. Obok stała jakaś bardzo porządna artyleria. Mimo to wciąż gnębiło mnie nieznośne uczucie, że wszystko to jest na próżno, że niczego nie można spodziewać się po tych przygotowaniach. Coś zupełnie innego wisało w powietrzu.

Wieczorem zaczął padać deszcz. Leżeliśmy pod drzwiami w smrodzie padliny okrywając się, jak kto mógł i drzemiąc. Po paru godzinach ruszyliśmy w zupełnej ciemności. Wysunęliśmy się z lasu i poszliśmy z powrotem, tą samą drogą, która nas tu przyprowadziła, a teraz tylko tyle zmieniła się, że rozmokła od deszczu.

Od tej pory wciąż cofaliśmy się. Czyżby teraz, skoro zawróciliśmy — zaczynało się natarcie? Czy mieliśmy stanąć twarzą do nieprzyjaciela? Nikomu nie przychodziło to nawet do głowy. Niejasne pogłoski o bolszewikach idących ze wschodu zaczynały nabierać pozorów rzeczywistości. Zsuwaliśmy się po równi pochyłej.

Droga była okropna. W ciemności szliśmy poboczami, ślizgając się w glinie i padając w błoto. Doszliśmy do lasu, który już przebywaliśmy poprzednio i tu staliśmy zmarznięci i przemoczeni. Nad ranem cofnęliśmy się znowu do wsi, gdzie parę godzin przespałem w ciepłej chacie na wiązce słomy. Obudził nas alarm, ale nic się nie stało, tylko przeszliśmy w drugi koniec wsi, na skrzyżowanie dróg. Kto mógł, gotował sobie kartofle po chałupach. Wreszcie ruszyliśmy na zachód. Przebąkiwano, że tylko w tym kierunku została nam wolna droga. Po południu znaleźliśmy się z miasteczku Tyszowce. Dalej na zachód szła droga w kierunku Zamościa.

Epilog zbliżał się szybko. Zaraz za miasteczkiem skręciliśmy w rzadkie sosnowe lasy, gdzie miał powtórzyć się raz już widziany

dramat: likwidacja taboru. Tym razem nikt już nie wysiłał się, aby niszczyć to, co porzucaliśmy w lesie. Wywaliliśmy z wozów wszystko, nawet część skrzyniek z amunicją. W ciemności zajęła kolumna pontonowa — już bez pontonów. Mrowie żołnierzy załało puste, śmiesznie lekkie wozy o sześciokonnych zaprzęgach. Teraz dopiero „wojsko staboryzowane” miało posuwać się z niewidzianą dotąd szybkością.

Znów ruszyliśmy ku szosie, ale nie sądzono nam było ujechać daleko. Na czole kolumny rozległa się gwałtowna strzelanina, po chwili zabrzmiało parę karabinów maszynowych i ostre wybuchy granatów ręcznych. Zaczął się popłoch, przy wielu wozach zostali tylko jezdni koło koni, które najeżdżały na siebie zawracając w ciemności. Ostatecznie wszystko zatrzymało się i jako tako uspokoiło. Ogień zaczął oddalać się. Okazało się, że na przód kolumny rzuciła się duża i dobrze uzbrojona banda ukraińska, która zagarnęła kilka pierwszych wozów, ale została szybko odpędzona. Teraz zasiedli gdzieś dalej w zaroślach i strzelali ze swoich karabinów maszynowych, nie czyniąc nam zresztą żadnej szkody. Paru schowanych w kapuście żołnierze wyciągnęli i zastrzelili na miejscu.

Staliśmy tak przez całą noc, czekając światła dziennego i marznąc okropnie. Obok były jakieś zabudowania, które przetrząsały nasze patrole. Wpakowałem się do jednej z chat i jakiś czas przesiedziałem na zydelku w cieple. Skoro świt ruszyliśmy inną drogą, ostrzeliwując ostro kępy drzew na polach. Bez przeszkód dobiliśmy do szosy. Gładko poniosły nas kopyta sześciokonnych zaprzęgów po równi pochyłej do epilogu.

Koło południa 24 września staliśmy na drodze niedaleko już od Zamościa. Deszcz pada, zimno, głodno. Dowódca kompanii zagadnął mnie, czy nie wiem, gdzie jest mój pluton — paru ludzi znalazłem, reszta gdzieś się rozpełzła. Nikt nie wie, po co tu stoimy, na co czekamy. Podobno Niemcy są przed nami o parę kilometrów. Oficerowie chodzą bezradnie po błocie, auto dowódcy całosci kpt. Mańkowskiego gdzieś znikło. Ktoś twierdzi, że już widział bolszewików. Inny, nieznany dotychczas kapitan ma coś z nami przedsięwziąć, ale jakoś nic się nie klei. Na wozie leży ppor. Krywko adiutant dowódcy Batalionu z dawnej „Pilicy”, z którym naradzam się, co robić. Wreszcie kolumna zjeżdża w bok szosy. Obok widać duży majątek Łabunie. Wpadam do zabudowań, gdzie baby wiejskie rozdrapują skład mundurowy i zabieram stamtąd pierwsze z brzegu kałosy.

Czuć, że coś się stanie. Zostaje zarządzona zbiórka całosci — wszyscy wyskakujemy z wozów. Śmiesznie małe kompanie stają w półkole między drzewami — razem jakieś 200 ludzi. Ofice-

rowie są w komplecie. Wszyscy wiemy, że to, co nabrzmiewało już od Chełma, ma teraz pęknąć, jak wrzód.

Kpt. Mańkowski wychodzi ze swego samochodu. Jego zmęczona twarz jest nieco obluźwana, znikło z niej coś, co jak pas ścigało rysy w wyraz energii i gotowości. To nie jest już dowódca przed frontem swego batalionu, to stoi prywatny człowiek, który przyszedł zakomunikować nam jakąś złą wiadomość. Kilka jego prostych zdań rozładowuje nasze napięcie: zwalnia nas z dalszej służby, żegna się z nami, możemy rozejść się, dokąd chcemy. Broń trzeba zniszczyć. On sam i oficerowie udają się na zachód. Prowiant i pieniądze będą nam rozdzielone. Ot i wszystko.

Stoimy w milczeniu. Spływa na mnie ulga, jaką uczuwają ci, którzy patrzą na koniec długiego konania.

Oficerowie szybko obliczają stan ludzi, sumują, dzielą. Dowódca kompanii zjawia się przed nami, trzymając paczki banknotów, jak naręcz drzewa. Otrzymujemy po 200 zł. na głowę. Wciskam do kieszeni 20 sztuk nowiułkich 10-złotówek. Wojskowi zawodowi otrzymują po 1.000 zł.

Teraz szybko do wozów. Już otacza je tłum. Do wyciągniętych rąk lecą paczki z żołnierską kawą, suchary, machorka. Krzyk, wrzaski, przekleństwa. Na drodze leży pełno masek gazowych — wyrzucam swoją i wbijam ją butami w błoto, na jej miejsce napycham do torby, co się da złapać. Wokoło ludzie z gorączkowym pośpiechem wdeptują w glinę zamki karabinów, łamią kolby o drzewa, wywalają w krzaki miny przeciwczołgowe. Część wozów odjeżdża, nie widać już oficerów, droga szybko pustoszeje. Cała kawalkada wali na Zamość, do Niemców.

Co robić? Karabin trzymam mocno i nie myślę jeszcze z nim się rozstawać. Ale co dalej? Dokąd? Na północ do Warszawy, czy na południe, gdzie walczy podobno armia gen. Sosnkowskiego? Trzeba się zdecydować od razu. Ostatnie zaprzęgi mijają mnie kłusem.

Nadjeżdża parokonnny wóz narzędziowy na ogumionych kołach, z brezentową budą — szybko ładuję się w biegu do środka. Dopóki jeszcze można, trzeba pchać się na zachód. Mam świeżo w pamięci Tyszowce, wiem czym pachną Ukraińcy. Trzeba wynosić się od nich jak najprędzej. Z Niemcami jeszcze sobie poradzę — jeżeli czoło kolumny wpadnie na nich, to będąc z tyłu zawsze zdążę wycofać się. Trzeba tylko uważać.

Pod budą siedzi kilku ludzi, są już bez broni. Zdejmują właśnie buty i chowają w onuce swoje świeżo spadłe z nieba pieniądze. Po dobrej szosie wozy jadą szybko, wszystkich opano-

wała jakaś niewytłumaczona gorączka pośpiechu. Kilometry mijają, a zapowiadanych Niemców wciąż nie widać. Wysuwam głowę i na koniec spostrzegam z daleka na drodze niemieckie mundury. Po chwili zapiera mi oddech ze zdziwienia: to polska eskorta prowadzi w stronę Zamościa gromadę jeńców. Ręce mi opadają na ten widok. Patrzę z osłupieniem na piechurów idących spokojnie, bez pośpiechu, w pełnym uzbrojeniu, z bagnietami na karabinach. Prowadzą tych Niemców, którym my, co siły w koniach, jedziemy poddawać się! Dalej i dalej brniemy w absurd.

Wjeżdżamy do miasta — jest puste. Rzeczywiście Niemcy tu byli, ale wycofali się przed paru godzinami. Wozy zatrzymują się na ulicy. Jak pawie pióro u czapki, obnoszę na ramieniu mój karabin. Obok przystaje auto kpt. Mańkowskiego — dowódca nasz ma minę niewyraźną. Obok siedzi kpt. Wejtko, któremu opadające wąsy nadają wyraz pesymizmu.

Droga wolna, jedziemy dalej. Kolumna wozów rozsypuje się beładnie po mieście. Wykręcam na północ, na Krasnystaw, Lublin. Czemu w tym kierunku? Sam dobrze nie wiem. Dlatego, że jakoby Lublin jest w polskich rękach, że podobno walki toczą się pod Warszawą. Może dlatego, że to w stronę Wilna, bliżej do domu.



Zgrupowane w rejonie lasów Zamojskich polskie siły, podporządkowane gen. Dąb-Biernackiemu, w dalszym ciągu przebijają się ku Małopolsce Wschodniej.

W dniu 23 września ruszyło improwizowane polskie natarcie, po kilku osiach równoległych, w kierunku południowym. 1-sza dywizja piechoty nacierała w kierunku Tarnawatki.

Słabo uzgodnione i niejednocie dowodzone (brak map) działania nie miały sukcesu. Zdezorganizowane i zredukowane oddziały, pozbawione artylerii, a często i ciężkiej broni maszynowej — były mało zdadne do działań ofensywnych. Dawał się we znaki brak wyżywienia, zaopatrzenia, a nawet amunicji. Pewna część kawalerii zdołała raczej wyminąć przeszkody, niż przebić się. Oddziały piechoty zostały całkowicie rozbite. Ten los spotkał również 1-szą dywizję piechoty Legionów. Jej dowódca gen. Kowalski został kontuzjowany i trafił do niewoli wraz ze swym sztabem 23 września pod wsią Antoniówka.

Kompania saperów „Konstanty” brała udział w natarciu w stanie liczbowym zredukowanym niespełna do połowy, lecz ze wszystkimi oficerami. Ppor. Stanecki został ranny.

TURYSTYCZNA PODSZEWKA WOJNY

Duży wóz narzędziowy, pokryty brezentową budą, okazał się oczywiście mniejszy od Arki Noego, miał jednak nad swoją wielką poprzedniczką tę przewagę, że był szybszy. Zaprzężony w parę tęgich koni (jeden gniady, drugi siwy), z dwójką umundurowanych woźniców na przednim siedzeniu, gnał ostro na północ, w stronę Krasnegostawu. Płynęliśmy wartko po wzburzonych wodach historii, zalewających Polskę w tym momencie.

Wewnątrz, w półmroku leżało na wiązках słomy kilku ludzi najzupełniej przypadkowych, gruntownie nie mających ze sobą nic wspólnego. Zupełnie nie pamiętam twarzy moich współpodróżników, zdaje się młodych chłopców. Obaj woźnice, siedzący na koźle, byli to dojrzałego wieku rezerwiści. Z ich ostrego poganiania niedobranej maścią, ale dobrze ciągnącej pary koni, widać było, że jadą do niedalekiego już gdzieś domu.

Wbrew wszelkiemu spodziewaniu jechaliśmy bez przeszkód po tej klinkierowej lubelskiej szosie. Niemców-zwycięzców ani śladu, zwyciężonych też nie widać poza nami. Przed nami puste pasmo drogi. Nad nami wojna, która przetacza się przez kraj, ale w tej chwili zupełnie nie dochodzi pod naszą brezentową budę.

Z początku przejawialiśmy pewną czujność, ale po paru godzinach ukołysał nas jednostajny rytm jazdy: apatia, sennaść, zniechęcenie, wielkie zmęczenie. Jasne było przecie, że daleko tak nie ujedziemy, ale niespodziana łatwizna pierwszych godzin otwierała przed nami jakiś obszar złudy, który przelatywaliśmy, jak na dywanie kalifa Omara. Niech tam woźnica na przedzie ma oko na drogę. My, wewnątrz, trwaliśmy w otepieniu, tak że prawie nie mówiliśmy ze sobą.

Pod słomą drzemał również mój karabin — jedyne nasze uzbrojenie. Czy rzeczywiście była to broń gotowa do strzału? Ten dumny oręż od paru godzin był już żenującym anachronizmem, na który z pewną irytacją i niepokojem spoglądał nasz rozsądny woźnica.

Przepadła gdzieś moja zwykła turystyczna ciekawość nowych stron i nowych dróg. Po wielu godzinach, już pod wieczór, spostrzegłem, że jedziemy przez jakieś miasto. Okazało się, że to Krasnystaw. Nic więcej nie zanotowałem spod nasuniętej brezentowej budy.

Zapadał zmrok. Nie był to sezon odpowiedni do nocnego podróżowania, a konie, idące jednym ciągiem przez cały dzień,

też potrzebowały wytchnienia. Zatrzymaliśmy się w jakichś przydrożnych chałupach, pełnych takich, jak my podróżnych. W izbach zawalonych śpiącymi pokotem żołnierzami, miejsca było mało. Opuściłem moje wozowe towarzystwo i ległem na podłodze w jakimś domku nieco na uboczu. Co właściwie łączyło mnie z arką rozbitków na ogumionych kołach? Tylko kierunek jazdy. Na całym obszarze Polski, aż do dalekiego Wilna, nie miałem przecie żadnego powiązania z nikim, ani z niczym. Jest niewątpliwie coś dramatycznego w człowieku zupełnie samotnym, chodzącym całkowicie luzem, ale taka niezwykła sytuacja życiowa jest zarazem pociągająca.

Pewna solidarność pasażerów wozu narzędziowego wytworzyła się jednak. Zapobiegliwy woźnica-gospodarz — patrzyło mu to z oczu — nad ranem wyszukał mnie w śpiącym tłumie i obudził. Pozbierał też innych, co do jednego. Ruszaliśmy dalej.

Wszystko było płynne, nie miałem żadnej decyzji. W ciągu nocy uwiadł mój impuls, by iść pod Warszawę, która podobno walczy. Z tego, co widziałem obok siebie, co mówiłem z ludźmi podczas noclegu — nie wyglądało, by Warszawa ta była choć trochę realna. Po prostu trzeba było pchać się na północ. Każdy kilometr przejechany w tym kierunku ma swoją cenę.

Ruszaliśmy. Paru nowych ludzi przybyło pod budą. Znow ogarnął nas zwodniczy rytm ławizny posuwania się naprzód. Przeszkody zdawały się rozstępować przed gumowym wozem narzędziowym. Minęło parę godzin jednostajnego kłusa, nim uderzyliśmy o przeszkodę.

Wóz zatrzymał się. Niemcy. Na drodze stoi „szpera”. Kilku żołnierzy w hełmach i szaro-zielonych mundurach, które dotąd oglądaliśmy tylko na jeńcach. Teraz role miały się odwrócić. Wynurzyliśmy się spod brezentu na szosę. Linia stanowisk ognio- wych rozciąga się polami po obu stronach drogi, widać przycza- jone karabiny maszynowe. Jeden z żołnierzy zajrzał pod budę i ruchem nieco przyśpieszonym sięgnął po mój karabin, wystający spod słomy. Nie widać było w ich ruchach i postawach wielkiej gotowości bojowej, ale stojące opodal działko przeciwczołgowe miało swoją wymowę. Dalej w głębi stały już zrewidowane polskie wozy i ciężarówki.

Następną godzinę tego zimnego i wietrznego dnia jesiennego spędziłem w rowie przydrożnym, gdzie siedziało już więcej podobnych do mnie postaci. Przyglądałem się z bliska niemieckiemu umundurowaniu i oporządzeniu. Na hełmach mieli przytwierdzone elastyczne taśmy do zatknięcia za nie gałęzi lub trawy, przy maskowaniu. Płachty maskownicze w dość jaskrawych bar-

wach, nie wydały mi się praktyczne na tle polskiego kolorytu. Zajeżdżali gońcy na motocyklach, w wełnianych kominiarkach pod hełmami i takichże rękawiczkach. My nie marzyliśmy nawet o podobnych, wychodząc na wojnę.

W gromadzie jeńców siedział obok mnie kapral w berecie, mówiący płynnie po niemiecku — zapewne Ślązak. Z jego rozmowy z Niemcami, którym podawał swój przydział, wyłowiłem słowa „*motorisierte Artillerie*”. Spojrzałem nań z uznaniem dla tej nie widzianej przeze mnie broni.

W międzyczasie na linię niemieckiej „szpery” zajeżdżały polskie ciężarówki, przybywające jak my, z południa. Jedna z nich niezdecydowanie nawróciła i ruszyła z powrotem. Natychmiast padł strzał z działka. Maszyna zatrzymała się a kierowca, wysiadłszy z niej, tłumaczył z flegmą (także mówił po niemiecku), że zaszło tu nieporozumienie. Pocisk przebił nadwozie od tyłu i utkwił w bloku silnika pod siedzeniem kierowcy.

Tymczasem Niemcy wyprzęgli z naszej arki Noego siwego konia, a na jego miejsce przyprowadzili gniadego. Siwy poszedł na zamianę do innej pary, gdzie nie kłócił się maścią. Ta manipulacja, wykonana od razu i na samej linii bojowej (która w tej chwili nie miała już swoją drogą charakteru zbyt wojowniczego) obzarowała mi niemiecką systematyczność.

Czyniąc moje obserwacje, zmarłem w końcu i spytałem starszego już podoficera, o dość dobrodusznym wyglądzie, jak długo będziemy tu jeszcze czekać. — *Zwanzig Minuten* — odpowiedział nieco niezdecydowanie.

Rzeczywiście nie minęło pół godziny, jak zjawił się konwój i ruszyliśmy szosą. Znajdowaliśmy się w miejscowości Piaski Luterskie o 20 z górą kilometrów od Lublina, dokąd nas właśnie prowadzono. Nasza grupa wynosiła około 100 ludzi. Z tyłu jechało kilka wozów z chorymi. Nieliczny konwój nie przejawiał zbytniej służbistości. Szliśmy zwolna szosą.

Rozglądałem się oczywiście za możliwością ucieczki. Po namyśle zdecydowałem jednak rzucić się tylko na jakąś murowaną sposobność. Bądź co bądź posuwaliśmy się w kierunku północnym, dla mnie pożądanym. Liczyłem, że okazji znajdą się też potem. Po paru godzinach marszu część moich kompanów spod budy brezentowej już gdzieś się zawieruszyła.

Dopiero koło wieczora weszliśmy do Lublina. Pierwszy raz w życiu byłem w tym mieście, toteż nie orientowałem się w nim wcale. Kolumnę naszą skierowano do obszernych budynków fabryki lotniczej, zamienionych na obóz jeńców. Znalazłem się w tłumie kilku tysięcy ludzi, zalegających hale, warsztaty i w ogóle wszystko, co miało jakiś dach nad sobą. Byłem zmęczony

po całodziennym marszu, toteż pilno mi było znaleźć jakiś kąt do spania. Coś nie coś z jedzenia miałem jeszcze ze sobą.

Stwierdziłem z uznaniem, że jeńcy są tu żywieni. Tego nie spodziewałem się wcale. W zabudowaniach fabrycznych znajdowała się kuchnia i ta, o dziwo, była czynna. Nie było to oczywiście zaśluga niemiecką — to jakieś polskie organizacje społeczne samorzutnie ruszyły do akcji i działały, trzeba przyznać, z rozmachem. Kuchnia wydawała dość skromne porcje kaszy, ale robiła to bez ograniczenia. Po otrzymaniu jednej, niezbyt obfitej normy na dzień menażki — szło się do kolejki po następną. Byli oczywiście entuzjaści, którzy powtarzali tę manipulację kilkakrotnie, na ogół jednak nie widać było jaskrawego nadużywania dobra społecznego. Jakiś żołnierz podzielił na porcje i porozdawał wielkie półcie słoniny, które miał w swoim worku — to już wywołało znaczne zbiegowisko.

Nocleg był marny. Na betonowej posadzce hali fabrycznej zmarłem pomimo płaszcza i wcisnąłem się do jakiegoś budynku gospodarczego, o podłodze drewnianej. Jakieś kontrole niemieckie budziły nas w nocy.

Rano zacząłem rozglądać się za tą możliwością, którą poprzedniego dnia zlekceważyłem. Lubelska fabryka wyraźnie mi nie odpowiadała.

Rzecz w tym, że w całkiem nieznanym mi Lublinie mogłem może znaleźć pewne powiązanie, nadające się do uruchomienia. Od samego rana rozpocząłem tedy działania, które, stosując system kryptonimów wojskowych, można było nazwać „akcją Anizeta”.

Cóż to za osobistość ukrywała się pod tą maską? Była to po prostu moja wileńska kuzynka, Anna Trzebińska, nazywana tym zdrobniałym imieniem. W tym czasie nazywała się już panią Wróblewską i mieszkała z mężem w Warszawie. Mąż ten pochodził z Lublina i miał tu rodzinę. Było prawdopodobne, że Wróblewscy opuścili Warszawę i w takim razie oparli się zapewne o ten dom rodzinny. Trzeba poszukać ich samych, lub przynajmniej tego domu. W swoim czasie, gdy jeszcze rezydowali w Lublinie, pisywałem do nich od niechcienia listy treści raczej żartobliwej. Coś świtało mi w głowie, że mieszkali wtedy przy ul. Curie-Skłodowskiej. Więcej nic nie wiedziałem, ale już to powinno było wystarczyć.

Nie było wielkiej trudności w porozumiewaniu się przez strzeżony płot z chłopakami, którzy kręcili się po drugiej stronie. Jeden z nich, o bystrym wyglądzie, pobiegł na poszukiwania, z moją kartką. Gdy nie wrócił — pobiegł inny, potem jeszcze jeden. Świszki papieru coraz to leciały za płot. Dzień mijał,

było już po południu, „akcja Anizeta” przeciągała się niepokojąco.

Prawie już pod wieczór siedziałem w żelbetowej hali, w niezbyt rozbudzonym stanie ducha, kiedy posłyszałem moje nazwisko, wymówione głośno przy wejściu. Stała tam młoda kobieta, w okularach, ubrana w bury płaszcz. Nie miałem pojęcia, co zacz, ale jasne było, że to jakieś zastępcze wcielenie Anizety warszawskiej. Podszedłem skwapliwie do nowoprzybyłej, zachowującej się z naturalnym spokojem i pewnością siebie, w tym wielkim tłumie wojskowym, który otoczył ją natychmiast zwartym kołem.

Nie trzeba było wielu słów. Bury płaszcz (jak się okazało, męski) znalazł się na moich ramionach, wyjęta spod niego czapka — na głowie. Z kieszeni zdjętego płaszcza wojskowego wyjąłem całą moją schedę. Ktoś zziębły pochwycił go skwapliwie. Torba od maski, zastępująca chlebak, też znalazła bez trudu amatora. Wskazano nam usłużnie drogę do bramki, którą dowożono produkty do kuchni. Ujęłem pod rękę moją towarzyszkę. Ocierając się nieomal o okazałego wachmana, wyszliśmy na ulicę.

Po dobre niewoli lekko odzyskałem wolność, równie lekko utraconą.

Anizety ani jej męża nie było w Lublinie. Wybawczynią moją okazała się krewna Wróblewskich Halina Górowa. Widać było, że jest to osoba stworzona do obracania się w takich sytuacjach. Wyruszyła osobiście na poszukiwania potem, gdy mój pierwszy wysłannik — chłopak z bystrą twarzą okazał się dość sprytny, by odszukać mieszkanie Wróblewskich, lecz zbyt sprytny, by oddać mi cywilne ubranie, które mu tam doręczono. Wolał się z nim ulotnić. Wówczas do akcji wyruszyła Górowa i przeprowadziła ją przebojem. Wtedy, na początku wojny, taki typ kobiety dostosowanej do warunków okupacji nie był jeszcze wyrobiony w naszym społeczeństwie.

Dalsze moje dzieje w Lublinie wspominam, jak sen feeryczny. Trafiłem do domu, którego głową była teściowa Anizety a matka jej męża, pani Wanda Wróblewska. Była to osoba znana i powszechnie szanowana w Lublinie. Mieszkanie jej było gęsto zaludnione przez różnych krewnych — uchodźców z Warszawy — w ich liczbie również Górową i jej męża. Wobec takiego stanu, skierowano mnie do innego lokalu o piętro wyżej, opuszczonego przez stałych mieszkańców, ewakuowanych z Lublina na wschód. Po szeregu tygodni, spędzonych prawie bez chwili przerwy w tłumie ludzkim — zostałem nagle jedynym mieszkańcem komfortowego lokalu, w którym towarzyszyła mi niepokalana samotność. Nie łożenka, nie pościel, a ta właśnie samotność stanowiła

wysoki luksus mojej rezydencji. W owej chwili cenilem sobie ponad wszystko takie odosobnienie.

Tak upłynęło mi parę dni na tej wysepce, oblanej przez wzburzone odmęty. Podczas kiedy wszystko dookoła kłębiło się i mrowiło — ja spędzałem tu dni wilegiatury. Jeżeli pod Zamościem zostałem formalnie zwolniony ze służby i oddział mój rozwiązano, to tu, w tym zacisznym mieszkaniu lubelskim dokonało się moje rozbrojenie duchowe — przynajmniej na tym etapie wojny. Wiedziałem przecie, że w te dni wypoczynku, w te noce spędzane na wygodnym tapczanie, w rozkosznej pościeli — jakieś tysiące jeszcze w Polsce do czegoś dążą, jeszcze o coś walczą, jeszcze za coś umierają. Ale to „coś” było już zmętniałe. Podnosiło się przekonanie, zrodzone ze wszystkiego, na co patrzyłem od Prus Wschodnich po Wołyń, że w tej kampanii, w kampanii zwanej potem Wrześniową — nie mam już nic do roboty. Chyba tylko to, by zebrać życie i siły na kampanie następne.

Zostałem gruntownie przebrany w cywilne ubranie, a nawet w cywilną bieliznę, by nie zostawić na mnie ani stempelka wojskowej intendenty. Parę razy dziennie schodziłem o piętro niżej, gdzie nie tylko używałem sobie na jadle i napoju, ale mogłem zetknąć się z szerszym zrozumieniem tego, co się z Polską stało w ciągu Września. Warszawa padła, rząd schronił się w Rumunii, Wilno i cały wschód po Bug są zajęte przez wojska sowieckie, ani śladu ofensywy aliantów na Niemcy za zachodzie. Radio wprawdzie nie działało z braku prądu, ale moje opiekuńcze mieszkanie miało dobre informacje. Odbywała się w nim mobilizacja cywilnych ubrań na użytek obozu jeńców, który nie tylko ja jeden miałem opuścić.

Wracałem do siebie na górę, gdzie znów ogarniała mnie samotność i kłębiące się myśli. Wszystko, co w migawkowych urywkach i ułamkach trafiło pod czaszkę — domagało się jakiegoś uporządkowania. Ta pierwsza segregacja, to pierwsze wartościowanie odbywało się teraz, pomiędzy wanną a sofą, które — każda na swój sposób — pieściły moje ciało.

Siedlisko mojej samotności zaopatrzone było również w książki. Znalazłem tam komplet numerów *Wiadomości Literackich* — aż do ostatniego, wypuszczonego w pierwszych dniach wojny, z patetycznym wierszem Wierzyńskiego, drukowanym w pośpiechu, na oddzielnej, dodatkowej karcie.

Również inne, mniej uduchowione, ale wysoko ocenione przeze mnie substancje były na miejscu: Liczne puszkki z ovmaltyną, słoje z konfiturami, wielka butla naciągających wiśni. Wiersz Wierzyńskiego splatał mi się z i rozplatał w zamgleniu powstającym z wiśniówki. Pozostał z niego w pamięci tylko

ogólny ton czysto dźwięczącego patosu i samotny, urywkowy dwuwiersz:

„Koń prowadzi na przelaj, zna drogę na pamięć,
Noc płatami po oczach uderza, jak zamieć”.



Mimo zupełnie zmienionej sytuacji, postanowiłem iść do Warszawy, powodowany głównie ciekawością ujrzenia tego, co fama przedstawiała, jako miasto ruin. Zaopatrzyłem się w cywilny plecak, a w nim nieco machorki, jako produktu wymiennego. 29 września pożegnałem oba mieszkania: to opiekuńcze, karmicielskie i to podopieczne, dające zająrzeć sobie do duszy. Ruszyłem na dworzec — jakieś zaczątki komunikacji kolejowej już się wykluwały.

Kiedy zjawiłem się w gościnnym domu lubelskim, miałem jeszcze na sobie coś z dowódcy plutonu, mimo że pluton już nie istniał. Ten szczyłek pojęciowy i emocjonalny pozostał teraz na górze, wraz z opróżnioną butlą wiśniową i z uszczerbkiem przyczynionym puszkom ovomaltyny. Wychodził obecnie na dworzec włóczęga, turysta, ale już nie żołnierz. A przynajmniej nie ten dramatyczny żołnierz wracający z wojny, z wiersza: *Nach Frankreich zogen zwei Grenadieren*. Po prostu ruszał na wędrowkę tramp — ciekawy obejrzenia nowego świata, skłonny do handelku i wymiany, bacznie zważający na to, gdzie i co można by przekąsić.

Improwizowany pociąg lubelski dowiózł mię aż do Puław. Na linii widać było ślady licznych bombardowań, ale ruch już się odbywał. Zwłaszcza przewody telegraficzne i telefoniczne wzdłuż toru stanowiły skłębiony zwał — szczególnie na stacjach. Na jednej z nich pokazywano mi szmaty wiszące wysoko na drzewach przy torze — ślady bezpośredniego trafienia bomby w wagon zapełniony ludźmi.

W Puławach udałem się pod wskazany mi w Lublinie adres. Przyjęła mię Zofia Czarnocka, pani w sile wieku i aktywności, poważna, małowówna, niemal surowa. Zanim wyłuszczyłem jej, kim jestem i zdołałem doręczyć kartkę polecającą z Lublina — wyciągnęła do mnie rękę, trzymającą talerz z zupą. W małym mieszkaniu znajdowało się kilku mężczyzn z branży podróżniczej, w cywilnych ubraniach, zatrącających mundurem. Nie każdy miał możliwość tak dokładnej, jak ja, zmiany toalety. Noc przespaliśmy pokotem na słomie naniesionej do pokoju. Kociółek z zupą rozpoczął aktywność od rana.

Następną noc spędziłem u innej Czarnockiej — tym razem Marty, mojej dobrej znajomej z Wilna. Nie miała nic wspólnego, poza nazwiskiem, z moją puławską opiekunką. Zresztą nawet nazwisko było już w tej chwili zmienione przez małżeństwo. Marta z Czarnockich Wilkońska pracowała w majątku Borowina, niedaleko od Dębłina stanowiącym fundację naukową. Nie wiedziała wówczas ani o losach wojennych swego męża, ani o śmierci brata, oficera kawalerii, poległego pod Łodzią. W ustronnej Borowinie też nie brakło przelotnych wojennych ptaków.

Cały czas po wyruszeniu z Lublina, aż do tej pory słychać było ze wschodu i z północy dalekie granie artylerii. Zachodziłem w głowę co by to być mogło i przyszedłem w końcu do wniosku, że to jakieś nieporozumienie niemiecko-sowieckie. To elektryzujące przekonanie zachowałem aż do Warszawy, gdzie dopiero wyjaśniło się, że były to odgłosy walk przebijającej się na zachód grupy wojsk gen. Kleberga — ostatnie strzały kampanii wrześniowej.

Dotarłem do stacji kolejowej w Dęblinie lecz nie wynikało stąd wcale bym miał wsiąść do pociągu — o tym nie marzył tu nikt jeszcze. Drogę do Warszawy zamierzałem odbyć *per pedes*. Ale właśnie dlatego ruszyłem torem kolejowym, a nie szosą. Szosy w tym czasie stanowiły arterię ruchu wojskowego, pełno na nich było samochodów, które dawały pewną szansę dostania się na nie, ale stanowiły ryzyko różnych niepożądanych spotkań. Natomiast linie kolejowe były w guście tych statecznych, którzy, rezygnując z szybkości woleli trzymać się skromnych, ale odludnych ścieżek, wydeptanych wzdłuż torów. Taka podróż „kolejowa” odbywała się w czysto polskim otoczeniu. Można było zapomnieć o Niemcach na tej martwej linii kolejowej. Samochód na torze jest równie nieprawdopodobny, jak koń w Wenecji.

Wyskoczywszy na ten tor w Dęblinie, maszerowałem wzdłuż szyn rażno. Byłem samotny, ale luźno związany z różnymi grupkami rodaków ciągnących po szlaku. Wypoczęte nogi, wygodne buty (te cywilne, jeszcze z Wilna), sprzyjająca pogoda październikowa. Plecak zaczął opróżniać się z machorki, ale za to wchłoniął pewne ilości świeżego boczku. O taki produkt nie było trudno, bo co przeczorniejsi już bili zbędne świnię. Przeszedłem do wniosku, że w takich warunkach obcowania z rodakami na szlaku, roztropniej może będzie nie nosić zegarka po prostu na rękę, a znaleźć dla niego jakieś mniej eksponowane miejsce. Przymocowałem go pod klapą marynarki, gdzie nie rzucał się w oczy, a można było nań czasem zerknąć.

Rodacy przeważnie ciągnęli do stolicy, ale prąd przeciwny też był widoczny: krótkie uwagi co do trasy, wymieniane w prze-

locie, wiadomości o Warszawie i jej zniszczeniach — przeważnie sprzeczne i bałamutne, informacje handlowe z zakresu popyt — podaż. Gdzieś koło Garwolina mijał się ze mną podróżnik, idący sporym krokiem, który spytał mnie, jak daleko do Warszawy. Odpowiedziałem, że wie to chyba lepiej, niż ja skoro stamtąd idzie. Oburzył się, twierdząc, że idzie właśnie do Warszawy. Po krótkiej wymianie zdań, mimo moich zapewnień i śmiechu moich współtowarzyszy, ruszył jednak dalej w kierunku Dęblina, oddalając się od Warszawy, w upartym przekonaniu, że się do niej zbliża. Nie wiem, jak daleko uszedł. Kto wie, czy nie symbolizował w tej chwili narodu polskiego w jego kluczeniach po drogach historii.

Tracąc sporo czasu na postoje i handelki, posuwałem się jednak naprzód. Do Warszawy było jeszcze wciąż daleko, kiedy, zbliżając się do stacji Pilawa, zobaczyłem z daleka przed sobą parowóz. Wyglądał z odległości paru kilometrów prostego toru, jak punkcik z wątlą kitką dymu. Widok pobudzający! A nuż da się dopaść go i ruszyć w kierunku Warszawy inaczej? Wśród rodaków na szlaku wszczęło się poruszenie — wszyscy dwoiili i troili krok.

Gdy punkt wyrósł do odpowiednich rozmiarów, okazało się, że na stacji stoi cały pociąg. Parowóz zabiera właśnie w stronę Warszawy kilka załadowanych węglarek, które tu się uchowaly. Sporo ludzi siedziało już na górze, inni przybywali zdyszani, znęcani widokiem lokomotywy pod parą i wdrapywali się co żywo. Po paru godzinach, gdy pociąg ruszył, warstwa węgla znikła pod okrywającą ją warstwą pasażerów.

Nic nie zamąciłoby podróży, gdyby nie to, że pociąg znalazł się wkrótce na dłuższym odcinku spadku i zaczął zwiększać szybkość. Było to zapewne wynikiem jakiegoś defektu hamulców parowozu. W pierwszej chwili kawalerska jazda zdawała się nawet zajmująca, potem, w rosnącym pędzie, nikt już nie wątpił że zachodzi tu coś niezwykłego. Zaniepokojenie urosło do paniki, która jednak nie mogła przybrać swojej żywiołowej siły w ograniczonej przestrzeni pudła wagonu. Podsycali ją głównie kolejarze, których było kilku między nami. Ci na wszelki sposób przejawiali swój niepokój rzucając się do hamulców ręcznych, których akurat nie było przy wagonach tego typu. Wśród rytmicznego chybotania wagonów na poprzek, powierzchnia węgla pod nogami „wrzała”, jak ukrop. Prąd powietrza gwizdał w uszach.

Wtedy to, podczas tych liczonych minut, czułem że boję się naprawdę. Myśl o tłumie ludzi, który (wraz ze mną) może znaleźć się w każdej chwili pod tymi zwałami rozpedzonego, rozdygotanego węgla — ta myśl była straszniejsza, niż wybuchy pocisków,

czy widok kul karabinu maszynowego, siekących piasek. Ta jazda — było to moje największe przerażenie kampanii wrześniowej.

Wszystko jednak ma swój kres, a w szczególności pochyłość linii kolejowych. Ta, na równinie Mazowieckiej, może być tylko bardzo ograniczona. Po paru kilometrach jechaliśmy już normalnie.

Węglarki utknęły w Otwocku, ale jakiś inny pociąg lokalny ruszał właśnie w kierunku Warszawy. Kilka towarówek ze stłoczonymi wewnątrz ludźmi stało przy peronie. Drugi tłum zaczął formować się na dachach. Wdrapałem się tam bez zwłoki.

Jakiś ważny kolejarz, w eleganckim, granatowym mundurze, „zaprowadzał porządek” ze swego posterunku na peronie. Jego gwałtowne usiłowania, by zdjąć z pociągu górną kondygnację pasażerów budziły pobłażliwe uśmiechy. Słowo „niedopuszczalne” brzmiało tak wesoło w tych czasach szerokich dopuszczalności. Pociąg ruszył i wyrzucił nas aż w Wawrze. Dalej tory były już nie do jazdy.

I tak stanąłem w Warszawie. W pierwszej chwili nie spostrzegłem nic uderzającego. Tłum, który wyległ z obu kondygnacji z pociągu, gdzieś się rozproszył, tak że prawie sam szedłem ulicą, obramowaną podmiejskimi domkami i willami. Na ramieniu niosłem mój plecak, którego zawartość miała mi zapewnić odpowiednią pozycję w wygłodniałej stolicy. Ani śladu Niemców, których nie widziałem już od Dębłina, ani śladu ruin. Gościówek. Zapadał zmrok, a z nim następowała godzina policyjna, która już obowiązywała, jak mnie uprzedzono. Przenocowałem w byle domku, na byle wyrku.

Obraz Warszawy z tamtych dni jest tak przyćmiony obrazami z lat następnych, że nie ma po co do niego szczegółowo wracać. Pierwsza ocena Warszawy na progu wojny i obraz jej całkowitych zniszczeń wojennych — są zbyt niewspółmierne.

Sporą część trasy Lublin-Warszawa przebyłem pieszo. Teraz, w ciągu paru dni pobytu w stolicy, nogi moje były wciąż w akcji nie mniej intensywnej. Oprócz słoniny w plecaku, wiozłem do miasta kieszenie wypchane listami. Już z Lublina zabrałem ich sporo, a po drodze jeszcze tego przybyło. Były to „pierwsze listy po wojnie”, których dostarczenia nie można było zaniechać bez krzywoprzysięstwa. By tego dopełnić, trzeba było ruszać nogami, bo żadnej innej komunikacji nie było, jak Warszawa długa i szeroka. Czynność ta miała jednak swój urok w mieście wygłodzonym. Dostarczenie listu kończyło się zazwyczaj talerzem zupy — nie przychodziła ona lekko ofiarodawcom. Dzięki słoninie zaopatrzyłem się w nową machorkę na dalszą drogę. Raz zapró-

bowiałem burej zupki z niemieckiej kuchni polowej, które dokarmiły ludność. Z moich znajomych nikogo prawie znaleźć nie mogłem. Najbardziej przygnębiające wrażenie zrobiły na mnie ruiny Zamku.

Miałem tylko jedno bliższe zetknięcie się ze zwycięzcami. Do mieszkania, w którym nocowałem, przyszedł żołnierz niemiecki. Był to mały, szary człowieczek — krawiec z Monachium. Mało mogłem z niego wysondować. W rozmowie wspomniał, że dowódca jego kompanii został przeniesiony z powodu dużych strat — 23 zabitych — które oddział ten poniósł podczas walk. — *Er hat falsch geführt* — powiedział do mnie poufnym tonem.

Gotowałem się do dalszej drogi, nadstawiając ucha na wschód. Podróż taka zdawała się egzotyczna, w każdym razie nie miałem żadnych znanych mi prekursorów. Pod niektórymi urzędowymi gmachami widziałem olbrzymie kolejki — ludzie starali się o jakieś przepustki. Po co to wszystko? Po staremu, torem kolejowym na piechotę!

Listów zebrał się znów cały plik, w lekkim plecaku tylko machorka. Kiedy ujrzę znów Warszawę, z której wyruszam „za granicę”?

Do Radzimina dojechałem z Pragi kolejką wąskotorową. Opodał, przez Wołomin, Tłuszcz przebiega na północo-wschód, na Białystok, ta sama magistralna linia kolejowa, którą jechaliśmy na wojnę. Mimo że martwa teraz (a raczej właśnie dzięki temu) — zaprasza na swoje wydeptane ścieżki.

Lecz co to? Czemu nie korzystam z zaproszenia, a zbaczam bardziej na północ, szosą na Ostrów Mazowiecki? Dokąd to? Spójrzmy na mapę.

Mapa wskazuje, że szosa prowadzi przez Wyszków. Odezwał się we mnie przytajony saper. Chcę spojrzeć na coś bardzo znajomego, co tam zostało. Czy może raczej, co zostałyby w całości, gdyby nie my, saperzy. Chcę przyjrzeć się okiem nie turystycznym lecz saperskim, mostowi na Bugu.

Kiedy wchodziłem na znajomy przyczółek (ten lewobrzeżny, oddzielony od miasta całą szerokością doliny rzeki) świat był brzydki. W nocy akurat spadł wcale obfity śnieg (na początku października) i właśnie topniał. Błoto na drodze docierało po trosze do wnętrza moich butów. Nie dawno minęło mię (i obryzgało) kilka wojskowych ciężarówek niemieckich, załadowanych — czym załadowanych? — Końmi. — Jak to końmi? — Tak, po prostu końmi. Po 3 sztuki na platformie samochodowej o wysokich burtach. Skoro istnieje *Herrenvolk*, to są też *Herrenpferde*, które jeżdżą samochodami, gdy ja idę pieszo.

To był ten sam przyczółek, na którym równo przed miesią-

cem działko przeciwpancerne wytykało lufę w linię mostu, już opustoszałego z tłumów, które się przezeń przewaliły w noc z 7 na 8 września. Zapakietowane filary i przęśła czekały tylko na obrót klucza zapalarki. Wysoki kapitan z lornetką myślał, że przynoszę rozkaz zapalania. Meldowałem mu się, przekrzykując huk dział za rzeką.

Teraz było tu cicho. Cały długi most był wypalony od przyczółka do przyczółka. Na dole, parami, leżały żelazne dźwigary główne. Z boku, nieco poniżej nowy most tymczasowy — nisko, tuż nad wodą. Jeszcze dalej przełamany w pół most kolejowy. Naprzeciw — sterczące kominy wypalonego Wyszkowa.



„Wiadomo już... że rozwój stosunków międzynarodowych do marca 1939 dał Niemcom przed wojną dwustronne oskrzydlenie Polski.

W ten sposób to, co na wojnach trzeba zwykle dopiero wywalczać kosztem krwi i trudu żołnierskiego, a prócz tego za cenę wielkiego wysiłku myślowego dowódców i sztabów — to było Niemcom dane już przed rozpoczęciem działań wojennych.

W kampanii wrześniowej zatem mamy do czynienia z całkiem niezwykłym i wręcz wyjątkowym wypadkiem przewagi położenia wyjściowego nad przeciwnikiem”.

PSZ w DWŚ, tom I, cz. 1, str. 471.

„W tym samym okresie czasu, kiedy Polska wydała na cele wojskowe około 6,7 miliarda złotych (tj. od roku 1933/34 do chwili wybuchu wojny), Niemcy według oświadczeń Hitlera wydały na cele wojskowe 90 miliardów marek, to znaczy blisko 200 miliardów złotych, a więc prawie 30 razy tyle, co Polska.

PSZ w DWŚ, tom I, cz. 1, str. 207, 7.

„ ... kiedy Polska połączyła haczyk z angielsko-francuską przyręta sojuszu, a Anglia i Francja już zroszczyły, że odpadła możliwość porozumienia polsko-niemieckiego, to ani rząd polski, ani polskie dowództwo wojskowe nie mogło uzyskać żadnych, nawet najmniejszych realnych zobowiązań, i to ani od Francji, ani od Anglii.

Gra bowiem polityczna mocarstw zachodnich została uwieńczona powodzeniem i zakończona. W jej wyniku Polska zaopartywała się w papierowe sojusze, a w praktyce została w niezmiennym osamotnieniu. W tej sytuacji wyruszyła na wojnę i została rozgromiona w warunkach niczym nie zamąconej obojętności i bezczynności mocarstw zachodnich”.

Kirchmayer, *Uwagi i polemiki*, str. 25.

„Przy ostatecznym zestawieniu różnych czynników obustronnej sytuacji... uderza ogromny — prawie bezprzykładowy — kontrast między rzeczywistym stosunkiem sił a nastrojami panującymi w wojsku polskim.

Nie jest na razie rzeczą możliwą wszechstronne zanalizowanie genezy zaznaczonego powyżej kontrastu. Wydaje się jednak rzeczą pewną, że czynniki takie, jak duma narodowa, zwycięski wynik wojny w roku 1920, głębokie przekonanie o słuszności sprawy, a oprócz tego panujące w wojsku poczucie wysokiego poziomu wyszkolenia fachowego, duże zaufanie do przełożonych, nieświadomość słabości własnego lotnictwa i w końcu wiara w pomoc i potęgę sprzymierzonych — odegrały w tej sprawie bardzo wielką rolę.

Rzeczywistość jednak była taka, że kiedy w dniu 1 września 1939 roku nieprzyjaciel wkraczał na ziemię Polską — wtedy tylko pod jednym względem nie było różnicy pomiędzy stronami niemiecką a polską, to jest — pod względem zapału do walki i wiary w zwycięstwo. Pod wszelkimi innymi względami Niemcy mieli druzgoczącą przewagę — przewagę totalną.

PSZ w DWŚ, tom I, cz. 1, str. 477.

Bronisław KRZYŻANOWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 304 — BRONISŁAW KRZYŻANOWSKI

**MATECZNIK WILEŃSKI
(1939 - 1944)**

(Z Dziejów „Wachlarza” i Armii Krajowej)

Str. 264.

Cena F. 65 00.

RECENZJE

Tadeusz ŻENCZYKOWSKI

NA MARGINESIE KSIĄŻKI O „WIN-ie”*

Okres historii Polski Podziemnej po Powstaniu Warszawskim jest niezwykle ciekawy, dramatyczny, a jednocześnie gruntowniej nieznany i dokładnie nie przedstawiony. Stosunkowo uboga jest jego dokumentacja na Zachodzie, a w kraju bądź uległa zniszczeniu, bądź ukrywana jest przed opinią publiczną w archiwach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, bądź też nieznane jej fragmenty są starannie przechowywane przez uczestników wydarzeń, którzy z wielu powodów nie chcą ich ujawnić.

Dlatego też pojawienie się każdej publikacji, dotyczącej tego okresu, wywołuje żywe zainteresowanie i nadzieję, że prawda historyczna tych lat zostaje utrwalona. Wydana w roku ubiegłym książka ks. Stanisława Kluza jest wyrazem ambitnego zamiaru przedstawienia niemal nieznannej powszechnie działalności WIN-u, czyli utworzonej we wrześniu 1945 roku podziemnej organizacji „Wolność i Niezawisłość”. Dobre chęci autora zasługują niewątpliwie na uznanie, chociaż książka nie daje należytego obrazu WIN-u.

Na wstępie trzeba syntetycznie przypomnieć genezę tej organizacji. W styczniu 1945 roku, gdy zimowa ofensywa sowiecka ogarniała resztę ziem polskich, generał Okulicki rozwiązał Armię Krajową — jako ostatni jej dowódca. Walka zbrojna AK z Niemcami nie mogła się już dalej toczyć, a jej żołnierze byli narażeni — jak to już wykazały doświadczenia z „Polski Lubelskiej” — na represje i prześladowania. Istnienie dalszych więzów organizacyjnych stwarzałoby dla nich jeszcze groźniejsze niebezpieczeństwo.

Generał Okulicki i podlegli mu dowódcy zajęli się opieką, legalizacją i umożliwieniem powrotu tysięcy Akowców do normalnego życia. Troszczyli się również o ich ochronę przed uwięzie-

*Stanisław Kluz, *W potrzasku dziejowym. WIN na szlaku AK*. — Rozważania i dokumentacja, Skład główny „Veritas”, Londyn, 1978.

niem lub wywiezieniem do Rosji. Ta akcja była w toku, gdy w końcu marca generał Okulicki znalazł się w gronie 16-tu przywódców polskich porwanych do Moskwy. Nieufnie odnosząc się do rozmów pruszkowskich z Pimienowem, przekazał na wszelki wypadek pełnomocnictwo do kierowania akcją likwidacyjną AK płk. Janowi Rzepeckiemu, który powrócił przed paru tygodniami z Oflagu w Woldenbergu.

Rzepecki — były szef BIP w Komendzie Głównej AK — znalazł się w trudnej sytuacji, bez sprawnej łączności radiowej z Londynem, zmuszony do postępowania według własnej koncepcji. Uzyskał na to aprobatę p.o. Naczelnego Wodza, który mianował go Delegatem Sił Zbrojnych na Kraj. W poczuciu odpowiedzialności za losy Akowców wzywał ich do zaprzestania bezadziejnej w istniejących warunkach walki z bronią w ręku i apelował, aby — włączając się do życia cywilnego — pozostawali wierni ideałom i tradycji AK.

Nie miejsce tu na omawianie działalności Delegata. Wobec powołania — po rokowaniach w Moskwie — Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, a następnie po samorozwiązaniu się w dniu 1 lipca Rady Jedności Narodowej Rzepecki postanowił zakończyć istnienie i pracę Delegatury. Zawiadomił o tym ogół Akowców w odezwie z dnia 6 sierpnia, przypominając im jednocześnie o niezmiennym obowiązku walki „o wolność obywatela i niezawisłość bytu narodowego”.

Rzepecki i jego najbliżsi współpracownicy uważali, że zakończenie dotychczasowych form organizacyjnych nie zwalnia ich od moralnego obowiązku wskazywania szerokim masom akowskim jakichś ogólnych celów ideowo-politycznych, które mogłyby dać im wytyczne na najbliższą przyszłość. Powszechnie spodziewano się za kilka miesięcy wyborów sejmowych. Wierzono w kraju, że będą one rzeczywiście wolne i wobec tego Akowcy mogą mieć duży wpływ na ich pozytywny wynik przez mobilizowanie społeczeństwa do głosowania na te stronnictwa, które przeciwstawiają się hegemonii Moskwy i zapewnią Polsce wolność wewnętrzną i demokratyczne rządy.

Tak doszło w dniu 2 września do decyzji utworzenia WIN-u. Miała to być wyłącznie organizacja polityczna, nie prowadząca żadnej działalności zbrojnej. Ustalono, że WIN będzie całkowicie niezależny od wszelkich ośrodków politycznych, będzie szukał oparcia w społeczeństwie i współdziałania z organizacjami politycznymi o podobnych założeniach programowych. Nie będzie to organizacja typu wojskowego, jej władze będą pochodzić z wyboru, przy czym postanowiono ograniczyć jej liczebność dla zmniejszenia zagrożenia ze strony aparatu bezpieczeństwa. Głównym jej zadaniem miało być inspirowanie społeczeństwa. Działacze WIN-u nie zamierzali kandydować do sejmu i uznali, że organizacja zakończy swe istnienie z chwilą przeprowadzenia wyborów.

„Nie sięgamy sami po mandaty poselskie, ale wytyżymy wszystkie siły, aby znalazły się one w rękach prawdziwej polskiej demokracji... Wyborów sfałszować nie damy! Do wspólnej walki o uczciwe wybory powszechne wzywamy wszystkich prawdziwych demokratów polskich”. — Tak kończyła się pierwsza programowa odezwa, wydana 15 września i podpisana przez Główny Komitet Wykonawczy Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Prezesem WIN-u został Rzepecki, a wiceprezesem płk Janusz Bokszczanin. Na czele Obszarów stali prezesi — wszystko pułkownicy AK. Byli to: płk Jan Szczurek (Obszar Zachodni), płk Antoni Sanojca (Obszar Południowy) i płk Józef Rybicki (Obszar Centralny).

Dziwna to więc była organizacyjna formacja polityczna, która nie miała założeń walki o władzę, lecz chciała ją zapewnić tym stronnictwom, które pozostały wierne zasadom programowym Polski Podziemnej. Dziwna również i z tego względu, że z góry ograniczała czas swego istnienia i że tworzyli ją ludzie bez głębszego doświadczenia politycznego. Trzeba jednak zaznaczyć też, że i czasy w Polsce były wtedy dziwne, zwłaszcza w owym dramatycznym 1945 roku.

Założyciele WIN-u nie mogli wówczas przewidywać dalszej przyszłości. Głównym bodźcem ich akcji organizacyjnej była chęć wskazania jakiejś ogólnej, prawidłowej busoli politycznej tysięcznym masom akowskim, przeżywającym zrozumiwały kryzys wewnętrzny. Wobec rozwiązania AK — zostały one bez dowódców, były tępione i ścigane przez aparat bezpieczeństwa nowych władz i NKWD. Wiedziały, że wojna skończona i chciały znaleźć swój udział w odbudowie kraju, którego obraz wyniesiony z konspiracji był odmienny od rzeczywistości.

Po odezwie WIN-u byli Akowcy poczuli, że nie są osamotnieni, że mogą coś robić i działać dla społeczeństwa czując, że mają jego poparcie. Tak też wtedy istotnie było. WIN szybko zdobył sobie popularność i widziano w nim spadkobiercę AK. Książka ks. Kluzka nie przedstawia tego ła w sposób dostatecznie wyrazisty, co jest niezbędne dla zrozumienia przez dzisiejszego czytelnika wydarzeń w kraju sprzed lat trzydziestu kilku oraz istotnych przesłanek i motywów działalności wielu ludzi.

Kluz jest niewątpliwie „patriotą WIN-u”, ale nie zawsze wyraża mu w swej książce dobrą przysługę. Do rzędu tego rodzaju braków podstawowych trzeba przede wszystkim zaliczyć bardziej niż ułamkowe przedstawienie rodzaju i zasięgu prac WIN-u. Mam tu głównie na myśli jego inspiracyjną działalność polityczno-propagandową o dużym zakresie i poważnym wpływie. W tym czasie — okres 1945-1947 — nastąpił renesans (co najmniej w sensie ilościowym) prasy konspiracyjnej i wydawnictw ulotkowych.

Były to pisma centralne i lokalne o wyraźnym zabarwieniu politycznym, krytykujące władze komunistyczne i nawołujące do obrony — ale nie zbrojnej — przed bezprawiem. Tytuły tych pism i cytaty z ich artykułów można dziś jeszcze znaleźć w pu-

blikacjach partyjnych, traktujących je jako szczególnie szkodliwe formy szerzenia, utrwalania opozycji politycznej społeczeństwa.

Jest w książce mowa o memoriale WIN-u do ONZ, opracowanym i wysłanym w 1946 roku. Ma on znaczenie jako dowód chęci działania kierownictwa WIN w obronie kraju na terenie międzynarodowym. W tym wypadku mniej istotna jest nawet analiza jego tekstu, zamieszczonego w książce w formie załącznika. Memoriał bardzo oburzył i zdenerwował władze PPR i rządowe, a w paru procesach działaczy WIN-u dokument ten był włączony do rejestru oskarżeń.

Nie wiadomo natomiast, dlaczego ks. Kluz pominął całkowitym milczeniem obszerną broszurę, skierowaną przez władze naczelne WIN do „Towarzyszy z PPS” w roku 1947. Wydano ją w okresie, gdy rozpoczęła się intensywna infiltracja PPS przez komunistów i ich walka z tradycjami WRN i przedwojennej PPS. Broszura wywołała duże poruszenie w terenie i wielokrotnie atakowali ją publicznie przywódcy PPR, jako przejaw „szkodliwej” ale skutecznej działalności WIN-u w środowisku PPS.

Poprzestaję na tych tylko przykładach dla podkreślenia istotnej luki w książce, która pretendując do roli historii WIN-u powinna dawać należyte wyobrażenie o jego konkretnej działalności w kraju, jako czynnika opozycji politycznej i wyrażiciela dążeń społeczeństwa.

Nawet tak czynny udział WIN-u w kampanii czerwcowego referendum w 1946 roku jest potraktowany zdawkowo, chociaż — mimo fałszerstw nad urną — głosowanie potwierdziło szeroki odzew na wezwanie WIN-u (taktyczne hasło głosowania 2 razy „nie”; PSL wzywało tylko do jednego „nie”).

WIN nie propagował walki zbrojnej i dążył do wyprowadzenia ludzi z lasu. Nie było to jednak wówczas całkowicie osiągalne. Wielu prześladowanych szukało schronienia w oddziałach leśnych, które stawały się formą samoobrony. Ale nie były to tylko oddziały WIN-u, aczkolwiek niektóre z nich występowały pod jego firmą. W lesie mnożyły się oddziały o różnych nazwach, tworzone samorzutnie lub z inicjatywy takich np. ugrupowań jak NSZ. To zagadnienie książka ks. Kluza traktuje ubocznie, mimo że w publikacjach krajowych wiele się o tym pisze i to w sposób tendencyjny. W pracy pisanej na Zachodzie można było oczekiwać że i w tej sprawie jej autor wystąpi w obronie prawdy historycznej o WIN-ie.

Niewspółmiernie dużo miejsca i koncentracji swej uwagi ks. Kluz poświęca tzw. Delegacji Zagranicznej WIN-u. Po swym powstaniu WIN dążył do utrzymania ścisłego kontaktu z władzami polskimi na emigracji licząc, że wzajemna współpraca kraju i zagranicy może przynieść znaczny pożytek sprawom polskim. Przywódcy WIN-u dość krytycznie odnosili się do sytuacji w polskim Londynie i liczyli, że głos kraju może mieć na nią korzystny wpływ. Alarmowali jednocześnie o różnych nieskooor-

dynowanych i nieodpowiedzialnych próbach niektórych ośrodków politycznych czy wojskowych podejmowania na własną rękę działalności w kraju. Wpływało to na zakłócenie orientacji społeczeństwa i powodowało duże straty w ludziach na skutek nieostrożnych i lekkomyślnych akcji.

Pierwszego delegata, płk. Kazimierza Rolewicza, wysłał w lipcu 1946 roku ówczesny prezes Zarządu Głównego (tak później brzmiała nazwa kierownictwa) WIN — płk Niepokólczycki. Przywiózł z sobą ważny dokument informujący o założeniach programowych WIN-u, o jego ocenach o sytuacji kraju i za granicą wraz z wielu rzeczowymi i uzasadnionymi postulatami. Dokument ten zachował się do dziś na Zachodzie*. Nie wiadomo jednak dlaczego ks. Kluz pominął go w zbiorze załączników, w którym natomiast zamieścił wiele pozycji bez większego znaczenia, lub nawet wręcz wątpliwych pod względem swej autentyczności.

We wrześniu 1946 roku Niepokólczycki wysłał dwóch innych delegatów — Józefa Maciołka i Stefana Rostworowskiego — którym wkrótce polecono pozostać za granicą w charakterze stałego przedstawicielstwa WIN-u. Do jego zadań należało m.in. utrzymywanie łączności między krajem i Londynem oraz reprezentowanie WIN-u wobec emigracji polskiej i czynników zagranicznych. Na czele Delegacji stanął (nieżyjący już dziś) płk Józef Maciołek. Wewnątrz niej sprawy tak się stopniowo ułożyły, że faktycznie decydującą rolę spełniał jej przewodniczący, człowiek ideowy, oddany swej pracy ale bez dostatecznych kwalifikacji do tak odpowiedzialnych i wielostronnych funkcji.

Z Centrali WIN-u przychodziły do władz polskich w Londynie regularne sprawozdania — nieraz nawet z załączonymi dokumentami — o sytuacji i wydarzeniach w kraju. Później zaczęły się w nich pojawiać informacje wzbudzające wątpliwości. Przeważnie dotyczyły one tajnych sowieckich dyrektyw dla PPR czy innych ściśle poufnych zarządzeń, wywodzących się z Politbiura PPR.

Mniej więcej po trzech latach coraz mniejszą wartość w sprawozdaniach krajowych przedstawiały wiadomości bieżące. Zaczynały w nich dominować tematy, które w podobnym ujęciu można było znaleźć w prasie warszawskiej. Delegacja WIN-u nie dostrzegała jednak, lub nie wyciągała wniosków z tej dziwnej dewaloryzacji raportów. Być może, wynikało to z pełnego jej zaufania i lojalności w stosunku do Centrali.

Ks. Kluz w swej książce powtarza błąd Delegacji sprzed z górą 25 lat i zarówno w tekście, jak i w załącznikach, powołuje się na takie rzekome dokumenty, jak np. tekst przemówienia płk. Andruszczenki z KGB w Katowicach, czy referatu Stokłowa o planach międzynarodowej polityki sowieckiej. Nie są to zresztą jedyne jego błędy.

* Zamieszczamy go w bieżącym *Zeszycie* na str. 84.

Podkreślone zmiany zachodzące w treści i tonacji sprawozdań krajowych kierują naszą uwagę na źródła ich pochodzenia, czyli na wszystkie kolejne Główne Zarządy WIN-u. Warto więc przypomnieć ich losy. Pierwszy z nich pod kierownictwem płk. Rzepeckiego został aresztowany 5 listopada 1945 roku, czyli w niespełna 3 miesiące po ogłoszeniu swej odezwy programowej. Wiadomo, kto doprowadził do tego aresztowania. Osoba ta nie była agentem UB i w parę lat później pod wpływem wyrzutów sumienia popełniła samobójstwo.

Równocześnie aresztowano prezesa Obszaru Centralnego WIN-u, Józefa Rybickiego. Następstwo po nim objął dotychczasowy zastępca, Wincenty Kwieciński. W tym czasie pojawiają się w jego otoczeniu dwaj ludzie o pseudonimach „Kos” i „Józef”. Po latach okazało się, że co najmniej jednego z nich obciążają podejrzenia o powiązania z UB i spowodowanie dalszych aresztowań na szczeblach kierowniczych WIN.

Po Rzepeckim prezesurę WIN-u objął w listopadzie płk Niepokólczycki, którego aresztowano w październiku 1946 roku. W okresie dwumiesięcznym funkcje prezesa tzw. trzeciego Zarządu Głównego pełnił do czasu aresztowania Wincenty Kwieciński. W styczniu 1947 roku rozpoczął działalność czwarty Zarząd Główny pod prezesurą Łukasza Ciepłińskiego, aresztowanego w końcu listopada tegoż roku.

W bliżej nieujawnionych okolicznościach — na początku 1948 roku — rozpoczyna działalność piąty Zarząd Główny, którego prezesem jest J. J. Kowalski (imiona nieznane), pseudonim „Kos”. Ks. Kluz zaznacza, że nie wiadomo, czy jest on identyczny z tym „Kosem”, który działał w otoczeniu Kwiecińskiego. Szefem organizacyjnym w tym Zarządzie został Stefan Sieńko, pseudonim „Wiktor”. Sieńko — jak informuje Kluz — był jedynym członkiem Zarządu Głównego Ciepłińskiego, który ocalał od aresztowania.

Ks. Kluz podkreśla, że nowy Zarząd Główny mógł nie budzić żadnych wątpliwości zagranicznej Delegatury WIN-u, gdyż płk Maciołek znał dobrze Sieńkę z przeszłości i z okresu wspólnej działalności w AK. Autor książki popełnia natomiast poważny błąd podając bezpodstawnie, że „szefem wydziału wojskowego” tego Zarządu miał być gen. Fieldorf.

Ten właśnie piąty Zarząd był pozornie fenomenem ostrożności i czujności, gdyż działał nieprzerwanie aż niemal do końca grudnia 1952 roku. Ani ten fakt, ani raporty przysyłane z kraju, ani wszelkie sprawy organizacyjne z nią załatwiane nie nasunęły Delegaturze żadnych podejrzeń, które powinny były rodzić nawet ważne analizy sprawozdań krajowych, o czym już wspominałem. Żadna znajomość osobista z dawnych lat nie może przecież rozbijać z ostrożności zwłaszcza, gdy chodzi o bezpieczeństwo organizacji i wielu ludzi.

Gdy radio warszawskie i prasa krajowa z olbrzymim rozgłosem informuje o dekonspiracyjnej obszernej deklaracji, podpi-

sanej 27 grudnia 1952 roku przez Kowalskiego i Sieńkę, wyjaśnia się przyczyna blisko 5-letniej, nieprzerwanej działalności ostatniego Zarządu Głównego WIN. Zarządem tym kierowali agenci UB i postępowali w myśl otrzymanyh dyrektyw z Ministerstwa Bezpieczeństwa. W swym oświadczeniu ujawniają całą Delegaturę zagraniczną WIN i jej współpracę z amerykańskim wywiadem. W tak niespodziewany sposób kończy się historia WIN-u.

Zupełnie wyraźnie zarysowują się dwa jej okresy. Pierwszy, trwający do końca 1947 roku, zasługuje na wysoką ocenę ideowej wartości całej ówczesnej działalności WIN. Miał on wtedy zdecydowany charakter polityczny, odcinał się od wszelkich postaw wojskowych i niewątpliwie wywierał duży wpływ na postawę społeczeństwa. Był jednym z silniejszych czynników szerzenia oporu politycznego. Większość byłych żołnierzy AK uważała WIN za wyraziciela ich postawy, a również — w dużym stopniu — za „swoją organizację”. Spadające na WIN raz po raz — nieuniknione w tamtych warunkach — ciosy nie potrafiły przełamać jego siły i woli walki. Jako organizacja polityczna lecz konspiracyjna, WIN popierał legalną opozycję reprezentowaną przez PSL i wspomagał środowiska niepodległościowe w oficjalnej PPS. Wyraźnie określał swój demokratyczny charakter w deklaracjach programowych i w swej prasie centralnej. Stanowczo też zaznaczał swój negatywny stosunek do skrajnie prawicowego NSZ.

WIN, posiadający wielotysięczną sieć organizacyjną w całym kraju, był ze szczególną zawziętością tępiony przez PPR i Ministerstwo Bezpieczeństwa. Świadczyły o tym nie tylko liczne aresztowania ale również dziesiątki rozpraw sądowych. O surowości wydawanych przez sądy wojskowe wyroków świadczy choćby proces czwartego Zarządu WIN, w którym siedmiu jego członków z Ciepłińskim na czele skazano na śmierć. Wyroki wykonano.

Ten pierwszy okres historii WIN-u zbiega się niemal równocześnie z radykalnymi zmianami w układzie politycznej sytuacji w kraju. Po październikowej ucieczce Mikołajczyka skończyła się faktycznie legalna opozycja PSL. Grudniowy kongres wrocławski PPS — wbrew zewnętrznym pozorom — oznacza kres samodzielności PPS, która już od marca 1948 roku wchodzi w fazę przygotowań do fuzji z PPR.

Choćby wybory sejmowe już przeszły, WIN — mimo pierwotnych zamiarów — istnieje i działa nadal w znacznie jednak trudniejszych warunkach. Stopniowo też z organizacji czysto politycznej przekształca się w polityczno-wojskową. I właśnie wówczas — w roku 1948, który przynosi rozprawę z odchyleniem gomułkowskim, organizacyjną likwidację PPS i zapowiedź ery stalinowskiej — WIN (ściślej mówiąc jego kierownictwo) dostaje się w ręce UB. Trzeba przyznać, że jest „manipulowany” ostrożnie i zręcznie z założeniem długofalowej akcji prowokacyjnej. Tak się zaczynał drugi, dramatyczny okres historii WIN-u, w któ-

rym setki ideowych ludzi działały ofiarnie bez możliwości rozpoznania, kto nimi kieruje.

Wojna koreańska wskrzesiła u wielu ludzi — w kraju i na emigracji — miraż trzeciej wojny. Nowa amerykańska *policy of liberation* ożywiła zainteresowania krajami Europy Środkowo-Wschodniej i na tym tle doszło do umowy między Delegaturą WIN-u a przedstawicielami amerykańskiej CIA. Ministerstwo Bezpieczeństwa i wywiad wojskowy zyskały niezwykłą okazję. Sterowane przez nich krajowe kierownictwo WIN otrzymało wgląd we fragmenty planów amerykańskich. Delegatura WIN przesłała do Centrali wszystkie wiadomości o zawartej umowie, o ustalonej na przyszłość operacji „Wulkan” (akcje niszczyielskie i dywersyjne, mające na celu powstrzymanie ofensywy sowieckiej w kierunku zachodnim) i o potrzebie przeszkolenia przez Amerykanów w Niemczech zachodnich pewnej ilości instruktorów i emisariuszy WIN-u. Centrala dostarczyła ich bez większych trudności z tym, że wśród nich byli i zawodowi funkcjonariusze UB.

Widocznie jednak, z tych czy innych względów, uznano — po pewnym czasie — w Warszawie, że dalsza gra jest już niepotrzebna i Sieńko wraz z Kowalskim (dotychczas niezidentyfikowanym) otrzymali polecenie złożenia swego grudniowego oświadczenia.

Nie omawiam bliżej ani historii WIN-u, ani całości książki ks. Kluzza. Ograniczyłem się do uwag o WIN-ie na tle lektury tej książki, do której mam stosunek krytyczny. Z jej podtytułu „Rozważania i dokumentacja” w treści jest przewaga osobistych rozważań autora, które nie zawsze są dostatecznie pogłębione i opierają się na błędnych podstawach faktycznych. Autor nie wykazał należytej troski o zbadanie i poznanie wielu faktów, wydarzeń i dat. Jego dobór dokumentów cechuje pewna przypadkowość oraz brak selektywności i dokładności, stąd znalazły się w załącznikach (jak już wspomniałem) wyraźne falsyfikaty lub szkodliwe opuszczenia fragmentów, o czym wymownie świadczy pominięcie w tekście uchwały Rady Jedności Narodowej z 1 lipca 1945 roku całej ostatniej części, zawierającej „Testament Polski Walczącej” i tym tytułem opatrzonej. Zwłaszcza że ta uchwała miała dla WIN-u szczególne znaczenie.

Autor — choć sam działacz WIN-u i dwukrotny więzień Bezpieki — nie był należycie przygotowany do tak odpowiedzialnej pracy. Nadto przypuszczam, że zawęziła jego horyzonty pewna szczególna okoliczność. Całe archiwum Delegatury WIN-u miał w swej dyspozycji Józef Maciołek. Dostęp do niego uzyskał jedynie ks. Kluz, którego Maciołek znał dobrze z okresu wojennego w Polsce. Zdaje się nie ulegać wątpliwości — choćby po lekturze książki — że archiwum to nie było właściwie zweryfikowane i sklasyfikowane. W ten sposób obok materiałów ważnych i wiarygodnych muszą się w nim znajdować dokumenty bezwartościowe, podejrzane lub nawet wręcz spreparowane. Nie wiadomo więc, jakimi przesłankami kierował się autor książki przy wyszukiwa-

niu do niej materiałów oraz, czy i jakie ważne dokumenty nie zostały przeoczone lub — przez nieświadomość ich znaczenia — nie uwzględnione.

Od jednego z WIN-owców w kraju, do którego rąk trafiła książka ks. Kluza, otrzymałem niedawno jej ocenę. Przytaczam dosłownie ważniejsze fragmenty tej opinii: „Książka nie jest dokumentem — zwłaszcza w sprawie WIN. Autor — mimo że pracował w WIN i miał dostęp do części dokumentów — nie był i nie jest zorientowany w całokształcie działalności organizacji. Nie zdaje sobie sprawy, od kiedy i jakie z dostępnych mu materiałów były inspirowane czy fabrykowane przez wroga. Książka roi się od błędów, omyłek, nieścisłości itp., co już samo przez się pozbawia ją wartości historycznej. Intencja autora wykazania znaczenia i osiągnięć krajowego ruchu oporu po wojnie jest godna pochwały. Wątpię jednak, by treść książki przyczyniła się we właściwy sposób do zrealizowania tej intencji”.

Podzielałam opinie WIN-owca z kraju. W trosce o dokładność historyczną należałoby właściwie dodać do książki ks. Kluza jakiś obszerny „suplement”. Publikacje o WIN-ie są potrzebne. Zwłaszcza dopóki jeszcze świadectwa żyjących uczestników jego działalności mogą wiele zagadnień wyjaśnić, uzupełnić, lub skorygować i w ten sposób w pewnej mierze zastąpić materiały ukrywane w archiwach MSW czy KC PZPR. Należałoby też udostępnić godnym zaufania historykom archiwum Delegatury WIN.

Tadeusz ŻENCZYKOWSKI

KSIĄŻKI ANDRZEJA GARLICKIEGO O JÓZEFIE PIŁSUDSKIM*

Wacław JĘDRZEJEWICZ

Wydanie w Polsce dwóch książek o Józefie Piłsudskim tego samego autora w tym samym 1978 roku jest niezwykłym wypadkiem w dziejach historycznego piśmiennictwa w kraju. Wiadomo bowiem powszechnie, że tego nazwiska nie należy tam wspo-

* Garlicki, Andrzej: *U źródeł obozu belwederskiego*. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1978, str. 386, 2 nlb., cena 80 zł. Tegoż: *Przewrót majowy*. Warszawa, „Czytelnik”, 1978, str. 406, cena 50 zł.

minąć, chyba w bardzo specjalnych pracach naukowych, przeznaczonych dla nielicznych historyków. Tymczasem nakład pierwszej książki Garlickiego *U źródeł obozu belwederskiego* liczy 5.000 egzemplarzy, a drugiej *Przewrót majowy* — 20.320. Podobno obie szymbko zniknęły z półek księgarskich.

Ten popyt na tego rodzaju literaturę jest zrozumiały. Temat dotyczący Piłsudskiego pasjonuje młodsze pokolenie w Polsce które chce coś o nim wiedzieć i rozumie, że to, co wie, nie jest prawdą. A poza tym temat niedopuszczany przez cenzurę staje się bardziej poszukiwany. Znamy to dobrze z czasów carskich, a przecież cenzura dzisiejsza w Polsce jest znacznie surowsza, niż carska. Za tamtych czasów broszury Marksa i Engelsa były po rosyjsku wydawane i sprzedawane w Petersburgu i Moskwie. Dziś żadnej pracy Piłsudskiego nie wolno przedrukować w Polsce.

Dr Andrzej Garlicki jest poważnym naukowcem, zapewne jednym z nielicznych, jeśli nie jedynym, znawcą epoki Piłsudskiego. Ma bogaty dorobek naukowy, prace jego są źródłowe, wiedza — ogromna. Jak mi wiadomo, od szeregu lat przygotowywał biografię Piłsudskiego, która jednak dotąd nie przeszła przez cenzurę. Aż tu nagle ukazują się aż dwie jego książki przedstawiające, każda w inny sposób, życie Piłsudskiego od Żułowa do końca 1926 roku.

Od historyka wymaga się obiektywizmu w przedstawieniu wypadków minionej epoki i w ocenie działań *dramatis personae*. I od razu muszę stwierdzić, że Garlicki obiektywny nie jest. Jego Piłsudski zupełnie, w moim zrozumieniu, nie jest tym Piłsudskim, który żył, walczył i działał w omawianej epoce historii Polski.

Przede wszystkim prawdziwy Piłsudski był człowiekiem siły i woli. To mu przyznają najwięksi jego wrogowie. Ta siła emanowała z niego jakby automatycznie, bezwiednie i uderzała ludzi jako zjawisko niezwykle, nieznane u innych ludzi w takim stopniu.

Oto mały przykład: we wrześniu 1922 roku Piłsudski udał się do Rumunii z oficjalną wizytą na zaproszenie króla Ferdynanda. Na dworcu w Sinaia oczekiwał polskiego Naczelnika Państwa król z obu synami. Jak to potem jeden z nich, książę Mikołaj, przedstawił, król chciał przyjąć Piłsudskiego serdecznie, ale z pewną nonszalancją: nie był powiem królem. Rozmawiając wesoło z otoczeniem król Ferdynand właśnie zapalił papierosa gdy pociąg wiozący Piłsudskiego wjeżdżał na stację. Pociąg stanął i w drzwiach salonki ukazał się Marszałek Piłsudski, patrząc na oczekującą go grupę. Potem wolno zaczął wychodzić. Mówił książę Mikołaj: „Było w tym wzroku coś takiego, że wyprostowałem się mimo woli. Spojrzałem na mego ojca i, nie zapomnę nigdy, skonstatowałem, że zanim Marszałek zdążył zejść, ojciec mój rzucił papierosa i stanął na baczność”.

O to właśnie chodzi. O tę siłę, która biła z Piłsudskiego i potrafiła zelektryzować nawet obcych ludzi, a cóż dopiero swoich.

Pisze gen. Weygand o inspekcji Piłsudskiego oddziałów, prze-

znaczonych do uderzenia znad Wieprza w bitwie warszawskiej w sierpniu 1920 roku: „W ciągu trzech dni, które Marszałek Piłsudski spędził wśród wojsk 4-tej armii, zelektryzował je; przełał z własnej duszy w duszę walczących ufność i wolę pokonania wszelkich przeszkód. Nikt poza nim nie mógłby tego dokonać...”.

Tej siły Piłsudskiego Garlicki nie zauważył. Jego Piłsudski to człowiek, któremu nic się nie udaje, który nie może powziąć decyzji, człowiek słaby, właściwie nieinteresujący, a wyrósł w historii przez legendę, którą sam tworzył. A naprawdę było wszystko inaczej.

Dodam jeszcze jeden przykład. 20 maja 1935 roku odbyło się w Genewie uroczyste posiedzenie Ligi Narodów. Przewodniczył komisarz spraw zagranicznych Związku Sowieckiego, Maksim Litwinow. I oto są jego słowa: „Polska straciła Męża, którego potężna osobistość złączona jest nierozzerwalnie z historią wskrzeszenia Polski... Marszałek Piłsudski... zasłużenie został uznany Bohaterem Narodowym...”.

Przykro, że to nie polski historyk, lecz sowiecki komisarz określił właściwie miejsce Piłsudskiego w historii Polski.

Niezwłocznie po śmierci Piłsudskiego, 14 maja 1935 roku *Izwiestia* w Moskwie opublikowały o nim artykuł, w którym czytamy: „Z Marszałkiem Piłsudskim schodzi do grobu postać organizatora niepodległości państwa polskiego. Jak wszystkie postacie, dookoła których historia wprzędła swe nici, Piłsudski był monolitem, był gorącym patriotą, który całą duszą nienawidził caratu... Po klęsce państw zaborczych... Piłsudski stał się uznanym wodzem państwa polskiego i ustalił granice Polski w zbrojnej walce. Walkę tę uważał za główne dzieło swego życia...”.

I znowu to samo. Czytelnik musi w sowieckich *Izwiestiach* szukać prawdy o Piłsudskim, bo polski uczonej walki jego o granice państwa pominął, a roli w historii Polski nie spostrzegł.

A przecież bitwa warszawska 1920 roku słusznie została zaliczona przez szereg historyków do jednej z decydujących bitew świata.

Nie jest moim celem w tej recenzji omówienie bardziej szczegółowo obu książek Garlickiego. Podam to w dłuższym artykule, który ukaże się w tomie 13 *Niepodległości*. Muszę jednak zaznaczyć, że Autor „świadomie” pomija w swej pracy okres Legionów, tak przecież ważny i w historii Polski, i w życiu Piłsudskiego. To jest wielka i nieuzasadniona luka. Garlicki tłumaczy się, że w tej sprawie istnieje obszerna literatura. To jest prawda, lecz gdzie dzisiaj czytelnik ją znajdzie? W bibliotekach w dziale „prohibitów”? Autor nadmienia przykładowo podstawową książkę Wacława Lipińskiego „Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905-1918”. Jest to obecnie biały kruk, nie do nabycia, a przecież dzisiaj czytelnikowi trzeba, gdy się pisze o Piłsudskim, przedstawić jego rolę w Legionach.

Już bez słówka „świadomie” Garlicki opuszcza opis bitew warszawskiej (sierpień) i niemeńskiej (październik 1920 roku) i poświęca największej chwale oręża polskiego w ostatnich dwustu pięćdziesięciu latach naszej historii dziesięć (sic!) wierszy (na str. 348). Każdy może domyślić się skąd powstało to opuszczenie, zwalenie jednak na cenzurę może być dopuszczalne dla polityka, lecz nie dla historyka, który wie, że właśnie te zwycięstwa zaprowadziły Piłsudskiego na Wawel.

Jak wspominałem, dr Garlicki jest wybitnym znawcą okresu historii Polski, który już otrzymał nazwę epoki Piłsudskiego. Swą erudycję Autor wykazał w obu książkach, a zwłaszcza w „Przewrocie majowym”. Pod względem podania faktów, dat, ich zestawienia, praca ta jest bez zarzutu. Mogłem z przyjemnością powiedzieć to autorowi, gdy latem 1978 roku pracował w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku, że pod tym względem książka ta jest dobra. Pisana w dwanaście lat po wydaniu wielkiej monografii profesora J. Rothchilda „Piłsudski's Coup d'Etat” oparta jest na dalszych dokumentach i przedstawia ściśle przebieg wypadków w Warszawie w maju 1926 roku.

Jeśli pod względem stanu faktycznego książka *Przewrót majowy* jest ujęta właściwie, to i w niej rola Piłsudskiego podana jest bez zrozumienia stanu psychicznego tego człowieka. W opisie autora wychodzi on jako człowiek zgubiony, niezdecydowany, bez woli. A sam Piłsudski mówił (rozmowy z Arturem Śliwińskim 7 listopada 1931 roku), że nie wierzy w intuicję i natchnienie, lecz „nieustannie muszę decydować, zarówno wtedy, gdy chodzi o sprawy wielkie, jak i o sprawy małe. Każdy mój krok poprzedza decyzja... I tym się różnię od innych. Umiłowanym stanem Polaków jest niezdecydowanie, a ja wszystko, cokolwiek robię, robię po powzięciu decyzji”.

Inna rzecz, że decyzja nie przychodziła mu łatwo i musiał ciężko walczyć wewnątrz siebie dla jej powzięcia. Gdy jednak decyzję powziął realizował ją konsekwentnie. Tej walki wewnętrznej, tej rozterki Piłsudskiego, gdy analizował sytuację przed powzięciem decyzji, Garlicki nie zrozumiał, przyjmując ją za niezdecydowanie. W danym wypadku opierał się na relacji przybycia Piłsudskiego do dowództwa 36 pp na Pradze po rozmowie z prezydentem Wojciechowskim na moście Poniatowskiego o 5-tej po południu 12 maja. Niezrozumienie tego jest dużym błędem psychologicznym ze strony autora.

Obie książki Garlickiego dają czytelnikowi mnóstwo faktów z życia Piłsudskiego, a że czytelnik w Polsce umie czytać między wierszami, wierzę, że odszuka on nienapisaną prawdziwą sylwetkę wielkiego człowieka w Polsce.

Wacław JĘDRZEJEWICZ



Ukazanie się w Polsce dwóch dzieł Andrzeja Garlickiego o Józefie Piłsudskim pt. *U źródeł obozu belwederskiego* i *Przewrót majowy* należy odnotować jako fakt ważny a z punktu widzenia naukowego pozytywny. Nie jest to wprawdzie jeszcze pełna biografia, o istnieniu której słyszeliśmy od tak dawna, ale pokaźna jej część doprowadzająca studium o Marszałka do lata 1926 roku. Główną zaletą i pewnym *novum* tych opracowań jest to, iż nie są to ani paszkwile na Piłsudskiego ani książki pisane z pozycji bezkrytycznie piłsudczykowskiej.

Garlicki napisał swe obszernie i dobrze udokumentowane prace jako historyk mający krytyczne nastawienie do Piłsudskiego. Równocześnie widać, że starał się być obiektywny. W obu książkach znajdziemy szereg zdań, w których autor rozprawia się z ocenami ferowanymi w „okresie minionym” przez historyków czy pseudohistoryków dążących do przedstawienia Marszałka jako agenta państw centralnych, faszystowskiego dyktatora i reakcjonistę. W tym sensie prace Garlickiego, które *nota-bene* już zniknęły ponoć z półek księgarskich w Kraju, stanowią pożądane *antidotum* na prymitywne i tendencyjne prezentacje. Z drugiej strony nie jest dla mnie całkiem jasne do jakiego stopnia niektóre dość niechętnie wypowiedzi Garlickiego są wynikiem kompromisów z cenzurą a w jakiej mierze odzwierciedlają rzeczywiste poglądy autora. W konkluzji do tomu *U źródeł* wydaje się na przykład, że przeważające akcenty krytyczne odbiegają nieco od bardziej wyważonych sądów o Piłsudskim rozsianych na przestrzeni całej książki.

U źródeł obozu belwederskiego doprowadzony do 1922 roku, zawiera szereg interesujących sformułowań i trafnych spostrzeżeń. Autor nie zadowala się łatwymi tłumaczeniami różnych posunięć Piłsudskiego, ale stara się je dogłębnie zanalizować. Równocześnie w tomie tym zauważyć można pewną ilość luk i opuszczeń, które nie są całkowicie zrozumiałe. Garlicki nie mówi na przykład o Piłsudskim jako o historyku, co jest szczególnie dziwne ze względu na pochlebą dla Piłsudskiego ocenę wystawioną niegdyś przez Henryka Jabłońskiego. Autor pomija paryski wykład Piłsudskiego z 1914 roku i rozmowy z Czernowem, z których widać prognozy Piłsudskiego na temat nadchodzącego konfliktu oraz uwagi odnośnie taktyki dla Polski. Garlicki nie zajmuje się pasjonującym zagadnieniem Piłsudskiego jako wojskowego samouka, a w książce nie ma prawie nic o komendancie I-szej Brygady w polu. A można czy trzeba było przytoczyć chociażby dodatnie opinie dowództwa austriackiego. Okres wojny polsko-bolszewickiej jest oczywiście drażliwy i chyba dlatego potraktowany po macoszemu. Autor lawiruje tu między prawdą historyczną a obowiązującymi tezami, co w rezultacie daje obraz pełen białych plam i narrację w której przeważa styl ostrożnie-lakoniczny.

Przewrót majowy wnosi najpełniejszy jak dotąd opis i analizę tła i przebiegu zamachu. Strona faktograficzna nie nasuwa zastrzeżeń. Garlicki słusznie rozprawia się z różnymi legendami, między innymi z mało prawdopodobną historyjką o ujawnieniu przypadkiem przez Marszałka przygotowań do przewrotu wobec Tadeusza Kutrzeby. Osobiście podzielał wątpliwości Garlickiego co do wiarygodności wspomnień Romeyki, które były zbyt poważnie (*et pour cause*) traktowane przez niektórych historyków krajowych.

Rozważania Garlickiego na temat samego zamachu a zwłaszcza jego skutków budzą pewne wątpliwości a przynajmniej wzbudzają chęć do dyskusji. Czyż nowelę sierpniową 1926 roku można określić jako „przekreślenie podstawowych zasad parlamentaryzmu”? Parlamentaryzm nie jest pojęciem jednoznacznym i przybierał różne formy od polskiej „sejmokracji” poprzez swego rodzaju demokrację kierowaną w Czechosłowacji aż po tradycyjny parlamentaryzm angielski włącznie. Czy słuszne jest stwierdzenie, że po maju Piłsudski miał już nieograniczoną możliwość podejmowania decyzji? Jeśli przyjmiemy, że system autorytatywny czy autorytarny w Polsce miał cechy ograniczonego pluralizmu, to sprawa jest na pewno do dyskusji.

Najślabszą stroną tomu jest stałe i chyba przesadne podkreślanie wyrachowania Piłsudskiego w polityce. Czytelnik *Przewrotu* ma chwilami uczucie widza obserwującego gigantyczną rozgrywkę szachową, w której główny protagonista jest zimny i beznamiętny. Jego wybuchy są przeznaczone dla galerii i celem onieśmienia przeciwnika. Czyż doprawdy element uczuciowy u Piłsudskiego można odsunąć na plan dalszy? Autor pisze o załamaniach się Marszałka raczej niż o jego wewnętrznych zmaganiach. Dylemat Piłsudskiego odnośnie sposobu rządzenia nie wychodzi dostatecznie jaskrawo. Brakuje takich cytatów jak: „sprzeczności nakazu i swobody dotąd nie rozwiązałem” lub zdania, że „siła nie wychowuje lecz łamię”. Brak jest obszernych i namiętnych w formie wywodów Piłsudskiego na temat konstytucji, sejmu i faszyzmu, które podaje Władysław Baranowski w *Rozmowach z Piłsudskim* (str. 206-209).

Jest zrozumiałe, że Piłsudski, którego sylwetka wyłania się z kart książek Garlickiego nie jest odlanym ze spiżu rycerzem *sans peur et sans reproche*, ale człowiekiem z ludzkimi słabościami i wadami. Nie oznacza to, że Garlicki stara się interpretować każde kontrowersyjne pociągnięcie Piłsudskiego na niekorzyść Marszałka. Obie książki nie są ani oskarżeniem ani obroną i pobudzają do refleksji. W jakiej mierze przynoszą nam one zadowalającą i przekonywującą interpretację postaci Józefa Piłsudskiego i jego linii życiowej? Poza wspomnianymi powyżej zastrzeżeniami o charakterze migawkowo-przykładowym, miałbym jeszcze jedną uwagę krytyczną bardziej zasadniczej natury. Piłsudski był, mówiąc najogólniej, postacią niezwykłą. Jego cechy wodzowskie zauważał i komentował m.in. Dmowski. Jego intuicję,

charyzmę i dar wpływania na ludzi podkreślali zarówno Polacy jak i cudzoziemcy, którzy ulegali jego urokowi. Tego „szóstego zmysłu” u Piłsudskiego nie da się może zdefiniować ani sprecyzować w sposób zadowalający, ale należy go jakoś zaznaczyć. Nie mając klucza do Piłsudskiego, należy to zasygnalizować czytelnikowi, gdyż w przeciwnym razie zagadka wielkości Marszałka nie zostanie nawet dostrzeżona. W porównaniu z niektórymi innymi, zwłaszcza dawniejszymi, biografami Piłsudskiego, Garićki stara się sprowadzić swego bohatera na ziemię. I słusznie. Ale równocześnie nie podejmuje w pełni próby pokazania nam Piłsudskiego w innych, trudnych ale chyba koniecznych do zrozumienia go wymiarach.

Piotr WANDYCZ

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

„BIESIADA KRZEMIENIECKA” A.D. 1977

Zeszyt pierwszy *Biesiady Krzemienieckiej*, wydany w roku 1977 w Londynie, otwiera drugą serię zbiorowych opracowań pamiątkowych, w których „Krzemieńczanie-emigranci” przypominają chlubne tradycje „szkoły Czackiego” i dzielą się wspomnieniami o własnych, już XX-wiecznych doświadczeniach, z wskrzeszonego w Dwudziestoleciu Liceum. Chcą nadto, co jest cechą najistotniejszą wydawnictwa, dać wyraz łączącej ich wspólnocie ideowej opierającej się na wyniesionych z Wołynia wskazaniach.

Wyraźnym nawiązaniem do XIX-wiecznej instytucji „biesiad” koleżeńskich Krzemieńczyków jest otwierający zeszyt artykuł Zdzisława Jagodzińskiego „O Biesiadach Krzemienieckich w Paryżu”. Odbywały się one w latach 1847-1859, a może wcześniej i później, ale tylko cztery mają odpowiedniki w drukowanych publikacjach, na których świadomie wzoruje się wydana obecnie w Londynie. Wcześniejszą formą współpracy koleżeńkiej był liczny udział Krzemieńczyków (w tym Słowackiego) w pracach Towarzystwa Litewskiego i Ziemi Ruskich, jednej z najwcześniej uruchomionych organizacji emigracyjnych, pięknie startującej i szybko zdławionej przez „potępienieńcze swary” i wywołane nimi podziały. Echa ich odzywają się wymownie jeszcze w latach 1850-tych, gdy na jednej z biesiad wniosok Karola Sienkiewicza, by wypić zdrowie Joachima Lelewela, który „w Krzemieńcu zaczął nauczać” spotkał

(*Biesiada Krzemieniecka*. Zeszyt I. (Redaktor: Z[dziszław] Jagodziński. Zebrały i przygotowały do druku: Halina Czarnocka, [i] Jadwiga Święcicka). Londyn, 1977, Komitet Biesiady Krzemienieckiej, 8°, str. 92 (2), ilustr./okł. proj. Tadeusz Terlecki).

się z gwałtownym sprzeciwem gen. Henryka Dembińskiego. Krewki starzec „głuchy na perswazje sąsiadów ze zgromadzenia wyszedł”. Toast jednak spełniono, czcząc tego, który „w latach podeszłych pióra nie rzucił, energii nie stracił, serce nie ostudził”.

Druga faza istnienia Liceum Krzemienieckiego trwała krócej od pierwszej, niespełna dziesięćnaście lat (1920-1939). Cechą jej najważniejszą jest, że przy pełnym szacunku dla starych tradycji, podejmowała „nowe obowiązki”. Tak pojmował rolę odrodzonej szkoły (a raczej wielkiego ośrodka kulturalnego) Juliusz Poniatowski, pełniący w latach 1926-1934 obowiązki Kuratora a potem, już z Warszawy, patronujący ukochanej „szkole w służbie życia”. O tym, jak głęboko wgrzył się w intencje Czackiego i jak interpretował rolę Krzemieńca w dwu okresach istnienia Liceum, świadczy artykuł pt. „Dawne zasługi — nowe obowiązki” przedrukowany obecnie z „Życia Liceum Krzemienieckiego” z czerwca 1931 roku.

Obie szkoły miały charakter nowatorski i na pewnych odcinkach podejmowały analogiczne zadania. Obie rozpoczęły niemal od zera — pierwsza we wczesnych latach porozbiorowych, gdy rozpadła się świeżej daty sieć szkół Komisji Edukacyjnej a młodzież zadawała się musiała prymitywnymi szkółkami tworzonymi *ad hoc* lub opieką francuskich gubernatorów rekrutujących się z „białych” emigrantów z okresu Wielkiej Rewolucji. Druga — wracała do służby kulturze polskiej na mocy rozkazu Józefa Piłsudskiego z 27 maja 1920 roku; pierwszym jej zadaniem było „otoczenie opieką młodzieży uchodźczej z Rosji. Bezdomni i znękanii tułaczka znajdowali oparcie i możliwość kształcenia”. Zaledwie 10 % kształconych mogło zwracać koszty utrzymania w internatach. Resztę utrzymywało Liceum z dochodów przydzielonych szkole majątków fundacyjnych i leśnictw.

W 12 (363) zeszyte *Kultury* ukazała się recenzja rozprawy Daniela Beauvois o Uniwersytecie Wileńskim i szkołach polskich w obrębie Imperium Rosyjskiego w latach 1803-1832. Przypomniany obecnie artykuł Juliusza Poniatowskiego podejmuje z za grobu polemikę z niektórymi tezami autora o koncepcji i roli Liceum Krzemienieckiego. Rozdział dotyczący bezpośrednio szkoły wołyńskiej nosi tytuł „Le 'schisme' de Krzemieniec” i daje wyraz krytycznemu nastawieniu Mr. Beauvois w stosunku do Czackiego i jego planów szerokiej rozbudowy Liceum. Zbyt szeroko pojętych? — a przecież podane w tejże rozprawie cyfry świadczą wymownie, że liczba uczniów w guberniach południowych niemal dokładnie równała się analogicznym danym z guberni wileńskiej i grodzieńskiej (Wołyń i Podole — 3.192, Wilno i Grodno — 3.461). Tak w roku 1803; w dwadzieścia lat później: 4.134 i 5.362. A w rdzennej Rosji: 1.066 w Petersburgu, 2.356 w Moskwie, 1.747 w Charkowie i 246 w Kazaniu. W świetle tych cyfr ambicje stworzenia w Krzemieńcu wyższej uczelni dla południo-

wo-wschodnich ziem dawnej Rzeczypospolitej miały pełne uzasadnienie. Argument odległości od Wilna nie był pretekstem. Dyktowały go, jak przypomina Poniatowski takie względy: „Gdzie idzie o dobro oświecenia powszechnego tam rząd najwięcej zapewne uważa na potrzeby uboższej klasy obywatelów... ciężary sprawowania urzędów publicznych spadają najczęściej na klasę obywateli miernego majątku... mieszczanie ubodzy i znikczemnieni mniej jeszcze będą mogli do Wilna swych synów posyłać”.

Inaczej także wygląda w oświetleniu Poniatowskiego (i własnych moich paroletnich studiów nad dziejami dawnego Liceum) sprawa konwiktów, których rozbudowę zapewniały fundusze z ofiar „obywatelstwa”. W jednej tylko szkole mechaników i geometrów z pomocy stypendialnej korzystało 105 uczniów (w roku 1812), co stanowi ok. 15 % ogółu wychowanków szkół krzemienieckich w owym czasie. Fakt, że ofiarność społeczeństwa zwiększała parokrotnie dotację rządową, jest czymś więcej niż powiększeniem rozliczeń z wileńskimi władzami uniwersyteckimi. Są to odpowiedniki „cichych kas” Jeża. Uzupełniając wywody Mr. Beauvois powtórzę argumentację Józefa Drzewieckiego z memoriału przesłanego ks. Czartoryskiemu w kilka lat po śmierci Czackiego w roku 1817: „Nie między możnymi znajdziemy nauczyciela co oświeci wieśniaka, chirurga, co go ocali, architekta co kraj upiększy i wygodę jego zwiększy [...] Licznej i dobrze opatrzonej bursy dla ludzi ubogich oczekują prowincje nasze”.

Spór Krzemieńca z Wilnem — owa „schizma” z rozprawy Mr. Beauvois — rysuje się nieco inaczej w oświetleniu Poniatowskiego, który trafniej wnika w jego istotę. Z musu, a trochę i z biurokratycznych nawyków i zazdrości — Wilno przeciwstawiało się szybkiemu wzrostowi Krzemieńca i idącemu w parze wzrostowi kosztów utrzymania mnożących się z każdym rokiem placówek. Zarzut „polonizowania” Wołynia stawiany Czackiemu przez rosyjskich historyków szkolnictwa jest jednak niewątpliwie słuszny. Czacki odnosił się nieufnie do „powiewów tolerancyjnych” w pierwszych latach panowania Aleksandra I a Gimnazjum Wołyńskie pojmował „jako potężny rozsądnik czynnego patriotyzmu, dokonywujący równocześnie z łatwością asymilacji na rzecz kultury polskiej grupy narodowo obcej (uczniowie Rosjanie)”. Mr. Beauvois cytuje nazwisko nauczyciela języka rosyjskiego w Liceum — Aleksandrowskiego. Że się spolszczył i synów do szkoły polskiej posyłał. Dodam, że z takim skutkiem, że z gromadą uczniów licealnych poszli w roku 1831 do szeregów powstańczych — i zginęli „za naszą i waszą wolność”. Spór z Wilnem był nie tylko konfliktem władz uniwersyteckich z „obywatelstwem” (niefachowym czynnikiem społecznym?), ale i głębiej sięgającym sporem dwu koncepcji służenia Polsce: przez maksymalne wyzyskanie szans legalnych (Wilno w ujęciu Śniadeckiego) i — przez istny atak nowych idei *coûte que coûte* (Krzemieniec). Że nie był to tylko i wyłącznie spór wybitnych indywi-

dualności — Czacki *versus* Śniadecki — świadczy przedłużenie się konfliktu na lata, gdy Czackiego zabrakło. Organizowanie prac społecznych w „formach pozapaństwowych” (określenie Poniatowskiego) było wyrazem dalekowzrocznej polityki kulturalnej polskiej przewidującej możliwość nasilenia się rusyfikacji, co już w latach 1820-tych stało się faktem i zmusiło Liceum do przejścia z ofensywy do defensywy.

Nowe Liceum, wskrzeszone w roku 1920, nie miało ambicji przekształcenia się w wyższą uczelnię. Szło natomiast w kierunku ożywienia działalności społecznej i kulturalnej na Wołyniu i znalezienia *modus vivendi* z ludnością ukraińską. Poprzez majątki i lasy Liceum było silnie związane gospodarczo z regionem i rolę tę pojmowało poważnie i z serdeczną troską.

Bolesnym przypomnieniem katastrofy wrześnieowej jest na kartach *Biesiady Krzemienieckiej* wspomnienie idącej w tym samym kierunku działalności Stefana Czarnockiego, następcy Poniatowskiego na stanowisku Kuratora i lojalnego kontynuatora jego poczynań. W latach 1930 byłam w Krzemieńcu wielokrotnie i za każdym pobytom zaskoczona byłam tempem rozbudowy miasta i Liceum. Przypomnę tylko działalność Zjednoczenia Organizacji Społecznych — udanego krzemienieckiego POSK-u z własnym okazałym domem, urządzeniami sportowymi itp. W lecie mury gmachów szkolnych rozbrzmiewały muzyką i śpiewem — działało „ognisko muzyczne”, ściągające nauczycieli z całej Polski. Nadto: ogniska rysunkowe i pracy społecznej. A w terenie — sieć uniwersytetów Ludowych. I wreszcie, na najwyższym szczyśle Wołyński Instytut Naukowy, stojący u progu realizacji w lecie 1939 roku, gdy Krzemieniec przygotowywał się do uroczystych obchodów ku czci Słowackiego w 90-tą rocznicę zgonu Poety.

Krzemieniec międzywojenny jest obecny na kartach *Biesiady* w opracowanej przez Antoniego Hermaszewskiego relacji o londyńskich biesiadach (już dwunastu) i pracowicie zestawionych przez Halinę Czarnocką informacjach o kontaktach z „Podolakami” z 12 pułku ułanów, stacjonowanego ongiś w Białokrynicy pod Krzemieńcem, z Kołem Kijowian, z Krzemieńczanami w Izraelu (wydali kilkanaście numerów „Głosu wychodźstwa krzemienieckiego w Izraelu” — w języku hebrajskim, są zgrupowani w „Ziomkostwie Krzemieńczan w Izraelu”), wreszcie z Towarzystwem Polsko-Ukraińskim w Londynie. Wzruszającym aspektem działalności Krzemieńczan na emigracji jest pomoc okazywana Bibliotece Polskiej przez fundowanie pótek.

Zeszyt zamyka „Bibliografia krzemieniecka” w opracowaniu Zdzisława Jagodzińskiego i zastępujący na oddzielną pochwałę indeks. Wydanie *Biesiady* umożliwił zasiłek emigracyjnej „cichej kasy” — Fundacji z Brzezia Lanckorońskich.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

TAJEMNICE PARTYJNYCH ARCHIWÓW

Zdarzyła się rzecz niewiarygodna, wręcz nie do pomyślenia. Historyk, który uzyskał dostęp do samego serca tajemnicy, do najtajniejszych archiwów Komunistycznej Partii Czechosłowacji, wyjechał na Zachód, zdoławszy uprzednio przetrzymać kopie dokumentów, z którymi udało mu się zapoznać. Tak powstała książka Karela Kaplana — „W archiwach Komitetu Centralnego. 30 lat tajemnic bloku sowieckiego”. Tytuł oddaje wiernie treść książki. Dokumenty zebrane przez czechosłowackiego historyka dotyczą przeważnie Czechosłowacji, jednak odwołują one zarazem mechanizm władzy państwowej we wszystkich krajach Bloku.

Karel Kaplan jest historykiem i jest świadkiem. W roku 1946, jako 18-letni młodzieniec wstąpił do partii. Młodemu robotnikowi, ojczyznę którego dopiero co wyzwoliły wojska sowieckie, przyszłość jawi się w różowych barwach a nadzieje szczęśliwego życia przyprawiają o zawrót głowy. W roku 1948, kiedy komuniści zagarniają niepodzielną władzę w kraju, przyszły historyk zaczyna robić karierę — jest na kierowniczym stanowisku w powiecie, potem w województwie, następnie w sekretariacie KC. Jednocześnie Karel Kaplan uczy się w szkołach partyjnych i zawodowo zajmuje się historią partii. Jego chwila nadchodzi w dobie „wiosny praskiej”. Jako jej gorący zwolennik, zostaje wyznaczony na sekretarza specjalnej komisji KC do zbadania sprawy procesów politycznych z lat 50-tych, przede wszystkim procesu Rudolfa Slansky'ego, który zakończył się zgładzeniem jedenastu — z trzynastki oskarżonych — czołowych przywódców partii i państwa. Karel Kaplan zyskuje możliwość zaznajomienia się z wszystkimi archiwami oraz prawo rozmawiania ze wszystkimi, którzy brali udział w przygotowaniu i przeprowadzeniu tych procesów, poczynając od pierwszego sekretarza KC i prezydenta republiki, Antonina Novotnego, kilku, następujących po sobie ministrów spraw wewnętrznych, aż po oficerów śledczych, którzy torturowali skazanych.

Wiele z tego było już sprawą znaną. Artur London i Eugeniusz Loebel, skazani na dożywotnie więzienie — przeżyli. I odpowiedzieli o tym co przeżyli. Karel Kaplan zebrał świadectwa katów. Zakończył swą pracę właśnie w chwili, kiedy armie socjalistyczne wtargnęły do Czechosłowacji, grzebiąc nadzieje na „socjalizm o ludzkim obliczu”. Wraz z setkami tysięcy innych, którzy uwierzyli w możliwość reform, został wykluczony z partii, zdjęty ze swego stanowiska i ukarany w bezlitosny sposób: skierowaniem do pracy w fabryce w charakterze robotnika. Przez 6 lat pracuje Kaplan, jako palacz, po czym udaje mu się opuścić kraj zwyckiego socjalizmu i wyjechać do Wiednia.

Centralne miejsce zajmują w książce procesy. Historyk bada ich mechanizm, technikę ich przygotowywania i przeprowadzenia. Pozwala mu to dostrzec maszynierię wprowadzaną w ruch przez partię, która trzyma w swych rękach całą Czechosłowację. Już podczas okupacji kraju Karel Kaplan opublikował w organie KC KPCz *Zivot strany* (27. 10. 1968) artykuł pt. „Żelazna logika procesów”. Pisał tam o wzajemnych powiązaniach organów partii z organami bezpieczeństwa, o tym, jak — po otrzymaniu dyrektyw, po wskazaniu celu — organa wchodzą do akcji. I trudno już rozróżnić, co dzieje się z polecenia KC, co zaś jest inicjatywą organów.

Jaki był jednak cel procesów, przede wszystkim procesu Slansky'ego i jego towarzyszy z ławy oskarżonych? Sprawa ta interesowała historyka: dlaczego doszło do tego procesu, dlaczego wybrano tych właśnie oskarżonych i ten właśnie moment? Wiadomo było, że rozkaz, by zmontować proces, aresztować Slansky'ego i towarzyszy, nadszedł z Moskwy. Czemu jednak w Moskwie postanowiono zorganizować ów proces? Historycy wyjaśniają decyzję Stalina, tym, że stracił on nadzieję, iż Izrael — utworzenie którego Moskwa poparła i któremu Czechosłowacja udzieliła pomocy w formie uzbrojenia oraz specjalistów — stanie się sowieckim punktem oparcia na Bliskim Wschodzie. Decydując się na reorientację swojej polityki w kierunku krajów arabskich, rozpoczyna Stalin międzynarodową kampanię antysemicką, częścią której winien stać się proces Slansky'ego. Kaplan uważa jednak to wyjaśnienie za niewystarczające. Udaje mu się ujawnić dokument nieznany dotąd historykom: materiały spotkania zwołanego przez Stalina w roku 1951. Wezwano wówczas na Kreml pierwszych sekretarzy KC oraz ministrów obrony krajów socjalistycznych. Członkowie sowieckiego politbiura i towarzysze zagraniczni ulokowali się za długim stołem, zaś naprzeciw nich, na estradzie, rozsiedli się sowieccy marszałkowie na czele z generalissimusem, dla którego przygotowano specjalny, wysoki foteltron. Posiedzenie prowadził Mołotow. Po wysłuchaniu pierwszych sekretarzy KC krajów socjalistycznych o stanie ich armii, głos zabrał Stalin. Przedstawił on swą koncepcję wojny prewencyjnej i wojskowej okupacji całej Europy Zachodniej. Konieczne jest — dowodził — wykorzystanie sprzyjającej chwili. „Żadna armia europejska — kontynuował generalissimus — nie jest w stanie stawić oporu wojskom sowieckim i wolno nawet założyć, że oporu w ogóle nie będzie”. Można przypuszczać, że nadzieję na brak oporu w Europie czerpał wódz postępowej ludzkości z sukcesów, organizowanego przez Moskwę, „światowego ruchu obrońców pokoju”. Stalin uważał, że: „siły amerykańskie są obecnie niewielkie. Obóz sowiecki rozporządza zaś w chwili obecnej niewątpliwą przewagą. I bezwzględnie należy ją wykorzystać”.

Według wyliczeń koryfeusza marksizmu, zbrojnego w jedynie słuszną metodę naukową, przewaga obozu sowieckiego miałyby

się jeszcze utrzymywać przez trzy-cztery lata. W związku z tym Stalin zawyrokował, iż: „konieczne jest wykorzystanie tego krótkiego terminu, by dokonać systematycznego przygotowania naszych armii, poświęcając temu zadaniu wszystkie nasze środki ekonomiczne, polityczne i ludzkie. W ciągu najbliższych trzech-czterech lat cała nasza polityka wewnętrzna i zagraniczna winna być podporządkowana temu celowi. Tylko totalna mobilizacja wszystkich naszych zasobów pozwoli na wykorzystanie tej unikalnej możliwości rozszerzenia socjalizmu na całą Europę”.

Cały obóz socjalistyczny przystąpił niezwłocznie do realizacji zadania, wytyczonego przez Stalina. Karel Kaplan, na podstawie pewnych dokumentów, sądzi, że wódz narodów uważał Czechosłowację, w której istniały jeszcze przedwojenne tradycje demokratyczne, za słabe ogniwo obozu. I dlatego nakazał zorganizowanie procesu — chcąc, owo słabe ogniwo, umocnić.

Analiza mechanizmu procesów czechosłowackich sama w sobie jest ciekawa dla historyków tego kraju. Lecz jest ona interesująca również przez to, że — jeśli nie liczyć wspomnień byłego czekisty, Aleksandra Orłowa, który brał udział w preparowaniu procesów moskiewskich z lat trzydziestych¹ — mamy tu pierwszy raz do czynienia z potwierdzoną oficjalnymi dokumentami, receptą na montowanie procesów pokazowych — w latach 30-tych w Związku Sowieckim, w latach 40-50-tych w krajach bloku sowieckiego i znowu w Związku Sowieckim w latach 60-70-tych.

Dla zorganizowania procesów-spektakli przybyli do Czechosłowacji specjaliści sowieccy, współpracownicy służby bezpieczeństwa. Przyjechali z gotowymi scenariuszami, przywieźli ze sobą sprawdzony system sporządzania fałszywych listów i innych „dowodów rzeczowych”, doświadczenie wypróbowanych tortur. Gdy Kaplan — odnalazłszy w archiwum „Krótki podręcznik oficera śledczego”, którym posługiwali się oprawcy czechosłowaccy dla podwyższenia swych kwalifikacji — zwrócił autorowi podręcznika uwagę, że zalecane metody wzięte są najwyraźniej z arsenału gestapo, ów poczuł się dotknięty: skądże znowu, są to metody sowieckie. Istotnie, sprawa priorytetu pozostaje otwarta. I niewątpliwie organa sowieckie prowadziły wymianę wzajemnych doświadczeń z gestapo. Trzeba jednak przyznać, że „organ” socjalistyczne zaczęły o wiele wcześniej niż hitlerowskie.

Analiza mechanizmu procesów jest szczególnie cenna przez to, że odzwierciedla ona, w nadzwyczaj trafny sposób, mechanizm działalności partii i kierowanego przez nią aparatu państwowego. Łatwo przy tym stwierdzić uderzające podobieństwo tych mechanizmów we wszystkich krajach obozu sowieckiego. Doświadczeniami sowieckimi posługują się bowiem nie tylko oficerowie śledczy i funkcjonariusze socjalistycznych „organów”, lecz i przywódcy partii i państwa. Czytając dokumenty archiwów partyjnych historyk czechosłowacki natrafiał stale na rady, jakich przy-

1. Alexander Orlov, *The Secret History of Stalin's Crimes*, 1953.

wódcy sowieccy udzielali czechosłowackim kolegom. Ci pierwsi, nie szczędząc wysiłków, uczył młodych towarzyszy, którzy dopiero niedawno dorwali się do władzy, dają im — jak powiada się w Moskwie — „cenne wskazówki”, w skrócie „CW”. Pierwszej nauki udzielił jeszcze „towarzysz Włodzimierz” — jak miłośnicie zwano Lenina w czechosłowackich kręgach partyjnych: gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. To, rzecz by można, wskazówka teoretyczna. Ważnej wskazówki praktycznej udziela towarzyszowi Gottwaldowi towarzysz Stalin: konieczne jest kupowanie wierności członków Politbiura. Z rady tej korzysta zarówno Gottwald, jak i jego następcy. Jak ujawnia Karel Kaplan — Novotny płacił po prostu gotówką; co miesiąc wręczał pieniądze w białych kopertach — przykładowo po pół miliona koron rocznie. Chruszczow uczył Novotnego otaczać się ludźmi, którzy się wzajem nienawidzą. I dodawał cenną radę: nie dopuszczać do Politbiura ministrów obrony i spraw wewnętrznych. Nie żałuje rad i Leonid Iljicz; gdy Husak wyraził obawę, że represje mogą pozbawić partię poparcia inteligencji, sekretarz generalny KC KPZS przypomniał przywódcy czechosłowackiemu: „Długie lata znakomicie obchodziliśmy się bez inteligencji, a i wy także”. Poza tym — dodał towarzysz Breżniew — „w ostatecznym wypadku zawsze przyślemy wam swoich specjalistów”.

Drugim tematem książki Karela Kaplana jest „wiosna praska”, czas nadziei i gorzkiego rozczarowania. Do tego, co już wiadomo, dorzuca historyk portrety psychologiczne przywódców Komunistycznej Partii Czechosłowacji, których zna doskonale — osobiście i z dokumentów. Są to w przytłaczającej większości albo ludzie ogarnięci żądzą władzy — jak Gustav Husák, albo miernoty, które potrafią zapewnić wodzów sowieckich o swej lojalności — jak Antonin Novotny, albo też beznadziejni głupcy, lista których byłaby zbyt długa. Kwestia głupoty, jako cechy niezbędnej dla osiągnięcia wysokiej pozycji w hierarchii komunistycznej czeka jeszcze na opracowania historyków. Sadat twierdzi w swych pamiętnikach, że najgłupszym człowiekiem, jakiego spotkał w życiu był Borys Ponomariew, zastępca członka Politbiura, sprawujący nadzór nad partiami komunistycznymi, które nie doszły jeszcze do władzy. (Sądząc z pamiętników prezydent Egiptu nie obracał się przez całe życie w sferach intelektualnych). Trzeba tu przypomnieć, że Ponomariew, oddelegowany w latach 30-tych do Kominternu, piął się nieustannie w górę za Stalina, Chruszczowa i Breżniewa — odznaczał się najwidoczniej głupotą tak wielką, że wszyscy kolejni wodzowie ufali mu. Jednakże, wnioskując z portretów, które czytelnik odnajdzie w książce Kaplana, Ponomariew może uchodzić za geniusza w porównaniu z licznymi przywódcami czechosłowackimi. Historyk cytuje dokument, z którego wynika, że Stalin uważał przywódców czechosłowackich za najgłupszych w swojej stajni.

Gdzie leży przyczyna porażki „wiosny praskiej”? — stawia sobie pytanie autor książki. W słabości nowego kierownictwa,

które doszło do władzy po ustąpieniu Novotnego, w silnym opozycji przyjaciół Moskwy, którzy pozostali w tym kierownictwie, wreszcie — przede wszystkim — w kategorię sprzeciw Moskwy na przeprowadzenie reformy, która by choćby nawet w najmniejszym stopniu osłabiła rolę partii, jako jedynej siły w państwie. Historyk opowiada, że iluzje co do polityki sowieckiej, przekonanie, że „Moskwa się nie waży”, utrzymywały się aż do ostatniej minuty, aż do pojawienia się czołgów sowieckich.

Analiza polityki sowieckiej wobec Czechosłowacji w dobie „wiosny praskiej” nie traci na aktualności. Pozwala ona np. na zrozumienie stosunku Związku Sowieckiego do Rumunii. Polityka Ceausescu niepokoi trochę i drażni Moskwę — o wiele jednak w mniejszym stopniu niż polityka Dubčeka. A to dlatego, że w sprawach zasadniczych nic się w Rumunii nie zmienia — pozostaje ona krajem, gdzie partia komunistyczna utrzymuje w swych rękach niepodzielność władzę. Rumunia fronduje, lecz nie różni się od zarzewia wolności u granic Związku Sowieckiego, nie służy przykładem „innego komunizmu”.

Z bólem i z trudem rozstaje się Karel Kaplan ze swą wiarą w komunizm, ze swoimi nadziejami na — jak to ujmują komuniści francuscy — „rozsiewane jutro”. Autor przyznaje się i do własnej odpowiedzialności. „Zamiast władzy robotników stworzyliśmy diabelski krąg władzy komunistycznej, która uciska i dławi całe społeczeństwo”. Kaplan pisze: „W miarę tego, jak poznawałem realną rzeczywistość zdałem sobie sprawę z własnej odpowiedzialności. Tę odpowiedzialność ponosimy wszyscy, choć, rzecz jasna, w różnym stopniu — każdy jednak odpowiada za to co robił sam. Podzielał zdanie niektórych moich przyjaciół, że partia ponosi odpowiedzialność zbiorową, która spada na wszystkich jej członków. Tych również, którzy nie popełnili żadnych przestępstw i nie skrzywdzili żadnego człowieka. Brali oni bowiem udział w działalności partii, która popełniała lub tolerowała przestępstwa”.

Książka Karela Kaplana jest historią kraju, gdzie władza znajduje się w rękach partii, która — według słów autora — „stanowi instrument, pozwalający garstce przywódców utrzymywać w swych rękach pełnię władzy nad społeczeństwem”. I nadużywać jej na szkodę społeczeństwa swego kraju.

Michał HELLER

(Przełożył Natan Tenenbaum)

Ś. † P.

PAWEŁ ZAREMBA

Historyk, publicysta, redaktor, członek kierownictwa Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, przyjaciel i współpracownik „Kultury” zmarł w Monachium 23 kwietnia 1979 roku w wieku 64 lat.

REDAKCJA „KULTURY”

NOWY TOM „NIEPODLEGŁOŚCI”

Ostatnio ukazał się w druku XII-ty tom *NIEPODLEGŁOŚCI*, oficjalnego organu Instytutów Historycznych Piłsudskiego w Londynie i w Nowym Jorku. Jest to drugi z rzędu tom po przeniesieniu Komitetu Redakcyjnego tego czasopisma z Londynu do Nowego Jorku.

Tom ten zawiera dalszą serię listów Piłsudskiego z okresu lat 1898-1904 w opracowaniu prof. Wacława Jędrzejewicza oraz jego artykuł recenzyjny „Józef Beck w oczach Ambasadora Biddle'a w latach 1937-1939/55. Prócz tego tom ten zawiera „Autobiografię” Prezydenta Ignacego Mościckiego, napisaną przez niego odręcznie w Szwajcarii w latach 1940-43 i dotychczas nigdzie nie publikowaną, oraz artykuły Leona Orłowskiego na temat wspólnej granicy Polsko-Węgierskiej, Bohdana Podoskiego o pracach nad konstytucją kwietniową 1935 roku i gen. Feliksa von Barth'a o polskiej sile zbrojnej pod koniec Pierwszej Wojny Światowej oraz dr. Stanisława Biegańskiego o tajnym układzie Austro-Węgier z Ukrainą z dn. 8 lutego 1918 roku.

Tom uzupełniają recenzje z książek, wspomnienia pośmiertne oraz listy do redakcji.

Tom zawiera 248 stron i jest do nabycia w Instytucie Piłsudskiego w Londynie, 238/40 King Street, London W6 ORP oraz w Instytucie Piłsudskiego w New Yorku, 381 Park Ave., South, N.Y. 10016 w cenie £ 4.50 lub \$ 9,00 wraz z przesyłką.

* Studium Polski Podziemnej — *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945. Tom III*, kwiecień 1943 - lipiec 1944, Londyn, 1976.

LISTY DO REDAKCJI

Styczeń 1979 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o umieszczenie sprostowania w związku z artykułem pana Z. S. Siemaszki pt. „Ci co odeszli” (Szabunia), który się ukazał w 1978 roku w tomie 296.

Pan Siemaszko przytacza w swym artykule wypowiedź kpt. Szabuni, między innymi, że poznał wileńską elitę intelektualną i wymienia osoby, a wśród nich mego męża, śp. Tadeusza Cywińskiego.

Zdumiewa w tej wypowiedzi relacja kpt. Szabuni i nieodpowiedzialność pana Z. S. Siemaszki, który cytuje o moim mężu niesprawdzone wiadomości, złośliwie przekręcone.

Nieprawdą jest, jakoby mój mąż został aresztowany za handel dolarami. Oboje z mężem, śp. Tadeuszem Cywińskim, należeliśmy do A.K. w Wilnie, do „Wachlarza” potem do Bazy „Kedywu”. W związku z odbiciem cichociemnego, instruktora Eugeniusza Chylińskiego „Freza”, został aresztowany doktor wileńskiego więzienia na Łukiszkach, Szczepan Ławcewicz ps. „Koń”, z którym współpracowałam przy organizowaniu odbicia Chylińskiego.

Mieszkająca piętro niżej gestapówka Czesnulis musiała zauważyć, że u nas bywa ów doktor i 27 maja 1944 roku wydała mego męża Litwinom gestapowcom na ulicy. W gestapo mąż mój został bestialsko skatowany, zawieszony na belce i bity, aż zemdłał. Po paru dniach, chcąc odwrócić podejrzenia, powiedział Litwinom gestapowcom, że miał w teczce dolary. Mąż mój nigdy nie handlował dolarami, ale trzeba trafu, że w czasie aresztowania miał pewną ich sumę, bo akurat sprzedał pewnemu Litwinowi swój motocykl B.S.A. Zainteresowani gestapowcy zostawili T. Cywińskiego samego w pokoju, wtedy wyskoczył, zarzucając sweter na drut przeciągnięty przez ulicę, z drugiego, a nie pierwszego, piętra na trawnik ulicy 3 maja, wykręcając obie dłonie ze stawów (skrzywienie dłoni zostało mu do śmierci), łamiąc rękę w łokciu i kostkę w stopie i doznając pęknięcia mięśniowego w pachwinie. Wcale nie ukrywał się w jakiejś budce, której tam nie było, ale w stanie podświadomości, zataczając się, poszedł na ul. Podgórną do swego przyjaciela Czesława Słuchockiego, tam zemdłał przed jego domem, a zaopiekowali się nim pp. Piotrowscy i szef BZP Komendy AK.

„Światowa” konwersacja z Niemcami, „wyrznięcie karafką”, „wileńska baba”, a przede wszystkim rzekomy powód, dla którego został aresztowany i data tego zajścia, wszystko stanowi kompletny wymysł p. Szabuni, czy p. Siemaszki. W czasie okupacji, ponieważ znaliśmy dobrze język litewski, mieliśmy z mężem biuro podań i tłumaczeń i nieźle zarabialiśmy, dzięki temu byliśmy w stanie pomagać najbliższej rodzinie. Do Polski jechaliśmy jednak

już zupełnie zrujnowani i okradzeni w czasie ostatnich walk o Wilno. Taka jest prawda.

Co się tyczy wyjazdu kpt. Szabuni z Wilna, to w Nr. 25-tym *Zeszytów Historycznych* z r. 1973, t. 232, p. Siemaszko podaje następującą informację p. Szabuni: „... Odnosiłem wrażenie, iż resztki polskiej organizacji w Wilnie i resztki pieniędzy akowskich zużywano w 1946 roku na dopomaganie zagrożonym ludziom i na umożliwienie im przedostania się do PRL'u z całkiem dobrym skutkiem. Mnie załadowano do skrzyni i wywieziono razem z częścią dobytku Uniwersytetu Stefana Batorego? (mój znak zapytania). W czasie podróży opiekował się mną Tadeusz Cywiński. Zostałem wyładowany ze skrzyni w Olsztynie”.

Pan Szabunia, dla nas człowiek obcy, ale zagrożony, nie uważał za stosowne podziękować nam za okazaną niebezpieczną usługę i troskliwą opiekę w drodze. Przeżyliśmy dwie ostre rewizje, a z nami jechało dwoje naszych nieletnich dzieci i mąż był jeszcze osłabiony po powrocie z obozu. Przy pożegnaniu pan Szabunia ze zwykłą dla niego arogancją, nagadał mi impertynencji, że z mężem wieźliśmy go w skrzyni „nie dla jego pięknych oczu” (dosłownie), ale dla korzyści materialnych.

Kategorycznie oświadczam, że żadnych pieniędzy za przewiezienie Szabuni nie otrzymaliśmy i nie staraliśmy się o nie.

Wierszowe, panie Siemaszko, to jeszcze nie wszystko — trzeba mieć szacunek dla ludzi, którzy ucierpieli w czasie wojny i dla czasopisma, z którym się współpracuje.

Dodatkowo zapytuję, jakim prawem p. Siemaszko wymienił nasze nazwisko w 1973 roku w Waszym Czasopiśmie, bez naszego upoważnienia?

Z poważaniem,

Janina CYWIŃSKA

Szanowny Panie Redaktorze!

Dziękuję za przysłanie odbitki listu p. Janiny Cywińskiej ze stycznia 1979. Jednak nie mam zamiaru podejmowania polemiki na poziomie „wierszowych” pouczeń.

Pozostaję z szacunkiem,

Z. S. SIEMASZKO



Waszyngton, 5 kwietnia 1979.

Drogi Panie Redaktorze!

W związku z recenzją bardzo ciekawej książki Jana Nowaka pt. „Kurier z Warszawy” pióra Michała Borwicza, ogłoszoną w Nr. 47 *Zeszytów Historycznych*, pragnę korzystać z łamów tego cennego wydawnictwa, by sprostować dwa błędy popełnione przez autora tej książki.

Pierwszy, to stwierdzenie na str. 160, że tajemnica „Świtu” przetrwała z powodzeniem „do chwili, gdy Korboński, który potrzebował dopływu wiadomości, został zmuszony do wciągnięcia Rzepeckiego i BIP do współpracy”. Nie jest ono zgodne z rzeczywistością, gdyż do końca pracy „Świtu” cierpiałem nie na brak wiadomości lecz na ich nadmiar w porównaniu z niewielką przenośnością podziemnych radiostacji zaopatrujących „Świt” w bieżące wiado-

mości z Polski. Nie zachodziła zatem najmniejsza potrzeba wciągania Rzepeckiego i BIP do współpracy. Tajemnica „Świtu” została ujawniona nie w kraju a w Londynie, gdzie po śmierci gen. Sikorskiego wtajemniczono we wszystko gen. Sosnkowskiego, a ten z kolei wtajemniczył odpowiednią depeszą Komendę Główną Armii Krajowej, co tak powiększyło grono osób wiedzących, że „Świt” jest ulokowany pod Londynem, iż o dalszej tajemnicy w ścisłym znaczeniu tego słowa nie mogło być mowy.

Piszę o tym w mej książce „W Imieniu Rzeczypospolitej” w rozdziale pt. „Tajemnica ‘Świtu’”, str. 215, 216 pierwszego wydania i str. 198 drugiego wydania.

Drugi błąd popełnia autor, gdy mówi na str. 342 o radiostacji „Błyskawica”, nadającej w czasie Powstania z Warszawy i należącej organizacyjnie do BIP, że „był to pierwszy i jedyne w tej wojnie wypadek żeby z kraju okupowanego, wprost z pola walki nadawała radiostacja foniczna”. Nie jest to również zgodne z rzeczywistością, gdyż radiostacja foniczna Kierownictwa Walki Cywilnej nadała pierwszą audycję dwa lata wcześniej gdyż w roku 1942. Audycja ta została nagrana przez BBC, ale nie doszło do jej powtórzenia przez radiostacje alianckie z powodu sprzeciwu gen. Roweckiego.

Przedstawiłem tę sprawę szczegółowo w książce „W Imieniu Rzeczypospolitej” w rozdziałach „Audycja ze Skolimowa”, str. 106-109 pierwszego wydania i str. 98-101 drugiego wydania oraz „Transmisja caput!”, str. 114-116 pierwszego wydania i str. 106-107 drugiego wydania.

Ściskam mocno dłoń Pana,

Stefan KORBŃSKI



Shepperton, 5 marca 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Notatkę p. Domana Rogoyskiego (*Zeszyty Historyczne* Nr 47, str. 221-225) przeczytałem z wielkim zainteresowaniem zawiera bowiem dużo dla mnie rewelacyjnych wiadomości. Muszę jednak stwierdzić, że p. Rogoyski polemizuje nie ze mną ale z moim rumuńskim informatorem d-rem Milicą Moldoveanu, bowiem szczegóły o nieudanej ucieczce ministra Józefa Becka jakie podałem w moim liście pochodzą od niego.

Ze swej strony wyjaśniam, że ementarz wojskowy na którym spoczywają śmiertelne szczątki ostatniego ministra spraw zagranicznych Drugiej Rzeczypospolitej nazywał się dawniej Belu a dziś nosi nazwę Serban Voda. Również wieś Stanesti w gromadzie Chirculesti przemianowano po drugiej wojnie światowej na Sterajul w gromadzie Singureni.

Łączę wyrazy poważania,

Kazimierz SMOGORZEWSKI



Paryż, 18 stycznia 1979.

Drogi Panie Redaktorze,

Mój artykuł o „Rozrachunkach polsko-ukraińskich”, zamieszczony w 46-tym numerze *Zeszytów Historycznych* wywołał już sporo życzliwych reakcji piśmennych i ustnych.

Jako przyczynek do historii tego okresu pragnę tu zacytować parę dalszych świadectw.

Dr Janusz Rakowski pisze mi 8. I. 1979 z Winterthur w Szwajcarii

w związku z relacją Dolanowskiego i Lepeckiego o utworzeniu Miejsca Odosobnienia w Berezie Kartuskiej:

„Pamiętam doskonale posiedzenie Rady Ministrów, nazajutrz po zamordowaniu [Pierackiego], w dn. 16 czerwca 1934 rano, około 10-tej godziny. Premier Kozłowski polecił zwołać to posiedzenie telefonicznie w trybie nagłym. Obok mojej funkcji zastępcy szefa Biura Prasowego Prezydium Rady Ministrów byłem w tym czasie też sekretarzem Rady Ministrów do pomocy dyrektorowi Biura Prawnego PRM, Paczoskiego. Stąd byłem obecny na posiedzeniu.

Posiedzenie trwało dosłownie 5 minut. Kozłowski wszedł do sali najwyraźniej wzburzony i zdenerwowany. Ministrowie, stojąc, wysłuchali jego krótkiego przemówienia w paru zdaniach. Kozłowski niemal z płaczem oświadczył, że morderstwo członka rządu nie może ująć płazem sprawcom faktycznym i moralnym, że musi się spotkać z należyłą reakcją państwa i że po porozumieniu się z Marszałkiem Piłsudskim postanowił wydać dekret o utworzeniu obozu dla tępienia łajdactwa. Jest to jedyny punkt porządku obrad. Dyskusji nie było. Nikt nie protestował i nie wysuwał zastrzeżeń. Dyrektor Paczoski otrzymał polecenie przygotowania dekretu do opublikowania.

O ile sobie przypominam, byliśmy wszyscy przekonani, że chodzi o zamknięcie bojówkarzy ukraińskich i komunistycznych. Mówiono, że zamach dokonali Ukraińcy. W nerwowej atmosferze po zamachu, podsycanej nerwowością i emocjonalnym stosunkiem do zabójstwa premiera Kozłowskiego, nie rozmawiano politycznie. Przyznam się, że i mnie wydawało się, że reakcja przez stworzenie obozu dla przestępców politycznych w Berezie Kartuskiej jest słuszna dla zapewnienia porządku w państwie.

Refleksje przychodzą poniewczasie. Oczywiście podzielam Twoje uwagi z myślą o jutrze”.

Do tego przekazu dorzucę następujący, wymowny szczegół. W Departamencie Ustawodawczym Ministerstwa Sprawiedliwości zgłoszono zaraz poważne zastrzeżenie wobec przedstawionej przez biuro Prezydium Rady Ministrów i przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych redakcji projektowanego Dekretu. Podkreślono mianowicie zawartą w nim sprzeczność z przepisem Konstytucji, warunkującym, że pozbawienie wolności obywatela wymaga decyzji sądowej. Naczelnik Wydziału Karnego w Departamencie Ustawodawczym, prok. Sądu Najwyższego Artur Miller i ówczesny jego zastępca, prok. Krzysztof Bienkowski, wymogli na autorach projektu wprowadzenie choć przepisu, przewidującego podpis miejscowego sędziego na zarządzeniu władz o osadzeniu w Obozie. Był to przysłowiowy listek figowy, z czego zdawano sobie sprawę — zasadnicza decyzja o utworzeniu Obozu nie dała się już podważyć. Fakt ten znam z przekazanej mi latem 1934 roku relacji mego przyjaciela, prok. Bienkowskiego. (Prok Miller i Bienkowski już nie żyją).

W sprawie szkolnictwa w Małopolsce Wschodniej notuję co natępuje:

B. adw. Feliks Mantel, obecnie w Paryżu, wspominając swoje dzieciństwo w gimnazjum im. Franciszka Józefa I w Przemyślu, przemianowanym później na gimnazjum im. Juliusza Słowackiego, opowiedział mi, że po upadku Austrii zniesiono w tej szkole prowadzoną przedtem naukę języka ukraińskiego. Jestem pewny, że wobec zaognienia stosunków w otwartej wojnie polsko-ukraińskiej wypadek ten nie był odosobniony. Tak więc od początku nie była uszanowana zasada przyjęta przez Naczelnika Państwa Piłsudskiego, że „Ukraińcy nie mogą mieć w Polsce mniej, niż mieli pod rządami Austrii”, zasada głoszona przez niego jeszcze w roku 1930, jak

to podaje Władysław Pobóg-Malinowski w swojej *Najnowszej Historii Polski*, tom II, część pierwsza, str. 534. Nasuwa się pytanie, czy Piłsudski o tym wiedział?

To pewne, że wprowadzenie w Małopolsce Wschodniej w roku 1924 przez ministra Stanisława Grabskiego fatalnego systemu szkół utrakwistycznych, nie zadawalającego ani Polaków ani Ukraińców, a hołdującego iluzjom asymilacyjnym, zredukowało jeszcze bardziej ukraiński „stan posiadania”. Po przewrocie majowym system ten utrzymał się niestety, a po pamiętnym roku 1930 (masowe sabotaże, pacyfikacja) ilość ukraińskich szkół jeszcze zmalała. Ponad wszelką wątpliwość przyznała to jeszcze przed wojną znakomita praca Aleksandra Bocheńskiego, w książce tegoż Bocheńskiego, Stanisława Łosia i Włodzimierza Bączkowskiego „Problem Polsko-Ukraiński w Ziemi Czerwińskiej”, wydanej przez *Politykę* Jerzego Giedroycia. (Wydanie drugie wyszło w roku 1938. Są w nim na kilku stronach niewielkie białe plamy skonfiskowanych kilku wierszy).

Warto przypomnieć, co Pobóg-Malinowski pisze w cytowanej *Historii* (str. 534) o trudnościach na jakie natrafiły rządy po roku 1926: „Z jego też [Piłsudskiego] polecenia, już w parę miesięcy po wypadkach majowych, we wrześniu 1926, minister [Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego] Sujkowski wystąpił w Sejmie z inicjatywą w sprawie uniwersytetu ukraińskiego. Młodzianowski zaś, jako minister Spraw Wewnętrznych, powołał do życia komisję, mającą ustalić zasady polityki rządu wobec mniejszości [narodowych]. Obie te rządowe inicjatywy wywołały gwałtowną reakcję prawicy, która w Sejmie zdołała przeforsować votum nieufności dla obu tych ministrów, w prasie swojej zaś rozpetęła burzę o niezwykłym nasileniu demagogicznym. Rząd Bartla nie tyle cofnął się przed tą burzą, ile uznał, iż brak mu tej podstawy, jaką dać może gruntowna znajomość problemu ukraińskiego” (!)

Po czym dodaje, zapewne na podstawie powojennej, paryskiej relacji Wacława Grzybowskiego, późniejszego ambasadora a wówczas dyrektora biura przy premierze Bartlu: „Gdy nieco później polscy zwolennicy porozumienia z Ukraińcami naciskać będą o projekt autonomii dla ziem południowo-wschodnich Bartel odpowie, że pomysł taki dałby się zrealizować chyba tylko pod warunkiem stanu wyjątkowego w Małopolsce — i to przeciw polskiej ludności dzielnic; według Bartla — za protestującym Lwowem „stanęłaby murem cała Polska”.

Niestety tak było.

Łączę serdecznie uścisk dłoni,

Władysław ŻELEŃSKI

SPROSTOWANIE

W 47-ym *Zeszytcie Historycznym* w opracowaniu B. Wankego „Władze legalne R.P. na uchodźstwie”, podano mylnie, że Szmul Zygelbojm, członek II Rady Narodowej, był syjonistą. Reprezentował on żydowską partię socjalistyczną „Bund”. Przypominamy przy okazji, że Zygelbojm w dn. 12. 5. 1943 r. popełnił w Londynie samobójstwo jako protest przeciw bezczynności państw alianckich w obliczu zagłady Żydów w okupowanej przez Niemcy Polsce.

Z powodu braku miejsca dalszy ciąg „Wspomnień” ks. Teofila Skalskiego ukáže się dopiero w następnym nrze *Zeszytów Historycznych*.

SPIS TREŚCI

Prof. Władysław Kulski: <i>Zachód a Polska od czasów rozbiorowych</i>	3
Wiktor Sukiennicki: <i>Wojna? — Nie, dialog</i>	16
Antoni Nowak-Przygodzki: <i>Wojskowa służba społeczna (Warszawa — Sierpień-Wrzesień 1944 r.)</i>	45

DOKUMENTY

Jan T. Gross: <i>Okupacja sowiecka i deportacje do Rosji w oczach dzieci</i>	55
Wolność i Niezależność: <i>O Wolność obywatela i Niezawisłość państwa (Wytoczne ideowe)</i>	84
Aniela Steinsbergowa: <i>Ze wspomnień obrońcy: kariera artykułu 23</i>	88
<i>Relacje gen. Składkowskiego</i>	96

WSPOMNIENIA

Bronisław Krzyżanowski: <i>Kampania Wrześniowa w oczach dowódcy plutonu</i>	97
---	----

RECENZJE

Tadeusz Żenczykowski: <i>Na marginesie książki o „WIN-ie”</i>	209
---	-----

<i>Książki Andrzeja Garlickiego o Józefie Piłsudskim:</i>	
Wacław Jędrzejewicz	217
Piotr Wandycz	221
Maria Danilewicz Zielińska: „ <i>Biesiada Krzemieniecka</i> ” A.D. 1977	223
Michał Heller: <i>Tajemnice partyjnych archiwów</i>	227
<i>Nowy tom „Niepodległości”</i>	232

LISTY DO REDAKCJI

Janina Cywińska: <i>Polemika z Z. S. Siemaszko w związku z artykułem o Stanisławie Szabuni (Zeszyty Historyczne Nr 25 i Nr 45)</i>	233
Z. S. Siemaszko: <i>Odpowiedź p. Cywińskiej</i>	234
Stefan Korboński <i>Sprostowania dotyczące książki „Kurier z Warszawy” Jana Nowaka w związku z recenzją z tej książki Michała Borwicza (Zeszyty Historyczne Nr 47)</i>	234
Kazimierz Smogorzewski: <i>Wyjaśnienie w związku z notatką Domana Rogoyskiego w Zeszytach Historycznych Nr 47</i>	235
Władysław Żeleński: <i>Przyczynek do „Rozrachunków polsko-ukraińskich” (Zeszyty Historyczne Nr 46)</i>	235
<i>Sprostowanie</i>	237

A C H E V E D'IMPRIMER
L E 1 8 M A I 1 9 7 9
S U R L E S P R E S S E S D E
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
P A R I S (XVIII^e).

Dépôt légal : 2^e trim. 1979.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

**BIBLIOTEKA „KULTURY”
KSIĄŻKI O TEMATYCE HISTORYCZNEJ**

- S. Allilujewa, *Dwadzieścia listów do przyjaciela*.
J. Grzędziński, *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”).
W. Jedlicki, *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”).
Pr. Kalinowski, *Lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii (1940-1945)*.
T. Katelbach, *Rok złych wróźb (1943)*.
A. Koestler, *Fragmety wspomnień* (Seria „Archiwum rewolucji”).
St. Korboński, *Polskie Państwo Podziemne*.
I. Koszeliwec, *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty”).
St. Kot, *Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej*.
St. Mackiewicz, *Polityka Becka*.
M. K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*.
E. Reale, *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”).
St. Rembek, *W polu*.
B. Singer, *Od Wiroso do Sławka*.
W. Sołski, *Moje wspomnienia*.
W. Sukienicki, *Legenda czy rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”).
St. Swianiewicz, *W cieniu Katynia*.
Węgry (Seria „Dokumenty”).
W. Witos, *Moje wspomnienia, t. I/III*.
J. Wołoszynowski, *Było tak*.
P. Zaremba, *Historia Polski, cz. I*.
A. Zawadzka-Wetz, *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”).

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAŁ NA POCZĄTKU LUTEGO, MAJA,
SIERPNI I LISTOPADA KAŻDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA 1979 — F. 160,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 140,00.

CENA EGZEMPLARZA W ROKU 1979 — F. 40,00.

Cena 40 F.